

ALEKSANDRA JANUSZ



*K*RONIKI
ROZDARTEGO ŚWIATA

ASYSTENT CZARODZIEJKI

NASZA KSIĘGARNIA

ALEKSANDRA JANUSZ

*K*RONIKI
ROZDARTEGO ŚWIATA

ASYSTENT CZARODZIEJKI



NASZA KSIĘGARNIA

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Zajrzyj na strony:

Raport terenowy

Arboria, 18 Avril 753 AG

Raport terenowy

Arboria, 21 Avril 753 AG

Raport terenowy

Arboria, 28 Avril 753 AG

Margueritte i Belinde Raport terenowy

Vincent, Amandine, Kathryn i Lily

PODZIĘKOWANIA

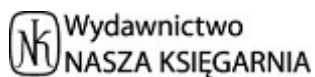
II TOM CYKLU

NOTKA O AUTORCE

Strona redakcyjna

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Poznaj naszą ofertę - FANTASTYKA I HORROR

<http://www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html>

Następnego ranka po tym, jak uratowaliśmy świat od zagłady, rześki blask słońca opromieniał miasteczko. Ptaszki ćwierkały, liście szumiały, a strumyk na wzgórzu ciurkał, jakby nie miał nic innego do roboty. Kłębki puchu z topoli zaśmiewały powietrze, wywołując okresową plagę kataru siennego. Krótko mówiąc, rozkwitała wiosna.

Chciałbym móc należycie ją docenić.

Moja głowa ważyła jednak jakieś tysiąc funtów. Miałem doszczętnie przepalone kanały energetyczne, zupełnie jakbym poprzedniego dnia wypełnił je po brzegi kwasem azotowym – co zresztą niewiele odbiegało od prawdy. Myśl o jedzeniu przyprawiała mnie o odruch wymiotny, a równocześnie dręczyło mnie pragnienie godne smoka. Żałowałem, że nie zginąłem na Przełęczy Trzech Koron, razem z Czarną Meg, w pełni odpowiedzialną za mój obecny żaloszny stan.

Gdybym zginął, przynajmniej nie musiałbym wysłuchiwać pretensji mojej narzeczonej.

– Niewiarygodne. Ona jest całkowicie niepoważna! Mogę się założyć, że jak zwykle tego nie zgłosisz. Na Pustkę, przecież to kryminał!

Przypatrywałem się Amandine z pewną dozą stoicyzmu. Krążyła wokół stołu, nastrozona jak wściekła wiewiórka. Nie znalazłem dobrej odpowiedzi. Nie bardzo mogłem się zdobyć na cokolwiek, oprócz bezmyślnego gapienia się na rude loki i kształtną pupę wybranki mego serca, niekoniecznie w tej kolejności. Nie miałem nawet ochoty wstać z krzesła. Bolały mnie mięśnie, a poza tym najchętniej przespałbym cały dzień. O ile dałbym radę zasnąć. Zresztą na pewno potrzebowano mnie w pracy.

– Ciszej, kochanie. Proszę, ciszej.

– Powinieneś złożyć oficjalną skargę w Związku. Wiesz, że powinieneś. Nie po raz pierwszy Meg poleciła ci przekroczyć twoje kompetencje zawodowe.

– Przecież wygraliśmy – sprzeciwiłem się słabo. Gremliny tańczyły mi pod czaszką. Zastanawiałem się, czy nie straciłem na dobre zdolności do przetwarzania magii. – Uratowaliśmy połowę Marchii Granicznej, może nawet cały kontynent.

– Kazała ci przetworzyć całego cholernego duszozmoka!

– Oj, nie całego! – jęknąłem. – Może z osiemdziesiąt procent. Wspierały mnie trzy czarodziejki i stabilny rytuał. Lepszego pomysłu i tak nie mieliśmy.

– Mogłeś chociaż odmówić! Czy wyprały ci mózg do tego stopnia, że w ogóle nie zdawałeś sobie sprawy z ryzyka?

– Plan Meg był dobry. Spójny i racjonalny. Obliczenia się zgadzały. Nie miałem powodu się sprzeciwić...

– Czy ty w ogóle nie widzisz – wybuchła Amandine – że ona cię traktuje jak swoją własność?! Ulubione zwierzątko albo chowańca? Dlaczego nigdy nie kupiła sobie smoka miniatutki czy domowego żywiołaka jak każdy inny czarodziej na jej miejscu? Bo ty jesteś znacznie bardziej użyteczny! Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak cię to upokarza, jak to upokarza nas obydwójce? Nie jesteś czarodziejem. Nikt nie powinien zlecać asystentom zadań podobnego kalibru. Pewnego dnia Meg poprosi cię o coś, co przekroczy twoje możliwości. I w końcu cię zabije.

Nie dała mi szansy na odpowiedź. Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Poczucie winy opornie przebijało się przez magicznego kaca.

– Cóż – westchnąłem bezsilnie – Amandine zawsze lubi dramatyzować.

Wstałem z krzesła i rozejrzałem się za świeżą koszulą. Byłem już spóźniony do pracy i raczej miałem pewność, że tego dnia nie dam rady dopełnić moich zwykłych obowiązków. Potrzebowałem wolnego dnia. A także solidnego kufla piwa.

* * *

Przybyliśmy do Ombre kilka dni wcześniej, w odpowiedzi na pilne wezwanie Straży Granicznej, które zresztą nie zaskoczyło nas w najmniejszym stopniu. Góry Zwietrzałe były niestabilne od czasów Rozdarcia, kiedy to Magowie Pustki dosłownie rozszarpali świat na kawałki. Nowe rozpadliny pojawiały się w okolicy z pewną regularnością. Straż Graniczna znakomicie dawała sobie radę ze zwalczaniem pustkostworów i badaniem miejscowych na obecność Piętna. Zawsze jednak istniało ryzyko, że natkną się na coś większego, i właśnie tak się stało.

Duszosmoki były legendarną bronią Magów Pustki. Tworzono je, ma się rozumieć, z duszy smoka. Ta technologia, jak zresztą wiele innych, przepadła po Rozdarcu. I bardzo dobrze, bo moim zdaniem nikomu nie potrzeba monstualnych magicznych konstruktów, zbudowanych przy użyciu tysięcy jednostek mocy, na wyłącznych usługach czarodziejów. Nawet jeżeli są nasi.

W przeciwieństwie do zwykłych potworów smok nie wylazł z Pustki. Pewnego pięknego wiosennego dnia przebudził się z wielowiekowego snu w górach, za sprawą rozpadliny, która raczyła się otworzyć niemal pod jego zadkiem. Nietrudno zgadnąć, że nie poprawiło mu to humoru.

Dalej sprawa potoczyła się łatwym do przewidzenia torem. Miejscowi wysłali prośbę o pomoc do Gildii Magów. Gildia wyznaczyła Czarną Meg. Albo, jak podejrzewałem, Meg sterroryzowała wierchuszkę Gildii, aby to ją wyznaczono do pomocy. Szefowa chętnie podejmowała się najbardziej niebezpiecznych zadań, szczególnie jeżeli wiązały się z Wojną Rozdarcia oraz Magami Pustki. Tak czy inaczej, od razu weszła w rolę szalonego naukowca. Jej bagaż podręczny zawierał ze dwadzieścia funtów woluminów po saksońsku, bretońsku, teutońsku, a nawet

madziarsku, a mam na myśli tylko te książki, które zamierzała przeczytać w trakcie podróży. Resztę zapakowała do walizki z domem.

Znaleźliśmy się w miasteczku późnym popołudniem. Burmistrz, Randall Hardy, poprowadził nas prosto na pole kempingowe. Chcąc zachować prywatność, wynająłem razem z Amandine pokój w Srebrnej Gęsi, ale Czarna Meg posiadała własne lokum. A zajmowanie się nim należało do moich obowiązków.

Wyjąłem walizkę z dyliżansu. Nie ważyła szczególnie dużo, a przynajmniej niewiele więcej niż zwykła aktówka. Pokryta z wierzchu cienkimi listwami mahoniu i ze srebrnymi okuciami już na pierwszy rzut oka wyglądała jak luksusowy, wykonany na zamówienie magiczny przedmiot. Położyłem ją pośrodku placyku.

Moja pracodawczyni została na chodniku. Nawet z daleka zwracała na siebie uwagę. Była wysoka i upiornie blada, a nad jej głową unosiła się niedorzecznie wielka masa lśniących loczków barwy antracytu, spiętrzonych kwintyliardem grzebyków i spinek w chybionej próbie ujarznienia ich w kok. Meg miała spojrzenie ostre jak żyłетки i cienkie usta, które chętnie wykrzywiła w sarkastycznym uśmiechu. Tego dnia włożyła suknię w kolorze ciemnej zieleni, zapiętą aż pod szyję i niemodną mniej więcej od pół wieku. Szefowej nie obchodziły tak banalne zagadnienia jak moda. Nosiła ubrania, dopóki się nie zdarły, a ponieważ konserwowała je w magiczny sposób, jej garderoba przypominała dobrze utrzymany antykwariat.

Na ramieniu Meg siedziała chuda czarna kotka imieniem Śliwka. Nie dało się nie zauważyć jej podobieństwa do pani.

– Dawaj, Vince.

Czyniąc honory domu, wydałem dwa kwanty magii.

– Domku, otwórz się! – rozkazałem.

I tyle. Żadnych niezrozumiałych fraz po bretońsku. Żadnej poezji. Żadnych zbędnych imponujących brzmiących komend. Hasło brzmi: „Domku, otwórz się”. Bardzo charakterystyczne, jeżeli chodzi o Meg.

Cofnąłem się kilka kroków. Składany dom zaczął lśnić i cicho brzęczeć. Chociaż widziałem to już z tysiąc razy, wciąż nie potrafiłem oderwać wzroku od tego, co się działo.

Waliza puchła, równocześnie zmieniając kształt. Ściany rozwijały się niczym płatki kwiatu. We wszystkich możliwych miejscach pączkowały wieżyczki – Meg lubiła wieżyczki. Dachówki rosły jak rybie łuski, najpierw cienkie i przezroczyste, potem twarde i ciemne, ceglastej barwy. Emanujące bladym światłem szkło spłynęło z framug okien i uformowało szyby. Wreszcie trawnik rozpostarł się na podobieństwo dywanu, a kształty, które na pierwszy rzut oka przypominały młode, zwinięte liście paproci, przeistoczyły się w niedużą jabłoń i dwie latarnie. Pośrodku trawnika wyskoczyły kamyczki tworzące ścieżkę aż pod same schodki. Bling! Gotowe.

Staliśmy przed niedużym, lecz całkiem luksusowym drewnianym domkiem, ozdobionym stanowczo zbyt dużą liczbą wieżyczek. Wyglądał jak coś pomiędzy letnią rezydencją szlachcianki a chatką wieźmy, czyli całkiem tak jak trzeba.

Otworzyłem drzwi. Śliwka wbiegła do środka z radosnym miauknięciem. Za nią, nie spiesząc się szczególnie, podażyła Meg.

Z ciężkim westchnieniem opadłem na kanapę w salonie. Miałem za sobą długi i ciężki dzień, a w perspektywie co najmniej tydzień wyteżonej pracy. Nie byłem czarodziejem ani nawet półaktywnym Źródłem, moje ciało męczyło się znacznie szybciej. W dodatku zaczynałem się starzeć – niewiele brakowało mi do czterdziestki – i w związku z tym potrzebowałem codziennych ćwiczeń, żeby dotrzymać kroku mojej pracodawczyni.

Nazywam się Vincent Thorpe i od dwudziestu czterech lat pełnię rolę asystenta Margueritte de Breville de Branche d'Ambre, szlachcianki, czarodziejki i jednego z najtęższych umysłów w całej Gildii Magów na Arborii.

* * *

Każdego ranka zajmowałem się domem. Oczywiście nie w takim znaczeniu, jakie w pierwszej chwili przychodzi na myśl. Mała willa sprzątała się sama, pod warunkiem że zapewniono jej dość energii. Zainstalowano w niej także automagiczną pralko-suszarke i zmywarke, która teleportowała naczynia bezpośrednio do szafki. Wbrew temu, co myślicie, takie wyposażenie należy do rzadkości nawet w szlacheckich rezydencjach. Ze względu na zużycie mocy jest po prostu zbyt kosztowne na większą skalę, ale dla domku kempingowego nadaje się świetnie.

Zacząłem pracę o ósmej. Margueritte jeszcze spała. Podejrzewałem, że siedziała w pracowni do trzeciej czy czwartej nad ranem, jak przez ostatnich kilka dni, i że nie obudzi się przed dziesiątą. Miałem aż zbyt wiele czasu, aby dopełnić codziennych obowiązków, zanim Meg zarzuci mnie papierami i rozpocznie się moja właściwa praca. Jak już wspominałem, jestem asystentem, a nie pokojówką.

Najpierw zająłem się kuchnią. W jednej ze ścian, za oszklonymi drzwiczkami, znajdowała się wnęka wyposażona w solidny granitowy blat.

Wydałem kwant energii, żeby uruchomić runy. Rozjaśniły się przyjemnym błękitnym blaskiem i na blacie pojawiła się nowa dostawa: kilka jabłek, warzywa na zupe, pomidory, bochenek świeżego chleba oraz kura zawinięta w gruby papier. Podczas wyjazdów z własnej inicjatywy zajmuję się również gotowaniem. Gdyby zostawić Meg samą sobie, żywiłaby się wyłącznie kanapkami ze smalcem z dodatkiem kiszonych ogórków.

Chociaż posługuję się pomniejszą magią, nie jestem aktywnym Źródłem. Nie gromadzę dziesiątek czy nawet setek jednostek jak Czarna Meg i każdy inny czarodziej. Nie potrafię kształtować energii w zaklęcia, poza najprostszym – Kulą Światła – co i tak wymaga ode mnie olbrzymiego wysiłku. Znam się na codziennych urokach i to tyle. Jediną rzeczą, jaką robię dobrze, jest

przetwarzanie mocy. Mam wysoką pojemność kanałów energetycznych, co zwykle się nie zdarza u osób mojego pokroju.

Ale o tym kiedy indziej.

Mój własny zasób mocy jest stosunkowo ograniczony i wynosi – jeżeli mam dobry dzień – mniej więcej dwadzieścia pięć kwantów magii, czyli trochę ponad pełną jednostkę. Jakies dwieście czy trzysta razy mniej niż zasób Meg.

Krałęm po domu, wydając kwanty na hydraulikę, bojler i, ku wyraźnemu niezadowoleniu Śliwki, runy antymysie. Naładowałem także kilka mniej oczywistych lokalizacji, na przykład schody i ściany, które bez regularnego zasilania zwinęłyby się z powrotem.

Wreszcie skończyłem pracę wewnątrz i przeszedłem do ogrodu.

Składane domy mają pewną ciekawą właściwość. Kiedy się zwijają, rośliny okalające je zamiera. Nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie wchodzi w hibernację, mimo że kiedyś przez całe trzy miesiące usiłowałem to rozszyfrować. Najwidoczniej firma Arte Benare nie bez powodu odnosi sukcesy na rynku – wiedzą, jak utrzymać w tajemnicy swoją technologię.

W każdym razie uprawa warzyw i owoców nie miała większego sensu. Jabłoni, którą dołączano do zestawu, od kilkunastu miesięcy była obsypana miniaturowymi zielonymi jabłuszkami i kompletnie nie zsynchronizowała się z rocznym cyklem wegetacyjnym. Co innego, jeżeli chodzi o zioła. Pozostawały wiecznie świeże, a przy umiejętnym zastosowaniu uroków wspomagających wzrost zawsze mieliśmy ich pod dostatkiem.

Pochylałem się właśnie nad zieleniną, kiedy na ścieżce pojawił się burmistrz Randall Hardy. Zmierał ku mnie szybkim krokiem, zdyszany, czerwony i zaferowany; miśnień piwny przelewał mu się nad paskiem. Napotkawszy moje spojrzenie, posłał mi zmęczony uśmiech, który sprawił, że jego oczy utonęły w zmarszczkach.

Tutaj skorzystam z okazji i ostrzeżę was przed politykami, którzy wyglądają tak pocziwie, że bez wahania powierzylibyście im opiekę nad własnymi dziećmi. Nie dajcie się na to nabrać. Gdyby mogli, wyhodowaliby sobie sierść i zaczęli mruzczyć, a wtedy bylibyśmy zgubieni.

Przechylił się przez płot i zerknął na moje dłonie – szorstkie, spracowane, pokryte drobnymi bliznami, a teraz dodatkowo żółte od soku. Obok, na trawie, stał koszyk pełen pączków archicelli. Uśmiechnąłem się szeroko i wytarłem ręce w spodnie.

– Witam, panie Thorpe! – zawołał burmistrz. – I co tam porabiamy?

– Zbieramy pączki archicelli, jak widać – odparłem i wskazałem kobiałkę. Randall Hardy pokiwał głową, udając zainteresowanie tematem, więc kontynuowałem: – Pożółkły przez noc, co znaczy, że ich aktywny składnik osiągnął szczytowe stężenie. Trzeba je zerwać, zanim się otworzą, inaczej staną się bezużyteczne.

Ściągnął usta, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Widzę, że zna się pan na robocie. Moja matka była zielarką. Nie pracuje, odkąd pamięć zaczęła ją zawodzić.

– Przykro mi.

Wzruszył ramionami.

– Taka jest kolej rzeczy. – Popatrzył w stronę domu. – Kiedy wyruszą? Minęły już cztery dni, ludzie zaczynają się niepokoić.

Westchnąłem. Dość często mieliśmy do czynienia z tym problemem. Stereotyp czarodzieja, jaki przeniknął do powszechnej świadomości, pochodzi przede wszystkim z brukowców, pulpowych powieści i sztuk. Ludzie zawsze oczekują od magów niemożliwego. Czarodzieje powinni dokonywać błyskotliwych odkryć przy porannej herbacie, rozwiązywać starożytne zagadki w ułamku sekundy, ratować dziewice, bujać się na żyrandolach i wysadzać wszystko w powietrze za pomocą kul ognia. Maniakalny rechot, ma się rozumieć, jest ich atrybutem niepodlegającym dyskusji. Nieważne, ile popularnomagicznych broszur znajdzie się w druku, ludzie i tak nie chcą pamiętać o trudzie, nudzie i znoju, jakie również są udziałem tej profesji.

– Mamy do czynienia z autentycznym duszosmokiem – przypominałem. – Musimy wiedzieć o nim wszystko, inaczej odgryzie nam głowy na dzień dobry. Meg siedziała wczoraj nad szklaną kulą ze dwanaście godzin, a mnie oczy wypływają od czytania. Prawie skończyliśmy. Lada chwila powinna przybyć lady Chamomille i jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zaczynamy jutro z samego rana.

Randall unikał mojego wzroku.

– Proszę posłuchać, nie chcę podważać waszego profesjonalizmu... – Zawahał się, zniżył głos. – Panie Thorpe. Proszę mówić szczerze. Czy pańska szefowa wie, co robi? Bez urazy. Lady de Breville nie wydała mi się bardziej ekscentryczna niż inni czarodzieje, których miałem okazję spotkać, ale... słyszałem niepokojące pogłoski...

Uniosłem brwi. To prawda, moja pracodawczyni miała określoną reputację.

– Ma pan na myśli te wszystkie powiastki i piosenki o szalonej Czarnej Meg?

– Cóż...

– Czasem słucham ich w karczmach. Ewoluuja.

– Czyli to wszystko bajki.

Popatrzyłem mu prosto w oczy. Nie mogłem zaprzeczyć wprost. Niektóre z tych historyjek osnuto na kanwie prawdziwych wydarzeń i każdy, kto umiał czytać, mógł to sprawdzić. Nabrałem pewności, że Randall przed tą rozmową sięgnął do źródeł i teraz po prostu mnie testuje. Świetnie, po prostu świetnie. Jeszcze tylko nam brakowało nieufności miejscowego burmistrza.

– I tak, i nie – odparłem. – Mechanizm powstawania plotek jest zawsze taki sam, zwłaszcza kiedy biorą się do tego przeciwnicy polityczni. Panie Hardy, proszę posłuchać. Margueritte jest jednym z najbystrzejszych, najbardziej

zrównoważonych i racjonalnych magów, jakich pan kiedykolwiek spotka. Jej pomysły działają. Nawet jeżeli robią na ludziach takie wrażenie jak jazda kolejką górską bez trzymanki, działają. Naszym obecnym przeciwnikiem jest cholerny starożytny duszsmok z czasów Wojen Rozdarcia. Żeby pozbyć się czegoś takiego, nie można myśleć schematycznie. Zapewniam pana, że Gildia przysłała najlepszego specjalistę, na jakiego mogła trafić.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Cóż, miło mi to słyszeć.

Zmarszczył brwi, a ja zastanowiłem się, o co tutaj chodzi. Randall Hardy nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który aż do tego stopnia przejmuje się plotkami. Wreszcie mnie olśniło.

– Jest coś jeszcze, prawda?

Skinął głową.

– Odkryliśmy nową rozpadlinę w lesie na południe od Ombre, niedaleko Katarakty Bretańskiej. Nie wiemy, czy ma coś wspólnego ze smokiem, ale już osiągnęła dwieście stóp długości i nadal rośnie.

Zmrużyłem oczy. Rozpadliny zwykle nie pojawiały się tak daleko od Granicy. Czyżby Pustka znowu zaczęła się rozprzestrzeniać, po raz pierwszy od pięciu dekad? Możliwe, że to tylko skutek uboczny działań smoka. Ale...

– Pełno tam pustkostworów, na razie głównie erlingów, chociaż Straż Graniczna zatłukła już jednego trolla – kontynuował burmistrz. – Powiedzieli, że dadzą radę się utrzymać przez kilka dni, ale nie dłużej. Musimy ją zamknąć. Potrzebujemy czarodzieja.

Czyli to dlatego zachowywał się tak, jakby ziemia zaczęła mu się palić pod stopami. Z duszsmokiem od wschodu i rozpadliną od południa Ombre było poważnie zagrożone. Gdybyśmy spaprali zadanie, mielibyśmy na sumieniu kolejną masakrę w Loranne. W razie braku Straży patrolującej Granicę Pustka zacznie pochłaniać kolejne terytoria. Następne miasto przepadnie w Ziemiach Utraconych. Istniało ryzyko, że nie skończy się na Ombre. Zawsze gdy magia wymyka się spod kontroli, Pustka rośnie w siłę. Ludzie ulegają skażeniu i pojawia się coraz więcej potworów, co z kolei znów zasila Pustkę. Im dłużej to trwa, tym trudniej powstrzymać proces. Jeżeli Granica ulegnie destabilizacji, trzeba będzie zebrać całą armię czarodziejów, aby zapobiec kolejnemu Rozdarcu.

– Rozumiem.

– Gdybyście uporali się ze smokiem w dzień lub dwa, jak pan mówi, ile czasu zajęłaby wam rozpadlina?

Myślałem nad tym dłuższą chwilę.

– W przeciwieństwie do smoka – odparłem wreszcie – na takie okazje istnieją już gotowe zaklęcia i procedury. Będziemy jednak wyczerpani. Lady de Breville musi odpoczywać przynajmniej całą dobę, żeby odzyskać moc. Porozmawiam

z nią, ale nie zaszkodzi mieć w zanadru planu zapasowego. Nawet z pomocą lady Belinde...

Usłyszeliśmy perlisty śmiech, któremu towarzyszył stukot wysokich obcasów. Obejrzałem się przez ramię i moim oczom ukazała się kobieca sylwetka. I to nie było jaka.

Belinde Chamomille miała doskonałą figurę klepsydry. Nosiła dopasowaną błękitną suknię z falbanami, która wedle najnowszych wskazówek mody odsłaniała dekolt – a stanowczo było co odsłaniać. Jej gęste złote włosy spływały w łagodnych falach aż do talii. Mogłaby pozować dla „Playwizarda”. Prawdę mówiąc, kiedyś to zrobiła.

Krok w krok za nią podążała nieco mniej imponująca postać, młoda kobieta o przedwcześnie posiwiiałych włosach – dziedzictwo rodu d’Argent. Była krótko ostrzyżona i ubrana w proste lniane szaty ucznia. Nieszczerólnie ładna, o jasnych oczach i zadziornym uśmiechu, sprawiała dość sympatyczne wrażenie.

O wilku mowa. Oto nasze wsparcie.

– Pozwoli pan, że przedstawię naszych gości – rzekłem i się ukloniłem. – Lady Belinde Chamomille de Branche d’Emeraude i jej uczennica, lady Kathryn Verd de Branche d’Argent.

– Och – zająknął się burmistrz. – Och! *Enchanté*, szanowna pani. Lady Chamomille, z najwyższym szacunkiem witam panią w Ombre.

Randall Hardy, poważny mężczyzna po pięćdziesiątce, zarumienił się jak przyszczaty nastolatek. Belinde wygląda jak duża blond bogini miłości i bardzo się stara, żeby robić piorunujące wrażenie. Jeżeli ktoś się nabierze, zanim się obejrzy, wpadnie po uszy w jedną z dziesiątek uknutych przez nią intryg. Na szczęście znałem ją dość długo, żeby się nieco uodpornić.

– Och, ja również się cieszę, że pana widzę! – Belinde nadstawiła dłoń do pocałunku, po czym zwróciła się do mnie: – Vince, słonko, daję słowo, że jesteś przystojniejszy za każdym razem, kiedy się widzimy.

– Taki już mój prosty urok asystenta. – Zerknąłem na jej stopy. – Niewiarygodne. Te szpilki są magiczne, prawda?

– Ależ oczywiście, kochanie. Pozwalają utrzymać równowagę w każdym terenie i warunkach pogodowych. Niestety, to jedyny egzemplarz i nie są w twoim rozmiarze.

– Co za szkoda. Przydałyby się jako broń na smoka.

– Mój drogi, zaskakujesz mnie. Nie wiedziałam, że zgłosiłeś się do samobójczej rycerskiej szarży.

– Myślałem raczej o samoobronie. Wiesz, w razie gdyby smok pożarł wszystkie bezbronne niewiasty.

Lady Chamomille parsknęła śmiechem. Miałem trzymać się za nimi, przetwarzać magię w razie potrzeby, przynosić, podawać i zamiatać. Walka ze smokiem nie należała do moich obowiązków. Nawet Kathryn, która jeszcze nie

przystąpiła do egzaminów dyplomowych, miała znacznie więcej mocy niż ja. W bezpośrednim starciu przeciwnik po prostu by mnie rozniósł.

– Proszę, Vince. – Kathryn wręczyła mi teczkę, która pękała w szwach od papierów. – Mapy i tabele. Wszystko przeliczone i gotowe do użycia.

Zwróciłem się w stronę burmistrza, który tkwił w miejscu jak ten kołek, najwidoczniej wciąż pod wpływem lady Chamomille.

– Dziękuję za wizytę, panie burmistrzu. Proszę wybaczyć, ale obowiązki czekają.

Otrząsnął się i skinął głową.

– Ach. Oczywiście. Zatem życzę powodzenia łaskawym paniom i panu, panie Thorpe. Proszę pamiętać o rozpadlinie.

– Ma się rozumieć – zapewniłem. I poprowadziłem gości do chatki czarodziejki.

* * *

Podawałem herbatę w salonie, kiedy wreszcie zjawiła się Margueritte, ubrana w tę samą suknię co wczoraj, z przekrwionymi oczami i fryzurą przypominającą ptasie gniazdo. Trzymała plik gęsto zapisanych kartek. Poczulem ciarki. Coś niewątpliwie wisiało w powietrzu.

– Panie i panowie – zaskrzeczała i odkaszlnęła. – Wczoraj dokonałam przełomowego odkrycia.

Stolik był zarzucony tabelami, książkami i monografiami. Starożytne ręcznie rysowane mapy mieszały się swobodnie ze współczesnymi, drukowanymi. Na szczycie tego stosu leżał automagiczny kalkulator, a po dywanie poniewierały się otwarte zeszyty. Połowę tego bałaganu stworzyliśmy razem z Meg przez cztery dni pracy, o resztę zadbały Belinde i Kathryn w ciągu ostatniego kwadransa.

– Och! Cudownie! Oczywiście, że dokonałaś, w końcu jesteś genialna! – zaczęła Belinde. Meg rozpromieniła się jak prymuska na rozdaniu dorocznych nagród. Nie potrafiła się oprzeć komplementom, chociaż wiedziała, że lady Chamomille chwali ją przy każdej, najbliższej nawet, okazji.

Uściskały się serdecznie. Znały się od wieków. Dosłownie. Wymieniały uprzejmości przez następne dziesięć minut, więc po prostu nalałem do filiżanek kolejną porcję herbaty. Nie musieliśmy sobie wiele wyjaśniać. Czarodziejki rozmawiały już wcześniej przez szklane kule.

– Czy znalazłaś wreszcie metodę na zwiększenie siły uderzenia duchowego? –

Belinde zerknęła na kartki, które przyniosła Meg. Problem polegał na tym, że nasz cel był odporny na wszystkie zaklęcia bojowe oprócz tych, które służyły do pozbywania się upiórów. Co gorsza, mógł na bieżąco ciągnąć energię z rozpadliny w bezpośrednim sąsiedztwie legowiska i uzdrawiać się szybciej, niż odnosił rany. Razem z Meg próbowaliśmy podrasować zaklęcia lub wymyślić

sposób na odcięcie duszoscoka od źródła mocy, ale wszystkie strategie, jakie opracowaliśmy do tej pory, dopinały się na agrafki.

– Od dłuższego czasu rozważam zupełnie inny pomysł, potrzebowałam tylko pewnych danych. – Meg przejrzała mapy i tabele przyniesione przez Kathryn. Prawdopodobnie już zapoznała się z materiałem przez szklaną kulę. – Raczej nie damy rady go odciąć. Granica jest zbyt blisko, wszyscy uleglibyśmy skażeniu. Istnieje jednak znacznie łatwiejszy sposób, żeby wykończyć smoka.

Pociągnęła łyk herbaty z filiżanki, zadowolona z siebie jak kot.

– Zaczynamy według starego planu. Ty i Kathryn robicie krąg, ja dodaję fraktale. Stabilizujemy drania. Zakłęcia ochronne, rozpraszające itp. Gdy już będzie unieruchomiony, rzucamy jedno proste Wyssanie Magii. Pilnujemy Vincenta, a on przetwarza całą tę moc. Widzicie, duszoscok składa się z czystej energii. Musi cały czas podtrzymywać swoje struktury cielesne. Jeżeli Vince zachowa koncentrację przez jakiś kwadrans, potwór zwyczajnie wyparuje.

Wszyscy znieruchomieli. Zamrugalem. Właściwie mogłem się wcześniej zorientować, co planuje. Wiedziałem, nad jakimi zaklęciami siedzi. Ale istnieją pomysły zbyt abstrakcyjne, żeby ktokolwiek poza Meg mógł na nie wpaść.

Chciała, żebyśmy przetworzył całego cholernego duszoscoka.

Jak pamiętacie, jestem wyjątkiem wśród użytkowników magii prostej, jeżeli chodzi o pojemność kanałów energetycznych. W zwykłych okolicznościach potencjał przetwarzania surowej mocy definiuje zdolność Źródła do aktywacji. Tłumacząc z magicznego na normalny: to właśnie pojemność kanałów energetycznych robi z Ciebie czarodzieja. Im jest większa, tym więcej dasz radę osiągnąć jako mag. Określa Twój potencjał. Decyduje, ile zaklęć – i jak potężnych – będziesz umiał rzucić naraz. Nigdy nie rośnie wraz z doświadczeniem, w przeciwieństwie do ilości mocy, z jaką budzisz się co rano. To dlatego ludzie trzymają miniaturowe smoki albo żywiołaki w charakterze chowańców, żeby poszerzyć własne możliwości. Od czasu do czasu ja również przetwarzam magię wspólnie z Meg.

Jestem kimś w rodzaju nieudanego czarodzieja. Kiedy miałem trzynaście lat, zaraz po egzaminach kończących szkołę powszechną poszliśmy razem z kumplem na test przetwarzania. Kolega strasznie chciał zostać magiem, więc postanowił się sprawdzić – a ja dotrzymywałem mu towarzystwa. Przetestowali nas obydwo. Wyobraźcie sobie ich miny, kiedy popsulem aparaturę. Nie mieli dość mocy w zapasie, żeby całkowicie wypełnić moje kanały energetyczne. Wyszedłem poza skalę. Wiem, to brzmi, jakbym się przechwalał, ale zapewniam, że mówię prawdę i tylko prawdę.

Wszyscy, rzecz jasna, byli bardzo szczęśliwi. Może oprócz mojego kolegi, którego test wypadł negatywnie (o ile wiem, praktykuje w Creyon rzemiosło jako wiedźma). Magowie Gildii poddali mnie Rytułowi Przejścia, żeby aktywować Źródło. Potem umieścili w Ogrodach Edenu i czekali, aż pojawi się dar.

Czekali... czekali... czekali... Minęły trzy tygodnie i nie wydarzyło się zupełnie nic.

Dar magii bywa niekompletny albo wadliwy i wszyscy o tym wiedzą. Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo się rozczarowałem. Pamiętam, że siedziałem na ławce, już po opuszczeniu Ogrodów, i czułem się jak kompletny nieudacznik. Chyba nawet płakałem.

– Witaj, chłopcze.

Podniosłem głowę. Najpierw moją uwagę zwróciła dziwaczna fryzura. Dopiero po chwili przyjrzałem się wysokiej damie ubranej w suknię ozdobioną czarodziejskimi symbolami.

– Słyszałam o twoich... zdolnościach – powiedziała. – Widziałam również wyniki egzaminów końcowych. Zdaje się, że potrafisz używać mózgowicy. Mam dla ciebie idealną pracę. Oczywiście, jeżeli się zgodzisz.

Dwadzieścia cztery lata później wpatrywałem się w moją szefową z przerażeniem. Margueritte miała pokerową twarz. Wręczyła mi kartki zapisane od góry do dołu obliczeniami i czekała, aż je przetrawię. Czytałem z rosnącym podziwem.

Na Pustkę, to było czyste szaleństwo.

Ale nie potrafiłem sobie wyobrazić niczego lepszego.

Ciszę przerwało ciche miauknięcie. Śliwka wbiegła do salonu i rozejrzała się wkoło. Niezadowolona, że tym razem nikt nie zwrócił na nią uwagi, wskoczyła na stolik i położyła się w papierach. Obróciwszy się brzuszkiem do góry, rzuciła jedno ze swoich najbardziej uwodzicielskich spojrzeń.

– Mrau?

Belinde podrapała kota pod brodą. Myślała intensywnie.

– Meg, nigdy nie słyszałam o takiej procedurze. Poza tym jego górnego limitu nie zmierzono poprawnie, dobrze mówię? – Wyjęła mi kartki z ręki. – Pokaż.

– Znamy minimalną wartość i tylko tego nam trzeba. – Meg wzruszyła ramionami.

– A da radę przetwarzać przez cały kwadrans? To jest przecież trudne nawet dla aktywnych Źródeł.

– Przestańcie łaskawie mówić o mnie beze mnie – zwróciłem się do Meg. – Belinde ma trochę racji. Kilka razy przetwarzałem nawet i dłużej, ale nigdy podczas wysokoenergetycznych rytuałów. A już na pewno ani razu nie osiągnąłem limitu.

– I dlatego... – Czarna Meg się uśmiechnęła – ...będziemy przetwarzać wspólnie. Z naszym wsparciem wystarczy, że skupisz się na kontroli przepływu, a z tym świetnie dajesz sobie radę.

Lady Chamomille marszczyła brwi, przeglądając obliczenia.

– Co twoim zdaniem mamy zrobić z taką ilością energii po przetworzeniu? Nie upchniemy jej w akumulatorze, pod ciśnieniem wytworzy się skaza. Nie możemy

rzucić tyłu zaklęć naraz. Zresztą te, które odpowiadają naszym potrzebom, są albo nielegalne, albo wymagają wojskowej licencji. Nie wspominam nawet o skutkach ubocznych. Masz jakiś plan?

– Ach, to drobnostka. – Margueritte machnęła dłonią. – Rzuć Zakłęcie Marnotrawstwa.

– Wyjaśnij, proszę...

– W starożytnych rytuałach używano go do pozbywania się nadmiaru energii. – Meg spojrzała na mnie i na Kat, aby się upewnić, że nadażamy. – Moją wersję oparłam na Kuli Światła, zwiększając wartość straty energii do ponad dziewięćdziesięciu dziewięciu procent. W dawnych czasach dość często używano tej techniki. Dziś mamy raczej problemy z brakiem mocy, a nie z jej nadmiarem, i magię poddaje się recyklingowi, toteż metoda popadła w zapomnienie.

Lady Chamomille natychmiast przestała stwarzać jakiegokolwiek pozory powagi.

– Och, Meg! Gdyby ktoś się dowiedział... Ludzie wydają majątek na energię. Siedzą na niej jak kwoki na jajach. Zakłęcie Marnotrawstwa! Równie dobrze mogłabyś topić złoto w oceanie! – Klasnęła, strasząc Śliwkę. – Ach, to o-bu-rza-ją-ce!

Meg posłała nam uśmiech wyższości.

– O tak, wyobrażam sobie, co powiedziałyby Arcymag Weyland.

– Meg! Nie musiałaś wspominać Weylanda! Teraz ja też go sobie wyobrażam!

Zaczęły chichotać. Dwie czarodziejki, które wkroczyły już w trzeci wiek życia, chichotały jak małe dziewczynki. Przynajmniej śmiech lady Chamomille brzmiał w miarę naturalnie – ale Czarna Meg robi dość upiorne wrażenie.

Popatrzyliśmy po sobie, ja i Kat.

– Twoja szefowa mnie przeraża – mruknęła Kathryn.

– I nawzajem – odparłem. – Nakręcają się doskonale.

– Naprawdę potrafiłbyś tego dokonać?

– Teoria jest bez zarzutu, ale przeliczę wszystko jeszcze raz. – Zerknąłem w stronę naszych pracodawczyń. Zapisywały protokoły zaklęć i nadal chichotały, stanowczo zbyt podekscytowane zadaniem. – Kiepsko by to wyglądało, gdyby w ferworze Meg zdała się na myślenie magiczne.

* * *

Dyliżans, który zabrał nas w pobliże strefy, jechał jedną ze starożytnych dróg Imperium Triumwiratu. Mimo że od Rozdarcia minęło już ponad siedemset lat, łączenia między płaskimi kamieniami brukowymi ledwo dawały się odczuć. Do niedawna droga była regularnie uczęszczana. Granica w pobliżu Ombre utrzymywała względną stabilność i dobre czasy trwały dostatecznie długo, aby w miejscowości rozwinęła się turystyka.

Dzika przyroda Gór Zwiertzałych przyciąga niejednego. Straż Graniczna pilnuje, aby ta przyroda nie stała się zbyt dzika, bo mimo bariery Granica przepuszcza czasem pojedyncze pustkostwory. Wzgórza pod Ombre porastają stare lasy, w których rosną strzeliste jesiony, wiązy i pinie. Można tam spotkać jelenie i sarny, a także grubszą zwierzynę – w tym olbrzymią czarną krowę z teutońska zwaną auroksem. W miarę oddalania się od miasteczka ostro pnąc się ku górze starożytną drogą coraz rzadziej napotyka się wysokie drzewa, a coraz częściej – poskręcane kłęby kosodrzewiny odstającej od omszałych skał.

Przestało padać. Chmury rozwiewały się z wolna, zapowiadając ciepły wiosenny dzień. Zacząłem się zastanawiać, ile skażenia naniósł poranna mżawka. Włączyłem licznik, gdy minęliśmy pierwszy niewysoki szczyt, powszechnie nazywany Poziomkową Górką i dobrze znany jako miejsce pikników i wycieczek. Nie strzelało szczególnie mocno – niewiele powyżej tła; taki odczyt mógłbym złapać nawet w centrum Avalonu. Jednak mała knajpa z naleśnikami była zamknięta, a krzeselka wożące turystów pod górę bezradnie kołysały się na wietrze. Zaczynałem rozumieć, dlaczego, chociaż niebezpieczeństwo jeszcze nie zagroziło Ombre, mieszkańcy tak prędko powiadomili władze.

Zwolniliśmy, toteż wychyliłem się przez okno. Nie dostrzegłem niczego niepokojącego, ale nasz przewodnik zaczął cokolwiek nerwowo kręcić się na koźle.

– Hej tam! Wszystko gra?

Ściągnął wodze, odchylił się w moją stronę. Na jego szczerzej, szerokiej twarzy malowała się troska.

– Panie, może bym was już wysadził tutaj? Obetnę stawkę, spoko woda. Przecie słyszę, że aparat wam cyka.

No masz ci los. Odrobina wiedzy jest czasem gorsza niż jej brak.

– Cyka, bo go włączyłem – wyjaśniłem, odwracając w jego stronę prostokątne pudełeczko o miedzianym połysku i z kwarcowym cyferblatem, pod którym wskazówka ledwo odchyłała się od zera. – Zawsze tak cyka, w mieście też. Jakby zaczął szybciej, wtedy się zatrzymamy.

Poczekalem, aż chłopak przetrawi tę informację. Meg szturchnęła mnie łokciem.

– Vince, weź go pogoń. Powiedz mu, że jak się nie ruszy, rzucę na niego Zdalną Kontrolę Umysłu. Jasna cholera, do strefy mamy jeszcze ze dwadzieścia mil, więc skażenia ludzie zżerają w tutejszych poziomkach.

– Co tam pani szanowna mówi?

– Mówi, że rzuciła zakłęcie ochronne! – zawołałem. Nie lubię świecić oczami za Meg, ale czasami trzeba; poza tym to przeze mnie przewodnik dostał pietra. –

Dojedziemy do rozdroży, tak jak się umawialiśmy, i dorzucę jeszcze sto denarów!

Wyłączyłem licznik i zająłem się drugim śniadaniem. Zasięg strefy sprawdziliśmy przez szklaną kulę tuż przed wyjazdem; nawet jeśli facet wchłonął trochę skażenia, szefowa zasadniczo miała rację.

Wkrótce dotarliśmy do rozdroży. Krzyżowały się tutaj dwie imperialne drogi, z czego jedna prowadziła w tej chwili znikąd donikąd i z obydwu stron urywała się na Granicy. Jednak starannie oczyszczony i pokryty lśniącem impregnatem kamienny słup wciąż oznajmiał, że do Altery pozostało sto pięćdziesiąt mil. To właśnie tutaj, w okolicy Ombre, znajdowały się bogate złoża minerałów, dla których nasi przodkowie, prowadzeni przez Wędrowca, podjęli trud kolonizacji. Zresztą sprawdźcie sobie w encyklopedii; na pewno uczyli was tego w szkole.

Znów uruchomiłem licznik; wskazówka drgała na poziomie szesnastu mikromerlinów na godzinę, co stanowiło czterokrotną wartość tła. Nadal było to nieszkodliwe, dopóki ktoś nie zdecydowałby się tu zamieszkać. Aparacik cykał jednak z wyraźnie wyższą częstotliwością i nasz woźnica zmył się tak prędko, jak tylko mógł. Zapewne przez następny tydzień będzie skrupulatnie oglądał siebie co rano, sprawdzając, czy nie dotknęło go Piętno.

Przepakowaliśmy się pod wysoką pinią, której korzenie wypaczyły bruk na krawędzi drogi. Przed lotem należało zarzucić na siebie ciepłe swetry. Oczywiście zawsze istnieją zaklęcia ogrzewające, ale po co marnować cenne jednostki energii. Tego dnia Kathryn ubrała się po chłopięcemu, a Margueritte włożyła strój do konnej jazdy sprzed mniej więcej ośmiu dekad. I znów tylko Belinde wybrała się w podróż w błękitnej sukni z falbankami, zapewne nasyconej praktycznymi zaklęciami, podobnie jak jej szpilki. Nigdy nie uważałem obwieszania się magicznymi przedmiotami za dobry pomysł, dla „trzeciego oka” innych czarodziejów Belle prawdopodobnie świeciła się z daleka. Podejrzewam jednak, że absolutnie jej to nie przeszkadzało.

Wypiliśmy kilka łyków wody – nic więcej, aby nie obciążać żołądka – i byliśmy gotowi.

– Kochani, proszę mocno chwycić się za ręce – zaszczębiotała lady Chamomille, po czym podstawiała wartości pod wzór ulepszonego zaklęcia Lotu Drużynowego i przeprowadziła kilka przekształceń funkcji trygonometrycznych, aby prawidłowo uformować moc. To znaczy, ja wiedziałem, że właśnie takich obliczeń dokonała, gdy na dłuższą chwilę zmrzyła oczy. Żadna z dwóch starszych czarodziejek nie mamrocze pod nosem ani nie używa zaklęć kalkulujących przy tak banalnych zadaniach. Po kilkudziesięciu latach praktyki znika też konieczność gestykulacji, chociaż niektórzy nadal ruszają dłońmi z przyzwyczajenia. Przygodnemu obserwatorowi mogłoby się zdawać, że Belinde medytuje, nawiązuje kontakt z Nieznanym albo robi coś równie mistycznego.

Opłynęła nas niewidzialna energia – żadnych iskier ani poświaty, żadnych efektów wynikających z ubocznych strat mocy, pełen profesjonalizm. Lekko i swobodnie wzbiliśmy się w powietrze.

Lecąc wciąż nad drogą, zbliżaliśmy się do mostu nad kanionem Cabochon. Olbrzymia konstrukcja z czarnej stali spinała brzegi pobielających w słońcu skalistych ścian. Wapień układał się w poprzeczne warstwy, porośnięte gęstą roślinnością – prócz skarłałych sosen i jodeł znajdowały się tam rzadkie gatunki górskich krzewów i ziół, którym chętnie poświęciłbym nieco więcej czasu.

Na dnie przepaści płynęła niegdyś rzeka Morion, która wyschła, gdy Rozdarcie oddzieliło ją od źródeł. Jednak most trzymał się dobrze; do niedawna stanowił cel wycieczek z głębi kontynentu. Kiedyś, zanim ludzie zaczęli śmieiej odwiedzać te okolice, stały tam tylko dwa posterunki Straży Granicznej, po jednym z każdej strony mostu. Wkrótce bliższy brzeg wzbogacił się w zajezdnię dyliżansów, sklepiki z pamiątkami oraz karczmę Utracona Bretania, gdzie można było zjeść placki po chłopsku i tradycyjny miodowy kołacz bretański, a także napić się znakomitego wytrawnego cydru. Przynajmniej tak głosiła ulotka.

Licznik terkotał z denerwującą intensywnością.

– Pięćdziesiąt mikromerlinów i rośnie – poinformowałem. – Będzie kiepsko, jeśli trafimy na ciepły prąd powietrzny, tam może być i z pięćset w pyłe opadowym.

Margueritte skinęła głową. Z jej gigantycznego koka, mimo podtrzymujących go ozdóbek, znów uwolniło się kilka przetruszczonych loczków. Teraz zdecydowanie wyglądała na Czarną Meg z ludowych opowieści, brakowało tylko narratora, który opisałby wydarzenia zgodnie z konwencją.

– Łądujemy. Odpalcie kombinezony ochronne. Kathryn, jak teren? Kathryn!

Młoda czarodziejka zawiesiła przed sobą półprzezroczyste zakłęcie teleskopowe i od dłuższego czasu przyglądała się przestrzeni pod nami. Odniosłem jednak wrażenie, że zamiast wypatrywać pustkostworów, zwracała uwagę na zupełnie inne szczegóły.

– Przepraszam – bąknęła – ale to najgenialniejsze dzieło inżynierii sprzed Rozdarcia. Nie potrafimy budować takich długich mostów łukowych. Rusztowanie musiało sięgać dna kanionu, kiedy go robili. Jeszcze nie wiem, czy wzmacniali go runami, czy mieli lepszą technologię spawania łączy, ale na pewno pracowali tam wyłącznie magowie, to jest...

– Kochana, tu i teraz – przypomniała Belinde łagodnie. – Tu i teraz.

Musiało to być jakieś hasło, bo Kat w zakłopotaniu przygryzła górną wargę i natychmiast wróciła do obserwacji.

– Po naszej stronie czysto – powiadomiła po chwili. – Coś się rusza w zaroślach za mostem, chyba większa grupka, ale nie widzę dobrze. Za daleko.

W tym czasie każde z nas wcisnęło guzik na bransoletce o miedzianym połysku, wykonanej z tego samego stopu, którym pokryto obudowę licznika. Otoczył nas ledwo widoczny rdzawy blask energetycznych kombinezonów.

Nie były doskonałe. Żadna magia nie chroni przed mocą Pustki w stu procentach. Jeśli człowiek wchłonie zbyt wysoką dawkę skażenia, spotyka go przypadłość zwana Piętnem. Takiego pecha najczęściej mają strażnicy lub

nieostrożni mieszkańcy Marchii Granicznej. Czarodzieje są także obarczeni ryzykiem, ponieważ nieprawidłowo przechowywana magiczna energia zawsze może się zdegenerować i ulec skażeniu. Centralny szpital w Avalonie zajmuje się pacjentami dotkniętymi Piętnem; jego rozwój można opóźnić przez pięć, może dziesięć lat, jeśli ktoś ma szczęście. Piętno nie zawsze zabija. Ale czasem śmierć jest dużo lepszym wyjściem z sytuacji.

* * *

Z szyldu Utraconej Bretanii pozdrawiał nas jowialny karczmarz niosący talerz z plackiem po chłopsku. Obrazek był nieudolnie skopiowany z ilustracji pierwszego tomu *Sagi o Glorionie*, ale w takim prowincjonalnym miasteczku jak Ombre chyba nikt nie przejmował się prawnikami z Avalonu. Zresztą kilka sklepików dalej, na ścianie budki z goframi i lodami, dostrzegłem bohaterskiego Gloriona w starciu ze swoją nemezis, księciem Mordredem de Branche d’Obsidienne. Swoją drogą niezwykła jest siła opowieści – już nikt nie pamięta, że prawdziwy Glorion był w gruncie rzeczy pospolitym rozbójnikiem, który zgromadził zbyt wiele magicznych artefaktów, a księżę d’Obsidienne – tragicznym bohaterem Wojny Rozdarcia. To przecież on pierwszy wystąpił z propozycją stworzenia bariery. Niedługo potem wyżej wzmiankowany opryszek zabił go we śnie, a pozostali magowie na nowo podjęli temat dopiero wtedy, gdy Pustka zniszczyła już połowę kontynentu.

Na tle przepastnego kanionu i ażurowych łuków przytłaczająco ogromnego czarnego mostu opustoszałe sklepiki wyglądały jak porzucone tandetne zabawki. Kathryn wyjęła małą szklaną kulę i zaczęła zapisywać obraz. Gdyby mogła, obleciałaby z nią całą konstrukcję.

– Jak odczyt? – zapytała Meg.

– Osiemdziesiąt do stu – odpowiedziałem, zerkając na wskaźnik. – Z deszczem musiało opaść trochę pyłu. Ten sezon chyba mają z głowy.

– Pewnie krąży po okolicy albo ryje jak kret w tej rozpadlinie – mruknęła szefowa. – Samo się nie rozniosło. Coś czuję, że wszystkie różdżki zejdą nam na erlingi.

Rozpadliny zawsze emitowały skażenie, ale nigdy na taką odległość. Tym razem zrobiło się niebezpiecznie, ponieważ korzystał z niej duszozmok. Pobierał energię i rozganiał towarzystwo, które przechodziło przez międzywymiarową szczelinę do naszego świata. Wskutek walki skażona moc i materia Pustki przedostawały się do atmosfery, a rojące się w okolicy ocalałe pustkostwory tylko pogarszały sytuację. Sam duszozmok nie był skażony. Zresztą tylko dlatego nasz plan miał szansę powodzenia. Wszystkie dzieła magów Pustki cechowała odporność na jej toksyczną moc, a smok dodatkowo rafinował spaczoną energię, przekształcając ją w zwykłą magię na własne potrzeby. Byłby niesamowicie użyteczny – gdyby w ogóle dało się go kontrolować. Ale instrukcja obsługi zaginęła razem z jego twórcami.

Ruszyliśmy w drogę – małe, rdzawo połyskujące figurki na moście wyłożonym płytami z czarnego granitu. Mój stan zadumy nad znikomością człowieka nie trwał jednak długo, ponieważ wkrótce dostrzegliśmy postać, która, kołysząc się na boki i ochryple pokrzykując, biegła w naszą stronę.

Trzy metry wzrostu, dwie pary rąk, obwisły brzuch, paskudna morda i skłonność do niepohamowanej, niczym nieuzasadnionej agresji. Słowem, troll.

Zanim ktokolwiek zdążył wydać komendę, Kathryn dokonała odpowiednich przeliczeń i w kierunku pustkostwora pofrunęła gigantyczna kula ognia, w rdzeniu rozgrzana do białości i z pomarańczowożółtą koroną jak miniaturowa gwiazda. Stworzenie stanęło w płomieniach. Ściana ognia rozlała się w poprzek mostu, utrzymując się samoistnie, bez żadnego paliwa oprócz zużytych jednostek mocy. Nawet Meg nie potrafiła cisnąć takiej ognistej kuli – ale Kat była czarodziejką z wrodzonym talentem Creo, kimś, kto zdarza się raz na pokolenie. Spodziewałem się, że po naszym przeciwniku zostanie tylko kupka zwęglonych kości, jednak gdy płomienie opadły, osmalony, wściekły troll ponownie ruszył biegiem.

Belinde pokręciła głową.

– Moja droga, nie marnuj jednostek. – Zdjęła z paska cienki platynowy pręt i jakby od niechcenia miotnęła w pustkostwora błyskawicą. Błysk, huk i trzask prawie mnie osłepiły, a przeciwnik zwinął się w konwulsjach. – Dostałaś różdżkę, używaj.

Kathryn zaczęła odpinać różdżkę od paska, ale palce jej nie słuchały. Pustkostwór powoli podnosił się na nogi i przysiągłbym, że jego oczy płonęły wewnętrznym światłem. Zanim jednak czarodziejka wyłuskała broń z futerału, troll drgnął jeszcze raz, zacharczał i znieruchomiał.

Popatrzyłem na Meg. Właśnie przeładowywała automagiczną kuszę. Nawet nie zauważyłem, kiedy odpięła ją od plecaka.

– Grzebień kostny, szare podgardle, żółta pręga biegnąca wzdłuż brzucha. Ten podgatunek wchłania magię Creo – poinformowała spokojnie. – Proponuję pociski entropiczne. Po co się znęcać nad zwierzętami.

Wydobyłem lornetkę z bocznej kieszeni plecaka.

– Skoro już panie zaimponowały sobie nawzajem, chciałbym nadmienić, że to był zwiadowca. – Wskazałem przed siebie. Z drugiej strony mostu coś się mrowiło i przelewało, jak w pułapce pełnej karaluchów.

– Nie ma tam niczego, na co nie byłybyśmy przygotowane. – Meg się uśmiechnęła i uniosła lewą dłoń. Między palcami trzymała cztery różdżki, do wyboru, do koloru. – Vince, zbroja kinetyczna i schowaj się za nas.

Uruchomiłem drugą bransoletkę, a potem sięgnąłem do troczków po lewej stronie plecaka i na wszelki wypadek odpiąłem teleskopowy kijek. Rozłożyłem go, zablokowałem, po czym zgodnie z poleceniem zostałem z tyłu.

I bardzo słusznie, ponieważ niedługo potem fala erlingów wlała się na most.

Pewnie widzieliście je na obrazach. Wierzcie mi, w rzeczywistości są znacznie paskudniejsze. Natura tych stworzeń pozostaje dla nas zagadką. O ile trolle można podzielić na poszczególne gatunki jak wszystkie inne zwierzęta, o tyle nie ma dwóch takich samych erlingów. Każdy stanowi mały, wściekły kłębek mutacji i deformacji – dodatkowych kończyn, oczu, ogonów, czyraków, gruczołów, czego tam chcecie. Wspólnym mianownikiem jest coś w rodzaju humanoida albo małpoluda, któremu szalony stwórca dolepił mnóstwo zapasowych części. Niektóre erlingi latają, inne nie mogą nawet chodzić. Podejrzewam, że te zbyt zmutowane, aby się do czegoś nadawać, są zabijane przez ich pobratymców. I nie wiemy, jak te stworzenia się rozmnażają. Jeden pełen samozaparcia badacz ustalił, że erlingi nie mają funkcjonalnych narządów płciowych. Funkcjonalnych, bo w ogóle to mają i niekiedy aż za dużo.

Cały problem z erlingami polega na tym, że chociaż większość z nich jest głupia jak paczka gwoździ, dzięki mutacjom zawsze się znajdzie w takiej grupie jednostka, która myśli. Tym razem również musiało tak być, ponieważ erlingi nie próbowały nas rozszarpać ani rozsiekać tymi kawałkami złomu, którego używają jako broni. Nie. One usiłowały zrzucić nas z mostu za pomocą nadania odpowiedniego wektora iloczynowi swojej masy i prędkości.

Czyli – zebrały się do kupy i próbowały zbić nas po skosie jak kula kręgle. Na szczęście nigdy wcześniej nie spotkały arboriańskiego czarodzieja, a ich plan nie należał do szczególnie wyrafinowanych.

Czarodziejki ustawiły się ramię w ramię i zaczęły napażać z różdżek, wbijając klin w zwarte szeregi przeciwnika. Z daleka mogło to wyglądać jak chaotyczna mieszanina zaklęć, ale wiedziałem, że każda z nich używa innej sfery magii, na wypadek gdyby erlingi były odporne na jedną z nich. W powietrzu fruwały zygzaki błyskawic, fale transmografikacyjne i czarne kule Entropii; kolejne zużyte różdżki upadały na most, gdy czarodziejki sięgały do pasków po nowe.

Na wpół tocząca się, na wpół biegnąca kula erlingów rozprysła się na poszczególne osobniki. Otaczały nas, lecz wyglądało na to, że jedność grupy, o ile poprzednio coś takiego istniało, została rozbita – każdy walczył za siebie.

A my byliśmy zespołem.

Meg dała znak. Stanęliśmy przy sobie, tak blisko, jak się dało. Belinde scałkowała funkcję i machnęła dłonią; znów znaleźliśmy się w powietrzu, ale nie za wysoko, ze dwa metry nad chmurą przeciwników. Margueritte rozdeła nozdrza – zawsze to robi, kiedy różniczkuje – i rzuciła Nieznaczną Antygravitację, dzięki czemu na obszarze zajmowanym przez pustkostwory ciężenie zmniejszyło się o połowę. A potem Kathryn stanowczą gestykulacją podkreśliła końcowy efekt Pożytecznego Mikrotornada. Zdmuchnięte z mostu stworzenia z wrzaskiem runęły w czeluść kanionu.

Podczas gdy panie dokonywały dzieła zagłady, ja nokoutowałem kijem nieliczne skrzydlate erlingi, które mogły im w tym przeszkodzić. Nie lubię stosować przemocy, ale całkiem dobrze mi to wychodzi.

Opadliśmy wreszcie na pokrytą śluzem i krwią nawierzchnię mostu. Kathryn pochylała się z westchnieniem i wsparła dłonie o kolana.

– Proponuję, żeby doładować się do pełna – powiedziała Meg. – Nigdy nic nie wiadomo.

– A może przejdziemy trochę dalej – zasugerowała Belinde – i znajdziemy jakieś czyste miejsce? Nie chcę kłaść mojego akumulatora na... wydzielinach.

Most był nie tylko długi, lecz także szeroki – mógłby zmieścić cztery dyliżanse obok siebie – i w końcu znaleźliśmy obszar nietknięty brudną stopą pustkostwora... Czy tam macką. Czy czymś innym.

Dla oszczędności wyłączyłem zbroję kinetyczną, a potem rozpostarłem na kamieniu jednorazową płachtę cienkiej metalowej folii (pamiętałem o pyle, który opadł z deszczem) i dopiero na niej postawiłem plecak. Akumulator dla Meg zapakowałem na samym wierzchu – była to ciężka, bladoniebieska skrzynka, okręcona przewodami antydyspersyjnymi i z wgłębieniem w kształcie dłoni na wieku. Podświadomie liczyłem pieniądze, które już poszły na tę wyprawę. Widzicie, chociaż czarodzieje są małutkimi żywymi reaktorami magii, nie da się zbyt długo przechowywać surowej, skoncentrowanej energii wyprodukowanej przez człowieka. Decydują o tym prawa rezonansu, na których objaśnienie musiałbym poświęcić krótki wykład. Jedyna moc, jaką można przetrzymywać w zapasie, pochodzi ze Źródeł geograficznych albo z artefaktów poddanych recyklingowi. A czarodzieje potrafiący ją pobierać w taki sposób, aby później nadawała się do użytku, należą do najbogatszych specjalistów w całej Arborii.

Naszą wyprawę sponsorowała Gildia, dostaliśmy więc grant do wykorzystania w całości. I naprawdę, wolelibyście nie wiedzieć, ile pieniędzy pożarły licencjonowane ofensywne różdżki – zarówno składniki dla Belinde, jak i gotowe modele, produkcja bransolet ochronnych, leki, akumulatory, komponenty do wytwarzania run i kilka innych drobiazgów, a większość tych rzeczy była jednorazowa.

Podczas gdy wypakowywałem plecak, Kathryn również wyjęła folię ze swojego. Lady Chamomille otworzyła natomiast balową torebkę, sięgnęła ręką głębiej, niż pozornie mogła, i niczym iluzjonista wyciągający króliki z kapelusza wydobyla potężny złożony akumulator, ostentacyjnie ozdobiony na wszystkich ściankach złotymi symbolami Arte Benare.

Popatrzyłem na swój ciężki bagaż i poczułem się jakoś głupio.

– Belle, miałaś mi taką zrobić – przypomniała Meg.

– Maggie, nie mam automagicznych rączek i nóżek. Wyprawa, elekcja, egzaminy Kat... Przecież się nie rozdwoję. Będzie czas, to zmontuję.

– Ale zieloną – podkreśliła Meg. – I nieco mniej... no wiesz, fru fru.

Napotkałem zmęczone spojrzenie Kathryn, która doładowywała się z akumulatora swojej mistrzyni. Kosmyki siwych włosów przylepiły jej się do policzka, a na trochę zbyt dużym nosie formował się nowy imponującej wielkości pryszcz. Widać po niej było poczucie winy. Ona też liczyła pieniądze. Ród

Branche d'Argent był równie starożytny co ubogi. Po zdobyciu dyplomu Kat zaczął zarabiać na własne utrzymanie; na szczęście wszystko wskazywało na to, że raczej nie będzie mieć z tym kłopotu.

Sięgnąłem do plecaka, bo co innego mogłem zrobić.

– Uzupełnijcie zapasy – odezwał się, wyciągając garść różdżek. – Skoro nas tak hojnie obdarowano, nie zawieźmy Gildii i wykorzystajmy zasoby jak należy.

– Dziękuję, Vince. – Uprzejmość szefowej świadczyła o jej znakomitym nastroju. – Nawet nie podejrzewasz, jak bardzo jesteś tu niezastąpiony.

* * *

Zeszliśmy z imperialnej drogi i pięliśmy się wzwyż jednym ze szlaków patrolowych, oczyszczonych przez Straż Graniczną. Wokół pleniła się wiosenna roślinność, zdradliwie piękna, bujna i zielona. Tam, gdzie sosny nie dały rady się ukorzenić, gęstwiły się jeżyny i tarnina; między nimi kwitły nieduże górskie astry i podbiały, żółte jak niedawno wyklute kurczęta. Dostrzegłem nawet ostańce przedarboriańskie, takie jak orenda i delikatne białe simbelyne; gdyby nie okoliczności, już wyciągnąłbym teczkę.

Poziom skażenia pozostawał mniej więcej stały, trafialiśmy jednak na obszary, które dawały odczyt rzędu kilkuset mikromerlinów. Ze zdwojoną uwagą odgarniałem wtedy kijem zagradzającą ścieżkę gałęzie, aby nie otrzeć się o liście i nie nanieść pyłu na ubranie. Nie dostrzeżliśmy ani jednego ptaka, w zaroślach panowała cisza. Zwierzęta nie wyczuwały skażenia, ale bały się pustkostworów.

Po kilku walkach Kathryn weszła w rytm, ja natomiast nieco się zmachałem. Mimo chłodu zawiązałem sweter wokół pasa, a koszula i tak kleiła się do mnie, zwłaszcza pod pachami. Balansowałem ciężarem ciała, przy ostrzejszych podejściach opierając się na kiju, tymczasem czarodziejki nadal szły równo, jakby spacerowały nadmorskim deptakiem.

Przystawaliśmy teraz często, i to nie z mojego powodu. Margueritte co jakiś czas wyjmowała przenośną magiczną kulę, aby sprawdzić zasięg strefy zero i lokalizację skażonych obszarów. W przeciwieństwie do kryształu piątej generacji, który został w domu, kula miała skromne możliwości, ale zapisano na niej obrazy, które uzyskaliśmy dzięki seansom jasnovidzenia na mocniejszym sprzęcie.

Belinde rzuciła zaklęcie ostrzegające nas o nadlatującym smoku. Przyłapani z zaskoczenia, bez rozstawionych run stabilizujących, nie mieliśmy żadnych szans, smokowi najwidoczniej jednak nie chciało się ruszyć zadu znad rozpadliny i bez przeszkód dotarliśmy na szczyt Złomianki.

Słońce znów chowało się za postrzępione chmury; dobiegała czwarta po południu.

– Po wszystkim przenocujemy tutaj. – Margueritte wskazała dużą, pokostowaną chatę na brzegu polany. Drzwi i okna zabito deskami, jednak wszędzie wokół dało się zauważyć ślady świadczące o tym, że wyprowadzka nastąpiła niedawno. Ogromne palenisko pośrodku łąki wypełniały świeże pozostałości po ognisku sygnalizacyjnym. Obok chaty piętrzył się stos drewna na opał, przykryty grubym impregnowanym płótnem. Jeszcze kilka szczap leżało wokół pieńka, w którym tkwiła wbita siekierka. Na dwupiętrowej, również pomalowanej czarnym pokostem wieży obserwacyjnej widniała flaga ściągnięta do połowy masztu.

* * *

– Architektura – wymamrotała Kathryn, spoglądając przez moją lornetkę, dwukrotnie wzmocnioną zakłęciami. – Starożytna architektura. Na Wędrowca, myślałam, że Granica jest bardziej... amorficzna.

– Nie oprzyj się czasem o balustradę – ostrzegłam.

Wieża obserwacyjna była prostą, otwartą drewnianą konstrukcją z daszkiem. Zbudowana jakieś pięćdziesiąt lat temu z bali dębowego drewna mogła jeszcze przetrzymać drugie tyle bez żadnej konserwacji. Ale byłoby naiwnością oczekiwać, że wiatr nie naniesie pyłu pod dach.

– Fraktale z czarnego szkła – szepnęła Kathryn. – Pod nimi wszystko płynie jak melasa. Czytałam dokumentację, ale się nie umywa... Meg, powiedz mi – naprawiali ją po zdarzeniach w Loranne. Jakim cudem?

– Oglądasz oryginalną barierę. Nowa znajduje się kilkadziesiąt mil dalej na północ – mruknęła Margueritte. – I wcale nie wygląda tak dobrze. Trzeba ją regularnie konserwować. Zrobili to magowie Creo, tacy jak ty, z pomocą kilku przedwojennych artefaktów. Nie nagrywaj. Jeszcze dostaniesz pełen spis rytuałów, razem ze szczegółami.

Belinde Chamomille zmarszczyła brwi.

– Czyli ta wiedza nie zginęła.

– Nie zginęła – potwierdziła szefowa. Coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że zjeżyły mi się włosy na karku, ale wrażenie minęło równie szybko, jak się pojawiło. – A przynajmniej nie w całości.

– Margueritte. – W głosie Belinde dało się wyczuć napięcie.

– Obydwie otrzymacie dostęp, kiedy zajdzie taka konieczność. – Meg delikatnie wyjęła lornetkę z dłoni Kat i od niechcienia zaczęła czyścić obiektyw irchę. – Cierpliwości.

Czarodziejki wymieniły spojrzenia. Belinde zacisnęła usta i lekko zmrużyła oczy. Meg westchnęła leciutko i cisnęła irchę za siebie. Kawałek miękkiej skórki, wirując na wietrze, poszybował w dół.

Daleko pod nami, między Złomianką i majaczącymi w oddali pozostałymi dwoma szczytami, rozpościerała się rozpadlina.

Tak się składało, że Dolina Złotego Węża w zamierzchłych czasach była zamieszkana, a później prawdopodobnie stała się polem bitwy, jak wiele innych miejsc w rejonie Gór Zwietrzałych. W ziemi, przysypane ściółką, porośnięte lasem, tkwiły niespodzianki sprzed siedmiuset lat. Z daleka nic na to nie wskazywało. Jeśli zostały nawet jakieś ruiny – fundamenty domów, resztki murów, na wpół zawalone kopalnie – wszystko przykrył mech, leśne runo i drzewa, a zaprawę wypłukały strumienie. O przeszłości doliny do zeszłego miesiąca świadczył tylko nieznacznie podwyższony poziom skażenia.

A później, jakby ktoś nagle przeorał ziemię gigantyczną siekierą zrobioną z czarnego ognia, przestrzeń pękła. Nie wyglądało to jak kanion, bo w kanionach przeważnie widać dno. Ani jak rzeka, chociaż unoszące się nad brzegami rozpadliny pochłaniające światło miazmaty Pustki zdawały się płynąć. W ogóle nie przypominało to niczego normalnego. Żeby dobrze opisać rozpadlinę, trzeba być poetą, a ja się nim nie czuję.

Otchłań miała ze trzy kilometry długości – pierwszy raz w życiu widziałem taką wielką. Z wieży obserwacyjnej nie udało nam się wypatrzeć duszoscoka, może gdzieś latał albo zasłaniały go opary. Za to tu i ówdzie coś się roiło na poprzewracanych, powyrywanych z korzeniami drzewach, które bez użycia lornetki przypominały leżące na polu siano.

– Nie ma go w gnieździe. – Belinde rozpostarła przed sobą iluzoryczny ekran z mapą, jedno z trudniejszych zakłęb jasnowidzących. – Ale to może nie potrafi długo, właśnie wszedł w zasięg i wraca. Słoneczka moje drogie, dziesięć minut.

– Napasł się, postraszył erlingi, zachciało mu się obsikać terytorium. – Szefowa uśmiechnęła się krzywo. – Znakomicie. Słuchajcie. Jedziemy z planem dwa zero. Wszyscy wiedzą, co mają robić.

Zaczęliśmy od trzęsienia ziemi. Dosłownie. Zjechaliśmy na przełęcz na Granitowej Apokalipsie stworzonej przez Kathryn. Wyobraźcie sobie lawinę gruzu, błota i powyrywanych drzew, przewalającą się z hukiem nad granią jak fala przyboju, i nas utrzymujących równowagę na skalnej płycie (ja na czworakach, Belinde na szpilkach), płynącej z czołem tej przepięknej katastrofy. Kamienie pryskały na wszystkie strony, wiatr szumiał nam w uszach, czarodziejki celowały wkoło różdżkami – ale żaden erling o tendencjach samobójczych nie pokwapił się w naszą stronę. Zresztą pustkostwory wołały się trzymać z dala od gniazda.

Duszoscok obudził się na Przełęczy Trzech Koron, ponieważ właśnie tam, pod skrzyżowaniem dwóch wytyczonych przez Straż górskich szlaków, znajdowały się podziemia starożytnej budowli. Jakiej, tego nikt nie wiedział, bo na powierzchni nie zachowało się prawie nic. Musiały ciągnąć się labiryntem aż do zbocza góry, i kiedy pojawiła się rozpadlina, wstrząs i przypływ energii wyrwały smoka z letargu. Pradawny konstrukt nie przejmował się szukaniem wyjścia – po prostu przebił się przez kamienne sklepienie i kilkumetrową warstwę ziemi, po czym pozostawił na przełęczy malowniczą dziurę. I zaczął robić to, do czego został stworzony – wydobywać moc Pustki, przetwarzać ją na

energię dla siebie, a następnie za pomocą tejże smażyć pustkostwory na skwarki. Niekierowany przez nikogo, pogarszał tylko sytuację. Rozpadlina stopniowo się powiększała, skażenie roznosiło, a monstra różnej maści rozbiegały po okolicy.

Kamienna fala zastygła i zeskoczyliśmy z płyty na pożółkłą trawę, pokrytą kożuchem drobnego czarnego żużlu. Kosodrzewina niknęła pod warstwą substancji przypominającej smolisty śnieg. Mimo to licznik skażenia pokazywał zero. Nie cztery czy pięć mikromerlinów jak to zwykle w tle. Smok się nażarł, wypluł resztki i nie posprzątał. Gdybyśmy zbadali pył, okazałoby się, że nie różni się składem od przeciętnej hałdy odpadków hutniczych. Na samym środku czegoś, co kiedyś było urokliwą łąką, widniały wykopaliska odsłaniające mury podziemnego kompleksu lochów.

Nie zamierzaliśmy wchodzić do środka.

Belinde i Kathryn błyskawicznie poderwały się do lotu i okrążając przełęcz z dwóch stron, zaczęły rozmieszczać runy stabilizujące. Wpasowane w srebrny okrąg litery upadały na ziemię, powiększając swoją średnicę do kilkunastu cali i przekształcając się z materialnych w energetyczne, białe lśniące. Bliżej zbrocza, od strony rozpadliny, Margueritte zawieszała w powietrzu zarodki fraktalnych zakłęd, które – wyzwolone pobraną z duszosmoka energią – miały posłużyć do zamknięcia rozpadliny. Tę metodę popularnie nazywano „maszyną do szycia” –

była nieekonomiczna jak diabli, dlatego używało jej jedynie wojsko w wyjątkowych okolicznościach, ale za to działała niemal natychmiast. A mocy mieliśmy pod dostatkiem.

Tymczasem ja stanąłem przed dziurą w ziemi, wyeksponowany jak kaczką do odstrzału. Margueritte skończyła z fraktalami i wyciągnęła przed siebie dłonie – rękawy jej furkotały, oczy płonęły, kok rozplątał się do szczytu. Wylądowało na mnie tyle zakłęd ochronnych, jakby mnie zamknięto w automagicznym ołowianym pojemniku. Gdzieś na odrębnym planie mentalnym, znanym każdemu, kto posługuje się magią, poczułem iskrę połączenia – zarówno telepatycznego, jak i magicznego. Nasze kanały energetyczne bezpośrednio się stykały. Wiem, że to się musi wam kojarzyć z seksem, ale przetwarzanie wcale go nie przypomina. Podobnie czuje się twórca, gdy podczas pracy wpada w trans, albo wynalazca, który właśnie doznał olśnienia. Każdy, kto dłubie, tworzy, buduje, rzeźbi i czerpie przyjemność z tego, co robi, choćby to były krzesła i stoły, przynajmniej raz w życiu przeżył taki stan. Kiedy posługujesz się mocą magiczną, dotykasz kosmosu.

Wspólne przetwarzanie może przypominać śpiew w chórze, grę w zespole muzycznym albo taniec synchroniczny, tyle że na poziomie mentalnym. Gdyby połączyć w szeregu kilka magicznych kul i obdarzyć je świadomością (hipotetycznie – tego na szczęście nikt jeszcze nie potrafi zrobić), zapewne czułyby to samo.

Po chwili Belinde i Kathryn skontaktowały się ze mną w myślach. Nie dołączyły się do przetwarzania – miały dość roboty przy utrzymywaniu run. Czarodziejki zamaskowały swoją obecność i chociaż taki był plan, jako przynęta

poczułem się bardzo nieswojo. Zapanowała cisza. Na kilka sekund – albo minut, sam nie wiem – czas stanął w miejscu. Wzburzony przez nas pył z powrotem osiadał na trawie. Pojedynczy kamień stoczył się z zastygłej lawiny. Tok, tok, tok.

A potem gorący podmuch wiatru przygiął nas do ziemi i pył znów zawirował w powietrzu. Od strony rozpadliny, ciężko uderzając skrzydłami, nadlatywał duszozmok, spadek po czarodziejach, którzy rozdarli świat, niepospolity skurczybyk rozmiarów serpentozaury, z paszczą niczym składany dom i ogonem długim jak *Saga o Glorionie*, cały pokryty półprzezroczystymi, opalizującymi łuskami.

„Uwaga” – telepatycznie zasygnalizowała Belinde i prawie równocześnie smok rzygnął plazmą. Z tyłu głowy czułem, jak Meg podtrzymuje wszystkie ochronne tarcze, ale moja podświadomość stwierdziła, że już po mnie. Gdy rozszarżona, skoncentrowana energia ześliznęła się po bańce zaklęć, straciłem równowagę i gwałtownie usiadłem; na szczęście w porę osłoniłem oczy.

„Meg! On we mnie zionie!”

„Uspokój się! – Szefowa sprzedała mi telepatyczny kopniak. – Wszystko idzie zgodnie z planem. Wdech, wydech!”

„Ale on zionie we mnie!”

„Króliczki kicają, ptaszki śpiewają, a smoki zioną! Przekazuję ci mapę energii. Łap”.

Mało się nie zesrałem. Pod względem energetycznym smok wyglądał jeszcze bardziej przerażająco niż normalnie. Smokokształtny, rozjarzony mocą wżór, który zobaczyłem za pośrednictwem Meg, przesłaniał niebo i świadomość, tłumił zdolność koncentracji na czymkolwiek innym. Gdy skrzydła duszozmoka się poruszały, zostawał za nimi ślad energii, tak jak płomienie ciągną się za żagwiami, którymi bawią się uliczni tancerze ognia. Po chwili odzyskałem rezon w dostatecznym stopniu, aby dostrzec kilka szczegółów. Duszozmok nie mógł ruszyć się z miejsca. Delikatna złota siateczka zaklęć zakotwiczonych w kręgu run osłabiała jego furię i nie pozwalała mu odlecieć. Oczywiście było to nietrwałe rozwiązanie. Dzięki temu, że nie skupialiśmy się na ofensywnej magii, Kathryn i Belinde mogły przygwoździć go lepiej, niż pierwotnie zakładaliśmy – ale i tak czas nam uciekał.

Poza tym bardzo dokładnie widziałem, skąd smok czerpie moc. Od jego skrzydeł, głowy i grzbietu ciągnęły się pulsujące, obsydianowo czarne nici, które niknęły gdzieś w oddali, jak wnioskowałem – w rozpadlinie. Gdybym podłączył się do jednej z nich, zostałbym natychmiast napiętnowany. Co dziwne, przez ułamek sekundy zdawało mi się, że rozumiem, w jaki sposób smok rozplata i uzdatnia energię, ale gdy zacząłem się zastanawiać nad tym odkryciem, rozmyło się jak pijackie rojenia.

Margueritte rzucała Wyssanie Magii. Nie widziałem, jak to robi, ale bardzo wyraźnie odczuwałem przepływ mocy. Tam, gdzie smok powinien mieć serce,

ukorzeniło się coś na kształt powrozu ze światła. Z drugiej strony sznur kończył się w rękach Meg.

„Teraz uważaj. Chwyć go i za żadne skarby nie puszczaj. Całą energię przekazuj mnie i pamiętaj, pracuj na maksimum swoich możliwości. Tylko w ten sposób będziemy pobierać z niego moc szybciej, niż on karmi się Pustką”.

Koniec sznura dosłownie wpadł mi w ręce. Energia wpłynęła we mnie z impetem wodospadu. Meg nie musiała się martwić, że będę się oszczędzał – nie potrafiłem. Ciśnienie prawie rozsadziło mi kanały energetyczne, ale zacisnąłem zęby i wytrzymałem.

Kilka razy w życiu myślałem, że osiągnąłem limit przetwarzania mocy. Myliłem się. Znajdował się on sporo ponad granicą tego, co wytyczono podczas testu, ale i tak moc wypchała mnie po brzegi; pomyślałem, że tak właśnie musi się czuć człowiek poddawany torturze wodnej. Choć nie, ten ból nie przypominał żadnego ze znanych mi fizycznych wrażeń. Energia napierała na moją jaźń, grożąc, że ją słamsi, rozmyje, porwie z nurtem. Nie miałem innego wyboru – przekazywałem ją dalej. A Meg, korzystając ze swoich i moich możliwości, upychała ją we fraktale.

I wtedy stało się coś, czego żadne z nas nie przewidziało.

Pod moją czaszką rozdzwonił się ogłuszający mentalny przekaz. Duszosmok przemówił.

„A zatem przybyłeś, o Wielki Magu. Czy oto swą schedę objąć pragniesz? Czy wypełnisz los, do którego stworzony został, i pójdziesz wrogów twych w pył rozgromić?”

„Meg...”

„Sądzi, że jesteś magiem, bo przetwarzasz”.

„Wiem, ale dlaczego on jest zaprogramowany na patos?”

„Ja myślałam, że będę cię podnosić Zdalną Kontrolą Umysłu, a ty sobie dowcipkujesz”.

„Albo to, albo się posikam”.

„Lej, ile chcesz, tylko nie przestawaj pobierać mocy!”

Słusznie mnie upomniała. Utrzymywanie połączenia z zakłębieniem Wysiania Magii stawało się coraz trudniejsze. Kanały energetyczne, wypełnione po brzegi, zaczynały parzyć mnie od środka. Omal nie wypuściłem powrozu z rąk, gdy smok przemówił po raz drugi.

„Co czynisz, Wielki Magu? Żyję, aby tobie służyć, aby twój rozkaz spełniać. Czemuż rozplatasz osnowę, która więzi mą duszę? Jakimże czynem pochopnym byłem cię uraziłem?”

Zmusiłem się, żeby odpowiedzieć. Półświadomie czułem, że cały dygocę.

„Zaprawdę, smoku, obraziłeś mnie wielce. Jesteś... starożytny... e... przestarzały. Zdecydowałem, że najlepiej będzie przeznaczyć cię na złom”.

„Skoro taka jest twa wola, Wielki Magu, poddaję się jej z pokorą” – zagrzmiął smok.

I, skurczybyk jeden, zwiększył przepływ energii.

Dałbym sobie radę, przysięgam, gdybym tylko miał trochę więcej doświadczenia, sam utrzymałbym kontakt. Ale tak się składa, że nie uprawiam zawodowo walki ze smokami. Wyssanie Magii już wymykało mi się z rąk i umysłu, gdy nagle poczułem, jak Meg i Belinde dołączają do mnie. Ciśnienie zeszło do znośnego poziomu, ale nadal przetwarzałem wypełniony energią do limitu. Obydwie czarodziejki były zajęte podtrzymywaniem innych zaklęć, toteż nie mogły mnie bardziej odciążyć. Jednak stabilizowały mnie do tego stopnia, że właściwie nie musiałem nic robić – wystarczyło pozwolić, aby energia płynęła.

„On się poddał – zasygnalizowałem słabo. – Patrzcie. Możecie odpuścić... tego tam... i jeszcze mi pomóc...”.

„Chłopak ma rację” – wtrąciła Belle.

„Ani mi się waź! – odpowiedziała ostro Meg. – Kto cię uczył ufać uszkodzonym przedwojennym artefaktom? Vince da sobie radę. Trzymajcie się – wszystkie fraktale działają, teraz Zaklęcie Marnotrawstwa”.

Ledwo odczułem zmianę. Zaklęcie, oparte na Kuli Światła, miało niewielką moc w porównaniu ze wszystkim, co czarodziejki rzuciły do tej pory. Ale zdawałem sobie sprawę, że w powietrze strzeliła właśnie iluminacja lepsza niż noworoczne fajerwerki w Avalonie, słup światła widoczny na wiele mil stąd. Moc przesycala mnie, wypełniała, prażyła od środka, ale nadal przetwarzałem. I nie miałem pojęcia, ile to trwało, zanim smokokształtny wzór zaczął blednąć i zanikać. Wstrząsnęło mną, gdy zrozumiałem, że zaraz zetkniemy się z niemi, którymi smok łączył się z rozpadliną. Chciałem zerwać kontakt, ale nie mogłem. Zacząłem wrzeszczeć – mentalnie i na głos, kiedy pulsujące, pochłaniające światło żyły przybliżały się do mnie z drapieżną prędkością. W ostatniej chwili poczułem, że Margueritte zdecydowanym cięciem niszczy połączenie. Westchnąłem i zamknąłem oczy.

A później były już tylko cisza i ciemność.

* * *

Siedziałem na ławeczce z żółto prążkowanego marmuru. Kamień był chłodny w dotyku, lecz jednocześnie pozbawiony substancji, jakby wycięto go z gęstej chmury. Z identycznego materiału wykonano płyty na dziedzińcu, pośrodku którego tryskała fontanna. Zdobiąca ją rzeźba przedstawiała stworzenie, jakiego nie widziałem nigdy wcześniej – przypominało poprzecznie żebrowaną rybę wygiętą w kształt litery S, z długim, śmiesznym rykiem zamiast pyska.

Dookoła placu świat ginął w nieprzeniknionej mgłę.

Na cembrowinie fontanny siedziała młodzianka dziewczyna o włosach zielonych jak wiosenna trawa, ubrana w długie białe gięzło. Miała doskonałą

figurę, harmonijne rysy twarzy i na pierwszy rzut oka wydawała się piękna. Gdy jednak zacząłem się jej uważnie przyglądać, odniosłem wrażenie, że jest w niej coś odpychającego. Nie umiałem określić dlaczego. Miała doskonale gładką skórę, idealne proporcje, żadnych worków pod oczami, żadnych zmarszczek... a jednak kiedy pozdrowiła mnie skinieniem głowy i uśmiechem, z trudem opanowałem chęć ucieczki. Wszystko w jej gestach i mimice budziło we mnie lęk i obrzydzenie. Nie wiedziałem, z czym mam do czynienia, ale jedno nie ulegało wątpliwości – to nie był człowiek.

Dziewczyna westchnęła, widząc moją reakcję.

– Nie obawiaj się, Magu. Jeżeli z trudem znosisz mój widok, odwróć wzrok. Nie urazisz mnie. Wiem, że moi twórcy popełnili błąd, powołując na świat istotę zbyt podobną do ludzi i równocześnie zanadto od nich różną. Nazywam się Skuld i znano mnie także jako Trzecią Wyrocznię. Cieszę się, że wreszcie udało mi się do ciebie dotrzeć.

Mówiła z akcentem, który przypomniiał mi duszosmoka, i też z nieznośnym patosem. Zaraz...

– Śniesz mi się.

– Istotnie. Tak najłatwiej do ciebie dotrzeć.

– Mam trzydzieści siedem lat i śnię nastoletnią fantazję o pięknej, aczkolwiek nieco niesamowitej dziewczynie, która prosi mnie, Wielkiego Maga, niech zgadnę – o uratowanie świata od zagłady? Masz pojęcie, jakie to krępujące? Na Pustkę, chyba ostatnio za często walczę ze smokami.

– Przecież jesteś Magiem. Doprowadziła mnie do ciebie energia, którą przetworzyłeś.

– Ale... – westchnąłem. – Słuchaj, to nie ja. Mnie tylko użyto jak... jak soczewki w tym całym rytuale. Magiem, którego poszukujesz, jest moja szefowa Margueritte. To ona wszystko zaplanowała, do spółki ze swoją przyjaciółką Belinde. Jeśli ktoś jest twoją jedyną nadzieją, to właśnie te dwie panie. A teraz idź się śnić komuś bardziej odpowiedniemu. Albo chociaż młodszemu.

W oczach Skuld błysnął gniew.

– Nie wyrażasz się zbyt uprzejmie.

– Przyśniłaś mi się. Jesteś wytworem tego fragmentu mojej wyobraźni, który zmarł z żenady wiele lat temu, a ja osobiście i bardzo starannie zakopałem go w ogródku. Takie wskrzeszenia zwiastują kryzys wieku średniego, którego jeszcze nie mam zamiaru przechodzić. Nie chcę zachowywać się uprzejmie.

Dziewczyna wstała, opierając dłoń o cembrowinę. Zmarszczyła zielone brwi.

– Trudno mi zrozumieć twe słowa i śledzić twe myśli, Magu...

– A nie powinno. Bo widzisz, tak naprawdę znajdujesz się tutaj. – Wskazałem na swoje czoło.

– Skoro twierdzisz, że nastąpiła pomyłka, czy mógłbyś wskazać mi te dwie osoby?

– Ależ proszę.

Wyobraziłem sobie Meg i Belinde. Na dziedzińcu uformowały się dwie kobiece postacie, ustawione plecami do siebie w pozie, która wskazywała, że zaraz zaczną ciskać ofensywne zaklęcia. Wyglądały nieco karykaturalnie, ponieważ mój umysł wyolbrzymił ich charakterystyczne cechy. Twarze kobiet przypominały satyryczne portrety, jakie czasem pojawiają się na kartach „Ekspresu Avalońskiego”, włosy Margueritte piętrzyły się wysoko jak tort weselny, natomiast biust Belinde...

– Przepraszam. Sama widzisz, że moja podświadomość jest nieco krnąbrna.

– Nie ma za co. Właśnie tak ludzie zapamiętują się nawzajem. Ci, których umysły zbyt dokładnie odzwierciedlają rzeczywistość, mają trudności z rozpoznawaniem swoich bliźnich.

Zupełnie jak Kathryn. Ciekawe. Na pewno kiedyś o tym czytałem, potem zapomniałem i teraz pouczałem sam siebie.

– Dziękuję za anegdotę. A teraz wybacź, Wyrocznio, ale naprawdę chciałbym się już obudzić.

* * *

I tak oto historia zatoczyła koło. Przebudziwszy się, dokonałem dwóch ważnych odkryć. Po pierwsze, znajdowałem się w Srebrnej Gęsi, w łóżku wynajętym za własne ciężko zarobione pieniądze. Kojący dotyk miękkiej pościeli i ciepły, lekko dymny zapach perfum Amandine skłaniały do przypuszczenia, że cała wyprawa była tylko snem, tak samo jak rojenia o pradawnych Wyrocznich. To znaczy skłaniałyby, gdyby nie drugie odkrycie: dręczyła mnie migrena stulecia. Rzadko cierpię na ból głowy, muszę się bardzo postarać, żeby dostać kaca, a migrenę rozpoznałem tylko dlatego, że Amandine wielokrotnie opisywała mi jej objawy.

Dostałem przeciwbólowy napar i wysłuchałem wykładu na temat ryzyka, jakiego się podjąłem na życzenie szefowej, przytoczonego zresztą na początku niniejszej opowieści. Tak, przyznaję się – nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie miałem w zanadru dobrych argumentów. Zwyczajnie schórzyłem, i chociaż głowę rozsadało mi od środka, jak najszybciej udałem się do pracy.

Margueritte dała mi wolne. Wykazała nawet coś na kształt troski, chociaż nie jestem pewien, czy po prostu nie sprawdzała stanu inwentarza. Przyjrzała się moim źrenicom, zbadała puls i bardzo ostrożnie dotknęła kanałów energetycznych; myślałem, że się zwinę z bólu. Potem zabroniła mi brać eliksirów uzdatnianych magią i robić cokolwiek związanego z mocą. Składany dom miał zapasową baterię; nawet gdyby Meg zapomniała o nasyceniu run, powinien potrzymać kilka dni. Przy okazji, o ile to miało jakieś znaczenie, dowiedziałem się, że do Ombre przetransportowano mnie drogą powietrzną, a mój ekwipunek i odzież trafiły do dekontaminacji.

Z braku zajęć zadomowiłem się więc w miejscowym pubie. Był całkiem przyjemny jak na takie zadupie, ciemny i chłodny, ze stołem do gry w krążki, tablicą do rzutek i własnym browarem na zapleczu, którego produktów nie zamierzałem kosztować w moim obecnym stanie – lokale tej klasy nie miały automatycznych lodówek. Opierałem więc łokcie o kontuar baru, a przede mną stał niedopity kufel dobrego avalońskiego stoutu. Sądziłem, że mi pomoże, ale nic z tego – wciąż się zastanawiałem, czy pić dalej, czy może lepiej pójść do łazienki i zwrócić to, co już znalazło się w moim żołądku.

Powoli do mnie docierało, że przetworzyłem niemal całego duszospoka. Sam. Prawie samodzielnie. Zamierzałem to sobie powtarzać aż do znudzenia. Amandine się myliła, nikt mnie do niczego nie zmuszał. Potrafiłem. Umiałem. I starożytny potwór nazwał mnie Wielkim Magiem. Przejdę na emeryturę jako spełniony człowiek, a tę historię opowiem jeszcze z pięćdziesiąt razy moim dzieciom, aż zaczną mnie uważać za upierdliwego zgreda.

Drzwi pubu zaskrzypiały. Mimochodem obejrzałem się przez ramię. Do lokalu, ciężko sapiąc, wtoczył się Randall Hardy. Otarł kapeluszem pot z czoła, rozejrzał się wkoło i skupił wzrok na mnie. Pozdrowiłem go skinieniem głowy; bezzwłocznie skierował się w stronę kontuaru.

– Pani de Breville powiedziała, że mogę tutaj pana znaleźć. – Burmistrz z pewnym trudem umościł wielki tyłek na stołku barowym. – Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem.

Zamrugalem i zerknalem na kufel stoutu.

– Oczywiście mówię o rozwiązaniu naszego problemu. Niesamowite! Proszę sobie wyobrazić, że jedna z krów starego Magnusa ze strachu ocieliła się przed czasem. Bardzo się cieszę, że smok był tak daleko. Na pewno zorganizujemy fajerwerki w rocznicę, ale ma się rozumieć, że nie będą się umywały do oryginału. Tak się zastanawiałem, jeśli nie ma pan nic przeciwko...

– Zamieniam się w słuch.

– Chciałbym się dowiedzieć, jak tam było. Młody William Shackles napisze scenariusz, pani Wade ma córki w szkole aktorskiej...

Rozmasowałem prawą skroń.

– Że co?! Przepraszam. Zaskoczył mnie pan.

Randall uśmiechnął się chytrze.

– Rozmawiałem ze Strażą. Okolice mostu będą niedostępne dla turystów jeszcze przez wiele miesięcy. Najdalsza atrakcja, jaką możemy uruchomić w zimie, to Poziomkowa Górka. A zarabiać trzeba. Nie chciałem zawracać głowy szlachetnym paniom czarodziejkom, więc sam pan rozumie.

– Hm... – Spojrzałem w kufel. – I wszystko, co powiem, zostanie wykorzystane przeciwko mnie? Bez urazy, ale każda sztuka o mojej szefowej musi się wpasować w pewien schemat. Publiczność przywykła.

– Ach, jestem pewien, że to samo dotyczy lady de Breville – rzekł burmistrz niefrasobliwie. – Interesuje mnie zwłaszcza jeden szczegół. Lady Verd twierdzi, że to pan w dużej mierze pokonał smoka.

Przyjrzałem mu się. Wyraźnie do czegoś dążył.

– A, to. Jako jedyny uczestnik wyprawy, który nie potrafi czynnie rzucić zaklęć, zostałem soczewką rytuału. Proszę sobie nie wyobrażać, że załatwiłbym coś takiego na własną rękę...

– Oczywiście. Ja się trochę znam na magii, przecież pan wie. – Burmistrz mrugnął. – Ale to musiało wymagać pewnej odwagi, nieprawdaż?

– Hm... Skoro tak pan to ujmuje...

– Billy twierdzi, że nie boi się pan skażenia.

– Potrafię wyliczyć bezpieczną dawkę, zwłaszcza z dobrym detektorem pod ręką. – Wzruszyłem ramionami. – Trzeba się bać, kiedy jest czego.

– Walczył pan z pustkostworami?

– Kilka z nich oberwało po głowie. – Nadal nie byłem pewien, dokąd zmierza ta rozmowa. – Oczywiście większość przejęły na siebie czarodziejki.

– Naturalnie. Czy mogę wiedzieć, jeśli to nie tajemnica, ile wynosi pański zasób mocy?

Ołśniło mnie. Powinienem się zorientować już wcześniej, ale właściwe skojarzenia docierały dziś do mnie z opóźnieniem. Chciał mi zaproponować pracę.

– Mniej więcej dwadzieścia pięć kwantów dziennie – odparłem. – Dlaczego pan pyta?

– Niewiele, ale na eliksiry obleci... – mruknął pan Hardy. – Będę szczerzy. Wiem, że pański kontrakt kończy się za osiem miesięcy. Mamy w Ombre wakaty na stanowisku miejskiej czarownicy i niedawno uzyskałem etat od Głównego Urzędu Energetyki w Avalonie. W zwykłych warunkach musiałbym zadowolić się wyborem spośród setki dzieciaków, które przez całe życie tkwiły za stołem alchemicznym i nigdy nie widziały krowy, a co dopiero erlinga. A tu jest Granica, tu trzeba mieć – burmistrz zarechotał – jaja. Umie pan walczyć. Bernie ze Srebrnej Gęsi codziennie ogląda pana na podwórzu. Uprawia pan zioła i zbiera je w terenie, a nie kupuje w sklepie. Potrafiłby pan współpracować ze Strażą i założyć się, że jeśli znajdą ciekawy artefakt, nie będziemy potrzebowali czarodzieja, żeby go zidentyfikować i wycenić. Przykro by było, gdyby takie umiejętności marnowały się w sklepiku zielarskim gdzieś na przedmieściach Avalonu.

Nerwowo zastukałem palcami o kufel. Skoro (zapewne) nieoceniony Bernie ze Srebrnej Gęsi nie tylko poinformował, kiedy kończy się mój kontrakt, lecz także opowiedział, że pragnę odpoczynku na emeryturze, dlaczego burmistrz oferował mi robotę, która bynajmniej na spokojną nie wyglądała?

I właściwie dlaczego ta oferta tak bardzo przypadła mi do gustu?

– Jestem zaszczycony propozycją – odparłem. – I na pewno ją przemyślę. Ostateczną decyzję podejmiemy jednak wspólnie z Amandine.

– Proszę ją przekonać. Tu są wspaniałe plenery. – W oczach burmistrza pojawił się błysk. – Na wernisaże można dojeżdżać do stolicy. Można wręcz tutaj robić wernisaże, arystokraci będą zachwyceni rustykalnym urokiem naszego miasta. Pan Peacock zna się na oświetleniu i potrafi wybudować pracownię pierwsza klasa.

Tę właśnie chwilę wybrało sobie piwo, aby mnie powiadomić, że chciałoby wracać. Dotąd powstrzymywałem się, uprzejmym uśmiechem maskując walkę toczącą się w moim żołądku. Nastąpiło milczenie, które w innych okolicznościach mogłoby się stać niezręczne, ale pan Hardy nabierał już oddechu, aby kontynuować rozważanie wspaniałych wizji przyszłości miasteczka. Uratował mnie odgłos skrzypiących drzwi. Kolejny gość wmaszerował do pubu.

Był to łasicowaty mężczyzna niewielkiego wzrostu, wystrojony jak na popołudniową herbatkę w domu księżnej. Czarny surdut i szmaragdowa kamizelka z jedwabiu Penglai dodawały nieco powagi jego mikrej posturze, ale żadna, nawet najbardziej szykowna mucha nie mogłaby zamaskować cofniętej dolnej szczęki i podbródka zlewającego się z szyją. Nieznajomy podreptał w naszą stronę, błyskając krzywymi zębami i kiwając głową, jakby był ruchomą magiczną figurką. I wtedy zaczęło mi świtać, że gdzieś już go widziałem; musiał pracować dla Gildii, ale chyba nie był magiem, już przedtem asystentem albo jednym z urzędników.

– Serdecznie witam pana Hardy'ego i pana, panie Thorpe. Cóż za spotkanie, z trudnością pana rozpoznaję po tylu latach. – Wyciągnął dłoń kolejno do burmistrza i do mnie. – Może mnie pan pamięta? René d'Ange, licencjonowany technik magii, obecnie Pełnomocnik do Spraw Alokacji Talentów, Wydział Nauczania w Gildii Magów w Avalonie.

Jak przez mgłę przypomniałem sobie drobnego chłopaka, który przyszedł na testy tego samego dnia co ja. Pamiętałem, że odniósł słodko-gorzki sukces – jego potencjał wystarczył zaledwie do połowicznej aktywacji Źródła. Razem czekaliśmy w Ogrodach Edenu. Z każdym upływającym dniem nienawidziłem go coraz mniej, a gdy wreszcie mnie wyrzucono, nie szczędził mi współczucia.

– Miło mi pana ponownie spotkać. – Żołądek chwilowo się uspokoił, mogłem bez przeszkód się odezwać. – Co sprowadza pana do Ombre?

– Pozwoli pan, że od razu przejdę do rzeczy. – René wyłożył na kontuar swoją teczkę, nie bacząc na krzywe spojrzenie barmana. – Ot, to to. – Wyrzebał ze środka zeszyt z podkładką do notowania, wieczne pióro i nieduży aparacik w obudowie z zielonej blaszki. – Zajmę panu zaledwie kilka minut, panie Thorpe, to czysta formalność dla Gildii, i od razu wróci pan do swoich... – Zerknęła na kufel niedopitego stoutu. – Codziennych zajęć.

– Chwileczkę – odezwał się barman. – Żadnego sprzętu do nagrywania w mojej knajpie.

– Szanowny panie, potrzebuję jedynie krótkiego nagrania głosu pana Thorpe’a w celu uwiarygodnienia wywiadu personalnego, ot, urzędnicze procedury Gildii. – Człowieczek uśmiechnął się rozbrajająco i wyciągnął w stronę barmana dwustudenarówkę. – Poproszę Złoty Kwiat, o, tamtą flaszczkę, na wynos. Nie pijam w pracy. – René rzucił mi przelotne spojrzenie i znów zwrócił się do barmana: – Proszę zachować resztę.

– Swobodnie pan sobie poczyna – mruknąłem.

– O ile mi wiadomo, ten dżentelmen za kontuarem jest prywatnym przedsiębiorcą i nie ma nic wspólnego z tutejszym aparatem urzędniczym, a zatem to nic zdrożnego zadbać o jego dochód – odparł gładko pan d’Ange. – Nieprawdaż, panie Hardy?

Burmistrz Randall z niesmakiem malującym się na twarzy wcisnął kapelusz na głowę.

– Zawsze byłem życzliwy Gildii i co do joty przestrzegam wszystkich procedur w tym mieście, panie d’Ange. No już, nie przeszkadzam panom. Porozmawiamy później, panie Thorpe. – Powiedziawszy to, zwał się ze stołka, a grawitacja wycisnęła z jego płuc głośne sapnięcie. Urzędnik Gildii obserwował go, dopóki nie zamknęły się drzwi, a potem, skubaniec, wcisnął guzik na aparaciku.

– Nie ma pan nic przeciwko?

– Panie d’Ange. – Nie dałem rady ukryć irytacji. – Uświadomię pana, że wziąłem dzisiaj wolny dzień. Wczorajsza misja, o której powinien pan wiedzieć, zakończyła się powodzeniem. Zgodnie z procedurami nie musimy dostarczyć raportu natychmiast po wykonaniu zadania, więc proszę jak najszybciej wyjaśnić, jaką pan ma do mnie sprawę, i nie zawracać... – Zerknąłem na aparat. – I tyle.

– Ach! Ta ogromna kula światła, którą widziałem wczoraj wieczorem! – René pokazał krzywe zęby w uśmiechu. – Dyspersja mocy wywołała pożar lasu w strefie zero, czyż nie tak?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Proszę się nie obawiać, ja jestem z Wydziału Nauczania – podkreślił d’Ange. – A moje zadanie nie ma nic wspólnego z pańskim. Wysłano mnie, abym dopełnił formalności w związku z nową uczennicą pani de Breville.

– Przecież to dopiero za osiem miesięcy.

– Machina jest powolna i najlepiej nie czekać, aż się rozkręci. Formalnie nadal ma pan status ucznia?

Rzeczywiście. Oficjalnie, oprócz kontraktu asystenta, byłem uczniem Margueritte. Czarodziejka wykorzystała lukę prawną. Nie przewidziano, aby ktoś równocześnie pełnił te dwie funkcje naraz, toteż nie sformułowano zakazu. Kodeks nie precyzował, że uczeń wzięty do terminu musi mieć aktywne Źródło – to się rozumiało samo przez się, więc nikt tego nie zapisał. Bez statusu ucznia nie mógłbym legalnie poznawać zaklęć ani przetwarzać mocy wspólnie

z czarodziejką. Meg obstawiła się paragrafami, aby bez przeszkód korzystać z moich zdolności.

– Tak, ale ostrzegam, że pod niczym nie postawię parafki przed upływem terminu – odpowiedziałem powoli. Jeszcze tego brakowało, żeby nieostrożnie podpisany dokument odebrał mi prawa ucznia kilka miesięcy wcześniej.

– Ach, obydwaj wiemy, jak... szczególnie jest pański przypadek. – Tym razem w szerokim uśmiechu d'Ange pojawiło się coś nieprzyjemnego. – Nic w tym guście, żadnych dokumentów. Potrzebna mi pańska opinia o mistrzyni. Różne historie się słyszy o pani de Breville.

– I wszystkie są przesadzone – odparłem ostro. – Margueritte de Breville jest wzorową nauczycielką. Pod jej kierunkiem nawet kawałek drewna mógłby rozwinąć potencjał magiczny.

– A pan...?

– Przecież pan wie – zachnąłem się. – Nie ma szans, abym zdobył dyplom. Jak sam pan powiedział, jestem szczególnym przypadkiem.

– Nawet kategorię A1? Czy podchodził pan do egzaminu?

– Proszę nie żartować.

– Tak czy nie?

– Nie.

Dlaczego ten mały, śliski facet w ogóle zadawał mi takie pytania? Przecież na pewno sprawdził moją dokumentację. Nigdy nie słyszałem o podobnej procedurze.

– Czy pańska wzorowa nauczycielka lady de Breville – w jego głosie pobrzmiwał sarkazm – mogłaby stać się wzorem dla nastoletniego dziewczęcia o najszlachetniejszym, arystokratycznym pochodzeniu?

Popatrzyłem na niego jak na idiotę.

– Lady Kathryn Verd de Branche d'Argent bardzo ją podziwia, a ona, wie pan, zasadniczo jest księżniczką.

Pokiwał głową z entuzjazmem.

– Tak, zupełnie zapomniałem. Po upadku Triumwiratu ród d'Argent sprawował dziedziczną władzę nad Arborią. Kiedy to było? Jakieś... pięć wieków temu? Czy pan wie, że Wydział Sztuk Wyzwolonych na Uniwersytecie Avalońskim znajduje się na ich dawnych włościach? Jakże to się obraca koło historii...

– Czy pan czerpie osobistą przyjemność z tych złośliwości? – Zacisnąłem pięści.

– Ależ proszę się tak nie denerwować. Nie zamierzałem pana urazić. Wróćmy do tematu. Gdyby rzeczona arystokratka cechowała się delikatną konstrukcją psychiczną, czy pani de Breville umiałaby się wykazać należyłą troską i współczuciem?

Dziwne pytanie... i pierwsze, które nie zabrzmiało jak zawołany atak. Zastanowiłem się. Jeśli chodzi o fochy rozpieszczonej pannicy, Margueritte ukróci je w ciągu tygodnia. Ale gdyby w grę wchodziły rzeczywiste problemy z psychiką, jakie zdarzają się młodym czarodziejkom i czarodziejom w okresie dojrzewania...

Przypomniałem sobie pierwsze miesiące służby. Margueritte zawsze wiele wymagała, lecz nigdy nie dawała mi do zrobienia więcej, niż mogłem udźwignąć. Kiedy zaczynałem się rozklejać z powodu nieudanej aktywacji Źródła, natychmiast wynajdywała mi absorbujące obowiązki. Pierwszy rok asystentury zapamiętałem jako ciąg niekończących się olśnień i odkryć. Gdy nie mogłem pojąć nowych koncepcji, szefowa tłumaczyła cierpliwie i naprowadzała, aż sam pokonałem ścianę. Czasem brakowało jej empatii, ale...

W zamyśleniu uniosłem kufel do ust, nagle zdając sobie sprawę z pewnego faktu. Może Margueritte miała oschły sposób bycia, traktowała ludzi instrumentalnie i wymagała pracy na najwyższych obrotach, ale od samego początku byłem dla niej współpracownikiem. A nie maskotką, jak twierdziła Amandine.

– Wyprowadzi ją na ludzi, jeśli o to panu chodzi – odparłem wreszcie. – Pomoże mocno stanąć na nogach. Spokojnie. Rzeczona arystokratka nie mogłaby się znaleźć w lepszych rękach.

– Dziękuję. – René d’Ange zanotował coś w swoim zeszycie i wyłączył aparacik. – Rozumiem, że odmawia pan złożenia podpisu na raporcie. Nic nie szkodzi; decyzja o przydziale zostanie wydana na podstawie wywiadu. Zazwyczaj jest to formalność, ale tym razem czuję ulgę, że pani de Breville jest według pańskich słów doskonałym materiałem na mistrzynię.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałem niepewnie. Przeczucie mówiło mi, że jednak dałem się wrobić. Tylko o co tu chodziło? Musiałem jak najszybciej porozmawiać z Meg.

Znów zapulsowało mi w skroniach. Odsunąłem kufel. Konfrontacja z szefową mogła zaczekać. Jeśli teraz wrócę do składanego domu, Meg pomyśli, że czuję się już dobrze, i od razu zarzuci mnie zadaniami. Nie. Komuś innemu byłem dziś winny dłuższą rozmowę – jeśli chciałem mieć kiedyś gromadkę ślicznych rudych dzieci, które będą zanudzały opowieściami o duszosmoku.

* * *

Po powrocie do Srebrnej Gęsi okazało się, że nie wiem, co zrobić z nieoczekiwanie wolnym czasem. W domu w Avalonie szybko znalazłbym sobie jakieś zajęcie. Gdy wracałem od Meg, już w myślach przygotowywałem listy składników do rytuałów na następny dzień albo kończyłem jakieś obliczenia. Lubię mieć zajęte ręce, toteż zwykle przy takiej okazji sprzątałem. Czasem schodziłem do wspólnej kuchni, którą w naszej kamienicy zajmowała się pani Revas, i piekłem drożdżówki; gospodyni śmiała się, że nie potrafię się obyć bez

choćby namiastki alchemicznego stołu. W naszym skromnym wynajętym mieszkaniu całą ścianę salonu zajmował regał z książkami i zawsze można było sięgnąć po jedną z nich. A gdy Amandine odkładała wreszcie farby, mieliśmy czas dla siebie.

W gospodzie podawano jedzenie przygotowane przez panią O'Hare, żonę Berniego O'Hare – i sądząc ze spojrzeń, jakie mi rzucała, gdy chciałem sam posprzątać pokój, próba zajęcia kuchni skończyłaby się dla mnie ciężkim uszkodzeniem ciała. Godzinę przesiedziałem w sali jadalnej nad kubkiem mięty i talerzem krupniku. Rozpraszały mnie aromaty dochodzące od strony kuchni, wszechobecna w Srebrnej Gęsi woń sosnowego drewna, a nawet zapach bijący od mojej własnej prze poczonej koszuli. Położyłem szkicownik na ławie obok i dłu bałem przy kolejnej wersji autorskiego uroku, jaki opracowy wałem przez ostatnie kilka miesięcy dla Amandine – miał poprawiać właściwości werniksu. Ale mi nie szło. Myliłem się przy najprostsz ych obliczeniach. W końcu doszedłem do wniosku, że nie warto się zmuszać; ten stan należy najzwyczajniej w świecie przespać.

Po kilku godzinach zwlokłem się z łóżka, wcale nie czując poprawy, i ze zniechęceniem spojrzałem na rozbebeszoną pościel w czerwone serduszka, ostatni krzyk mody w dziedzinie dekoracji apartamentów małżeńskich. Mężnie zignorowałem zrzuconą kapę, po czym otworzyłem szufladę szafki nocnej. Trzymałem tam apteczkę, a w niej silny eliksir przeciwbólowy, przechowywany na szczególne wypadki. Fiolka kusząco lśniła zielenią; sięgnąłem po nią i zaraz cofnąłem rękę. Meg zabroniła mi wspomagać się magią, a nie podejrzewałem jej o sadyzm.

Niedługo później usłyszałem skrzypienie schodów na piętrze.

Amandine zostawiła sztalugi w progu i posłała mi zmęczony uśmiech. Potem zaczęła wypakowywać torbę: szkicowniki, farbki, pędzle.

– Pomóc ci?

– Poradzę sobie. – Odgarnęła włosy z twarzy. – Nie wyglądasz zbyt dobrze.

– Nie czuję się zbyt dobrze.

Westchnęła ciężko, spoważniała.

– Musimy porozmawiać.

– Chciałem zaproponować to samo. – Moją uwagę zwrócił nieduży błyszczący przedmiot. – O... Czy to jest przenośna kula Kathryn?

Kryształ został przełączony w tryb automagiczny. Pokazywał serię zapisanych zdjęć kanionu i gigantycznego mostu z czarnej stali. Amandine położyła kulę na okrągłym stoliku pośrodku pokoju. Wiedziałem, że żaden obraz nie odda wiernie takiej przestrzeni, ale moja narzeczona nie zwykła malować pocztówek. Zastanawiałem się, co zaplanowała.

– Powiedziała, że mogę ją przechować przez kilka dni. Przygotowuje się do egzaminów i twierdzi, że kula tylko by ją rozpraszała. Dziewczyna też kiepsko dziś wygląda, jeśli mam być szczerą. Zakłączenia entropiczne. Wiesz coś o tym?

Skinąłem głową. Kathryn miała nadzwyczajny talent do magii twórczej, ale istniała też druga strona medalu. Młoda czarodziejka była dysentropiczką. Co oznaczało, że rzucanie zaklęć opartych na Entropii sprawia jej ogromną trudność. Kształtowana moc stawiała opór i zamiast w precyzyjnych wiązkach, wypływała w rozproszonych smugach. Dobrze opracowany wzór zaklęcia jest elastyczny, dopuszcza niewielkie odchylenia od doskonałości. Ale kiedy Kathryn zabierała się do Entropii, musiała rzucić czar podręcznikowo, perfekcyjnie – inaczej nic się nie udawało. Opanowanie trzech czy czterech prostych zaklęć z tej dziedziny, objętych programem, zajęło jej całe lata.

– Skaza dysentropiczna – powiedziałem. – Równie silna jak jej talent Creo. Ale nie martwiłbym się o nią. Weyland przeciągnie ją przez egzaminy bosakiem, jeśli będzie trzeba. Znałem takich, co zdali dopiero za dziesiątym czy jedenastym razem, i to wcale nie z powodu skazy – dodałem z przekąsem. – Kathryn ma zapewnioną przyszłość.

Po salonach pałętało się całkiem sporo wysoko urodzonych bubków, którzy uzyskali dyplom metodą trzech zet (zakuć, zaczarować, zapomnieć) i po latach pamiętali może połowę zaklęć, które składały się na program – a musicie wiedzieć, że uwzględniano w nim ściśle podstawy. Nie wszyscy czarodzieje przypominają Meg i Belinde. Nie wszyscy uczniowie są tacy jak Kat.

– À propos przyszłości. – Amandine ciężko opadła na łóżko.

– Przepraszam, że nic nie powiedziałem – odezwałem się cicho. – Tyle tylko mam na swoją obronę, że chyba naprawdę nie było lepszej metody. Nie, nie powinienem się tłumaczyć. Skrewiłem. Kocham cię, Amandine.

– Kochany, boję się o ciebie. – Amandine ujęła moją dłoń. – Odkąd cię poznałam, przestajesz z magami. Czasami ryzykujesz dla nich życie. Próbowałam to zaakceptować, ale... masz pojęcie, jak wyglądała wczoraj wieczorem luna światła z daleka? Jakby niebo pękło i nadeszło kolejne Rozdarcie. A potem przywożą cię nieprzytomnego, rozebranego do gatek, oczy masz półotwarte, źrenice jak spodki i mamroczesz, i nie można cię dobudzić. Nie wiedziałam: czy duszozmok wysłał ci umysł? Czy do mnie wrócisz? A Margueritte powiedziała tylko: „Zobaczymy rano”. – Amandine naśladowała jej nosowy, nieco skrzekliwy głos. – Może nie jest złą osobą. Może nawet nie jest szalona. Ale myślę, że całkowicie straciła świadomość kruchości ludzkiego życia.

– Niedługo skończę z tym wszystkim – westchnąłem. – Będzie spokój. Zostało tylko kilka miesięcy i nie sądzę, żeby Meg trzymała jeszcze jakiś duży projekt w zanadrzu.

Amandine niespokojnie przemieściła się na łóżku.

– Powiedz mi, Vince. Czy w ogóle brałeś urlop, zanim się poznaliśmy? Jak myślisz, ile ci się nazbierało?

Zastanowiłem się. Na pewno Związek Zawodowy Magicznych Pomocników i Użytkowników Magii Prostej gdzieś przechowywał te dane.

– Trzy? Cztery? Jak dobrze policzyć, pewnie wyjdzie z pięć miesięcy.

Poważnie pokiwała głową.

– Doskonale. Mam więc propozycję. Kiedy tylko wrócimy do Avalonu, weźmiesz zwolnienie lekarskie.

– Nie jestem chory – zaprotestowałem. – Mam oszukiwać Związek? To chyba karalne?

– Jeśli chcesz, szczegółowo opowiem lekarzowi o wszystkim, co ostatnio przeszedłeś. – Głos Amandine stwardniał. – Związek przyzna ci dożywotnią rentę i wytoczy proces Margueritte. Nie, nie musisz kłamać. Pokażesz kilka blizn, ponarzekasz na wypalenie zawodowe... Samo nazwisko de Breville wystarczy, żebyś dostał zwolnienie na parę tygodni. Potem wykorzystasz cały urlop. Do końca. Jeśli Meg tego nie zaakceptuje, osobiście z nią porozmawiam.

Popatrzyłem jej w oczy. Mówiła śmiertelnie poważnie. Nagle zrozumiałem, że wcale nie mam ochoty przechodzić na emeryturę. Spędziłem w tej pracy dwadzieścia cztery lata i nie potrafiłem sobie wyobrazić niczego innego. Randall Hardy przejrzał mnie na wylot. Chyba wszyscy oprócz mnie o tym wiedzieli.

Ale nie chciałem też stracić Amandine. Zresztą miała rację – w ciągu ośmiu miesięcy mogło się wydarzyć wszystko, świat mógł pęknąć na pół. Rozłożyłem rękę.

– Dobra. Postanowione. Wracamy do Avalonu i koniec.

W jej spojrzeniu odmalowała się ulga.

– Ale dopóki siedzimy w Ombre, muszę dopilnować inwentarza – zastrzegłem. – Jutro Meg i Belinde jadą zamknąć małą rozpadlinę na południe od miasteczka. Nie biorą mnie ani Kat – dodałem szybko. – Nie trzeba. Nakarmię kota, posprzątam papiery; założę się, że nikt się jeszcze do tego nie zabrał. Gdyby działa się cokolwiek więcej, pierwsza się o tym dowiesz.

– No, ja myślę – podsumowała groźnie Amandine.

* * *

– Zalecam dalszy ciąg abstynencji od magii. – Margueritte cofnęła medyczną lampkę sprzed mojego oka. Zamrugałem.

– Czy to poważne? Czuję się już nieźle...

– Ach tak. – Meg schowała lampkę do kieszeni. – A medytowałeś rano?

Tylko czarodzieje budzą się po przespanej nocy ze Źródłem pełnym energii gotowej do użycia. Zwykli śmiertelnicy muszą spędzić dobre pół godziny na medytacji, starannie gromadząc każdy kwant, jaki się zaplątał w ich systemie energetycznym.

– Nie, nie odważyłem się.

– Sam widzisz. Instynktownie wiesz, że nie powinieneś. – Wzruszyła ramionami. – Ale źle nie jest, nawet dobrze jest. Niczego sobie trwale nie

uszkodziłeś i jutro, najdalej pojutrze wszystko się powinno wyregulować. Nie bierz eliksirów. Kawę możesz pić.

– Kawa pomoże...?

– A, nie wiem. Ale kawa jest dobra. – Meg ściągnęła usta i przypatrywała mi się jeszcze chwilę. – Mimo wszystko stanowczo nie polecam alkoholu.

Rozmowy z Meg czasami przypominają obserwację góry lodowej. Formowane zdania stanowią jedynie zewnętrzny odprysk intensywnego, wielopiętrowego procesu myślowego, który – przytoczony w całości – wymagałby długiego monologu. Margueritte nie ma jednak cierpliwości do monologów, zadawała się więc rzuceniem kilku zdań ze środka lub od końca, czasami dokłada do tego tytuł odpowiedniej monografii i zakłada, że dojdę, o co jej chodziło. Tym razem było trochę inaczej. Miałem wrażenie, że próbowała mi coś powiedzieć i jednocześnie nie powiedzieć. Uniosłem brwi, oczekując dalszego ciągu, ale ten nie nastąpił.

A zatem załadowałem plecak Margueritte do dyliżansu, który od godziny czekał cierpliwie przed składanym domem razem ze śpiącym na koźle woźnicą i czterema znudzonymi tłustymi końmi. Uprzejmie ponagliłem Belinde, która w tym czasie rozsiadła się w salonie z książką.

Obydwie wreszcie zapakowały się do pojazdu; woźnica przeciągnął się, po czym mocniej ujął lejce i strzelił bacikiem. Dyliżans z wolna potoczył się po bruku i wkrótce zniknął za zakrętem.

Znów dotkliwie zabolalo mnie za oczami, więc ścisnąłem grzbiet nosa i przez chwilę udawałem, że nic się nie dzieje. Wreszcie fala bólu minęła, pozostawiając po sobie lekkie pulsowanie. Tak. Nie zamierzałem się dziś przemęczać. Wolno mi było, a co.

Obróciłem się więc na pięcie, już układając w myślach niezbyt napięty plan porządków, uwzględniający parę chwil na książki lub dopracowywanie uroku dla Amandine. Dzień zapowiadał się spokojnie.

– Proszę pana! Proszę pana! – usłyszałem zdyszany głos.

Rozejrzałem się. W moją stronę truchtał listonosz, w biegu wyciągając coś ze skórzanej torby. Zatrzymał się z piskiem obcasów, otarł pot z czoła, zipnął.

– Czy pani de Breville już odjechała?

– Dosłownie dwie minuty temu.

– To przesyłka do rąk adresata – zauważył zmieszany.

– Nazywam się Vincent Thorpe i jestem asystentem pani de Breville. Między innymi odbieram pocztę. – Wyciągnąłem rękę po sporą żółtą kopertę, oprócz znaczków opatrzoną chyba z pięcioma różnymi pieczęciami Gildii.

– Przekazano mi, że pani de Breville powinna zapoznać się z zawartością osobiście. Nadawca podkreślał, że to sprawa, którą – proszę o wybaczenie – lady musi zająć się bezwzględnie.

Zerknąłem na niego podejrzliwie. Pracownicy królewskiej poczty nie byli chłopcami na posyłki. Odnosiłem wrażenie, że czuję zapach pokątnie

przekazanych pieniędzy.

– Moja przełożona wraca dopiero jutro rano. Jeśli to coś bardzo pilnego, to znaczy pilniejszego niż aktywna rozpadlina Pustki na południe od pańskiego rodzinnego miasta, jeszcze ją dogonię.

– Ach! – jęknął listonosz. – To fatalnie, wie pan! Fatalnie!

– Tak? – Odebrałem kopertę. Ważyła swoje.

– Bo wie pan – powiedział chłopak – ta cała hrabianka przyjeżdża dziś do Ombre!

* * *

– Zabiję go – powtórzyłem przez zęby. – Spotka się z nieznanym sprawcą. Podduszę go tą kretyńską muszką, a potem wepchnę mu ją do gardła.

Jedną ręką podałem kotu żarcie, w drugiej kurczowo ścisnąłem list.

– I właściwie, do jasnej cholery, po co? – pozaliłem się. Kotka, nawet nie udając, że mnie słucha, sumiennie pochłaniała wołowe podroby. – Przecież to tylko osiem miesięcy, z czego i tak większość miałem spędzić na urlopie. Takie tam sobie zagrywki magów? Niech to szlag! Niech się zadekuje w gospodzie hrabianeczka w falbaneczkach, kijek jej w ryjek.

Z ogrodu dobiegł gwałtowny dźwięk. Najbardziej przypominał ryk umierającego osła, ale dało się usłyszeć nuty świadczące o tym, że twórca próbował odwzorować duszosmoka. Kathryn nie miała słuchu muzycznego i mimo talentu Creo zakłęcia akustyczne słabo jej wychodziły. Uchyliłem okno.

– Dzwoni się!

– Dzwonię już z piętnaście minut! Co tam się dzieje?

– Kat, przepytam cię jutro. Dziś nic z tego nie będzie.

Przyjrzała mi się znad teczki pełnej papierów. Ona też wyglądała tak, jakby życie przeciągnęło ją pod kilem. Wzrok dziki, suknia plugawa, włosy brudne, a na twarzy malownicza kolekcja czerwonych plam po wyciśniętych przyszczach.

– Vince, jeśli mogę w czymś pomóc...

– Wchodź – westchnąłem. – Skończył ci się eliksir na trądzik?

– A co, bardzo widać?

Machnąłem ręką.

– Teraz niczego nie upichcę, ale mamy jeszcze zioła przeciwzapalne. Czeka, zaraz otworzę.

* * *

– Wiesz, Vince, nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak można wpaść na coś takiego. Nawet gdybym chciała komuś zaszkodzić... – Kathryn jeszcze raz przestudiowała list. Siedzieliśmy obydwoje na kanapie w salonie, wśród

niesprzątanym od tygodnia pergaminów i papierów. Jedyne, co zdążyłem zrobić do tej pory, to posortować część z nich na osobne stosy.

– Nie mam wglądu w psychikę tego człowieka i szczerze mówiąc, cieszę się z tego – odparłem. – Zresztą nie jestem pewien, czy to jego pomysł. Nie zdziwiłbym się, gdyby autorem intrygi był Emrys de Rubis albo inny rywal szefowej, a René tylko wykonywał polecenia. Sam przecież nic nie ma do Meg.

– Jeśli jedno z dwojga, mistrz lub uczeń, w oficjalnym protokole potwierdzi niezdolność ucznia do poddania się egzaminom po minimum szesnastu latach nauki... – Kat zastanowiła się. – Nawet nie wiedziałam, że istnieje taki zapis.

– Ani ja. – Wzruszyłem ramionami. – To się chyba w ogóle nie zdarza. Już prędzej poważna skaza, klauzula „D” z przymusową blokadą Źródła...

– Znałam paru takich, których wyrzucili z praktyki – Kat wczytywała się w list – ale przecież nie po szesnastu latach. Zwykle stosuje się zapis o niedojrzałości do zawodu. Albo ustala zakończenie edukacji bez egzaminu. To martwe prawo.

– Jak widzisz, niekoniecznie.

– Zapewne ustanowiono je po to, żeby nie przedłużać praktyk w nieskończoność.

– Tak czy owak, statusu ucznia już nie mam – westchnąłem. – Zgrabnie wykopałem dołek sam pod sobą. A na moje miejsce przyjeżdża nieskazitelnie urodzona hrabianka Liliana de Diego Otero de Branche d’Opal. Zauważyłaś, jak to wszystko świetnie zgrał?

René (albo bliżej nieznanego rywal Meg) musiał mieć zaufanych ludzi, którzy załatwili całą biurokrację w ciągu kilku godzin. Zapewne posiadał przenośny teleport i to nim przepchnął dokumenty do Avalonu i z powrotem. A że ludzi teleportować nie można, wysłał hrabiankę d’Opal w podróż, zanim jeszcze rozprawiliśmy się ze smokiem.

– Zauważyłam, że przysłał wam infantkę d’Opal – odparła Kathryn z gryźliwie. – Zapewne najdroższa praprawnusia lady Oliwii, oby jej czyraki na tyłku wyrosły. Mam nadzieję, że w pierwszej kolejności Margueritte każe jej otrzymywać amoniak z końskich sików.

Prawda. Zapomniałem, że Kat nienawidzi głowy rodu d’Opal. Lady Oliwia była polityczną rywalką Belinde. Pojawiały się na tych samych przyjęciach i stara czarodziejka nigdy nie przegapiła okazji do wbicia przeciwnikom paru szpilek. Sam słyszałem, jak na jednym oddechu zapytała Kat o naukę Entropii, zaproponowała maga chirurga plastycznego od nosów, po czym zatroskała się, że zapewne dziewczyny nie stać na operację. Belinde odcięła się równie twórczo, ale strzała trafiła już w cel.

– Podobno została wstępnie przeszkolona. Może mieć za sobą prawie dwa lata nauki.

– Tym gorzej. Pewnie myśli, że sra złotem, a mistrzowie będą się o nią zabijać.

Westchnąłem. Za sprawą listu z Gildii ziemia usunęła mi się spod nóg. Nie odebrano mi, co prawda, stanowiska asystenta – to oznaczałoby złamanie kodeksu pracy i na pewno przyciągnęłoby uwagę Związku – jednak bez praw ucznia nie wolno mi było nawet spoglądać na wzory zakłęb, a co dopiero wspólnie przetwarzać z Meg.

A nie zdobyłem jeszcze, jak zamierzałem, licencji technika. Bez niej Gildia mogła wytoczyć mi sprawę o zakazaną wiedzę. Jeśli będę miał pecha i urzędnicy okażą się nieżyczliwi, zostanę ukarany wymazaniem z pamięci kilkudziesięciu zakłęb, które znałem niemal tak dobrze jak prawdziwy mag. Nie potrafiłem, co prawda, ich rzucać – ale co z tego? Kto chciałby stracić dorobek wieloletniej nauki?

– O której ona ma przyjechać?

– Jakoś tak... O właśnie, słyszę dyliżans.

Chwilę później okazało się, że trochę się pomyliłem. Kiedy bowiem pojazd wyłonił się zza zakrętu, nie zobaczyliśmy znajomej czarnej sylwetki dyliżansu. Ukazała się nam autentyczna sześciokonna karoca w purpurze i złocie, barwach Branche d’Opal. Pośrodku drzwiczek widniał herb przedstawiający smoka z pazurami zaciśniętymi na strzale. Szlachetne kare klacze pochodziły chyba z zupełnie innego wszechświata niż tęgie pstrokate kobyłki, które przedwczoraj dowiozły nas pod strefę skażenia. Dodatkowo karecie towarzyszyli czterej konni zbrojni w długich skórzanych płaszczach, z pistoletami w olstrach i szablami u boku. Ja pierniczę, prywatna kawaleria.

Między mną a hrabianką Lilianą istniała równie wielka przepaść gatunkowa, jak między tymi końmi a kobyłkami z Ombre. Odnosiłem wrażenie, że dwadzieścia cztery lata pracy i nauki u Meg były zwykłym fuksem, pomyłką. Teraz miał nastąpić powrót do właściwego stanu rzeczy.

– Ale się wozi, no – fuknęła Kat zza uchylonych drzwi. – Widzisz, jakie pióra sobie pierdyknęli? No ja cię proszę, pewnie się podciera złotą srajtaśmą.

Karoca zatrzymała się tuż przed wyłożoną polnymi kamykami ścieżką, która prowadziła do willi Meg. Stangret – młody, wyniosły mężczyzna z jasną rzadką bródką, odziany w uniform z lepszego jedwabiu niż mój odświętny frak – zszedł z kozła. Razem z jednym ze zbrojnych zaczęli wyładowywać bagaże – jedna, druga, trzecia skrzynia – po czym z kamiennymi minami zanieśli je pod ganek.

– Proszę to zabrać do środka – polecił mi stangret, nie zaszczycając mnie nawet jednym spojrzeniem. – Dyplomy i list od hrabiny znajdują się w najmniejszej skrzyni. Panienska Liliana de Diego Otero de Branche d’Opal zaraz wyjdzie państwu na powitanie.

Przelotnie zerkną na dom.

– Powiadomiono mnie, że lady de Breville jest nieobecna.

– Lady Margueritte de Breville de Branche d’Ambre – wyrecytowałem z naciskiem pełen tytuł – udała się na misję niecierpiącą zwłoki, związana z bezpieczeństwem mieszkańców Ombre.

Gdzie hrabianka? Dlaczego jeszcze nie słyszeliśmy gromkich protestów godnych infantki rodu d'Opal? Zasłonki w oknach karocy były zaciągnięte i zdawało mi się, że nikogo nie ma w środku. Może spała?

– Cóż – odparł stangret sucho – mam nadzieję, że w istocie nie będzie żadnej... zwłoki. Tuszę, iż pokój dla panienki został naszykowany. Wie pan, ona przywykła do wysokiego poziomu obsługi. Poza tym do niedawna była pod opieką guwernantki. Nie miała wiele okazji do samowoli.

Zamrugalem. Guwernantka? Dla piętnastoletniej pannicy po dwóch latach domowej nauki magii? Czy Liliana d'Opal ma nierówno pod sufitem, czy też jej rodzice po prostu są nadopiekuńczy?

– Powiem coś panu w sekrecie. Trzeba ją krótko trzymać. Ta dziewczyna to same kłopoty. Oczywiście wszystko opisano w liście do pani de Breville. Ale nie radzę do niego zaglądać, zabezpieczono go przed takimi jak pan.

Zaczynałem dochodzić do wniosku, że stangret, który wcale mi się nie przedstawił, wyraźnie oczekując na moją inicjatywę, uważa się za kogoś znaczniejszego. Czy to wieloletni majordomus? Przyjaciel rodziny? Ubogi kuzyn? Nic a nic mnie to nie obchodziło.

– Takimi jak ja?

Czarownikami? Typami spod ciemnej gwiazdy?

– Służącymi – powiedział, jakby splunął. – Panienko Liliano! Nie mamy czasu. Proszę wyjść albo przekażę lady, aby wyciągnęła konsekwencje.

Drzwiczki się otworzyły. Z karety wytoczyła się koronkowa beza podtrzymywana przez jednego ze zbrojnych.

Po sekundzie zrozumiałem, że patrzę na dziecko. Małą, chudą, jasnowłosą dziewczynkę ubraną wedle wskazań najnowszej mody. Jak Belinde w wersji balowej. Tyle że bez głębokiego dekoltu, za to z tymi wszystkimi niewygodnymi elementami, którymi lady Chamomille nie zamierzała się przejmować. Panienska Liliana nosiła więc sztywną spódnice na fiszbinach, pelerynę z kryzą, rękawiczki aż do ramion i – zważywszy na nienaturalnie wyprostowaną postawę – ciasny gorset. Nie wydawało mi się, żeby z własnej woli wybrała ten strój. Prawdę mówiąc, ledwo się w tym wszystkim ruszała.

Piętnaście lat? Miała najwyżej dziesięć. Kto jej to zrobił? Aktywacja Źródła w tak młodym wieku była niedozwolona, szkodliwa dla rozwoju fizycznego i psychicznego. Zobaczyłem strach w oczach dziewczynki. Mimo to przemierzyła całą ścieżkę w absurdalnie białych zamszowych pantofelkach, dotarła do samego ganku i przyjrzała się nam obydwójgu – mnie oraz Kathryn, która tymczasem wychynęła zza drzwi – po czym grzecznie dygnęła. Była śmiertelnie błada.

– Panienko Liliano, przywitaj się – ponaglił stangret.

Otworzyła usta, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo.

– Sami widzicie – skomentował pogardliwie. – Cóż, tutaj moja rola się kończy. Będziemy oczekiwać raportów. Żegnam. I życzę miłej zabawy.

I poszedł sobie. Tak po prostu. Zostawiając nas z dziewczynką, skrzyniami i potężnym uczuciem niesmaku.

A kiedy tylko karetka zniknęła z pola widzenia, szlachetna hrabianka Liliana de Diego Otero de Branche d’Opal zdrząła, schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

* * *

Znalazłem Amandine na wzgórzu, gdzie starała się uchwycić widok na spływający kaskadą, wezbrany po wiosennych deszczach strumyk. Z daleka rozpoznałem jej szczupłą sylwetkę i chmurę czerwonych włosów. Rozstawiła sztalugi oraz składany stołek, zarzuciła na suknię roboczy fartuch; skupiona nad obrazem sama wyglądała jak ktoś, kto powinien zostać uwieczniony na płótnie.

Rozgarniałem gałęzie leszczyn, przedzierając się ku niej na skróty. Większą część wzgórza ocieniał młody brzoźowy zagajnik i słońce prześwitywało nieregularnymi plamami przez liście. Amandine wybrała polanę, skąd mogła obserwować zachodnią część Ombre, z naszą gospodą włącznie. Zauważyłem obok stołka wiklinowy kosz, w którym stały jeszcze dwa płótna – jedno zawierało szkic z kuli Kathryn, który nakreśliła poprzedniego wieczoru, drugie było czyste i nieduże, przeznaczone na jakąś miniaturę. Pamiętałem, jak je gruntowała. Często robiła to sama, chociaż w Avalonie dało się kupić gotowe podobrazia. Lubiła przygotować obraz od początku do końca.

Naumyślnie szedłem głośno. Nie chciałem nagle jej zdekoncentrować. Mógłbym jednak być galopującym olifantem, a i tak nie zostałbym zauważony. Ściągnąwszy usta w dzióbek, Amandine dodawała na płótnie kolejne szczegóły. Na pniaku obok leżała przenośna paleta i stał słoik wypełniony kompletem pędzli – od szerokich po cienkie na kilka włosów.

– Kochanie?

– Mhmmm.

– Kochaaaanie?

– Zaraz, zaraz.

– Kochanie, Claude de Merlot przyjechał do Ombre malować pejzaże.

– Tak, tak. Moment. Chwila. Co?

Odwróciła się. Miała niebieską smugę na policzku.

– Od razu przepraszam, że ci przerywam, ale to pilne. Jedna z takich spraw, o których powinnaś wiedzieć...

Odgarnęła włosy z twarzy, pozostawiając na policzku drugą smugę.

– Dobra. Mów.

* * *

– Czyli mam pomóc. Czego wam trzeba?

– Na początek przydałyby się jakieś ubrania. Zdaje się, że traktowano ją raczej jak lalkę niż małą dziewczynkę. Znaleźliśmy regulaminową szatę ucznia, ale to za mało. Musi coś nosić poza pracownią.

– Ile ona ma lat?

– Jedenaście. Ale wygląda na młodszą. Jeśli się okaże, że kupiliśmy za długie ubrania, skróć i obrębię.

– Sama się tym zajmę. Czy u Meg jest maszyna do szycia?

– Nie, ale u Belinde na pewno. I słuchaj, bluzka powinna zakrywać ramiona. Są całe posiniaczone.

– Och, Vince. Nie mówisz poważnie.

– Chciałbym się mylić.

Amandine westchnęła.

– A człowiek myśli, że takie rzeczy dzieją się raczej w biednych domach.

– Mam potworne podejrzenia, że Oliwia d’Opal szkoli ją tak konsekwentnie od dwóch lat – mruknąłem. – Lady d’Opal ma grubo ponad cztery stulecia, zbliża się do kresu naturalnej długości życia maga. W jej czasach wychowywanie dzieci często sprowadzało się do tresury. Zapewne młodych czarodziejów też. W razie kłopotów dostawali lanie, a jeśli stwarzali większe kłopoty, lanie było proporcjonalnie większe.

– Z twojego opisu nie wynika, żeby mała sprawiała jakiegokolwiek kłopoty wychowawcze. W ocenie normalnych ludzi, rzecz jasna.

Skrzywiłem się.

– Lily ukrywa jakiś problem. Nie wiemy, czy chodzi o skazę talentu, czy po prostu sika w łóżko. Przez babunię d’Opal oraz takich idiotów jak ten niedorobiony stangret boi się nam o tym powiedzieć. Ale ciebie jeszcze nie zna, poza tym nie masz nic wspólnego z magią. Może ci zaufa, trochę się otworzy. Toleruje Kathryn lepiej niż mnie, ale wolałbym nie zostawiać żadnego dziecka zbyt długo pod opieką Kat.

– Jest aż tak źle?

– Poprosiłem, żeby zrobiła małej kanapki. Powiedziała, że nie wie, co jedzą dzieci w jej wieku. Odparłem, że zasadniczo to samo co dorośli, tylko nie piją alkoholu.

Amandine zmarszczyła brwi.

– Przemyślałeś dobrze tę wypowiedź?

– Dlaczego...? Aaach. – Kathryn w dużej mierze dzieliła upodobania kulinarne z Meg. I zważywszy na zawartość naszej lodówki... – Chodźmy. Nie ma chwili do stracenia.

* * *

Zostawiłem w drzwiach sztalugi i wiklinowy kosz, Amandine odłożyła torbę z przyborami. Skrzynie Liliiany stały otwarte w korytarzu, prezentując światu kolekcję jedwabi i adamaszków. Amandine sięgnęła po sukienkę w kolorze złamanej zieleni; przez chwilę z dezaprobatą kontemlowała złożone hafty i bliżej niezidentyfikowane ozdóbki, zaszewki, lamówki czy coś tam. Jeśli dziewczynka paradowała w podobnej zbroi przez ostatnie dwa lata, może mieć wątle mięśnie. Trzeba napomknąć Margueritte, żeby uwzględniła w programie szkolenia ćwiczenia fizyczne.

Na szafce z butami leżały zużyte, pociemniałe srebrne runy. Jeszcze się nie zająłem twórczym chaosem pozostawionym w salonie przez Belinde i Meg. Na myśl o nieuniknionych porządkach znów zapulsowało mi za oczami. Oparłem się o ścianę, mocno ucisnąłem grzbiet nosa. Amandine położyła mi dłoń na czole, sprawdzając, czy nie mam gorączki. Po chwili ból minął.

Znaleźliśmy Lilianę i Kathryn w kuchni. Kat pochylała się nad kuchennym blatem. Lily, w uczniowskiej szacie i o wiele za dużych papuciach Meg, siedziała na taborecie i pochłaniała kanapkę. Na stoliku obok leżała ceramiczna forma do tarty, którą Kathryn pomyliła z ozdobnym talerzem. I dokładnie tak, jak się obawiałem, piętrzyły się na niej krzywo ukrojone pajdy chleba: głównie ze smalcem, korniszonami i papryką tak ostrą, że sam używam do niej osobnego noża i deski. Inne posmarowano pastą z drożdży piwnych, modnym w ostatnich latach produktem kupionym na wyraźną prośbę Meg. Tego z kolei staram się nie dotykać, a zwłaszcza nie wachać. Moim zdaniem słoik z tym wynalazkiem powinien zostać oznakowany jako zagrożenie biologiczne.

– Dobry wieczór – odezwała się Lily, po czym wróciła do swojej kanapki.

– Jeśli ci nie smakuje, możesz nam powiedzieć – zaznaczyłem, przerażony, że dziewczynka torturuje się z grzeczności. – Te papryczki są bardzo ostre. Mamy też serek, sałatę, jajka...

– Dziękuję, papryczki są bardzo smaczne – odparła Liliana d’Opal. – I to brązowe coś też, chociaż dosyć słone. Chciałabym się zapytać, jeśli to nie kłopot, czy ma pan może mleko?

Nieco ogłuszony wyjąłem butelkę z lodówki, zdjąłem kapsel i nalałem mleka do kubka.

– Zjadła już trzy kanapki. – Kathryn popatrzyła na nas zaczepnie. – Mojej produkcji.

– To ja skorzystam z serka, jeśli można – wtrąciła moja narzeczona. – Bardzo mi miło cię poznać. Nazywam się Amandine Cerise i wkrótce wychodzę za mąż za tego oto Vincenta.

Dziewczynka zsunęła się z taboretu i dygnęła.

– Jestem szaszyczona. Nazywam się Liliana Henrietta Araucaria de Diego Otero de Branche d’Opal. Ale można mówić do mnie Lily.

Reszta dnia upłynęła mi na doprowadzaniu składanego domu do względnego porządku tudzież szykowaniu pokoju dla Lily. Kathryn postanowiła zanoć w pokoju służby. Uruchomiła runy sprzątające, aby pozbyć się pajaków i kurzu, a ja odgarnąłem zawałające przestrzeń książki, tak by dało się chociaż pościelić łóżko. Obydwoje z Amandine postanowiliśmy rozłożyć dla siebie wielką żółtą kanapę w salonie. Ze dwie godziny zajęło mi zwijanie map i pakowanie dokumentów w teczki. Mniej więcej w tym samym czasie Amandine zdobyła komplet odzieży dla dziewczynki. Zabrała na wzór jedną z sukni i pantofelki, a potem przespacerowała się po Ombre. Wkrótce hrabianka została szczęśliwą posiadaczką bawełnianych sukienek oraz pary solidnych trzewików, jakie nosiła większość jej rówieśniczek – wszystko w dobrym gatunku, ale bez przesady. Lily nalegała, aby pokryć wydatki z sakiewki pełnej złotych dukatów, którą wydobyła z jednej ze skrzyń, ale odmówiliśmy. Wyprawka, z której wartości hrabina d’Opal zapewne nie zdawała sobie sprawy, mogła stać się zawiązkiem własnego majątku dziewczynki. Takiego, który kiedyś pozwoli jej na samodzielność.

Przez ten cały czas Lily pozostawała uprzedzająco grzeczna i nieśmiała, chociaż polubiła Kat i zgodnie z moimi przewidywaniami bardzo szybko zaufała Amandine.

Właśnie sortowałem ostatni plik dokumentów, wiążąc teczki na eleganckie kokardki, gdy do salonu weszła moja narzeczona. Wielka żółta kanapa została rozsunięta i piętrzył się na niej stos świeżej pościeli. W pokoju panował półmrok. Zajęty pracą, zapomniałem o włączeniu po zachodzie słońca automatycznych lamp. Światło dawała już tylko ręczna oliwna latarnia, pozostawiona na odsuniętym pod ścianę stoliku.

– Jak głowa? – zapytała cicho.

– Lepiej. Czuję się tylko zmęczony. Lily już śpi?

– Przed chwilą ją położyłam. Wiesz – westchnęła Amandine. – Ona zionie ogniem.

– Co?

– Zionie ogniem, kiedy straci kontrolę nad zakłębieniem albo emocjami. Czy to się u magów często zdarza?

– Pierwszy raz słyszę o podobnym przypadku. – Rozłożyłem ręce. – To rzadka anomalia. Meg na pewno będzie wiedzieć, co z tym zrobić. Fascynuje się egzotycznymi profilami mocy. Właściwie...

Wstałem z ostatnią stertą teczek.

– Byliśmy z Kathryn przekonani, że przedwczesne przybycie nowej uczennicy jest wynikiem intryg politycznych. Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej się upewniam, że ktoś chciał umieścić Lily jak najszybciej pod kuratelą Meg – ze względu na metody wychowawcze hrabiny d’Opal i, jak widać, nie tylko.

– Vince... Dziewczyna zakłada na noc ołowiane bransoletki. Każda waży przynajmniej pół kilo. Twierdzi, że inaczej mogłaby zionąć ogniem przez sen.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Wygłuszacie Źródła? Jak w więzieniu? Przecież to ją musi boleć.

– Mówi, że nie chce spalić domu.

– I słusznie, ale przecież istnieją lepsze metody. Mam nadzieję, że Kat gdzieś jeszcze trzyma swój stary opornik. A jeżeli nie, obstawimy małą ekranami pochłaniającymi. Zaraz po nią pójde...

Kiedy Kathryn jako trzynastoletnia dziewczyna rozpoczęła naukę u Belinde, miała problemy z kontrolą energii magicznej, co wśród silnych potencjałów nie należy do rzadkości. Zdarzało jej się wyrzucić całą zawartość Źródła na jedną Kulę Światła, toteż przez pierwszy rok nosiła amulet regulujący emisję mocy.

– Sama powiadomię Kat. Ty powinieneś jak najszybciej się położyć. – Amandine wzięła ode mnie teczki. – Kathryn uruchomiła już bojler.

– Dziękuję. – Ciężko opadłem na kanapę. Śliwka z cichym pomrukiem wskoczyła mi na kolana; odruchowo położyłem na niej dłoń. To był ciężki dzień; tylko dzięki temu, że miałem tyle do roboty, mogłem oderwać myśli od utracenia praw i konsekwencji tego faktu. „Na szczęście jutro wróci Margueritte – pomyślałem. – Ona zadecyduje, wyprostuje sprawy, rozwiąże tę kwadraturę koła korzystnie dla nas wszystkich. I życie wróci na właściwy tor”.

* * *

Słońce świeciło mi w oczy, rzucając przez firanki cętkowany wzór na moją twarz. Pod łopatkami czułem nierówny materac. Obróciłem się na bok i naciągnąłem koc na ramiona. Z wolna wracały do mnie przeżycia z poprzedniego dnia, dalekie i jakby mniej poważne.

Amandine leżała obok zwinięta w kłębek, czule obejmując zmiętą kołdrę. Jej czerwone włosy rozsypały się na poduszce. Delikatnie pogłaskałem jej policzki. Odetchnęła głębiej, lecz nawet nie poruszyła się przez sen.

W pokoju kłębił się kurz; powietrze zgęstniało od naszych oddechów. Podeszedłem do okna, aby je uchylić. Chłodny zefir wdarł się do salonu i wypełnił moje nozdrza; zupełnie bez przyczyny wezbrało we mnie uczucie dziecinnej radości i niecierpliwego oczekiwania na to, co przyniesie dzień.

Głowa wydawała się lekka, jakby wreszcie zdjęto z niej beczkę gwoździ. Nie chciałem wracać do spania, miałem więc wystarczająco dużo czasu, żeby przygotować śniadanie i znaleźć kilka chwil na powtórzenie podstawowych układów Drogi Czapli, zanim pozostali się obudzą. Kij zostawiłem w Srebrnej Gęsi, ale gdzieś w rupieciarni powinien leżeć stary egzemplarz.

Beztrasko pogwizdując, zabrałem się do porannych rytuałów higienicznych. Twarz w lustrze prezentowała się całkiem świeżo w porównaniu do poprzednich dni. Znikły ślady skumulowanego braku snu i walki ze smokiem. W ogóle wyglądam młodziej, niż wskazuje metryka. Mam mysi kolor włosów, niezbyt ostre rysy twarzy (gdymby mocno przybrał na wadze, byłbym okrągły jak księżyc) i sądząc po moim ojcu, nie zacząłbym siwieć przed pięćdziesiątką.

Pomyślałem sobie, że nie widzę żadnych przeciwwskazań do używania magii. Zatem z policzkami szczypiącymi jeszcze od wody po goleniu, ubrany tylko w galoty, usiadłem na dywaniku w łazience i zamknąłem oczy, aby wymedytować codzienną porcję kwantów.

I właśnie wtedy moje życie nieodwracalnie się zmieniło.

Tak naprawdę zmiana nastąpiła wcześniej – może poprzedniego dnia, może już w trakcie walki z duszospokiem – ale dopiero wtedy ją zauważyłem.

Zamiast wątlých iskier krążących po moich przerośniętych kanałach energetycznych, gdzieś na wysokości splotu słonecznego odkryłem małą, rozżarzoną kulę energii. Miniaturowe słońce. Ziarno mocy wielkości orzecha laskowego.

Źródło.

Otworzyłem oczy i przez chwilę siedziałem bez ruchu. „Nie – pomyślałem – nie wierzę. Zasnąłem podczas medytacji. Musiałem się pomylić”.

Sięgnąłem ku niemu ostrożnie. Nadal tam było. Wyglądało dokładnie tak, jak mnie tego uczono, gdy ponad dwadzieścia lat temu trafiłem do Ogrodów Edenu. Ostrożnie, jakbym miał do czynienia z bombą, oceniłem zawartą w nim energię.

Pięć jednostek. Czyli jakieś sto kwantów. Skromna ilość – ale dla mnie cały kosmos.

Poderwałem się na równe nogi. Dopadłem umywalki, rozrzucając butelki z kosmetykami, mydelniczkę i pędzel do golenia. Odkręciłem kran z zimną wodą i wsadziłem głowę pod strumień. Nie. Nie teraz. Nie wtedy, kiedy całe życie mam już zaplanowane. Kiedy wiem, kim jestem i co mnie czeka. Co powie Amandine? A związek zawodowy? Co z moją emeryturą? I w ogóle jakim cudem? Z powodu smoka? Przecież to się nie zgadza z żadnymi teoriami. Nie było nawet rytuału aktywacji.

Po chwili przyszło olśnienie. Margueritte wiedziała. Od samego cholernego początku. Dostrzegałem nawet pewien wzór – Meg i Belinde dostawały na uczniów same trudne przypadki. Kathryn. Lilianę.

Oraz mnie.

Potarłem twarz, próbując uspokoić oddech. „Nie panikuj” – nakazałem sobie. Czy istnieją przypadki tak późno uruchomionych Źródeł? Czy one się w ogóle do czegoś nadają? Skoro Meg o niczym nie wspominała, to znaczy, że jestem eksperymentem. Może Źródło nigdy nie osiągnie pełnej aktywności, może tylko nastolatki nadają się do przeszkolenia. Lepiej nie zaczynać myśleć o sobie jako o czarodzieju.

– Vincent? Coś się stało? Nie zemdlałeś tam?

No masz ci los, obudziłem Amandine. Wziąłem głęboki oddech. Jeden. Drugi.

– Nic takiego. Pośliznąłem się i mydelniczka mi spadła. Zaczekaj chwilę, włączę wszystkie runy.

Ile trwa rozwijanie Źródła do poziomu odpowiedniego dla dyplomowanego maga? Średnio osiem lat, tyle wynosi przepisowy czas nauki. I to pod warunkiem regularnych ćwiczeń. Zapewne podczas dorastania ten proces przebiega znacznie szybciej. Zestarzeję się, zanim moje ciało przejdzie transformację. Mogę to ukryć. Muszę to ukryć. Porozmawiam z Meg; będę stanowczy.

– O! Czy to znaczy, że już dobrze się czujesz? – ucieszyła się Amandine. – Powiem, że przydałoby się tutaj więcej automagii. Wiem, że dom został stworzony dla czarodziejów i ich asystentów, ale to trochę niewygodne za każdym razem prosić o uruchomienie bojlera.

Zatrzymałem dłoń w pewnej odległości od znaków biegnących wzdłuż cysterny na wrzątek. Sam zużyłem już resztę ciepłej wody z poprzedniego wieczoru w nadziei, że nagrzej się, zanim wszyscy wstaną. Co jeśli moc zareaguje inaczej, niż do tego przywykłem? I tak jak kiedyś Kathryn wydam całą energię naraz? Bojler eksploduje i trzeba będzie mnie zbierać z podłogi.

Bardzo, bardzo ostrożnie dotknąłem run z zamiarem przelania kwantu magii.

Znaki zaśniły srebrzyście jeden po drugim. Kwant wydał się sam, bez żadnego wysiłku. Ale poczułem, jak to robię, byłem w pełni świadom drobnej iskry, która oderwała się od jasnej płonącej kulki. Chyba sprawowałem kontrolę nad własnym Źródłem. Dwadzieścia cztery lata praktyki w przetwarzaniu mocy zaskakująco dobrze mnie do tego przygotowały.

– Woda zagrzej się dopiero za jakiś kwadrans – powiedziałem i uchyliłem drzwi łazienki.

– A co tam, nic nie szkodzi. – Amandine wsunęła się do środka. – Wezmę zimny prysznic. A potem, słuchaj uważnie, wracam do łóżka. Dzieci niech śpią do południa. Dzień dobry, słońce moich oczu.

– Cześć i czołem, czereśniowa panienko.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Jeszcze jesteś niewyraźny.

– Pomacham kijkiem i mi przejdzie.

– Kijkiem, powiadasz.

Gdy moja piękna narzeczona wsunęła się pod koc, objąłem ją ramionami i poświęciłem dłuższą chwilę na staranne ogrzanie jej ciała. Wdychając zapach Amandine, gładziłem jej skórę i wodziłem palcami po miękkich krągłościach, aż drżenie z zimna ustało, zastąpione przez łapczywą wzajemność. Kocyk wylądował na podłodze. Część poduszek również. Reszta sceny niezupełnie nadaje się do przytoczenia, ale na pewien czas odsunąłem od siebie myśli o nowo odkrytym Źródle.

* * *

Przewrócony na drugą stronę omlet zaskwierczał na patelni. Odstawiłem ją na blachę i drewnianą łyżką zamieszałem w garnku z pykającą z wolna owsianką.

Amandine, która rzadko miała do czynienia z kuchnią zasilaną magiczną energią, obserwowała każdy mój ruch.

– Ile to żre?

– Kwant albo dwa dziennie – odparłem. – Zależy, jak intensywnie jej używasz.

Wciąż ścisnęło mnie w żołądku, gdy sobie przypominałem, z jaką łatwością przyszło mi dziś włączenie kuchni. I jak gigantyczna ilość mocy jeszcze została w zapasie. Kiedy wróci Meg? Co dla mnie zaplanowała?

– Drogo. Chociaż przypuszczam, że jeśli uruchamiasz ją własnoręcznie, wychodzi taniej niż węgiel... – Amandine się skrzywiła. – Chyba znów się zapiszę na kurs magii prostej. Może w końcu się uda. Niby każdy może, jeden lepiej, drugi trochę gorzej...

– Jeżeli przegłosują tę ustawę, nawet dzieci zaczną się uczyć podstaw w szkole.

– To nigdy nie pfejdzie – wymamrotała Kathryn, przeżuując kanapkę z pastą drożdżową. Przełknęła. – Dopóki imperialiści utrzymają większość, a na razie na to się zanosi. Belinde twierdzi, że pracują nawet nad regulacją prawną domoroślej magii. Chcą ją podciągnąć pod licencje.

– I będą egzaminować każdą babcia, która rzuca uroki, żeby upiec ciasto bez zakalca? – Potrząsnąłem patelnią, przesuując omelet. – Wolne żarty.

– Hrabina d’Opal twierdzi, że upowszechnienie magii prostej zniszczy więzi społeczne – odezwała się cichutko Lily, mocno ścisnąc w dłoniach kubek mleka. – Wszyscy wszystko będą mogli i przestaną kogokolwiek szanować. I że to przez Weylanda, bo kto to widział, żeby człowiek z gminu został Arcymagiem.

Był to jej najdłuższa wypowiedź, jaką do tej pory usłyszeliśmy. Zapadła cisza.

– Hrabina d’Opal może się pocałować... – zaczęła oburzona Kathryn, ale jej przerwałem.

– A co ty o tym sądzisz, Lily?

Przez chwilę gryzła kosmyk włosów. Ewidentnie miała własne zdanie na ten temat, ale nie przywykła, żeby ktokolwiek o nie pytał.

– Myślę, że to dobrze, że Rada Gildii wołała wybrać pana Weylanda niż hrabinę.

– Nie nazywasz jej babcia – zauważyłem.

– Bo niezupełnie jest... – Lily chciała powiedzieć coś więcej, ale w tym samym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Kathryn zerwała się z miejsca, żeby otworzyć. Dziewczynka zamilkła i wlepiła głodny wzrok w omelet na boczku, który właśnie zacząłem dzielić na części. Zsunąłem na jej talerz solidną porcję. Jak to bywa z dziećmi wchodzącymi w nastoletni wiek, miała apetyt dorosłego mężczyzny.

Przez kilka minut życie toczyło się w zwykły sposób. Fachowym gestem rozdzieliłem omelet na talerze, nałożyłem owsianki do misek. Zdjąłem z kuchni czajnik, który wydał z siebie przeciągły gwizd, i zalałem wrzątkiem herbatę

w dzbanku. Zapach smażonego boczku i łagodny aromat podgrzanego mleka unosiły się w powietrzu. A potem wróciła do nas Kathryn. I kiedy tylko ją zobaczyłem, zrozumiałem, że powinienem zacząć się martwić.

– Co się stało?

– Właściwie... nie rozumiem... – Kat nerwowo przegarnęła siwe włosy. – Bo przecież... może coś źle powtórzył.

– Mów.

– On powiedział... że Belinde i Meg... zniknęły. Zagięły w rozpadlinie Pustki.

* * *

Pospieszonym kłusem jechaliśmy przez las. Szlak był kręty, lecz szeroki, prowadził między wzgórzami. Po roztopach zamieniał się w strumień. Jeszcze teraz, w pełni wiosny, drobny żwir pośrodku drogi lekko podchodził wodą.

Posłaniec został w mieście. Droga do stancy Straży Granicznej biegła prosto, nie sposób się było zgubić. Zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli strażnicy zabiorą nas w okolice rozpadliny i wyjaśnią, co się stało. Nie mieliśmy pojęcia, co zastaniemy na miejscu, wzięliśmy więc płaszcze, ubrania podróżne, broń i tyle magicznych artefaktów, ile zostało po duszosmoku.

Spodziewaliśmy się najgorszego.

Człowiek w bezpośrednim kontakcie z czystą, żywą Pustką po prostu umiera. Stężenie skażonej energii sprawia, że jego ciało odpada od kości, a narządy wewnętrzne rozkładają się, zanim dojdzie do jakiegokolwiek mutacji. Tylko raz w najnowszej historii, dwieście lat temu, zdarzyło się, że ktoś faktycznie w rozpadlinie zniknął – w takim sensie, że nie znaleziono jego szczątków rozrzuconych przez pustkostwory w pobliżu. Był to Lucjusz Szalony, ostatni Mag Pustki przebudzony po Rozdarcu. Już wtedy dobiegał czwartego stulecia, a nikt po nim nie dysponował takimi możliwościami. Magowie Pustki, zdolni opierać się tej obcej, toksycznej energii, a nawet, jak mówiła legenda, czerpać z niej, nie rodzili się już w Arborii, chociaż przed Wojną przez wieki władali światem.

Droga zaczęła prowadzić nieco pod górkę. Konie zwolniły i przeszły w stępa. Spośród bukowiny i sosen wyłoniła się chata z drewnianych bali, podobna do tej, którą widzieliśmy wcześniej w strefie skażenia. Dookoła ogniska siedziało czterech strażników w uniformach barwy złamanej zieleni; kiedy nas zauważyli, jeden z nich od razu wstał, aby pomóc nam z końmi. Miał odciętą nogawkę nad kolanem i nogę zabandażowaną od kostki aż do uda. Poniewczasie dostrzegłem, że wszyscy czterej byli w mniejszym lub większym stopniu ranni.

– Dobrze, że jesteście – odezwał się ten, który przytrzymał nam wodze. Wysoki, łysiejący, szeroki w barach. Rozpoznałem szarżę podporucznika. – Orion LeBrun, zastępca dowódcy oddziału. Pozostali są w terenie, ścigają erlingi.

– Dużo tego zostało? – spytała Kathryn, zsuwając się z kobyłki. Jej roztargnienie i niezręczność zniknęły, zastąpione determinacją.

– Nieduża grupa, może dziesięć sztuk. Poradzimy sobie. Troll ubity przez panie czarodziejki. Rozpadlina zamknięta.

– Zamknięta?

– Całkowicie. Skończyliśmy o siódmej rano. Ale kiedy się zasklepią... tak jakby... wessało je do środka.

Popatrzyliśmy po sobie z Kat.

– Jak to w ogóle możliwe?

– A bo ja wiem? Rytuał wydawał mi się prawidłowy, ale w końcu nie jestem czarodziejem. – Porucznik wzruszył ramionami. – Zostawiliśmy wszystko tak, jak było. Najbardziej skażone obszary są oznakowane palikami, reszta nie strzela mocniej niż na czterdzieści mikromerlinów. Możecie zaraz sami sprawdzić. Tylko bez absolutnej konieczności niczego nie dotykajcie. Wypadek opatrzone klauzulą tajności, więc... to fatalnie zabrzmiało, ale odradzam jakąkolwiek oficjalną żałobę, zanim Wydział Spraw Wewnętrznych nie zakończy śledztwa.

Kathryn splotła ramiona. Pobladała. Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała wpaść w furię – a trzeba zaznaczyć, że Kat, chociaż łatwo o tym zapomnieć, jest wyszkolonym magiem Creo, żywą bronią. Ale odwróciła tylko wzrok i w milczeniu poczekała, aż LeBrun wydeleguje kogoś ze strażników, żeby nas zaprowadził na miejsce. Sam czułem się ogłuszony. Jak to, Meg zginęła? Jak mogła? Dziesiątki razy podejmowaliśmy większe ryzyko. Badaliśmy skażone tereny i grobowce starożytnych cesarzy, odzyskiwaliśmy dla Gildii artefakty od doloriańskiej mafii, tropiliśmy demony w ich legowiskach, tłukliśmy się z pustkostworami, nie wspominając nawet o duszoscsmoku. I teraz miałaby ją pokonać niewielka rozpadlina w rodzaju tych, jakie rutynowo zamykano w pobliżu Granicy?

Następny kwadrans w milczeniu brnęliśmy pieszo w górę kamienistego żlebu. Starłem się uczepić jakiegokolwiek nadziei, przeglądając w myślach okoliczności, które zwiększały możliwość przeżycia czarodziejek. Margueritte tyle wiedziała o Wojnie Rozdarcia. Tworzyła autorskie zaklęcia przeciwko zagrożeniom związanym z Pustką. Nie wszystkie działały, ale byłem obecny przy opracowywaniu wielu z nich, a kilka znałem na pamięć. Na przykład... O właśnie, Ulepszone Pies Gończy. „Ta wersja – twierdziła Margueritte – pozwoli wykryć znajomą aurę nawet po drugiej stronie Pustki”.

Po drugiej stronie Pustki.

Zawsze myślałem, że to taka metafora.

Wyciągnąłem z torby kartkę. Idąc, szkicowałem wzór. Dla postronnego obserwatora wyglądało to jak zwykłe bazgroły, ale w mojej głowie pojawiały się prawidłowe, harmonijne figury i przekształcenia. Przetwarzaliśmy to zaklęcie kilkanaście razy. Nie do końca rozumiałem dlaczego; używało niecałe trzy jednostki i Meg z pewnością nie potrzebowała przy nim pomocy. Ale oczywiście

czasem człowiek chce rzucić więcej niż jeden czar naraz. Tak to sobie wtedy tłumaczyłem.

Zostałem trochę w tyle. Kathryn pierwsza wspięła się na szczyt – jako czarodziejka nawet się nie zadyszała – i obejrzała za siebie.

– Vince – syknęła jadownicę. Jej głos był podminowany rozpaczą. – Co ty odstawiasz?

– Myślę – odparłem cicho. – Kat, nikt tak po prostu nie znika przy udanym zasklepieniu rozpadliny. Margueritte musiała mieć jakiś plan.

– Aha. – Dziewczyna rozłożyła ręce. – Plan! Powiem ci coś. Meg nie wyskoczyła z *Sagi o Glorionie*. Tak! Nawet Czarna Meg nie jest bogiem!

Odwróciła się ode mnie i znikła mi z oczu. Strażnik pobiegł za nią, pokrzykując, aby uważała na skażone obszary. Wspiąłem się na wzgórze.

Gdyby nie drewniane paliki, stalowe pręty i srebrne runy porozstawiane na całej polanie, nikt by się nie domyślił, że kilka godzin temu zaszyto tutaj dziurę w rzeczywistości. Rozkopana ściółka i powyrywane krzewy bardziej przypominały skutki żerowania stada dzików. W jednym z punktów, oznaczonych zielonymi słupkami jako bezpieczne, przykucnął drugi strażnik, oparty o pikę zatkniętą w trawę tępym końcem. (Od kilkuset lat nie wymyślono nic lepszego dla Straży Granicznej – służy jako broń, narzędzie do badania terenu i skażonych obiektów bez ich dotykania). Wyglądał na znużonego. Kathryn przypatrywała się pozostałościom po rytuale, swoim zwyczajem zagryzając usta.

Kierując się runami i stalowymi prętami, które zostawiły czarodziejki, odtworzyłem w myślach kształt rozpadliny.

– Gdzie stały czarodziejki? – spytałem, ledwo wydobywając z siebie głos. Namacałem już w torbie różdżkę, nieużytą do końca przez Meg. Jeśli coś mogło zachować ślady jej aury...

Nie ruszając się z miejsca, strażnik wskazał miejsce piką. Kathryn obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem. Zamknąłem oczy i jeszcze kilka razy powtórzyłem w myślach obliczenia. Serce tłukło się w piersi, krew szumiała w uszach. Nie będzie drugiej szansy. Nie miałem energii na dwa takie zaklęcia. Ulepszony Pies Gończy zawierał elementy entropiczne; Kathryn uczyłaby się go przez całe miesiące. „Przetworzyć, nadać kształt, przekształcać razem ze wzorem. Punktować kolejne etapy słowem i gestem. One są elastyczne – przypominałem sobie – tolerują niewielkie błędy. Obym tylko nie okazał się dysentropikiem”.

Zacząłem rzucać. Kątem oka dostrzegłem jeszcze zdumienie na twarzy Kat, a potem przestałem zwracać na nią uwagę. Koncentrowałem się jak nigdy w życiu. Energia Źródła posłusznie wpłynęła do mojej sieci energetycznej; miałem wrażenie, jakbym trzymał w rękach gorący kartofel. „Spokojnie – powtórzyłem sobie – przetwarzales już większe ilości mocy”.

Obliczyłem pierwszą całość, uwzględniając parametry aury Meg. Wielokrotnie przeprowadzałem takie kalkulacje na papierze, ale po raz pierwszy towarzyszyła im moja własna moc. Znałem teorię, wiedziałem, że wzory opisują zmiany relacji

między energią, materią i przestrzenią. Teraz jednak to poczułem. Różnica była wstrząsająca. Jak między pływaniem na sucho a faktycznym wejściem do wody.

Omali nie wypuściłem zakłęcia z rąk, zanim je skończyłem. Jakiś czas – kilka sekund, a może kilka minut – odzyskiwałem równowagę. Straciłem dodatkowe dwie jednostki. Wreszcie jednak dokończyłem wszystkie elementy wzoru i dopracowany dowód, razem z towarzyszącą mu energią, zaistniał i zmienił świat.

Zobaczyłem cienką złotą linię biegnącą od różdżki prosto do miejsca, w którym ostatnio widziano Meg. Tam linia straciła impet; zgłupiała, zawinęła się w spiralę, a potem znikła. Ale tylko pozornie. W rzeczywistości – czułem to wyraźnie – przesunęła się w czwartym wymiarze, rozwijając spiralę w odwrotną stronę. I pobiegła dalej, trafiając wreszcie...

Skończyło się. Stałem między stalowymi prętami; jeszcze wyciągałem dłonie przed siebie. Pot ściekał mi z czoła. Źródło było puste. Chyba zaczynałem dostawać dreszczy.

– Vincent...? – odezwała się bardzo powoli Kathryn.

– Meg i Belinde żyją – powiedziałem, ledwo odzyskując oddech. – Widziałaś to? Nie zginęły. Ja... One... Poczujesz?

– Vince, do jasnej cholery, ty właśnie rzuciłeś zakłęcie.

– Meg i Belinde żyją – powtórzyłem. – I znajdują się po drugiej stronie Pustki.

* * *

– Ale nie ma czegoś takiego jak druga strona Pustki! – wykrzyknęła Kathryn, zrzucając płaszcz w progu. Machinalnie złapałem go w locie i zawiesiłem na haku. – Istnieje normalny świat i pierwotna magma, która pożera wszystko, czego dotknie!

– No więc tłumaczę ci właśnie po raz pięćdziesiąty, że nie wszystko musi się znajdować w podręcznikach – odparłem. – Prawie na pewno większość informacji na temat Pustki i pozostałości po Wojnie Rozdarcia została utajniona przez Gildię. Nie, nie przerywaj mi znowu. Znaleźliśmy z Meg kilka poważniejszych artefaktów, zanim jeszcze zaczęłaś naukę. Nigdy więcej nie zobaczyłem ich na oczy, niczego nie opublikowaliśmy, a Margueritte nakazała, aby o nich nie wspominać. Sam nie zrozumiałem, do czego służyły, i nie mam pojęcia, czy szefowa wiedziała.

– Gdybym nie obserwowała twojego zakłęcia, nigdy bym w to nie uwierzyła. – Kathryn opadła na żółtą kanapę. – Pamiętasz, kiedy szliśmy na smoka... mówiła coś o Barierze zrekonstruowanej przez czarodziejów Creo... Musimy koniecznie przejrzeć jej notatki.

– Kathryn...

– Wiem, przeszukiwanie cudzych gabinetów nie jest szczytem dobrych manier, ale dla mnie to wygląda na szczególnie okoliczność. Przecież nie możemy działać

na ślepo!

– Kathryn, nawet jeśli złamiemy kod jej magicznej kuli... – zająknąłem się. – Nie wiem jak ciebie, ale mnie to zwyczajnie przerasta. Musimy się koniecznie spotkać z Arcymagiem. Porozmawiać z nim, najlepiej twarzą w twarz...

– Masz trochę racji – mruknęła Kat. – LeBrun i tak nalegał, żebyśmy wracali do Avalonu i nie budzili podejrzeń. Po drodze spróbuję rozszyfrować hasło Meg. Nie mówiąc już o tym, że chciałabym się dowiedzieć, dlaczego twoje Źródło odpaliło dopiero teraz.

– Sam się nad tym zastanawiałem i sądzę, że to ma coś wspólnego z przetworzeniem duszosmoka. Nigdy wcześniej nie wykorzystałem pełnej pojemności kanałów energetycznych, a już na pewno nie przez kilka minut i pod takim ciśnieniem. Zwykle robią to ludziom podczas testów, ale na mnie, o ile pamiętasz, nie wystarczyło energii. – Wzruszyłem ramionami. – Co oczywiście rozkłada na łopatki współczesną teorię aktywacji. Bo wiesz, co to znaczy.

– Że rytuał przebudzenia nie ma sensu! Aktywacja Źródła zachodzi już podczas testu potencjału, kiedy wypełniają cię mocą do limitu! – Kathryn zakryła usta dłońmi. – Jasna cholera. Meg jest geniuszem. Masz pojęcie, jaka będzie z tego monografia?

– Nie czuję się dobrze ze świadomością, że figurowałbym w niej nie jako współautor, ale obiekt doświadczalny. I po co zwlekała ponad dwadzieścia lat i szukała dla mnie smoka, zamiast wysłać podanie do Gildii?

– „Droga Rado Gildii. Potrzebuję niesamowitych ilości energii magicznej oraz kilku chwil sam na sam z kosztownym sprzętem, żeby jeszcze raz przetestować chłopaka, któremu się nie aktywowało Źródło. A to dlatego, że mam rewolucyjną teorię, która przeczy wszystkiemu, co wiemy o przebudzaniu magów. Oraz pięćdziesiąt pomysłów na minutę, z których kilka zrealizowałam z takim przytupem, że napisano o nich sztuki teatralne z gatunku sensacji i grozy” – powiedziała Kathryn.

– Skoro tak to ujmujesz... – westchnąłem.

– Ja cię nie rozumiem, Vince. Powinieneś się cieszyć, że jednak jesteś czarodziejem.

Do salonu weszła Amandine, niosąc obraz z widokiem ze wzgórza. Za nią podążyła Lily z małym podobrazem, na którym widniał szkic węglem wykonany niewprawną dziecięcą ręką. Moja narzeczona postawiła obraz pod ścianą i popatrzyła na nas z zaniepokojoną miną.

– Czego się dowiedzieliście? Co to w ogóle znaczy, że Vincent jest czarodziejem?

Spojrzałem na nią, na jej poplamione farbą dłonie i luźno związane włosy. Poczujęm się jak ostatni dupek. Powinna dowiedzieć się pierwsza. Powinniśmy jakoś spróbować to razem ułożyć. Ale nie, ja wybrałem najbardziej tchórzliwe rozwiązanie, postanowiłem ukryć aktywację przed wszystkimi, włącznie z własną narzeczoną. I wyszło, jak wyszło.

– Prawdopodobnie nic nie znaczy. – Zagłębiłem palce we włosach. – Mam trzydzieści siedem lat i pięć jednostek, co jest mało rozwojową kombinacją. Zrobię licencję technika i będę używał tej mocy przez resztę swojego zamożnego i spokojnego życia.

Kathryn spojrzała na mnie krzywo.

– Pięć jednostek? W pierwszy dzień po aktywacji?

– Trzeci, jeśli liczyć od walki ze smokiem.

Czarodziejka potrząsnęła głową.

– Nie, to się liczy inaczej. Najpierw system musi się przebudować. Wczoraj miałeś kaca. Przedwczoraj miałeś kaca. Dzisiaj masz pięć jednostek. To pierwszy dzień.

– Po aktywacji ludzie zwykle tyle mają...

– Dopiero pod sam koniec. Aktywacja jest procesem, trwa przez pięć do siedmiu dni. Ja na początku miałam tylko dwadzieścia kwantów. Tyle że już zachowywały się jak Źródło.

– Może mój proces się zakończył...

– Myślę, że w grę wchodzi raczej efekt Herzog-Molnar. Tylko nie pamiętam takich ekstremalnych przykładów jak twój...

– Efekt czego? – odezwaliśmy się równocześnie z Amandine.

– Trening z mocą przed aktywacją Źródła przekłada się na pierwotny zasób Źródła po aktywacji.

– Znaczy co?! – zdenerwowała się Amandine.

– Podczas testów – rozległ się cichutki, ale wyraźny głos Lily – poznałam dziewczynkę, która wcześniej przez długi czas używała magii prostej. Kiedy nas wypuścili, miała siedem jednostek. Twierdziła, że to z powodu efektu Herzog-Molnar.

Zakręciło mi się w głowie. Przez dwadzieścia cztery lata nie tylko używałem magii prostej, lecz także robiłem z mocą wszystko, pominąwszy samo rzucanie zaklęć. Jak to się przekładało na lata regularnej nauki magii?

– Myślę, że pod nieobecność Meg powinnam zbierać dane. – Oczy Kathryn niemal świeciły. – Monitorować twoje postępy. Zbadać rezonans.

– Chwilka, chwilka. – Amandine wystąpiła przede mną. – A nie powinnaś zapytać go najpierw o zdanie?

– Powinna – oznajmiłem stanowczo. – A przede wszystkim powinna się uczyć do egzaminu. Kiedy wyjdzie na jaw, że Meg zniknęła, musimy mieć czarodzieja z dyplomem w jej zastępstwie, bo...

Przerwałem. Nie chciałem mówić tego przy Lily, ale ona dokończyła za mnie:

– Bo inaczej zabrają mnie z powrotem do hrabiny d'Opal.

Zapadła cisza.

– Właściwie wszyscy jesteśmy teraz nielegalni. – Kathryn zniżyła głos. – Ja i Lily nie mamy nadzoru dyplomowanego czarodzieja, a Vince nawet statusu ucznia. Trzeba szybko wrócić do stolicy. W tłumie nikt się nie zorientuje – ja się zapiszę na egzamin, ty może od razu zarejestruj się na licencję... Jeśli taki René się dowie, jesteśmy ugotowani...

– René d’Ange? – zdziwiła się Liliana. – Ten śmieszny facecik bez podbródka? Pracuje dla Arcymaga. Obiecał, że jak najszybciej załatwi mi szkolenie u lady de Breville. Po tym, jak zaczęłam zionąć... – Zaczerwieniła się. – Powiedział, że jest tam jeden uczeń, ale to tak naprawdę pic na wodę i ten człowiek tylko zajmuje miejsce. Przepraszam, panie Thorpe, cytuję go dokładnie. Myślałam, że znienawidzi mnie pan za to, że przyjechałam.

– Zdziwiający. – Podrapałem się po głowie. – Ale nie musisz się tego obawiać. Ciekawe, czy jeszcze ktoś w naszym gronie jest kimś innym, niż się wydaje. Nie zdziwiłbym się, gdyby Margueritte okazała się kuzynką Lucjusza Szalonego i ostatnią żyjącą Maginią Pustki.

– Biorąc pod uwagę jej zniknięcie po drugiej stronie – Kathryn przygryzła usta w zamyśleniu – to nie jest taka głupia myśl.

Raport terenowy

14 Avril 753 AG

Misja przerwana. Operacja „Placek po bretańsku” zagrożona niepowodzeniem. Bezpośredni powód – przebiegunowanie przyciągania energetycznego podczas rytuału zasklepienia no. 5, tzw. haft krzyżykowy. Pośredni powód – pies go trącał.

Operacja „Asystent czarodziejki” – podejrzewany wynik pozytywny. Brak możliwości weryfikacji.

Cel zastępczy: kontakt z Trzecią Wyrocznią.

Spostrzeżenie: Dalsze prowadzenie dziennika sprawozdań terenowych będzie pomocne w zachowaniu poczucia celu i zdrowych zmysłów, nawet jeśli nigdy nie wrócimy do Arborii. Pierwsza obserwacja: Spektrum barw przesunięte w stronę żółci. Skażenia brak. Oczekujemy kontaktu z miejscowymi.

Ściółka była miękka i śliska od nadgniłych igieł i zeszłorocznych liści. Dookoła śpiewały zięby; co jakiś czas konwersacyjnym tonem wtrącała się wilga. Pod lewym barkiem Margueritte wyczuwała szyszkę. Przemoczona na plecach suknia nieprzyjemnie kleiła się do skóry. Czarodziejka sięgnęła dłonią do pieczołowicie ufryzowanych włosów, obawiając się, co tam znajdzie. Oprócz nieuniknionych liści oraz jeszcze jednej wielkiej piniowej szyszki wymacała ozdobne szpile i grzebienie. Liczyła je przez chwilę. Wszystkie znajdowały się na miejsku, zwłaszcza najważniejszy z grzebieni. Odetchnęła.

Usiadła. Las pozornie niczym się nie różnił od miejsca, w którym znajdowała się przed chwilą. Tylko kolory były inne, stłumione, jakby się patrzyło przez przyciemnione okulary. Bystre oczy Meg szybko zaczęły wychwytywać inne drobne różnice. Roślinność, kąt padania światła. Pora roku wydawała się przesunięta o miesiąc lub dwa w przód. Strata czasu podczas podróży czy zmiana klimatu? Tego nie rozstrzygnie, dopóki nie znajdzie sposobu na kontakt z Gildią. Pytanie, jakie mają możliwości kontaktu. Bo wszystko zależy od tego, czy poprzedni agent jeszcze żyje i zechce współpracować.

Sięgnęła do Źródła i poczuła, jak przenika ją dreszcz. Potwierdziły się jej najgorsze przypuszczenia. Były zdane na siłę własnych rąk i umysłów, w obcym świecie, do którego trafiły wbrew wszelkim planom – za wcześniej i w warunkach dalekich od kontrolowanych.

Tuż obok dostrzegła Belinde. Przyjaciółka, całkiem oszołomiona sytuacją, machinalnie wybierała liście z włosów i rozglądała się nerwowo.

– Meg... Co tu się wyprawia? Sądziłam, że nas wessało.

– Bo wessało. – Margueritte powoli wstała, starannie otrzepując się ze ściółki. Tuż obok leżał jej plecak, po który sięgnęła w chwili zakończenia rytuału. Dobrze. Belinde zabrała torebkę. Szanse przetrwania stopniowo się zwiększały. – Znalazłyśmy się po drugiej stronie Pustki.

Belinde zdejmowała liście z beżowej spódnicy. Margueritte nawet się nie zdziwiła, że strój przyjaciółki nadal wygląda czysto i świeżo. Urok albo automagia, Belle zawsze miała swoje sposoby.

– Po drugiej stronie... Zaraz. – Belinde ściągnęła usta. Uważnie rozejrzała się dookoła. – Nie ma czegoś takiego jak druga strona... chyba że... Utracona Bretania przetrwała. Jak w książkach mademoiselle Chateaubriand. Coś takiego! Czuję się jak bohaterka powieści przygodowej.

– Gratuluję optymizmu – odparła sucho Meg. – Będzie nam potrzebny. Wiemy, że nadal żyją tutaj ludzie, a przynajmniej żyli jeszcze dwieście lat temu.

I to mniej więcej tyle. Żadne dane nie precyzują, czy w tym czasie nie wyrosły im ogony.

Belinde zerknęła na bransoletkę, gdzie zatknęła licznik skażenia.

– Pięć do siedmiu mikromerlinów. Albo trafiłyśmy na jedyny nieskażony obszar w okolicy, albo możemy założyć, że raczej nie spotkamy Napiętnowanych. Ciekawe, jak to możliwe. Przecież nie mają Bariery. To zaś prowadzi nas do kolejnego pytania...

Skierowała na Margueritte skupione, poważne spojrzenie.

– Skoro przeżyłyśmy kontakt z rozpadliną, a nawet przedostałyśmy się na drugą stronę... to czy ty, Meg, nie jesteś Magiem Pustki?

Margueritte uśmiechnęła się krzywo. Gdyby tylko Belinde miała rację. Och, to by rozwiązało tyle problemów, nie wspominając już o tym, że najlepszej specjalistce od magii Pustki na Arborii przydałaby się możliwość jej używania. Niestety, na razie istniały tylko półśrodki.

– Chciałabym.

– W takim razie jak...

– Zaczekaj.

Wyplątywanie z włosów grzebienia zajęło jej kilka minut. Nieduży przedmiot z macicy perłowej, kunsztownie inkrustowany drobnymi rubinami, niknął w jej imponującej koafiuurze. Jako ozdoba trochę się marnował, zresztą zgodnie z intencją Meg. Do tej pory nie wymyśliła lepszego sposobu, aby go ukryć.

Kolejne warstwy maskowania były niewidoczne dla ludzkiego oka. Meg nałożyła kilka silnych zaklęć jedno na drugie, aby stłumić aurę przedmiotu. Belinde z pewnością wiedziała, że jej przyjaciółka nosi we włosach artefakt, ale nie domyślała się jak potężny.

– Niesamowite...

Belinde ostrożnie ujęła grzebień w dłonie, jakby miała do czynienia ze skorupką jajka. Margueritte wyobrażała sobie, jakie wrażenie zrobiło na przyjaciółce dzieło tej klasy. Jako specjalistka od magicznych przedmiotów zapewne umiała lepiej niż ona je docenić.

– Został stworzony przez Dwudziestą Cesarzową Triumwiratu, Solange de Tencin de Branche d'Obsidienne. Jedną z pierwszych uczestniczek Wojny. Jej córka nie była Maginią Pustki, ale często towarzyszyła matce.

– Pozwala przenosić się przez Pustkę?

– Nie, wytwarza tylko silne pole ochronne. Zmieściłyśmy się obydwie. Prawdę mówiąc, nie wiem, co sprowokowało podróż. – Margueritte zaplotła ręce. – Chociaż mam pewną hipotezę. Istnieje taki inteligentny konstrukt magiczny, który potrafili by nas tutaj ściągnąć. Najpierw trzeba by jednak spełnić kilka warunków...

– I nosisz to we włosach... od kiedy?

– Mniej więcej dwie dekady.

– Nigdy mi nie powiedziałaś.

Meg rzuciła jej ponure spojrzenie.

– Właśnie mówię. Sypię informacjami jak drzewo, z którego strącają orzechy. Skromnie licząc, zarobiłam już na dwa wyroki wygaszenia Źródła i szybko zbliżam się do śmierci przez rozstrzelanie.

– Ach. Wszystko jasne. Pracujesz dla korony czy dla Gildii?

– Którego słowa z zestawienia „tajna agentka” nie rozumiesz, Belle? – oburzyła się Margueritte.

– Oj tam, oj tam. Nie bądź taka tajemnicza. Trafiłyśmy do Utraconej Bretanii.

– Belinde Chamomille wyciągnęła z torebki własną szczotkę, szpile i zaczęła upinać włosy w praktyczny kok. – Mleko się rozlało. Weźmy dupy w troki i znajdziemy tubylców, możesz mi wszystko opowiedzieć w drodze. Chwila, rzucę zaklęcie lokalizacyjne...

Margueritte obserwowała, jak przyjaciółka blednie, a szpile wysypują jej się z rąk na leśną ściółkę.

– Jak widzisz, mamy jeszcze jeden problem – rzekła z goryczą – który zawdzięczamy niuansom tutejszej geografii.

* * *

Szły wzdłuż strumienia, zakładając, że prędzej czy później trafią na ludzką siedzibę. W krótkim czasie nowe trzewiki Margueritte doszczętnie przemokły. Lepiej sprawowała się suknia, regularnie konserwowana i odnawiana za pomocą uroków. Czarodziejki brnęły przez paprocie i wysokie trawy, uważnie stawiając stopy, aby nie pośliznąć się na szyszce lub wystającym korzeniu.

Chociaż ich Źródła przygasły, nie znikły całkowicie, podobnie jak po jasno płonącym ognisku jeszcze długo utrzymuje się żar. Margueritte nie chciała ruszać tego niewielkiego zasobu jednostek, niepewna, czy następnego dnia moc wróci w takim samym stopniu. Teoria Weylanda tylko pobieżnie opisywała sytuację. Kiedy Utracona Bretania oddzieliła się od reszty świata, wszystkie najważniejsze Źródła geograficzne – w dawnych czasach zwane miejscami mocy – zostały na drugiej części kontynentu. A bez nich Źródła czarodziejów nie miały dostępu do energii. Wyjątek od tej reguły, na przekór wszelkim zamysłom, znajdował się po nieodpowiedniej stronie Pustki.

Meg niepokoiło zachowanie Belinde. Odkąd przyjaciółka zorientowała się, że nie może rzucić zaklęć, nie odezwała się do niej ani słowem. Szła tylko sztywno, noga za nogą, pobladła i pozbawiona ducha. Margueritte nie wiedziała, jak najlepiej ją pocieszyć, więc robiła to, co umiała – rozglądała się za śladami ludzkiej bytności oraz źródłami pożywienia. Chociaż Vincent Thorpe dawno przerósł pod tym względem swoją nauczycielkę, to właśnie Meg zapoznała go z podstawami botaniki i zielarstwa. Właściwie wolałaby, żeby chłopak lepiej przykładał się do strategii i taktyki wojennej, ale jego zawsze bardziej pociągała

nauka przyrody. Roślinki, zwierzątka, nastawianie skrzydeł chorym skowronkom. Ledwo dał się namówić na treningi sztuk walki. Westchnęła. Weyland twierdził, że to dobrze, i zapewne miał rację. Tak czy owak, projekt posypał się spektakularnie, a ponieważ jego najbardziej inteligentna wykonawczyni już nie mogła go nadzorować, możliwości ratunku prezentowały się blado.

W miarę jak podążały naprzód, strumień łączył się z mniejszymi potokami i stopniowo się poszerzał, przeistaczając się z wartkiej, przejrzystej strużki w niewielką górską rzekę. Czarodziejka zauważyła kępy rukwi wodnej, a w toni mignęły jej szare grzbiety pstrągów. Przy odrobinie wysiłku można by przerobić jakąś ozdobę do włosów na haczyk, zostało też całkiem sporo dobrej jedwabnej nici, używanej zwykle w rytuałach. O właśnie, a te żółte kwiaty w oddali...

– Belle, zatrzymaj się. Widzę coś ciekawego.

Belinde wzruszyła ramionami, ale posłusznie przystanęła. Meg ostrożnie zsunęła się po kamykach w stronę żółtej kępy. Chrupkie bulwy słonecznego korzenia, czy też – jak nazywały go restauracje – trufli doloriańskiej, nadawały się do jedzenia zarówno po ugotowaniu, jak i na surowo, i można było nimi całkiem dobrze zaspokoić głód.

Zbliżywszy się do kępy, cofnęła się z mieszaniną rozczarowania i ulgi. Rozczarowania, ponieważ ktoś już był tutaj wcześniej. Zostało tylko kilka kwiatów, ziemię wokół dokładnie przekopano, a roślinność na dużym obszarze stratowano. Ulgi, bo żadne dzikie zwierzę w poszukiwaniu pożywienia nie używa motyki.

– Belinde, chodź no tutaj. Zdaje się, że znalazłam tutasów.

– Chyba nie mogę, Meg – odezwała się czarodziejka zduszonym głosem. Margueritte odwróciła się i natychmiast dostrzegła wbitą w pobliskie drzewo dorodną strzałę o czerwonej lotce. W międzynarodowym języku wojennym oznaczało to: „Nie ruszać się, bo podziurawimy was jak rzeszoto”.

– Zdaje się – wykrztusiła Belinde – że tutaj znaleźli nas.

* * *

Blask słońca odbijał się w strumieniu. Czarodziejki stały w bezruchu, wyczekując dalszego rozwoju sytuacji. Z krzaków wyłonił się z wolna starszy mężczyzna uzbrojony w łuk i z drugą strzałą założoną na nienaciągniętą jeszcze cięciwę. Dzierżona przez niego broń była chyba jedyną cenną rzeczą, jaką posiadał. Ubrany w poplamioną, poszarpaną lnianą koszulę i podobne spodnie, dla ochrony nosił jeszcze połatana tu i ówdzie skórzaną kurtę bez rękawów. Znad ramienia wystawało mu jeszcze kilka lotek strzał tkwiących w kołczanie zawieszonym na konopnym sznurze; skórzaną pasek, który powinien go podtrzymywać, dawno się rozpadł. Sam mężczyzna również wyglądał, jakby najlepsze lata miał za sobą – zarośnięty, brudny i pokryty czyrakami, pożywką dla pcheł i pluskiew. Gdy postąpił dwa kroki do przodu, stało się jasne, że wlecze za sobą lewą nogę.

– Niy ruszej się z tych krzoków, Thierry! – dobiegł z zarośli ochryply kobiecy głos. – Siedz na rzici, pieron wiy, co te szczigi umiom.

– Zawrzij się! – warknął mężczyzna, odsłaniając popsute uzębienie. – To niy som żodne szczigi, ino dwie gryfne frelki, i łobleczone po pańsku. Nic już lepij niy godej, bo ci się cosik stanie, krzywda jako.

Margueritte zmarszczyła brwi. Niewątpliwie mówili po bretońsku, z akcentem, który dodatkowo zniekształcał słowa i sprawiał, że z ledwością ich rozumiała. Gdyby wziąć starobretoński sprzed siedmiuset lat i pozwolić mu rozwijać się w zupełnie inną stronę niż na Arborii, być może brzmiałyby właśnie tak. Ale istniała też możliwość, że czarodziejki słyszą tylko jeden z licznych tutejszych dialektów.

Drugie spostrzeżenie: Prócz tej dwójki w zaroślach czaiła się większa liczba obdartusów nieokreślonej płci i wieku. Zdradzały ich tu i ówdzie poruszające się gałązki; poza tym im dłużej pozostawali w miejscu, tym bardziej czuć było ich smród.

– Żodnyj godki!! – Thierry napiął łuk. – Ciepnijcie sam ino te klamory. I te klajdy tyż mi tukej dejcie. My sam prziszli w wielgij sile.

Margueritte zaczęła przeglądać w myślach nadające się na taką okazję uroki magii prostej. Niestety, wszystkie działały dość powoli, nawet te zastrzeżone, nielicencjonowane kłatwy. Można by sięgnąć do plecaka po różdżkę – zostało ich jeszcze kilka – ale jak to zrobić, gdy celuje w ciebie strzała? Pozbawiona możliwości rzucania ognistych kul po raz pierwszy od wielu lat Meg nie miała pojęcia, jak się zachować w obliczu konfliktu grożącego utratą zdrowia lub życia.

I wtedy zauważyła, że mężczyzna się waha i opuszcza łuk. Ostrożnie zerknęła w stronę przyjaciółki.

Belinde się uśmiechała. Najładniejszym ze swoich uśmiechów, który łagodził, urzekał i rozbrajał. Może pomagały jej uroki wplecione w suknię, a może i nie.

– Dzień dobry państwu. Jakże się cieszę, że natknęłyśmy się na was, nieszczęśliwie zagubione w tym ogromnym lesie – odezwała się, wyraźnie artykułując każde słowo. – Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Belinde Chamomille de Branche d’Emeraude, a to moja przyjaciółka, potężna i mądra Margueritte de Breville de Branche d’Ambre. Jesteśmy czarodziejkami ze szlacheckiego rodu z dalekiej Arborii i podróżujemy, aby spotkać się z władcą waszego kraju. Przybywamy w pokoju. Chcemy, aby zaprowadził nas pan do waszego przywódcy.

Z zarośli powoli zaczęła się wyłaniać uzbrojona w pałki banda. Kobiety, kalecy starcy, małe dzieci. Ani jednego dorosłego, zdrowego mężczyzny. Ale sprawiali wrażenie, że wiedzą, co robią.

„Ona zwariowała – pomyślała Meg. – Chce umrzeć. Przecież to nie ma prawa zadziałać. Ci ludzie wyglądają tak, jakby od pięciu lat bez przerwy jedli tylko doloriańskie trufle i dzikie świnie prosto z lasu. Jesteśmy dla nich chodzącymi sakiewkami”.

– Pierona...! – odezwał się jeden z niedorostków. – To jakieś arystokraty!

– Skończ fanzolić, niy ma żodnych czarodziejów! – prychnęła ta sama co poprzednio kobieta.

Teraz Meg widziała ją wyraźnie. Żylasta, ubrana w suknię, która kiedyś była błękitna, z twarzą mocno umalowaną lokalną wersją kosmetyków i włosami zabarwionymi sokiem z orzecha.

– Dyc, że niy ma – rzekł Thierry, intensywnie wpatrując się w przybyszki. – Ale arystokraty to som. I jo ci godom, że to łone. Godajom i wyglądataj jak arystokraty.

– No to fanga w łeb, bierymy klamoty i do dom?

– Tyś chyba już blank na gowa śleciała. Dyc łone idom do generała. A jak na nich czeko?

To im dało do myślenia. Już wcześniej zresztą Margueritte zauważyła, że domniemane szlachectwo zrobiło na niektórych, zwłaszcza młodszych, spore wrażenie, co wiele mówiło o relacjach społecznych panujących w Bretanii. Teraz zaczęli dyskutować, przekrzykując się nawzajem. Wreszcie człowiek z łukiem znów spojrział w stronę czarodziejek.

– Niych wom bydzie, frelki – powiedział. – Lepij, żebyście godały prowda. Pódymy z wami do generała. A potym to niych już łone z wami łonacom, co chcom.

Zbrojna kupa otoczyła Meg i Belinde. Skoro tylko zebrali się do drogi, zarzucając na plecy poukrywane w trawie wory i kosze, okazało się, że są objuczeni jak muły. Bulwami słonecznego korzenia, rukwią i kwiatostanami bzu, świeżymi rybami, związanymi za skoki zajęciami, pękami wikliny i suchym chrustem, a także wielkimi skórzanymi bukłakami pełnymi wody. Żylasta kobieta przerzuciła sobie przez ramię ustrzelonego z łuku młodego jelonka. Thierry, najwyraźniej przywódca całej grupy, uważnie wyjął z pniaka wypuszczoną na postrach strzałę i z powrotem schował ją w kołczanie. Następnie odszukał solidny kostur, na którym się opierał podczas marszu. Sam nic nie niósł.

– Skąd wiedziałaś? – szepnęła Meg do przyjaciółki.

– Odkąd nas zobaczyli, trzęśli się zarówno z chciwości, jak i ze strachu – odparła także szeptem Belinde. – Mamy broń? Z daleka widać, że posługujemy się magią? Nie. Ale jesteśmy bogato ubrane. Jeżeli obawiają się nas tylko z tego powodu, to znaczy, że tutejsza elita rządzi twardą ręką. Ten facet, Thierry, jest weteranem wojennym. Widzisz, jak ich prowadzi? Liczyłam na to, że zachował resztki szacunku dla władzy.

– Jestem pełna podziwu – mruknęła Margueritte. – Jak zawsze znasz się na ludziach. Jeśli sprawisz, żeby generał tych bandziorów też jadł ci z ręki...

– Meg, kochanie. – Belle przewróciła oczami. – Ci ludzie nie są bandytami. Zwróciłaś uwagę na to, że nie ma wśród nich ani jednego mężczyzny nadającego się do otwartej walki? I jeszcze te bukłaki... Może się mylę, ale myślę, że mamy do czynienia z zaopatrzeniem. Tak zwanymi ciurami obozowymi. I zważywszy

na to, że las nie wygląda na całkowicie splądrowany, dopiero za dwie lub trzy godziny dotrzemy do regularnej armii.

* * *

Obozowisko cuchnęło już z daleka. Tuż pod lasem, między dwoma wzgórzami, wyrosło gęste i gwarne miasto wielobarwnych namiotów; unosiły się nad nimi smugi dymu. Zbliżając się do taboru, Margueritte przyglądała się stłoczonej ludzkiej ciżbie – hałaśliwej, śmierdzącej i mrowiącej się w codziennych zmaganiach ze światem. Ktoś wylewał pomyje poza obręb własnego namiotu, ktoś inny niósł kosz wypełniony szmatami. Przy ognisku siedziało kilku mężczyzn w nieco porządniejszym odzieniu i rozpiętych skórzniach; popijali coś z kamionkowych kubków, tocząc żywą dyskusję. Jakiś chudy, pryszczaty chłopak karmił konie uwiązane do palików przy wozie. Wszędzie trzeba było uważać na końskie łajno. Możliwe, że czarną, błotnistą ziemię jeszcze niedawno porastała trawa, ale wspólnym wysiłkiem wozów, koni i przemieszczającego się tłumu odarto ją do nagości.

Zapachy gęstniały z każdym krokiem. Prócz odoru niemytych ciał, gnijących odpadków, drażniącego dymu i zwierzęcych odchodów w kompozycję wplatały się przyjemniejsze aromaty; gdzieś nieopodal piekł się chleb i gotowała zupa na cebuli i grochu. Wokół rozbrzmiewały rozmowy, śmiechy, a nawet muzyka. Zadźwięczało uderzenie metalu o metal. Minęli improwizowany warsztat kowalski, gdzie gruby facet w skórzanym fartuchu wyklepywał komuś sfatygowany napierśnik.

Banda rozchodziła się w różne strony obozowiska, dzieląc się łupami. Wreszcie przy Meg i Belinde zostali jedynie Thierry, dwa nieletnie chłopaki i kobieta z jelonkiem przewieszonym przez ramię. Chłopcy postawili przed jednym z namiotów jutowe worki, bukłaki i wypełniony po brzegi kosz i wymienili kilka uwag ze starym łucznikiem; Margueritte zrozumiała, że umawiają się, jak podzielić upolowanego jelenia w zamian za oskórowanie zwierzęcia i przygotowanie mięsa. Wreszcie kobieta i jeden z chłopaków oddalili się w swoją stronę, drugi zaś wyrostek, usmarkany, długonosy i chyba trochę głupi, został razem z Thierryem. Przez ten cały czas nieprzyjaźnie gapił się na czarodziejki.

Thierry mocno pstryknął go w ucho i wydał jakieś polecenie. Mamrocząc pod nosem, chłopak odmaszerował w stronę dwóch łęgowatych szkap, które pochylone nad korytem w pobliżu namiotu z wolna przeżuwały siewkę. Następnie Thierry wziął zapasy i zdecydowanym gestem wskazał Meg i Belinde wejście do namiotu. Popatrzyły po sobie porozumiewawczo. W drodze Margueritte ukradkiem wyciągnęła z plecaka różdżkę, Belinde też coś wydłubała z torebki. W razie czego należało działać szybko i dyskretnie. Seria ognistych kul lub entropicznych pocisków w środku obozu armii na pewno wywołałaby reakcję, której wołały uniknąć.

Ku ich uldze w namiocie przebywały jedynie dwie dorosłe osoby. Młoda, tęga kobieta niańcząca niemowlę, ubrana tylko odrobinę lepiej niż ludzie należący do bandy Thierry'ego, oraz wysoki, mniej więcej dwudziestoletni młodzieniec, z rzadką czarną bródką, w prawie nowych pantalonach i niepołatanej jeszcze skórzni. Siedział na sienniku i kozikiem rzeźbił coś w kawałku drzewa. Na ich widok uniósł wzrok, spojrzał pytająco na starego łuczника, a następnie zagał rozmowę.

Margueritte od dzieciństwa miała talent do języków, a kiedy człowiek już pozna ich kilka, nauka kolejnych, zwłaszcza blisko spokrewnionych, staje się łatwiejsza. W miarę jak czarodziejka zanurzała się w lokalną gwara, rozumiała ją coraz lepiej. Skupiając się na słowach i gestach, tłumaczyła sobie dialog dwóch mężczyzn.

– Thierry, coś ty mi tutaj za zjawisko przyprowadził? Porwałś córki jakiemus hrabiemu, hm?

– Ano, znaleźliśmy te dwie w lesie. Dobrze ubrane, ale jakoś tak... no, dziwacznie. Twierdzą, że są czarodziejkami, szlachciankami z Arborii i czegoś chcą od dowództwa. Na wszelki wypadek nie daliśmy im w łeb. Jakby co, to zawsze można zmienić.

– Ty się z głupim na rozumy pozamieniałeś?! – prychnął młodzieniec. – Czarodziejki z Arborii, akurat, a może jeszcze Wielcy Magowie z Zaświatów?

– Nie bluźnij, Jacques – zaperzył się mężczyzna. – Zobaczysz, Wędrowiec kiedyś pokarze cię za beztroskę. Może źle zrozumiałem z tą Arborią. A poza tym hrabia de Lazurite też może się nazywać czarodziejem; jak chcesz, możesz do niego pojechać i osobiście mu powiedzieć, że chrzani. Zresztą jeśli nawet czarodziejów nie ma, to więdźmy jak najzupełniej istnieją, jak się już raz na własnej skórze przekonałeś.

– Już, już, nie broń się tak – zachnął się Jacques. – Powiedz po prostu, że nie chciałeś się dzielić ich bagażami ze swoją kompanią. A ja mam teraz problem. Bo co? Faktycznie ani na miejscowe chłopki, ani na dziwki mi nie wyglądają. Może ktoś ich szuka. Hm. A może by je tak rozebrać i sprzedać...

– One mogą mieć coś przeciwko temu – zauważyła Margueritte. – A tak serio, jest tu ktoś ważniejszy, z kim można porozmawiać? Potrzebujemy się przedostać do Nouveaux Dijon.

Belinde spojrzała na nią pytająco. Meg przekazała przyjaciółce spojrzeniem, że później jej to wyjaśni.

– Ha! – roześmiał się Jacques. – Wszyscy tutaj chcą się przedostać do Nouveaux Dijon, oczywiście w jednym kawałku. Skąd żeście się w ogóle urwały? W życiu nie słyssałem takiego dialektu.

„A co tam – pomyślała Meg. – I tak nie wymyślmy niczego bardziej prawdopodobnego”.

– Z Arborii.

Krótkim i wulgarnym słowem młodzieniec zaproponował czarodziejkom, żeby nie opowiadały bzdur.

– Belle, powiedz mu coś, bo kończą mi się pokojowe argumenty – zaproponowała Margueritte.

– Proszę cię bardzo, Meggie – odparła Belinde. – Porozmawiam z nim. Tylko najpierw muszę usiąść na czymś wygodnym. Okropnie mnie już nogi bołą.

Po czym sięgnęła do swojej słynnej skórzanej torebki i wyciągnęła składany leżak. Jacques cofnął się w głąb namiotu. Thierry stracił równowagę i sam usiadł. Kobieta z niemowlęciem krzyknęła przerażona; wytrącone z błęgiego snu dziecko zaczęło kwilić.

– Widzisz, co zrobiłaś, Belle? Obudziłaś maleństwo. Czy to jest pańskie dziecko, panie Jacques?

– Na Wędrowca! Czy szanowne panie mi grożą?

– Nie bardziej niż pan, proponując nas sprzedać. – Margueritte wzruszyła ramionami. – Masz rację, Jacques. Nie ma czarodziejów w Bretanii. Ale istnieją wiedźmy. A także, jak podejrzewam, osoby, które znają się na starej magii. Jak dawno temu wygasły tutaj Źródła?

– Że co proszę?

– Kiedy zabrakło magów? – podsunęła Belinde.

– Nie wiem. Będzie ze sześćdziesiąt lat? Thierry?

– Pięćdziesiąt pięć minie tego roku – rzekł weteran. – Ledwo od cyca odrosłem, jak zmarł Nadworny Mag, Lucjusz Wielki de Branche d’Aure, Geniusz z Arborii. I od tego zaczęły się wszystkie kłopoty.

– A, skubaniec – mruknęła Meg. – Nadworny Mag, coś takiego. Lucjusz Wielki de Branche d’Aure! Ktoś tutaj wyraźnie leczył kompleksy...

Jacques zdezorientowany popatrzył po czarodziejkach.

– Pani go znała?

– Nie osobiście – odpowiedziała Meg – ale owszem, był dość znaną postacią w Arborii.

– Przecież to tylko jeszcze jeden tytuł Nadwornego Maga – zdenerwował się młodzieniec. – Przestańcie robić mi wodę z mózgu. Arboria nie istnieje. Przepadła w Zaświatach ponad siedem wieków temu. Używacie czarodziejskich dzieł, ale to się przecież zdarza.

– Zdarza? Komu? – podchwyciła Margueritte. – Bardzo chciałabym z nim porozmawiać.

– Poddaję się – jęknął Jacques. – Thierry, pošlij Wiewióra do kwatermajstra. Wiedźmy czy nie, dam sobie radę z dwiema babami.

– Pozwolę sobie puścić mimo uszu kolejną obraźliwą uwagę – oznajmiła wspaniałomyślnie Meg.

– Zanim wróci, może lepiej wyjaśnij mi, co właściwie wiesz o Lucjuszu Szalonym – zauważyła Belinde. – Bo chyba taki przydomek nosił w domu. I czy to w Nouveaux Dijon znajduje się magiczny konstrukt, o którym wspominałaś?

Margueritte zaczęła opowiadać. A kiedy skończyła, Belinde, obeznana już ze wszystkimi najważniejszymi szczegółami, popadła w zadumę. Meg pomyślała, że zmysł polityczny przyjaciółki właśnie pracuje na wysokich obrotach. I bardzo dobrze. Może, jeśli szczęście będzie im sprzyjać, uratują się w końcu same.

Arboria, 18 Avril 753 AG

Dylizans podskakiwał na wybojach. Toczyliśmy się po gościńcu gdzieś w szczerym polu, i to nawet dosłownie, ponieważ po obu stronach drogi bez końca ciągnęły się łąny oziminy, od czasu do czasu urozmaicone kępami wierzb i topoli. Niebo było szare i cały czas siąpił nieprzyjemny chłodny deszcz. Podróżowaliśmy już czwarty dzień i wszyscy byli wyczerpani.

Bardzo dokładnie owinąłem się w płaszcz. Wolałem jak najmniej czasu spędzać na zewnątrz, nie tylko z powodu pogody. Od rana moja skóra lekko świeciła. Nie w tym sensie, że wyglądała tłusto – emitowała delikatną jasną poświatę. Dokładałem starań, żeby nie wystraszyć woźnicy. Poza tym to było trochę krepujące.

Spodziewaliśmy się, że przybędzie mi kilka dodatkowych jednostek i na tym się skończy. Nikt nie przewidział, że wzrost mocy zacznie przebiegać wykładniczo. W czwartym dniu po tym, jak wstrząśnięto fundamentami mojego życia, miałem około czterdziestu jednostek i właśnie przechodziłem transformację.

Teraz zapamiętajcie o wszystkich sztukach i powieściach przygodowych, z którymi ostatnio się zetknęliście. Transformacja nie zmienia czarodziejów w półbogów. Jeśli się skaleczą, krwawią. Jeśli spadną z drabiny, mogą połamać sobie kości. Łapią choroby zakaźne, chociaż zazwyczaj przechodzą je lżej. Ale korzyści nadal są ogromne. Żaden czarodziej po transformacji nie zapada na demencję, nowotwory czy też inną chorobę wynikającą z buntu własnego organizmu. Ich ciała znacznie lepiej znoszą zmęczenie, pragnienie i głód. I nieważne, ile czasu mag spędza przy biurku, będzie się cieszył świetną formą fizyczną. Chyba że mocno utyje – a mówiąc „mocno”, mam na myśli co najmniej dodatkowe sto kilo.

A poza tym starzejemy się pięć razy wolniej. To brzmi jak bajka, ale równocześnie stopniowo oddala nas od nieutalentowanych przyjaciół, rodziców, dzieci. Oraz ukochanych.

Amandine nie chciała się dziś do mnie odzywać. Wyciągnęła z torby książkę i chociaż nie mogła się na niej skupić, próbowała nie odrywać wzroku od kartek. Mieliśmy za sobą trzy długie, szczerze rozmowy na temat mojego nieszczęsnego wypadku przy pracy i jego konsekwencji. Ale problem był znacznie poważniejszy. Moja narzeczona musiała go żuć i jeszcze nie wiedziałem, po której stronie zostaną wypłuty.

Szczerze mówiąc, przejmowałem się tym bardziej niż losem mojej zaginionej mentorki.

Tymczasem Kathryn, kiedy nie uczyła się do egzaminu, usiłowała złamać kod dostępu do magicznej kuli Margueritte. Teraz siedziała z kulą na kolanach

i swoją, mniejszą, w dłoni. Połączyła je tymczasowo za pomocą prostego zaklęcia i właśnie przypuszczała kolejny atak ciężkimi jak młot pneumatyczny algorytmami. Z początku uważałam, że Meg wybrałaby proste hasło, jak na przykład „Śliwka”, ale tę opcję już przerobiliśmy.

– Dupa biała jak Arboria szeroka – fuknęła Kat. – Vincent, to twoja mistrzyni, znasz jej sposób myślenia. Podrzuc mi jakąś wskazówkę.

– Lepszą niż twoje łamacze kodu?

– W tym sęk. Nie wierzę, żeby używała tak długich haseł, jakie usiłuję teraz rozwalić. Coś robię źle i nie mam pojęcia co.

– Nie powtarzasz zaklęć entropicznych do egzaminu. Sama wiesz, że nie jest idealnie.

– Ratuje nasze mistrzynie.

– Koncertowo się obijasz. Byłoby fajnie, gdybyśmy mieli te informacje, ale więcej da nam kontakt z Arcymagiem. On prawdopodobnie już to wszystko wie. Uruchomi kompetentnych ludzi. Kathryn, przypominam, że na ciebie liczymy. Weyland sobie poradzi bez twojego zaangażowania, Lily nie.

Kathryn skrzyżowała ramiona na piersi.

– Tak? A ja uważam, że w ramach zwiększania szans Liliany to raczej ty powinieneś podejść do egzaminu. Twoje zastępstwo za Meg będzie znacznie mniej naciągane. Nawet niektórzy półaktywni zdają z takim zasobem energii. A twoje Źródło jeszcze nie powiedziało ostatniego słowa.

Pomysł Kat wydał mi się całkowicie szalony.

– Co? Ja? Przecież zostały niecałe dwa tygodnie.

– Przepytywałeś mnie. – Kathryn skupiała się na kuli. – Wiem, że znasz prawie wszystkie zaklęcia z listy.

– I wiesz, jak je rzucam.

– Tak, nigdy w życiu nie widziałam paskudniejszej ognistej kuli. Kąt soczewkowania zupełnie do bani. Straty energii dochodzą do dwudziestu procent. A jeśli chodzi o gesty... cóż, nie skomentuję – wymądrzała się Kat. –

Przynajmniej artykulację masz przyzwoitą. Ale myślę, że jesteś w stanie się podciągnąć do akceptowalnego poziomu. Jeśli uda ci się zejść ze stratą do dziesięciu procent i opanować świecenie dłoni podczas rzucania, na resztę przymkną oko. Co do teorii, równie dobrze mogliby ci kazać przepisywać alfabet, mam rację?

Zastanowiłem się. Faktycznie – jeśli chodzi o matematykę i zielarstwo, jest dobrze. Starobretonski ujdzie w tłoku; słownictwo mam niezłe, gorzej z gramatyką. Wzory zaklęć do przyjęcia, chociaż pozapominałem definicji, ale i tak nikt tego nie używa w praktyce. Poza tym musiałbym powtórzyć historię. Znam więcej anegdot niż dat i faktów. Gdybym przysiadł fałdów, rzeczywiście mógłbym zdać ten egzamin. Spojrzałem na Amandine.

– Rób, co chcesz. – Wzruszyła ramionami.

Odwróciła wzrok. Aż mnie ścisnęło w żołądku.

– Prawdopodobnie i tak obleję... – Już kiedy wypowiadałem te słowa, wiedziałem, że to wyjątkowo żałoszna próba załagodzenia sytuacji. Z egzaminem czy bez, mieliśmy ten sam kłopot.

Pochyliła się nad książką. Jeden z rudych loków wymknął się z luźnego końskiego ogona i zsunął się jej na policzek.

– Skoro tak sądzisz, twoja decyzja jest podyktowana miłością własną, a nie dobrem Lily.

– Wolę, żeby pan Thorpe zdawał dla siebie niż dla mojego dobra – powiedziała cicho Lily. – Bo i tak będzie musiał. Lepiej późno niż później.

Popatrzyliśmy po sobie zaskoczeni. Po raz pierwszy, ale nie ostatni pomyślałem wtedy, że Meg wybrano na nauczycielkę Liliany ze względu na podobieństwo ich charakterów.

* * *

Tuż przed zmierzchem dyliżans odbił na prawo do zajazdu. Deszcz wciąż sączył się z nieba, przesycając powietrze wdzierającą się pod płaszcze wilgocią. Przed gospodą zapalono już lampy; na podwórzu przed trzypiętrowym ceglany budynkiem w kształcie litery „L” stało kilka pojazdów, a stajenni uwijali się wokół wyprzęganych właśnie koni. Był to nasz ostatni postój; następnego dnia wieczorem mieliśmy dotrzeć do Avalonu.

Zaczęliśmy się wypakowywać. W ramach pomagania Lily uparła się, żeby zabrać koszyk z kotem. Śliwka, stworzenie wyjątkowo zgodne i mało strachliwe, nie miała nic przeciwko nowo poznanej opiekunce. Wysiadłem na zabłocony bruk, nieco rozprostowałem nogi i wyciągnąłem ręce po bagaże.

– Na Wędrowca! – usłyszałem przerażony głos. – Proszę pani, co się dzieje z tym dżentelmenem? Czy on jest chory?

No tak. Miałem na sobie rękawiczki i płaszc, ale kaptur zsunął się, odsłaniając moją świecą facjatę.

– On jest czarodziejem, młody człowieku. Nie musi się nikomu z niczego tłumaczyć.

No cóż, ponieważ objawy transformacji nie są powszechnie znane, spodziewałem się podobnej reakcji. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, jak Amandine, nastroszona ze złości i z rękami uniesionymi w obronny geście, świdruje spojrzeniem zaniepokojonego stajennego.

– Spokojnie – zmitygowałem ją. – Nic się nie dzieje. Wypróbowałem coś dzisiaj i jeszcze mi nie przeszło. Wie pan, praca przy stole alchemicznym wiąże się ze skutkami ubocznymi.

– Proszę pana, mnie pan może wszystko tłumaczyć, ale niech pan wytłumaczy gościom i właścicielom zajazdu, że to nie jest Piętno.

Jasny gwint. Tego nie przewidzieliśmy.

– Mam przy sobie licznik skażenia, łatwo udowodnić, że wszystko z nim w porządku – zaproponowała Kathryn.

– Ani mi się waź – odparłem surowo. – Pamiętasz, jak reagował woźnica w Ombre?

– Racja. – Kat klepnęła się w czoło. – Powinni umieścić podstawy w programie szkolnym czy coś.

– Kathryn – odezwała się Amandine. – Ja nie zamierzam się wyklócać. Idź do recepcji, powołaj się na Belinde i wynajmij plac kempingowy.

– Proszę państwa, tutaj nie ma placu kempingowego. – Stajenny spojrzął na nas z urazą. – Koguci Ogon to porządny zajazd, wynajmujemy apartamenty, a nie spłachetki gołej ziemi.

– Nie obchodzi mnie, czy jest, czy go nie ma, po prostu go wynajmiemy – stwierdziła moja narzeczona. – Zniszczone zboże pójdzie na rachunek lady Chamomille de Branche d’Emeraude.

– Aha, i może jeszcze premiera Zjednoczonej Arborii... – rzekł stajenny z przekąsem, ale nikt go nie słuchał. Kathryn pomaszzerowała już w stronę wejścia do zajazdu. Chociaż żywiłem pewne wątpliwości co do jej talentów negocjacyjnych, miała ze sobą ważną legitymację ucznia oraz glejty wystawione na podróż do strefy przygranicznej.

Chwilę później mogliśmy się już wprowadzić do składanej willi, w której od naszej ostatniej wizyty nic się nie zmieniło. Wewnątrz było cicho i ciemno, a powietrze lekko pachniało stęchlizną. Wyczerpani podróżą, bez ceregieli rozsiedliśmy się w salonie. Tylko Kathryn przeprosiła nas szybko i uciekła do gabinetu Meg, dzierżąc dwie magiczne kule. Dopiero po kwadransie, kiedy Amandine pochrapywała oparta o kubek herbaty, Liliana całkowicie rozplaszczyła się na kanapie, a Śliwka znalazła sobie dobre miejsce do spania na dziewczynce, doszedłem do wniosku, że powinienem dopilnować Kat – a może nawet jej pomóc.

W gabinecie paliła się żółta automagiczna lampa, oświetlając piętrowe półki z książkami, zwoje map i zawalone papierami biurko z ciemnego orzechowego drewna. Nigdy tutaj nie sprzątałem – spiętrzone notatki, koperty, teczki i księgi tworzyły swoisty porządek, zrozumiały tylko dla Meg. Doświadczenie mówiło mi, że czarodziejka pamięta o położeniu każdego z elementów tego pozornego chaosu, nawet dokumentów z samego dna sterty.

Wbrew temu, czego się obawiałem, Kathryn potraktowała biurko Meg z szacunkiem. Podobnie jak ja sam wcześniej, przeglądała dokument po dokumencie i ostrożnie odkładała na stertę w identycznej kolejności co poprzednio. Magiczna kula stała już na swoim dawnym miejscu. Przełączona w tryb oczekiwania, lśniła błękitnawym blaskiem.

– Dobrze, że jesteś – wymruczała, nie podnosząc wzroku znad biurka. – Mam pomysł, którego wcześniej nie wypróbowałam. Myślałam, że to niemożliwe, ale zważywszy na wszystko inne...

– Tak?

– Magiczna kula Meg należy do piątej generacji. – Kathryn otworzyła jedną z teczek. – Istnieją rozwiązania generacji szóstej, które dopiero niedługo zostaną wprowadzone na rynek. Nic przełomowego, same nowe rytuały obsługujące. Opierają się na lepszym wykorzystaniu możliwości, którymi już teraz dysponują kule. Powiedz mi, czy Margueritte grzebała w ustawieniach firmowych?

– Meg jest minimalistką – odpowiedziałem. – Jeżeli coś dobrze jej służy, nie będzie tego zmieniać. Ale z drugiej strony opracowała tyle autorskich zaklęć, że równie dobrze mogła dłubać przy kuli. Gdyby uznała, że potrzebuje doskonałego hasła, znalazłaby sposób, żeby stworzyć coś, czego nie zmoże zwykły łamacz kodu. – Pochwyciłem potępiające spojrzenie Kathryn. – Kat, odrobinę skromności, dopiero skończyłaś dwadzieścia jeden lat, ona ma ponad dwieście.

– Jak wam idzie? – Do gabinetu weszła Amandine. Przetarła oczy, ziewnęła. – Znaleźliście jakąś wskazówkę?

– Kathryn ma nowy pomysł.

– To świetnie. – Moja narzeczona pochyliła się nad biurkiem. Leżała tam kartka z zapisanym wzorem zaklęcia, które posłużyło mi do wytropienia Meg. – Coś takiego. Piktogram Sevri. Znów badaliście starożytną architekturę?

– Co? – Spojrzałem na wzór. Rzeczywiście, kiedyś już słyszałem to słowo. – Możesz powtórzyć?

– Sevri. – Popatrzyła na mnie zdumiona. – Motyw stylistyczny znajdujący w płaskorzeźbach z epoki Triumwiratu. A co innego to może być?

– Patrzysz na geometryczny zapis zaklęcia. – Przyjrzałem się wzorowi. Amandine wskazała palcem element, który tak często pojawiał się w autorskich czarach Meg. Głównie tych, które nie działały. Rzeczywiście. Kiedy teraz o tym pomyślałem, przypomniałem sobie, że widywałem jego stylizowaną wersję na ścianach grobowców i w starożytnych ruinach.

– Właśnie – ucieszyła się Kathryn. – O tym mówię. Szóstą generację kul można zabezpieczać hasłem w postaci obrazka. A ten brzmi jak coś, czego użyłaby Meg. Czekaście, wprowadzę go na próbę.

Przez chwilę rysowała palcem nad powierzchnią kuli. Białe smugi pojawiały się pod szkłem i znikwały.

– Nic z tego.

– Pozwolisz? – Moja narzeczona pochyliła się nad kulą. – Popatrz, to się robi tak. Od prawej do lewej... kreska w poprzek... i...

Kula zajaśniała od środka.

– Witam cię, najdroższa Meg – odezwał się głos łudząco podobny do głosu Michela Rolanda de Musset, gwiazdy muzyki postneogotyckiej sprzed stu lat i ulubionego wokalisty mojej szefowej. – Jak co dzień rozświetlasz mroki mojej duszy.

Wewnątrz magicznej kuli leniwie przesuwały się strzępiaste chmury. Pod nimi rozpościerało się namalowane farbami olejnymi kwitnące wrzosowisko we wszystkich odcieniach fioletu; z daleka dało się dostrzec dworskie zabudowania. Rozpoznałem podmiejską posiadłość Margueritte.

Nieoczekiwany sukces zbił nas z tropu. Nikt nawet nie wygłosił komentarza na temat gustów mojej szefowej. Wisieliśmy nad kulą jak trzy zdumione sępy, chwilowo niezdolni do dalszych decyzji.

Wreszcie Amandine odchrząknęła.

– Magiczna kulo, wyszukaj „Vincent Thorpe”.

Nad wrzosowiskiem pojawiła się stylizowana, ozdobiona srebrnymi czaszkami klepsydra. Obróciła się raz, potem drugi. Wreszcie zniknęła.

– Nie znaleziono hasła – oznajmił ze smutkiem de Musset.

– Wyszukaj „Vincent”.

– Nie znaleziono hasła.

Amandine wzięła głęboki oddech.

– Wyszukaj kolejno: „Vince”, „Thorpe”, „Uczeń”, „Przydupas”...

– Heej – zaprotestowałem.

– „Asystent”...

– Znaleziono teczkę „Operacja: Asystent czarodziejki, status: otwarty”.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Otwórz teczkę.

– Polecenie nieznane – rzekła beznamiętnie kula.

– Jasna cholera... – warknęła moja narzeczona.

– Polecenie nieznane. Oczekuję następnych poleceń.

– Powiedz: „Wyświetl zawartość znalezionej teczki” – podsunąłem.

– Dziękuję, panie czarodzieju, sama bym się domyśliła – odparła zimno Amandine i powtórzyła moją podpowiedź. W magicznej kuli zmaterializował się obraz teczki z czarnej skóry, ze srebrnymi literami na okładce. Troczki rozwiązały się samoistnie i ze środka wyfrunęła potężna sterta automagicznych kopii dokumentów; niektóre zanotowano drobnym, ledwo czytelnym pismem Meg, inne, oficjalne, powstały na maszynie lub wykaligrafował je jakiś obcy urzędnik.

Chwilę później Amandine, wydając dalsze polecenia, przeglądała kartkę za kartką. Było tutaj wszystko: imię i nazwisko, mój wzrost i waga od początku kontraktu, oceny z egzaminów końcowych w szkole powszechnej, przebyte choroby, opisy postępów w nauce i zachowane obrazy zeszytów, opanowane zaklęcia, liczne uwagi dotyczące psychiki i cech charakteru. Fascynująca lektura na zimowy wieczór, gdybym zniósł taką porcję informacji o sobie.

– Nie mogę na to patrzeć – mruknęła Kathryn i się wzdrygnęła. – Jeśli Belinde gromadzi też o mnie podobne *dossier*...

– Magiczna kulo, wyszukaj „Liliana” – poleciła Amandine.

– Nie znaleziono hasła.

– Meg najwidoczniej koduje teczek uczniów – przypomniałem. – Może każ mu wyszukać hasło „Operacja”.

– Wyszukaj „Operacja”.

Mroczny tenor Michela Rolanda wymienił kilkanaście nazw teczek. Większość z nich została opisana słowami „status: zamknięty”. Otwarte były trzy: „Asystent czarodziejki”, „Płacek po bretańsku” i „*Drachenfeuer*”.

– Nie wierzę, aby Margueritte wyszkoliła tylu uczniów – mruknęła Amandine.

– Vincent, czy Meg kiedykolwiek opisywała słowem „operacja” misje dla Gildii?

– Wyszukaj „Misje dla Gildii” – poprosiłem.

Klepsydra znów obróciła się kilka razy i w ciągu paru sekund otrzymaliśmy zupełnie inną, jeszcze dłuższą listę. Tym razem tytuły wyglądały znajomo. Rozpoznawałem tematykę zleceń, które podejmowała Meg, mogłem przypisać do nich konkretne wyprawy. Podejrzywałem, że wiele materiałów, z jakimi miałem do czynienia, wzięło się właśnie z tych teczek. Potwierdzało się nasze przypuszczenie, że prócz oficjalnych misji Margueritte miała także inne, tajne.

– Wyświetl zawartość teczeki „Płacek po bretańsku”.

– Zawartość teczeki opatrzona hasłem – poinformował de Musset aksamitnym głosem. – Podaj kod dostępu.

– Zakodowane kody w kodach. – Amandine ściągnęła usta w ciup. – Dobrze. Wyświetl „*Drachenfeuer*”.

Naszym oczom ukazało się podobne *dossier* jak moje, tyle że znacznie cieńsze. Zawierało dane, które doskonale pasowały do Liliany. Cechy fizyczne, wiek aktywacji Źródła, relacje z postępów w nauce. Wszystkie datowano na ostatnie pół roku. Na pierwszy rzut oka sprawozdania wyglądały bardzo niepochlebnie; zostały jednak zamasyżycie pokreślone ręką Meg, ze szczodrym dodatkiem wykrzykników i nieczytelnych dopisków. Raporty przeplatała korespondencja z czarodziejem sygnującym się pieczęcią z liściem dębu, a najnowszy list pochodził z ranka, w którym Meg i Belinde wyruszyły na nieszczęsną wyprawę.

Amandine zaczęła czytać na głos:

Droga M.,

*potwierdzają się moje najgorsze przypuszczenia. Przepraszam, że stawiam Cię przed faktem dokonanym, ale nie mogę zwlekać ani chwili dłużej. R. donosi, że wobec dziewczynki stosuje się kary fizyczne za błędy w nauce, a tego nie wolno nam tolerować. Pomijając wszystko inne, traktowany w ten sposób *Drachenfeuer* staje się tykającą bombą. Oficjalnie zawieszam poprzednią operację. Ufam*

w Twoją ocenę sytuacji, ale jeżeli akcja z duszosciami nie przyniesie rezultatu, będziemy szukać nowego kandydata i rozważymy wtajemniczenie B., u której wkrótce zwolni się miejsce.

– Miałaś rację – powiedziała cicho Amandine. – A to dopiero wierzchołek góry lodowej. Co to jest *Drachenfeuer*, bo nie wierzę, że tylko wyrafinowane określenie ziania ogniem? Jaką rolę pełni Margueritte, oprócz nauczycielki wybranych talentów? Kim jest czarodziej pieczętujący się liściem dębu?

– Andreas Weyland – wtrąciła Kathryn. – Zważywszy, co mówiła Lily, wszystko na to wskazuje. Nie mam pojęcia, o co dokładnie chodzi z *Drachenfeuer*... ale przynajmniej wiemy, że Meg jest agentką Arcymaga. Nadal nie wiadomo, dlaczego obie z Belinde zniknęły, ale... fascynuje mnie tytuł operacji „Placek po bretańsku”. Moja babcia miała serię takich starych książek przygodowych. Ledwo się toto dało czytać, lecz pewnego deszczowego lata...

– Mraau – rozległo się w gabinecie i coś kudłatego otarło się o moje nogi. – Miiirrauu.

– Cześć, Śliwka. – Pochyliłem się nad kotem. – Czego chcesz? Miski znowu puste?

– Miiiau. Mirrauu, muuuuu – jęczała żałośnie kotka, strosząc grzbiet i drepzcząc w miejscu. Uniosłem brwi. Rzadko bywała tak namolna. Gdy skończyła pół roku, zabraliśmy ją do wiedzy weterynarza i od tamtej pory Śliwka nie miała rui.

– Muszę się zająć kotką. Chyba zaraz będzie rzygać.

Odbiegła z podkulonym ogonem, co w kontekście poprzednich miauknięć rzeczywiście wyglądało bardzo znajomo. Kiedy jednak podążyłem za nią, zrozumiałem, że się pomyliłem. Wcale nie chodziło o kota.

Od kilku dni Lily nosiła na szyi stary talizman Kathryn. Dziewczynka nie zdejmowała go nawet na chwilę. Zmianę dostrzegliśmy już następnego ranka, być może po pierwszej od dawna spokojnie przespanej nocy – jej policzki zaróżowiły się, ruszała się energiczniej, zaczęła się częściej uśmiechać. Mniej przypominała już porcelanową figurkę, a bardziej prawdziwą jedenastolatkę.

Tego wieczoru Lily, wyczerpana podróżą, od razu zapadła w sen na kanapie. Kiedy jednak wszedłem do salonu, zauważyłem, że siedzi sztywno i bez ruchu, z zacisniętymi pięściami. Oczy miała otwarte; widziałem tylko białka. Mamrotała słowa pozbawione sensu, jak to się czasem zdarza przez sen.

Talizman leżał na podłodze, w kącie pod ścianą, zapewne przyniesiony tam przez kotkę. Nie wiedziałem, czy dziewczynka zerwała łańcuszek przez sen, czy może sfatygowany od używania zamek rozpiął się od przypadkowego szarpnięcia.

– Lily! – zawołałem. – Lily, obudź się.

Nie zareagowała. Dotknąłem jej ramienia, ale nawet nie drgnęła. „Może należy nią potrząsnąć” – pomyślałem i nagle przypomniałem sobie o jej

posiniaczonych rękach. Nie, to nie wchodziło w rachubę. Musiałem sięgnąć po amulet, a jeśli nie zdążę – obudzić ją inaczej.

– Amandine! Przynieś szklankę wody. Albo najlepiej cały dzbanek. I to już!

Tymczasem dziewczynka odchyliła głowę i wydała długi, przeciągły syk, aż ciarki przeszły mi po grzbiecie. Jej oczy wypełniły się ciemnoczerwonym blaskiem, a z nozdrzy buchnęły smugi dymu.

– Pospiesz się! – W moim głosie pobrzmiwała panika.

I wtedy Lily zwróciła się w moją stronę.

Nie potrafię precyzyjnie opisać, co się działo w ciągu kilku następnych sekund, ale spróbuję. Otóż wydarzyło się jedno z dwojga: albo czas stanął, albo zacząłem bardzo, ale to bardzo szybko myśleć. Już raz, mniej więcej tydzień wcześniej, ktoś próbował spalić mnie zionięciem – wtedy jednak byłem bezpiecznie schowany za warstwą antymagicznych tarcz. Tym razem nie dysponowałem żadną ochroną, a właśnie buchał we mnie skoncentrowany płomień, zbliżony mocą do ognistej kuli Kathryn. Więc pomyślałem – nie, tak naprawdę nic nie myślałem, po prostu wiódł mną instynkt – że zużyta moc też jest przecież energią i można ją przekształcić. Rozpleść, przemienić, przerafinować, a to, czego się nie da, rozproszyć.

Nie byłem świadomy resztek ognia, które strzelały wszędzie dookoła. Przepuszczałem przez siebie główny strumień, zmieniając go w Kulę Światła. Salon rozjarzył się oślepiającym blaskiem.

A że w gruncie rzeczy musiałem przetworzyć zaledwie kilkanaście jednostek, po krótkiej chwili wszystko się skończyło. Lily nie obudziła się nawet na moment; zamknęła oczy, rozluźniła się i znów, chrapnąwszy z zadowoleniem, opadła na kanapę.

Odetchnąłem ciężko i powoli zacząłem podnosić się z kolan. Mimo woli zarejestrowałem, jak Kathryn gasi pożar zgrabnie wymierzonymi kulami wody. Moja narzeczona, która w tym czasie zgarnęła talizman z dywanu, zapinała łańcuszek na szyi dziewczynki.

– No nieźle – wychrypiałem. – Przyznam, że spodziewałem się czegoś... bardziej niewinnego? Mniej w stylu „dziecko demon niszczy świat”? Amandine, teraz już nie trzeba. Wyczerpała Źródło, przez kilka godzin będzie spokój. Przenieś ją do łóżka, a ja tymczasem popracuję nad łańcuszkiem, żeby się nie rozpiął. Co? Dlaczego tak na mnie patrzycie?

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co właśnie zrobiłeś? – spytała Kathryn drżącym głosem. – Pierwszy raz w życiu widzę, by ktoś przechwycił i przetworzył cudzą moc w trakcie jej używania. Zakłęcie, zionięcie, wszystko jedno. Kiedy już uformuje się kształt, nie można go zmienić.

Musiałem bardzo głupio wyglądać z półotwartymi ustami.

Rzeczywiście.

Wszystkie teorie mówiły, że to niemożliwe.

Raport terenowy
19 Avril 753 AG

Obozowisko zbiera się do wymarszu. Miejsce obecnego pobytu nieznane; podobno przekroczyliśmy jakieś góry i doczekaliśmy się połączenia z drugim oddziałem. Dystans od Nouveaux Dijon niewiadomy. Dowódca nosi przydomek Płomień; symbol płomienia widnieje również na fladze. Przeciwnik nieznany. Nie uzyskano informacji na temat obecnego politycznego podziału kontynentu. Wojska zaciężne, w większości piechota, ze względu na utrudnienia w obserwacji liczebność bliżej nieokreślona.

Spostrzeżenia: Utracona Bretania nie wyszła z Wieków Smutku. Poza artylerią nigdzie nie widziałam w użyciu broni palnej. Poziom higieny i opieki medycznej niezwykle niski. Powszechny analfabetyzm. Według wszelkich przesłanek dostęp do Podstawowego Zasobu Energii (PZE) jest zachowany. Mimo to nie odnotowano przypadków użycia magii prostej, chociaż w powszechnym mniemaniu użytkownicy występują w Bretanii.

Spostrzeżenia dodatkowe: Brak dostępu do Źródła skutkuje utratą korzyści z transformacji.

Mam nadzieję, że za bardzo się boją zawartości naszych bagaży, aby je rozkraść lub zniszczyć.

W oddali dały się słyszeć miarowe, ciężkie kroki strażnika. Margueritte przestała szeptać i ukradkiem schowała do kieszeni sukni przenośną kulę – jedyny magiczny przedmiot, którego im nie skonfiskowano. Czy postąpiły właściwie, poddając się bez walki? Ocena ryzyka przestaje być taka prosta, kiedy nie masz w zanadru szerokiego repertuaru zaklęć.

Chociaż były trzymane pod strażą, darzono je pewnym szacunkiem. Dostawały codziennie po misce grochówki lub gulaszu, w którym pływały kawałki żółtego tłuszczu i twardego mięsa, bochenek świeżego chleba z mąki, która skrzypiała w zębach, trochę śmierdzącego sera i cierpkie, kwaśne wino. Po głodnym spojrzeniu chłopaka, który przynosił im posiłek, Meg wnioskowała, że karmiono je solidnie. Mięso miało charakterystyczny zapach piżma, wskazujący, że wiele lat biegało po łąkach, zanim trafiło do garnka. Trzeba było je powoli przeżuwać, ale nadawało się do jedzenia, przynajmniej dla niej. Belinde wkrótce zaczęła narzekać, że kręci ją w żołądku.

Meg miała nadzieję, że jej przyjaciółka nie dostanie w tych warunkach dyzenterii. Tylko dzięki Belinde i jej przytomności umysłu obydwie nadal żyły – i tylko ona mogła ocalić je przed ścięciem głowy.

Przed wejściem do namiotu rozjarzył się krąg światła z lampy. Na płótnie zarysowały się ciemne sylwetki strażników. Szeroka dłoń odchyliła ciężką tkaninę.

– Wstawać – rozległ się przyciszony bas. – Ktoś chce z wami porozmawiać. Ruszać się, a żywo.

Meg trąciła Belinde w ramię. Druga czarodziejka natychmiast usiadła, jakby również nie spała. Przeczesła włosy palcami.

– Żadnych sztuczek, waszmościanki wiedźmy – rzekł wartownik surowo.

Waszmościanki wiedźmy. Właśnie tak je traktowano – z mieszanymi uczuciami. W tym dzikim kraju tracono ludzi za czary, chyba że byli szlachetnie urodzeni. Stan szlachecki uzurpował sobie monopol na magię, co zresztą nie sprawiało, że pospólstwo darzyło sztukę większym zaufaniem.

Margueritte wstała, z godnością poprawiając fryzurę. Zdawała sobie sprawę, że wyglądają jak dwa kocmołuchy i zapewne cuchną – ona z pewnością znacznie bardziej niż Belle w poprawionej magią sukni – ale należało trzymać fason. Cztery strażnicy otoczyli je i wszyscy razem wyszli w czarną, bezgwiazdną noc.

Szły między namiotami, oślepione pochodniami, starając się nie pośliznąć na błocie. Obóz sprawiał wrażenie opustoszałego. Załadowano już wozy, spakowano prowizoryczne kuchnie i warsztaty, nikt nie śpiewał i nie pił po nocy przy

ognisku. Armia z wolna przygotowywała się, aby przed świtem z całym taborem potoczyć się dalej.

– Tutaj. – Strażnik wskazał większy namiot z mocnego, farbowanego na czerwono płótna. Przed wejściem wisiały dwie pionowe flagi z emblematem płomienia. Wartownicy stanęli po obu stronach wejścia. – Zalecam waszmościankom zachowywanie się z szacunkiem – dodał z naciskiem.

Słabe światło oliwnych lamp rzucało fantastyczne cienie na płótno namiotu. W głębi, przy szerokim, niskim stole stał rosły człowiek w solidnej skórzanej zbroi i czerwonym płaszczu o złożonych brzegach; jego twarz skrywał półmrok. Gdyby nawet chciały dokonać jakiegoś zamachu, pilnowało go czterech uzbrojonych po zęby mężczyzn. Ci różnili się trochę od większości tutejszych knechtów. Bardziej przypominali rycerzy z prawdziwego zdarzenia – wszyscy co do jednego potężnie zbudowani, doborowi, w czarnych tunikach z symbolem płomienia narzuconych na skórnie. Miecze trzymali przy pasie, ale Meg nie miała wątpliwości, że mogliby ich dobyć w mgnieniu oka.

Obok potężnej postaci stał białowłosy i białobrody starzec odziany w długie szare szaty. Jedno oko miał zasłonięte przepaską.

– Stoicie w obliczu generała – pouczył je z naciskiem.

Belinde wykonała głęboki dworski ukłon, Margueritte poszła w jej ślady. Kątem oka dostrzegła, że starzec się skrzywił, jakby mimo wszystko naruszył protokół. Czy tutaj klęka się przed dowództwem? Pada twarzą w klepisko?

Dowódca zrobił pół kroku do przodu i wszedł w krąg światła. Migotliwy płomień lampy wydobył z cienia jego rysy. Margueritte uniosła w zaskoczeniu brwi.

Odkąd tutaj przybyły, nie widziała wśród żołnierzy ani jednej kobiety. Obozowisko było pełne markietanek i posługaczek, ale żadna nie paradowała z bronią. Jak w Wiekach Smutku zdawały się pełnić w Utraconej Bretanii głównie role służebne. Niewiasta, która dowodziła armią, najpewniej była kimś wyjątkowym.

Chyba dawno przekroczyła czterdziestkę, chociaż Meg mogła się mylić – ludzie w Bretanii żyli krócej i starzeli się szybciej. Była wysoka i jak na kobietę barczysta, prawie dorównywała wzrostem elitarnym strażnikom. Twarz miała surową, ogorzałą i steraną życiem; przez łuk brwiowy biegła wyraźna szrama. Głębokie bruzdy nad linią ust dodawały jej lat. Tłuste włosy barwy rudoblonde rosły na jej głowie w tak rzadkich kępkach, że nawet nie zasłaniały przebarwionych i błyszczących blizn po dawno zagojonych oparzeniach.

– Składamy wyrazy najwyższego uszanowania – rzekła Belinde. –

Przybywamy z bardzo daleka, z próbą odnowienia więzi między dwoma światami. Nazywam się Belinde Chamomille de Branche d’Emeraude, a to moja towarzyszką, Margueritte de Breville de Branche d’Ambre. W dobrej woli składamy prośbę o wysłuchanie naszych słów.

– Theresa von Feuerstein – odparła sucho generał. – Głównodowodząca Pochodni Wyzwolenia. Od razu mówię, że wasze domniemane szlachectwo nie robi na mnie wrażenia. Niejeden hrabia stracił głowę... z mojej ręki. Ważniejsze, kim jesteście, niż kim się zdajecie, Arthurze. – Wyciągnęła rękę i starzec podał jej wymiętą książkę w ciemnej okładce. Meg westchnęła bezgłośnie. Rozpoznała tę powieść.

– Co to jest? – zapytała ostro von Feuerstein.

– Literatura rozrywkowa... – Margueritte usiłowała znaleźć odpowiednie słowo. – Bajda. Zwykła opowieść ku uciechu czytelników.

– *Umarły narzeczony?* – zapytała sceptycznie generał.

– Czy w Bretanii nie opowiadacie sobie historii o duchach? – Meg podparła się pod boki.

Theresa westchnęła ciężko.

– Arthur twierdzi, że nigdy nie widział tylu dzieł magii w bagażach należących do dwóch osób. A nie wyglądacie mi na kapłanów Cierpliwego Wędrowca. To byłoby tak łatwe, że aż głupie – wszyscy wiedzą, jakiej przewagi poszukuję w polu. Oczywiście biorę pod uwagę każdą możliwość, więc powiedzcie, czy potraficie udowodnić, że przybywacie z Arborii, a nie z pałacu w Nouveaux Dijon. Każda wątpliwość zostanie rozstrzygnięta na waszą niekorzyść. W razie czego Arthur może rozszyfrować dla mnie zawartość waszych bagaży. Tak, Arthurze?

Starzec wskazywał palcem na Meg.

– Wyjmij to, co ukrywasz, i podaj mi.

Margueritte posłusznie wyłuskała z kieszeni sukni niewielką kulę z przezroczystego kryształu. Uniosła ją do światła i powoli obróciła, a potem wyciągnęła przed siebie na otwartej dłoni. Strażnicy sprzyli się, w każdej chwili gotowi uderzyć. Starzec ostrożnie ujął kulę w dwa palce.

– W dawnych latach porozumiewaliśmy się między sobą za pomocą większych kul, podobnych do tej, jeno czarnych, z litego morionu – rzekł poważnie. – Przekazywały mowę i obraz, jakbyśmy patrzyli na swe odbicie w lustrze. To potężna magia szpiegowska, moja pani. Nie śmiem zgadywać, jak posługują się nią bez Źródła.

– Madame de Breville. – Generał von Feuerstein złożyła dłonie tak, że czubki palców stykały się ze sobą. – Nalegam, aby pokazała pani, jak posługiwać się kulą.

Margueritte przez chwilę zastanawiała się nad dogodnym kłamstwem. Kule pierwszej i drugiej generacji, tworzone na podstawie technologii Triumwiratu, rzeczywiście wymagały do uruchomienia aktywnego Źródła. Wielkie, nieporęczne i nieekonomiczne pożerały na wstępie dwie do trzech jednostek mocy. Nie było mowy o zasilaniu kwantami ani o przełączaniu w tryb automagiczny. Wtedy zresztą nikomu nie zależało na upowszechnieniu kul wśród

nieutalentowanych. Może generał i jej starszuch uwierzą, że kryształ nie nadaje się już do użytku.

– Belle?

– Po prostu pokaż mu dom – powiedziała spokojnie Belinde.

– Proszę wydać kwant energii – poinstruowała starca Meg.

Popatrzył na nią z niezrozumieniem. Margueritte spróbowała sobie przypomnieć, jak to powinno brzmieć w dawnym nazewnictwie.

– Wystarczy iskra mocy, żeby przywrócić ją do życia.

Starzec zamknął oczy. Kryształ momentalnie rozjarzył się ciepłym blaskiem.

– Proszę powiedzieć „Śliwka”.

– Śliwka – rzekł Arthur z niemal religijnym namaszczeniem.

Ujrzał kopię olejnego obrazu przedstawiającego wrzosowisko i dworek, umieszczoną przez Margueritte dla ozdoby na obydwu swoich kryształach.

– Moja posiadłość w Arborii – wyjaśniła. – Reszta obrazów to dokumenty, wzory zaklęć i uroków. Nie jestem w stanie bezpośrednio porozmawiać z domem. I nie, nie mam kontaktu z żadną z tutejszych kul. Jak pan powiedział, zapewne nikt nie potrafi ich włączyć.

– Jakie jest twoje zdanie, Arthurze? – zapytała generał.

– Trudno mi powiedzieć, pani... Widzę niezwykle dzieło, magiczny kunszt nie z tego świata, cudo, które mógłby objawić nam Lucjusz Wielki, gdyby tylko pozostał wśród żywych. Wszakże czy cuda tej miary nie były już tworzone przez starożytnych?

– Nie były – wcięła się Meg.

– Ciszka. – Theresa wykonała stanowczy gest dłonią. – Arthurze, przynieś resztę owych bagaży. Chcę je zobaczyć. Proszę, abyś je tutaj wyłożył. – Wskazała stół.

– Ależ, pani... Niebezpieczeństwo, na jakie się pani naraża... Kto wie, czy nie mogą z pomocą tej magii zniszczyć całego namiotu! Proszę spojrzeć na kulę. To asasyni, szpiedzy Jego Wysokości.

– I niezwykle dogodnie się składa, że przynieśli taki piękny łup, prawda, Arthurze? Gdybyś przywłaszczył go sobie w całości, mógłbyś znów się poczuć jak czarnoksiężnik. Przynieś wszystko. Skoro tak dbasz o moje bezpieczeństwo, będziemy przeglądać inwentarz sztuka po sztuce.

* * *

Chwiejne płomienie lamp oliwnych oświetlały namiot miękkim blaskiem. Po płótnie pełgały olbrzymie cienie. Theresa von Feuerstein przyglądała się swojemu doradcy, który wypakowywał plecak Margueritte. Na niskim stole z sosnowego drewna stopniowo rosły dwa stopy przedmiotów. Obok leżała karta pergaminu

i kopiowy ołówek, którym starzec zapisywał kolejne pozycje inwentarza. Generał cierpliwie słuchała wyjaśnień.

– Ten przedmiot nie ma w sobie magii – rzekł Arthur, wydobywając z plecaka runę zamkniętą w delikatnym srebrnym kole. – Wedle wszelkiej mojej wiedzy to część warsztatu rytualisty, pieczęć służąca do tworzenia magicznych kręgów. Znalazłem ich kilka, zarówno w plecaku, jak i czarodziejskiej sakiewce.

– Użyteczne?

– Tylko w obecności Źródła, pani.

– Dalej.

Starzec odłożył runę na stos po lewej. Piętrzyły się już tam inne przedmioty, głównie zapasowa bielizna Margueritte. Krępiące, ale cóż zrobić.

– Ta mosiężna bransoleta została wykonana z użyciem magii. – Doradca obrócił w świetle lampy kolejny drobiazg. – Ten przycisk sprawił, że wytworzyła wokół mnie aurę barwy miedzi, lecz nie potrafię stwierdzić, do czego służy.

– Proszę o wyjaśnienia.

– To energetyczne pole ochronne. Do pewnego stopnia chroni przed skażeniem – wyjaśniła Margueritte i znów widząc brak zrozumienia na twarzach Bretańczyków, poprawiła się: – Przed mocą Zaświatów.

Coś błysnęło w oczach generał von Feuerstein.

– Dalej.

Arthur rozsortował kolejne przedmioty. Generał spokojnie zadawała pytania. Sporo uwagi poświęciła zawartości apteczki, sprawdzając się, czy aby na pewno doradca starannie odnotował właściwości eliksirów i fiolek z pigułkami. Od razu zrozumiała, jak działa licznik skażenia i czym się różni tło od niebezpiecznego poziomu promieniowania, chociaż wywołało w niej to pewien rodzaj filozoficznej zadumy.

– A zatem cała Bretania nosi ledwo widoczny ślad Zaświatów.

– Na to wygląda, pani generał.

– A to? – Wskazała na cztery metalicznie połyskujące pręciki: miedziany, dwa czarne i jeden błękitny. – Czy to są czarodziejskie różdżki?

– Wyglądają inaczej niż różdżki, które znam – Arthur wyduł usta – lecz aura niewątpliwie zdaje się podobna. Czy w tej zamknięto czar Kuli Ognia?

– Dobrze widzisz – Meg skinęła głową – ale niestety, nie użyjesz jej. Co prawda są automagiczne... i nie potrzeba do nich aktywnego Źródła ani żadnej innej mocy, ale zostały... przypisane nam osobiście. Tylko mnie, Belinde i jeszcze jednej osobie, której tutaj nie ma.

Theresa von Feuerstein uważnie ją obserwowała.

– Dlaczego tak, pani de Breville?

– Bo to jest broń – powiedziała Margueritte twardo – którą można w mgnieniu oka zabić. I której, zaznaczę, miałam okazję użyć tutaj co najmniej kilka razy,

a oddałam ją razem z bagażem. Stworzono je z myślą o oszczędzaniu Źródła, ale nikt nie chce, żeby dorwał się do nich ktoś niepowołany. Trzeba mieć pozwolenie, aby rzucać w Arborii Kule Ognia.

– Meg – westchnęła Belinde. – Jesteś jak zwykle czarująca.

– Gdyby mieli nas zlikwidować, już by to zrobili. – Czarodziejka wzruszyła ramionami. – Można nam nie ufać, ale widać, że kiepscy z nas zamachowcy. Poza tym dysponujemy twardą walutą; możemy podziurawić fortyfikacje przeciwników lepiej niż za pomocą armat. Oczywiście dopóki nie skończą się różdżki.

– Wezmę pani słowa za deklarację pokojowych zamiarów. – Generał von Feuerstein delikatnie dotknęła pręcików. – Schowaj je bezpiecznie, Arthurze. I przejdź do zawartości magicznej sakiewki. Na początek chciałabym obejrzeć składany fotel.

Starzec z powagą przytasczył leżak, który, jak się okazało, stał w głębi namiotu, i rozłożył go z namaszczeniem.

– Ten przedmiot stworzono z użyciem magii – rzekł. – Nie wiem jednak, jakie mogą być jej skutki.

– Siadałeś na nim?

– Nie odważyłem się, pani.

– Madame Chamomille?

– Ma pani do czynienia ze składanym leżakiem ogrodowym Arte Benare – odparła Belinde. – Jeśli dokładnie się pani przyjrzy, zauważy pani wyryty w drewnie znak firmy. Kupiłam go na wyprawy terenowe; magia zabezpiecza go przed brudem i zużyciem. Przełącznikiem na ramie – o, tym guzikiem z boku – można uruchomić masaż pleców.

– Gerardzie... – Generał wskazała na jednego ze strażników. – Usiądź.

Mężczyzna znieruchomiał z przerażenia, nie odezwał się jednak ani słowem. Zgodnie z poleceniem zbliżył się do ogrodowego leżaka z bukowego drewna i perkalu w żółto-zielone pasy, a następnie usadowił się na nim ostrożnie.

– Przesuń przełącznik – dodała von Feuerstein. Po chwili rycerzowi udało się wykonać rozkaz. Leżak zaczął lekko wibrować, a strażnik pobleął jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe.

– Jak się czujesz, Gerardzie?

– Trochę trzęsie, generale...

– Fascynujące – mruknęła Theresa. – Możesz wstać.

– Dziękuję, generale...!

Mimo ostrzegawczych gestów doradcy von Feuerstein osobiście pofatygowała się po leżak. Wyłączyła tryb masażu pleców, złożyła przedmiot i oparła go o stół.

– Arthurze, bądź tak uprzejmy i obserwuj Gerarda przez następne kilka dni pod kątem klątw i innych interesujących objawów – mruknęła. – A ten fotel zostawię u siebie. Może się jeszcze przydać.

Minuty mijały, a obydwa stosy rosły. Torebka Belinde wydawała się sakwą bez dna, wypełnioną głównie przedmiotami codziennego użytku, takimi jak kosmetyki, suknie, bielizna i różnych fasonów buty. Po ekwipunku skompletowanym na wyprawę na duszosmoka zostało niewiele; na podręczną magię lady Chamomille składały się runy, różdżki i ochronne bransoletki, podobne do tych w bagażu Meg, z niewielkim dodatkiem kilku rulonów folii zabezpieczającej przed kontaktem ze skażonym opadem. Z samego dna wydobyto również automagiczną kuszę Margueritte, spakowaną przez Belle na prośbę przyjaciółki.

Generał von Feuerstein zdawała się poświęcać uwagę zarówno codziennym drobiazgom, jak i przedmiotom magicznym. Szorstkimi, gruzłowatymi dłońmi badała delikatne tkaniny sukni Belinde. Arthur od razu wyjął, że większość z nich również nasycono magią, chociaż znacznie trudniej wyczuwalną niż w przypadku leżaka i, jak sądził, dodającą urody właścicielce. Margueritte wreszcie zrozumiała, dlaczego doradca nie zwracał uwagi na suknię Belle. Nie mieściło mu się w głowie, że damska garderoba może zawierać groźne zaklęcia. Na szczęście dla niego akurat w tym wypadku wiele się nie pomylił.

Theresę interesowały szczegóły praktyczne. Czy magia tego typu chroni odzież przed pasożytami i pleśnią? Czy jest dość słaba, aby wiedźmy mogły zacząć ją stosować w Bretanii? Z jakich włókien utkano materiał i czy w Arborii powszechnie używa się bawełny i jedwabiu? Belle zasypywała ją szczegółami. Margueritte, która już na samym początku zwróciła uwagę na to, że powszechnie uwielbiana Płomień pochodzi z ludu, zastanawiała się nad wyuczonym zawodem pani generał. Niewątpliwie von Feuerstein wiedziała, o czym mówi.

Skończyła wreszcie i skinęła na Arthura, aby uprzątnął obydwie sterty. Zamyśliła się, oparta dłońmi o stół.

– Można obdarować ludzi magiczną bronią i zatruć ją mocą Zaświatów – rzekła wreszcie. – Można odnaleźć starożytne runy i różdżki. Lecz nikt dla maskarady nie będzie obmyślał zupełnie nowych sposobów szycia galotów, a ja widziałam już takie jedwabie i miękką bawełnę o podobnym splocie. Nie pochodzicie z Nouveaux Dijon. Dlaczego zatem tam zmierzacie?

– Poszukujemy Trzeciej Wyroczni – odparła Belinde Chamomille. – Magicznego konstrukt, który pozwoli Bretanii na kontakt z naszą stroną świata i nawiązanie relacji dyplomatycznych, a może nawet handel. Wszelkie informacje o niej będą dla nas niezwykle pomocne.

Przez twarz generał znów przemknęło bliżej nieokreślone uczucie.

– Najpierw powiedzcie, co wy o niej wiecie.

Margueritte zerknęła na Belinde. Sama miała nieco lepsze pojęcie o naturze Wyroczni, niż mogła pokrótce opisać przyjaciółka, jednak to Belle przez ostatnią godzinę nawiązała znacznie lepszy kontakt z Theresą. Chociaż kusiło ją, aby się wtrącić, postanowiła zachować milczenie.

– Wiemy, że stworzyli ją starożytni Magowie Pustki – zaczęła Belinde Chamomille. – W czasach tak dawnych, że Triumwirat wydaje się przy niej młody. Wiemy, że służy ludzkości wedle zasad, które zaszczepili jej stwórcy. Przewiduje przyszłość, ale nie tylko. Przede wszystkim potrafi przesyłać wiadomości... poprzez... – zająknęła się. – Zaświaty dzielące Bretanię od Arborii. To ona nas tutaj sprowadziła.

Belle zakończyła wypowiedź niepewnie, lekko zbity z tropu. Margueritte zaobserwowała, że zarówno doradca, jak i rycerze żywo zareagowali na słowo „Pustka”, spuszczać wzrok lub mimo woli się krzywić. A zatem sama nazwa – a może nawet istota zjawiska – nie uległa zapomnieniu, po prostu stanowiła tabu – tak silne, że zawstydzili się nawet wojskowi. Dawniej podobnie było i w Arborii.

– Skoro tak – zapytała ostro Theresa – dlaczego znajdujecie się po złej stronie frontu, z dala od pałacu? I co zrobiliście ze swoim Wielkim Magiem? Nie, nie musisz odpowiadać. To oczywiste, że wasze zamiary sięgają dalej, niż chcecie wyjawić. Na razie nie każę was stracić. Ale jeżeli pragniecie dotrzeć do stolicy, będziemy musieli ustalić pewne zasady. Arthurze...

– Tak, pani generał.

– Przekazuję te dwie damy pod twoją opiekę. Niech im włos z głowy nie spadnie. Zwróć im garderobę, ale tylko tę pozbawioną magii, i trzymaj pod strażą jak dotąd. Pani de Breville, pani Chamomille – prędkiej czy później dowiem się o was również tego, co przede mną ukrywacie. Na razie wiedzcie jedno. Jeżeli mam was zaprowadzić do Nouveaux Dijon, oczekuję, że się przydadacie w tej wojnie. Udzielicie Arthurowi wszelkiej pomocy i odpowiedzi, jakich potrzebuje. I jeżeli chociaż raz się poskarży, że mu odmówiliście, stracie wszelkie przywileje i zaczniemy rozmawiać inaczej. Nie radzę nawet marzyć o ucieczce i próbie przyłączenia się do wroga. – Theresa von Feuerstein zacisnęła zęby, oczy jej zabłyśły. – Bo jedynym sposobem, abyście mogły porozmawiać z Trzecią Wyrocznią, jest wybicie do nogi wszetecznych synów, którzy ją uwięzili. A skoro żaden Wielki Mag nie jawi się na horyzoncie, to ja pozostaję jedyną nadzieją królestwa.

Nakręcany budzik w kształcie dzwonnicy wyrwał mnie ze snu wczesnym rankiem.

Leżałem na pościelonej wersalce w dużym pokoju. Był to stary, wysłużony mebel przywieziony zaraz po przeprowadzce od rodziców, obity szorstkim zielonym sztruksem, twardy i niewygodny. Nie wyrzuciliśmy go jeszcze tylko z sentymentu – i dlatego że wciąż czekaliśmy z większymi zakupami, aż zarobimy na własne lokum. Zastanawiałem się, czy jeszcze jest co zbierać z tych planów. Amandine wygoniła mnie z łóżka pod pretekstem goszczenia w domu Liliiany. Alternatywą dla dziewczynki było mieszkanie wynajmowane przez Kathryn razem z trzema pełnoletnimi przyjaciółkami, które prowadziły dość studencki tryb życia. Mogliśmy też odwiedzić ją do posiadłości Margueritte, ale to znów sprowokowałyby zbyt wiele pytań.

Podniosłem się do pionu i przetarłem oczy; tryby w mojej głowie zaczynały obracać się żywiej. Musiałem dzisiaj coś zrobić. Jasny gwint!

Kilkanaście minut później zbiegałem w pełnym galopie po schodach kamienicy, równocześnie naciągając płaszcz i starając się nie zgubić teczek z dokumentami. Minąłem gospodynię wchodzącą na górę z koszem świeżego prania. Pozdrowiłem ciecica na podwórzu i nie nadepnałem na żadnego z upasionych gołębi, które na mój widok cofały się tylko kilka kroczków, nie unosząc nawet skrzydeł.

Nad Avalonem, w kłębach smogu i pośród miejskiego gwaru, budził się nowy dzień. Kominy fabryk pluły błękitnym alchemicznym dymem. Na avalońskim bruku kołysały się ryksze, powozy i zwykłe dryndy. Środkiem alei przetoczył się z hukiem po szynach konny tramwaj. Stukały kopyta, szczekały psy, nawoływały kwaciarki, dzwoniły dzwonki w witrynach sklepów. Spieszyli do pracy przedstawiciele klasy nauczycielskiej i urzędniczej; zmęczeni dżentelmeni w szarych garniturach i blade, dumne damy z parasolkami. Pod którymś z balkonów stał wąsaty kataryniarz z rachitycznym, nierasowym wiwerniątkiem i z zapałem godnym lepszej sprawy kręcił korbą, aby kulawa melodia pofrunęła w świat.

Skręciłem w Kozią, a następnie w Kamienną; minąłem Cukiernię Doloriańską, którą za nastoletnich czasów odwiedzałem codziennie, uzależniony od pączków i rurek z kremem. Przebiegłem obok świątyni pod wezwaniem Wytwałej Aimeé, skąd niósł się śpiew starobretońskiego chóru; przykucnięty na schodach dziad proszalny posłał za mną kilka soczystych obelg.

Za winkła wyłaniała się monumentalna brama z kutego żelaza i wysokie jasne kolumny. Mieszkaliśmy niedaleko zabudowań Gildii Magów, sąsiadujących

z Uniwersytetem Avalońskim. Budynki obydwu szacownych instytucji, razem z akademikami, zakładami badawczymi i Centralnym Szpitalem, zajmowały cały kwartał i wszędzie roilo się od studentów. Tego dnia za bramą kłębił się ich cały tłum. Pełen przekrój społeczny – od chudych dzieciaków w marynarkach o wytartych łokciach i sukniach kupionych na ciuchach po trzymających się razem arystokratów w aksamitach. Zauważyłem też zwartą grupkę Nowych Ludzi, subkultury, która modyfikowała swój wygląd dzięki chirurgii magicznej. Od kilku lat coraz częściej widywało się w Avalonie zieloną skórę, spiczaste uszy czy też pióra zamiast włosów; moda ta zaczynała powoli stawać się codziennością.

Nie wszyscy studenci byli czarodziejami *in spe*. Gdyby tylko magiczna brać zapisywała się dziś na egzaminy, nie zapełniliby nawet czwartej części dziedzińca. Rozglądałem się, próbując odnaleźć właściwą kolejkę i starając się opanować poczucie niestosowności mojego pobytu w tłumie wściekle zdolnych dwudziestolatków. Przecież dorobiłem się prawie stu jednostek – i na tym na razie stanęło – nie miałem się więc czego wstydzić, na Pustkę!

– Heeej! Vincent! Tutaj!

Przy kwietniku pod głównym budynkiem stała Kathryn; podskakiwała, machając do mnie dłońią w rękawiczce. Chuda i niezgrabna, w ciemnoniebieskiej sukni na sztywnej halce i z toczkiem wpiętym w siwe włosy, budziła skojarzenia ze żrebakiem przystrojonym na świąteczną paradę. Obok niej gromadzili się koledzy i koleżanki, barwna grupka ludzi różnorodnie ubranych i o wszystkich kolorach skóry (z zieloną włącznie). Kat obracała się w towarzystwie największych jajogłowych wśród uczniów magii; tutaj podziały majątkowe czy też pochodzenie nie miały znaczenia, bystre umysły nieuchronnie grawitowały ku sobie.

Użyłem łokci i przecisnąłem się przez tłum.

– Zaspąłem!

– Widzę! Leć do środka, szukaj kolejki za złotymi wstęgami. Jeszcze zdążysz, zanim zamkną zapisy.

– To ty jesteś Vincent Thorpe? – zdumiał się niski, pulchny chłopak w binoklach. – Wyobrażałem sobie, że będziesz starszy.

– On trenuje Drogę Czaplí – wtrąciła się blondynka z wystającymi zębami. Rozpoznałem Susan von Trieste, długoletnią przyjaciółkę Kathryn. – Ty też mógłbyś poćwiczyć, wyszłoby ci na dobre. Nieźle się maskowałeś, Vince. Nigdy bym nie zgadła, że jesteś półaktywny. Czarna Meg nie pozwalała ci wcześniej przystąpić do egzaminu?

Zazwyczaj jeżeli ktoś przez ponad dwadzieścia lat pracuje w zawodzie związanym z magią, a potem nagle przystępuje do egzaminu dyplomowego, wyjaśnienie jest proste: chodzi o człowieka z półaktywnym Źródłem, jak René d'Ange. Półaktywni nie przechodzą transformacji, żyją niewiele dłużej niż zwykli ludzie. Ich zasób energii jest skromny, a możliwość rzucania zaklęć wyższej

magii ograniczona. Jako najslabsi wśród czarodziejów i najpotężniejsi wśród czarownic zwykle odczuwają ciągłą frustrację, a ich wybory zawodowe wiążą się z kompromisami. Najzdolniejsi z nich przystępują jednak do egzaminów i niekiedy nawet je zdają, uzyskując najniższą kategorię – A1, czyli dyplom bez pełnych uprawnień. Prawo nakazuje, aby odnawiać go co pięć lat, ponownie zdając egzamin.

– Sam nie czułem się gotowy – odpowiedziałem i zwróciłem się do Kathryn: – Co z Weylandem? Znalazłaś go wreszcie?

– Jego asystentka nadal mnie splewia – mruknęła. – Nie możemy dłużej zwlekać. To już tydzień, robi się nieciekawie. Rzucałeś jeszcze raz tamto zaklęcie?

– Nie działa w Avalonie. Albo potrzebuję bliskości Granicy lub miejsca, gdzie niedawno zamknięto rozpadlinę, albo to kwestia magicznej ochrony stolicy, albo... – Rozejrzałem się. Tłum niepokojąco rzędnał. – Zobaczmy się jeszcze. Po zapisach będę w bibliotece.

– Przeliczyłam dokładnie wzór – nadmieniła Kathryn. – Ono w ogóle nie powinno działać.

– Ma elementy entropiczne, nic dziwnego, że uważasz je za trudne.

– Wiem wszystko o teorii Entropii, nie potrafię jej tylko rzucać. Zgodnie z regułami sztuki cały ten element Sevri jest figurą niemożliwą.

Popatrzyliśmy po sobie. Odkąd przetworzyłem zionięcie Liliany, bardzo starannie omijaliśmy wytłumaczenie, które pierwsze nasuwało się na myśl. Bo co innego mówić o tym w żartach, a co innego... Zresztą istniało tyle egzotycznych profili mocy, na pewno chodziło o coś innego...

– Właśnie to zamierzam sprawdzić. Trzymajcie się.

– Nie siedź nad książkami. Nie dzisiaj! – zawołała Susan. – Wpadnij na kawę! Będziemy u Starego Fakira.

* * *

– Viiiincent Thoorpe, tak? – Urzędniczka poprawiła okulary i znów pochyliła się nad dokumentami, opierając na biurku hodowany przez wiele dziesięcioleci biust. – Ale, proszę pana, ja pana nie mogę zapisać.

– Jak to nie może pani? – Gorączkowo próbowałem zgadnąć przyczynę. – Mam odpowiedni staż. Wiem, że formalnie wolno mi podejść do egzaminu.

To była prawda, ale nie wspomniałem jej o utracie statusu ucznia. Może papiery z Wydziału Nauczania jeszcze do niej nie dotarły. Teoretycznie mogłem przystąpić do egzaminów dyplomowych przed upływem roku od utraty praw, jednak wolałem nie ryzykować. Ona tutaj rządziła i nie wahała się tego okazać.

– Nie mogę, bo nie mam zgody pańskiej mistrzyni.

– Przecież trzyma ją pani w rękach.

– Proszę pana... – Urzędniczka uniosła wzrok, nie troszcząc się o podniesienie biustu z biurka. – To jest zgoda na podjęcie nauczania. Potrzebuję zgody na podejście przez pana do egzaminu, w trzech kopiach. Już nie mówię o tym, że zgłasza się pan w ostatniej chwili, a tutaj widzę, że było wystarczająco dużo czasu na załatwienie tych spraw. Poza tym powinien pan najpierw uiścić opłatę manipulacyjną w kasie i załączyć kwit. Ale oczywiście bez zgody nie da się nic załatwić.

Westchnąłem.

– Co w takim razie powinienem zrobić, aby zapisać się na egzamin?

– Może pan poczekać kolejny rok. – Urzędniczka odłożyła moje dokumenty. – Przy takim stażu mnie się wydaje, że jeden więcej nie zaszkodzi.

– Ale ja nie mogę...

– No to trudno! Następny proszę!

Zanim zdążyłem pozbiierać ogłuszoną ambicję oraz nieskutecznie złożone dokumenty, za rzędem biurek przedelfilował mały, łasicowaty człowieczek bez podbródka, tym razem ubrany w czerwoną jedwabną kamizelkę i fioletową muchę. Urzędniczka wyprostowała się, promieniejąc nieomal dziewczęcym afektem. Nastąpiła wymiana kurtuazyjnych buziaczków, a na biurku pojawiła się filiżanka kawy ze śmietanką i eklerka od Starego Fakira. Dopiero wtedy, jakby mimochodem, René d'Ange odnotował moją obecność.

– Zdaje pan sobie sprawę, że bez względu na pańską rozpaczliwą próbę od decyzji Wydziału Nauczania nie można już się odwołać. To mademoiselle de Branche d'Opal zostaje pod opieką lady de Breville.

– Pierwszy zaprotestuję, jeśli ktoś zechce to zmienić – odparłem gniewnie. – Mógł pan grać w otwarte karty, zamiast kombinować jak koń pod górę. Sam bym pomógł.

– Oooo? – René z ironią uniół brwi. – Pański staż sugerował tendencję do... kurczowego trzymania się posady. Zdziwiająca! Wraca mi wiara w ludzi. Po co w takim razie przyszedł pan na zapisy?

Postanowiłem odpowiedzieć półprawdą.

– Moje Źródło działa nieco lepiej, niż wskazują stare papiery. Potrzebowałem tylko trochę czasu, żeby je rozwinąć. Nie czułem jednak potrzeby przystępowania do egzaminu, a teraz, muszę przyznać, nadepnął mi pan na ambicję. Wiadomo, kończę kontrakt, ostatni moment, żeby w ogóle spróbować.

– W takim razie powodzenia.

– Chciałbym móc szczerze podziękować za te życzenia. Niestety, zapomniałem przynieść zgodę Meg, a teraz jest już trochę za późno. Szkoda, Weyland by się pewnie ucieszył, że obydwaj jego pomysły zakończyły się sukcesem.

Coś wyjątkowo łasicowatego pojawiło się w oczach René.

– Powiada pan? Dobry Wędrowcze, ależ z nas gapy. Pani March, przecież pan Thorpe ma ważny kontrakt asystenta, co upoważnia go do ograniczonego pełnomocnictwa w imieniu pani de Breville. Sam może sobie wypisać zgodeń.

– Oj – zafrasowała się urzędniczka, mimochodem sięgając po eklerkę. – René, ale ja nie wiem, czy tak mogę.

– Możesz, Irmo, możesz – powiedział człowiek, którego jeszcze niedawno uważałem za swojego najgorszego wroga. – Bo ja pozwalam. Proszę, panie Thorpe, niech pan skorzysta z jedynej, niepowtarzalnej okazji. W razie czego zdobycie licencji technika albo wiedźmy sprawi znacznie mniej kłopotów.

* * *

W obrębie kwartału akademickiego znajduje się kilka bibliotek. Przy każdym wydziale umieszczono nieduży podręczny księgozbiór zawierający wybraną literaturę specjalistyczną, periodyki i podręczniki, do których zawsze dobrze mieć wgląd. Ma się rozumieć, te niewielkie zbiory nie wystarczają do pogłębionych badań. Dlatego zazwyczaj, kiedy ktoś wspomina o bibliotece, ma na myśli Księgozbiór Avaloński, starożytną wielopiętrową budowlę ulokowaną dokładnie pomiędzy zabudowaniami Gildii, Uniwersytetu i szpitala. Wieśset lat temu mieścił się tutaj pałac rodu d'Argent i do tej pory Księgozbiór Avaloński ze swoimi złożonymi kopułami, zdobionymi elewacjami i płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny mitologiczne stanowi najbardziej imponującą księżnicę w Arborii.

Czytelnia Magów znajdowała się na drugim piętrze. Często ją odwiedzałem – z własnej inicjatywy lub na polecenie Meg.

Tego dnia za biurkiem siedział Paul: brzuchaty, nieco starszy ode mnie mężczyzna, którego znałem jeszcze z kursów zielarstwa. Z zawodu był wiedźmą konserwatorem i pracował tutaj w charakterze pomocnika, a później, odkąd pamiętałem, bibliotekarza. Często współpracował z Meg; dostarczał rzadkich zabytkowych map, z których korzystaliśmy podczas wypraw, i zajmował się znalezionymi manuskryptami; pamiętam, że kiedyś nawet rzucił okiem na jakiś artefakt. Teraz się zastanawiałem, ile tak naprawdę wie. Po dłuższej chwili spędzonej przy katalogach podszedłem do niego z dwiema karteczkami.

– Cześć, Paul.

– Cześć, Vince. Dawno cię nie widziałem. Znowu jakaś misja?

– A, tak się złożyło.

– Cóż, nie zazdrościsz. Ale ty to pewnie lubisz, przygoda ci służy. – Podniósł karteczki do oczu, poprawiając małe, okrągłe binokle. – *Encyklopedia profilów magicznych i Historia architektury Cesarstwa Triumwiratu*. Hm. Z tą drugą może być problem. Studenci uczą się z niej do egzaminów i w tej chwili wszystkie egzemplarze są zajęte.

Skrzywiłem się. Nie znalazłem nic lepszego, a miałem nadzieję, że z ogólnej lektury wyniosę wiedzę, która pozwoli mi szukać dalej. Po chwili mnie olśniło.

– Paul... Mam jeszcze jedną prośbę. Szefowa chciała, żebym sprawdził jej coś w książkach, które tutaj ostatnio przeglądała. Oczywiście masz historię wypożyczeń?

– A, tak. – Bibliotekarz skinął głową. – Jasne, Vince. Zaczekaj chwilę.

Podszedł do szafki za biurkiem, wypełnionej kilkoma rzędami teczek. Kilka minut sprawdzał coś, przeglądał, czytał, śliniąc palec przy przewracaniu kart i pomrukując pod nosem. Wreszcie, z jedną z teczek pod ręką, zwrócił się do mnie z mocno zafrasowaną miną:

– Vincent, przykro mi, ale te książki znajdują się na zastrzeżonej liście.

– Tylko dla dyplomowanych czarodziejów?

– Tylko dla czarodziejów z odpowiednim zezwoleniem. Meg powinna stawić się po nie osobiście. Dziwne, że zapomniała ci o tym powiedzieć.

Unióśł pytająco brwi, jakby oczekiwał ode mnie czegoś jeszcze. Odpowiednio sformułowanej prośby. Hasła. Myśl, Vincent, myśl.

– Paul... – jęknąłem. – Znasz ją, znasz mnie, przecież nie przychodzę tutaj po raz pierwszy. Pracuję z Margueritte nad wszystkim. Również nad elementem Sevri i plackami po bretańsku.

Chyba trafiłem zbyt celnie. Paul pobladł i mimo woli oparł się o biurko, jakby nagle usłyszał, że Magowie Pustki wrócili i zamierzają doprowadzić do drugiej Wojny Rozdarcia. Poczulem, jak przyspiesza mi puls.

Bibliotekarz opanował się błyskawicznie.

– Czy pan oszalał, panie Thorpe? – syknął cicho. – Tutaj ściany mają uszy. Istnieją ludzie, którzy chętnie wykorzystaliby każdy pretekst, aby odwołać kogoś ze stanowiska.

Kogoś, to znaczy kogo? Paula? Margueritte? A może Arcymaga Weylanda?

– Proszę za mną, panie Thorpe.

Minęliśmy kilku studentów, którzy siedzieli nad stertami książek, i zagłębiliśmy się w las regałów. Ciemne półki, na których w rzędach prezentowały się grzbiety owinięte w jednolite papierowe obwoluty, ciasno wypełniały pomieszczenie aż do wysokości czterech lub pięciu metrów. Ogarnął nas zapach starego papieru, zmacerowanej skóry, malowanego pokostem drewna. Podążałem za Pauliem, ledwo mieszczącym się w wąskim przejściu. Odległość co kilka kroków znaczyły jasne automagiczne lampy wielkości kuli bilardowej.

Nie wiedziałem, jak długo maszerujemy. Po kilku zakrętach straciłem orientację. Rzadko się gubię, ale tym razem zdawało mi się, że w miarę jak idziemy, szafy za nami przesuwają się, zamykając drogę, którą przyszliśmy. Spróbowałem użyć mojego nowo nabytego szóstego zmysłu, jednak przestrzeń wokół przesyciła uroki i zaklęcia wplecione w budynek jeszcze za czasów

dziedzicznej monarchii rodu Branche d'Argent. Odnosiłem coraz silniejsze wrażenie, że dawno powinniśmy wyjść poza obręb sali, a nawet opuścić pałac.

Wreszcie przystanęliśmy w małej wnęce. Przede mną widniało eleganckie mahoniowe biurko, wyposażone w automagiczną lampkę. Kącik do cichej pracy, jakich wiele. Tyle że odrobinę daleko.

Paul zdjął z półki nad biurkiem cienką broszurę. Przekartkowałem ją. Wydrukowana została gdzieś pokątnie, domowym sposobem, ze dwieście lat temu, jeśli nie więcej. Brakowało jej nawet tytułu. Marginesy zapisano ołówkiem, pajęczym charakterem pisma nieznanego mi osoby. Już na pierwszej stronie zauważyłem znajomy symbol.

– Przepisz, co chcesz – powiedział cicho Paul. – Jakby co, półki są pod obserwacją. I zaczekaj na mnie. Niedługo wrócę.

I zostawił mnie w labiryncie, w którym nawet w biały dzień panował półmrok, wśród chylących się ku wnęce, sięgających sufitu stosów literatury.

Pochyliłem się nad broszurką. Papier pożółkł z upływem czasu, ale prócz tego trzymał się dobrze, czy to za sprawą uroków konserwujących, czy też samego klimatu biblioteki. Wypełniająca książeczkę prawie w całości niechlujne zapisy matematyczne lub geometryczne były trudne do odcyfrowania; tylko notatki na marginesach wyjaśniały, co przedstawiają kolejne strony. Kilka z nich wyglądało znajomo. Rozpознаwałem pierwowzory eksperymentalnych zaklęć, których uczyła mnie Meg. W postaci przedstawionej w broszurce nie nadawały się do niczego; szefowa ujęła sens wzorów i opracowała je na nowo.

Znajdowały się tam również zaklęcia z podwójnym i potrójnym Sevri, które nigdy nam nie wychodziły. Niektóre zawierały elementy geometryczne, jakich do tej pory nie znałem. Wziąłem kartkę, przerysowałem jeden z najprostszych wzorów i zacząłem go analizować, przerabiając zapis geometryczny na algebraiczny. Przedstawiał czterowymiarową strukturę w dwóch wymiarach. I tak samo jak element Sevri miał podwójne rozwiązanie. To dlatego Kathryn twierdziła, że nie powinien działać. Wedle wszystkich prawideł opisanych w podręcznikach nie da się nasycić mocą wieloznacznego wzoru. Też o tym wiedziałem, ale sądziłem, że szefowa znalazła jakiś sprytny sposób na ominięcie tej reguły. Przecież gdy rzucałem Ulepszego Psa Gończego, nie zaświtało mi nawet w głowie, że robię coś niemożliwego.

Zamknąłem oczy, próbując sobie wyobrazić, jak wtłoczyć magię w nowo poznany element wzoru. I znów, podobnie jak wtedy, gdy przetworzyłem zionięcie Lily, ogarnęła mnie dziwna, ulokowana tuż pod powierzchnią świadomości pewność, że potrafiłbym to zrobić.

Potem przyszło mi do głowy, że nigdy nie widziałem Margueritte rzucającej którekolwiek z tych zaklęć samodzielnie, bez współpracy ze mną. Umiałem posługiwać się magią niewykonalną dla żadnego innego współczesnego czarodzieja. Magią, która wykorzystywała wzory powszechne w okresie Cesarstwa, równocześnie wywracając na nice współczesne teorie. Istniało tylko

jedno wytłumaczenie tego faktu. Byłem pierwszym od dwóch stuleci, jedynym i jak dotąd ostatnim Magiem Pustki w Arborii.

Ukryłem twarz w dłoniach.

Jeszcze za czasów mojego dziadka Magami Pustki straszło się dzieci. Sztuki o mojej szefowej cieszyły się takim powodzeniem, ponieważ podejmowały temat nieobliczalnych, niebezpiecznych czarnoksiężników bez wspomnienia o tabu. I nawet teraz, chociaż my przyzwyczailiśmy się do badania tematu, gdy zwykli ludzie mówili o Magach Pustki, mieli na myśli Mordreda d'Obsidienne z *Sagi o Glorie* albo Lucjusza Szalonego. Może i Mordred w rzeczywistości był bohaterem, a szaleństwo Lucjusza wyolbrzymiono, ale to nie zmieniało faktu, że z historii wyłaniał się obraz pijanych mocą autokratów, którzy do tego stopnia nie potrafili nad sobą panować, że w końcu rozerwali świat.

– Wielka szkoda, prawda? – usłyszałem cichy, aksamitny baryton dobiegający gdzieś spomiędzy regałów. – Tyle wiedzy i tak fatalnie opisana. Po szkole Margueritte pewnie chce się panu płakać nad tymi protokołami. Z drugiej strony autor zapewne nie miał ochoty z nikim się dzielić.

Rozejrzałem się niespokojnie.

– Bardzo przepraszam za to, co zaraz zrobię – uprzedził mnie baryton. Zacząłem właśnie dochodzić do wniosku, że chyba go znam. – Ale nie ma pan jeszcze dostępu do tej części biblioteki.

Spróbowałem wstać, lecz nagle okazało się, że nie mogę się ruszyć z miejsca. Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Nawet nie zauważyłem, kiedy rzucono na mnie zaklęcie. Otuliło mnie bezgłośnie i bez najdrobniejszych strat mocy, tak że nie potrafiłem go wyczuć; nawet Meg nie czarowała tak precyzyjnie.

– Spokojnie. Proszę się wyciszyć. Mam wrażenie, że jesteśmy sobie winni długą rozmowę na osobności.

Po tych słowach poczułem przemożną chęć zamknięcia oczu. Próbowałem jeszcze walczyć, nie stracić kontaktu z otoczeniem, ale nic z tego. Moje mięśnie rozluźniły się, a równocześnie zaklęcie paralizujące znikło; niczym niepodtrzymywany bezwładnie opadłem na biurko. Ostatkiem świadomości poczułem, że zapadam w sen.

* * *

Obudziłem się, jakby ktoś nagle włączył światło. Wisiałem do góry nogami w komnacie wyłożonej białą-błękitną mozaiką w stylu późnego d'Argent, kilka metrów nad ziemią. Znajdowałem się zapewne w kwaterach prywatnych, ponieważ podłogę wyścielono grubym, miękkim dywanem, a w zasięgu wzroku znajdowała się jeszcze staroświecka skrzynia na ubrania i jasna, filigranowa biblioteczka.

Spowijało mnie coś na kształt kokonu, jakby z jedwabnych nici, tyle że niematerialnych. Szarpnąłem się, ale bezskutecznie. Mimochodem wybierałem już odpowiednie przeciwzakłęcie, jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że jako początkujący mam niewielkie szanse skutecznego rzucenia go z pominięciem gestów.

– Dzień dobry, panie Thorpe. – Rozległy się miękkie kroki i zobaczyłem roześmianą twarz Andreasa Weylanda.

Arcymag, który niedawno skończył trzysta pięćdziesiąty rok życia, nie zwracał sobie głowy zmieniającą się modą. Z uporem godnym lepszej sprawy ubierał się po doloriańsku i dziś również miał na sobie szerokie czerwone poncho. Monumentalny, barczysty i czarnoskóry, na pierwszy rzut oka bardziej przypominał zawodowego zabijakę niż czarodzieja. Obrazu dopełniał złamany za młodu nos, szeroki z natury, a wskutek wypadku podobny do wielkiej, rozplaszczonej truskawy. Nikt nie wiedział, dlaczego Weyland nie dał go sobie zoperować.

– Proszę mi wybaczyć brak szacunku, chociaż uważam, że wyjątkowo jestem do tego uprawniony – syknąłem – ale co pan sobie wyobraża?

– Cóż... – Weyland wzruszył ramionami. – Mógł pan grać w otwarte karty, zamiast kombinować jak koń pod górę.

– René...?

– Nie zna szczegółów, ale kazałem mu cię obserwować. Oraz poinformować mnie natychmiast, gdybyś ze szczerym zamiarem przystępował do egzaminów.

– Pańska sekretarka nas spławia. – Znów się szarpnąłem. – Meg i Belinde zaginęły w Pustce. Złamaliśmy hasło do kuli Meg...

– O, interesujące – zaciekawiał się Weyland.

– ...ale jej moduł komunikacji z innymi kulami jest zabezpieczony kolejnym hasłem. Nie mogliśmy się do pana dostać. Co miałem zrobić? Jestem Magiem Pustki, jasny gwint! I jak się wydaje, zaplanowaliście to wszystko z Margueritte od A do Z, nie biorąc nawet pod uwagę moich planów na życie. Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Mógłby pan mnie uwolnić?

– Nie. Mam ochotę na mały eksperyment. Przetestuję twój potencjał. Zamierzam cię tutaj trzymać, dopóki sam się nie uwolnisz – powiedział Weyland i odczekał chwilę, aż zobaczy przerażenie na mojej twarzy. Dopiero wtedy rozproszył zakłęcie.

Odruchowo zmieniłem kąt upadku i sprawnie przeturlałem się po dywanie. Jak się okazuje, Droga Czapli pozwala zachować godność w niecodziennych sytuacjach.

– Już dawno temu oceniłem poziom zagrożenia z twojej strony – rzekł Arcymag. – Nie obraż się, ale istnieje większe prawdopodobieństwo, że napadniesz na zawartość mojej biblioteki niż na mnie. Znam twój temperament i osobowość, słabe i mocne punkty. Nie zgodziłbym się na próbę aktywacji Maga Pustki bez dokładnego przebadania kandydata. Kiedy przetestowano cię ponad

dwadzieścia lat temu, okazało się, że twój potencjał wskazuje na taką możliwość. Od razu zaczęliśmy przeprowadzać wywiad środowiskowy. Meg odkryła wcześniej trzy podobne osoby, ale żadnej nie dopuściliśmy do szkolenia ze względu na cechy charakteru lub mierny intelekt. To najbardziej ryzykowny projekt, jakiego kiedykolwiek się podjęliśmy.

– Tak. Ładne będą monografie! – Otrzeptałem się energicznie. – Tyle że mnie nikt nie spytał o zdanie.

– A gdyby się nie powiodło? – Weyland uniósł grube brwi. – Gdyby eksperyment Meg nie wypalił? Czy umiałbyś żyć ze świadomością, czym mogłeś być, a nigdy nie będziesz? Jeżeli cię to pocieszy, chcielibyśmy nie publikować tego odkrycia tak długo, jak to możliwe. Jeśli Rada Gildii dowie się o tobie, połowa zesra się ze szczęścia, a druga połowa ze strachu. Nie wyobrażam sobie nawet reakcji prasy. Nie miałbyś życia. A ja straciłbym asa w rękawie. Oczywiście dojdzie do tego prędzej czy później, ale wolę później. Arboria potrzebuje ludzi takich jak ty.

– Magów Pustki?

– Między innymi. – Weyland podszedł do biblioteczki i wyciągnął grube tomiszcze. – Masz, przeczytaj sobie. Dowiedz się, co się dzieje z naszym rozdartym światem, i przynieś skrypt z powrotem. Doradzam dyskrecję. Możesz powiedzieć o wszystkim Kathryn, tego chyba nie unikniemy. Zresztą ona również należy do ludzi, których potrzebujemy; to tylko kwestia czasu.

– Potrzebujemy? – Splotłem ramiona. – Kto właściwie? Ty i Meg? Przed chwilą wspomniałeś, że Rada Gildii o niczym nie wie.

– Przypuszczam, że muszę ci to wyjaśnić. – Arcymag westchnął. – Jak wiesz, badania nad Rozdarcie i Magią Pustki są utajnione z powodów, których możesz się domyślać, a ja nie zamierzam ich drążyć. Zagrożenie, jakie płynie od Granicy, nieznanne aspekty starożytnej magii, wreszcie zła sława, jaka towarzyszy sztuce sprzed Rozdarcia... Spora część tej wiedzy dotyczy samego funkcjonowania naszego świata. Nie wszyscy są do niej dopuszczani. Wewnętrzny krąg, który zajmuje się tymi badaniami, nazywamy Cieniem Gildii. O samym jego istnieniu wiedzą niektórzy magowie spoza Cienia, ale nie mają dostępu do naszej wiedzy ani dokładnej świadomości, kto należy do tej grupy. Tradycyjnie przewodzi jej Arcymag, ale nie zawsze tak było. Musimy uważać, kogo przyjmujemy w nasz poczet.

– A co z mistrzyniami? Co się stało?

– Mam pewną teorię – mruknął Weyland. – Ale bez ciebie jej nie sprawdzimy. Nie bój się o Margueritte. Została przeszkolona na wypadek wielu nietypowych okoliczności, sam zresztą wiesz. Przez pewien czas obydwie poradzą sobie w Utraconej Bretanii. Ach, Vince – doceniam wybieg z pólaktywnym Źródłem, to bardzo sprytnie. Podtrzymuj tę fikcję, a może nawet uda ci się nie stracić prawa do emerytury.

Po powrocie do kamienicy zagrzałem sobie wody we wspólnej kuchni. Pani Revas, nasza gospodyni, która właśnie wniosła na górę nowe wiaderko pełne węgla, popatrzyła na mnie z lekką dezaprobatą. Nie wyraziła jeszcze zdania w kwestii pobytu Lily w naszym mieszkaniu, ale temat nieuchronnie dojrzał do tego, żeby go poruszyć. Za każdym razem, gdy schodziłem zaparzyć herbatę, widziałem pojawiający się w oczach pani Revas licznik zużytego paliwa.

Pozdrowiłem ją kurtuazyjnie i szybko wróciłem do mieszkania, gdzie ze skryptem pod pachą usadowiłem się w salonie na wersalce. Rozległ się tupot kocich łap i Śliwka z mruknięciem pełnym satysfakcji umościła się na moich kolanach.

Otworzyłem skrypt. Ani trochę mnie nie zdziwiło, że nie dostałem opublikowanej książki. Trzymałem w rękach chałupniczo wykonany zbiór kilkunastu monografii po starobretonsku. Po dłuższej chwili kartkowania zorientowałem się, że w większości nie były to nawet oficjalnie wydane publikacje, ale sprawozdania ze spotkań tematycznych. Zresztą bardzo szczegółowe, dobrze opracowane, z dołączonym szeregiem map, zdjęć i rysunków. Wyglądały bardzo specjalistycznie. Przestałem się dziwić, dlaczego beztróskowo przekazano mi tak ważne tajne materiały. Trzeba było głęboko siedzieć w temacie, by od razu się zorientować, że mówią o czymś istotnym, nie wspominając nawet o barierze językowej.

Po półgodzinie lektury zaczęło mi się robić nieswojo. Za naukowym żargonem skrywały się wykonane na przestrzeni ostatnich trzystu lat badania na temat Pustki i Rozdarcia. Po dwóch godzinach, kiedy to i owo zrozu miałem, czytałem już siłą rozpędu, z niezdrowym zainteresowaniem. Nie musiałem zagłębiać się we wszystkie szczegóły, by podsumować najważniejsze wnioski. Badania naukowe mają to do siebie, że ich wyniki można streścić w trzech zdaniach, ale aby je odpowiednio przedstawić, trzeba całej monografii.

Nie wiem, czy bardziej wytrąciły mnie z równowagi odkrycia, jakie wyłaniały się ze skryptu, czy fakt, że nazwiska kilku autorów były wstrząsająco znajome. Znów uważnie przekartkowałem księgę. Wypatrzyłem Andreasa Weylanda, jak i poprzednią, nieżyjącą już Arcymaginię Elysię Fairbanks de Branche de Lazurite. Kilka sprawozdań w drugiej części manuskryptu przygotowała moja szefowa.

Dwie najstarsze monografie z samego początku książki opatrzone tylko skreśloną wiotkim, pajęczym charakterem pisma sygnaturą: Lucjusz Thorpe.

Ze świstem wciągnąłem powietrze w płuca. Powszechnie znano Lucjusza pod przydomkiem Szalonego; o jego prawdziwym nazwisku pamiętali tylko historycy. Czy chodziło o tę samą osobę? A może to tylko przypadkowa zbieżność imion? Czy ojciec powiedziałby mi, że pochodzimy od niesławnego arboriańskiego Maga Pustki? Za dużo tego wszystkiego. Za dużo na kogoś, kto zaledwie tydzień

temu był zwykłym asystentem czarodziejki, tuż przed wczesną i zasłużoną emeryturą.

Skrzypnęły drzwi. Aż podskoczyłem na wersalce, a kot umknął z moich kolan. Odetchnąłem niespokojnie, widząc wchodzącą Amandine; za nią podążała Lily.

– Wróciłyśmy z Muzeum Cesarstwa Triumwiratu – odezwała się moja narzeczona, a z jej tonu wywnioskowałem, że zimna wojna między nami jeszcze się nie zakończyła.

– To chyba... dobrze?

– Widzę, że się pilnie uczysz, ale ja chciałabym znaleźć trochę czasu na malowanie. Czy mógłbyś zająć Lilianę jej... czarodziejskimi obowiązkami?

– Wynajęliśmy z Kathryn salę ćwiczeń na piątą po południu. – Rozejrzałem się wkoło, aż wreszcie znalazłem pozostawioną na komodzie przewiązaną sznurkiem paczkę cienkich książek. Podniosłem ją i wręczyłem dziewczynce. – Proszę. Chciałbym, żebyś zapoznała się z nimi przed obiadem. Nie musisz wszystkich czytać, przejrzyj i sprawdź, co z tego już przerabiałaś. Zorientujemy się, co właściwie potrafisz.

Popatrzyłem na Amandine. Pod przykrywką zwykłej rozmowy znów tworzyły się niewypowiedziane pretensje, ropiąły jakieś rany, wyrastały bariery. A teraz po raz kolejny miałem coś ukrywać. Sprawy czarodziejów, tajemnice, o których zwykli ludzie nie powinni wiedzieć.

„Chrząnię to – pomyślałem wreszcie. – Kogo znam lepiej – Weylanda czy Amandine? Komu jestem winien lojalność – tajemniczemu organizacji chroniącej Arborię czy mojej ukochanej? Kto się szczerze o mnie troszczył, a kto mną manipulował dla własnych celów?”

– Przepraszam cię, Lily. Poucz się przez chwilę w drugim pokoju – powiedziałem cicho. – Musimy z Amandine poważnie porozmawiać.

Liliana przyjrzała się nam i skinęła głową, a potem udała się do gabinetu; zastanawiałem się, ile napięcia między nami potrafi wyłapać jedenastolatka. Weyland będzie musiał rozwiązać i tę sytuację. Właściwie opiekę nad dziewczynką sprawowała teraz moja narzeczona, chociaż nie należało to do jej powinności. W dodatku jeżeli mam udawać półaktywnego, to i tak nie zdobędę uprawnień nauczycielskich.

Położyłem manuskrypt na stoliku. Kilkakrotnie otwierałem i zamykałem usta, nie wiedząc, od czego zacząć. Amandine założyła ręce na piersi i wpatrywała się we mnie intensywnie. Nawet nie siadła na wersalce.

– Chodzi o Kathryn, prawda? – zapytała wreszcie cichym, drżącym głosem.

Zupełnie mnie to zaskoczyło.

– Co? Ale dlaczego? Co takiego dzieje się z Kathryn?

Teraz znów Amandine wydawała się zdumiona. Widziałem jednak, że zaczyna wpadać w furię.

– Nie wyobrażałeś sobie chyba, że tego nie zauważę. Wspólne tajemnice. Długie rozmowy wieczorami. Spodziewałam się, że jako świeżo upieczony czarodziej postanowisz wybrać sobie kogoś na swoim poziomie...

– Daj spokój – przerwałam jej. – Poważnie, myślisz, że ona mi się podoba? To absurdalne.

– Cóż, jest egzotyczna, inteligentna... – wyliczała Amandine przez zaciśnięte zęby. – Szcuplejsza, wyższa ode mnie i znacznie młodsza...

– E... no, nigdy nie rozpatrywałem tego od tej strony – powiedziałem niezręcznie. – Na Pustkę, Amandine. Sądziłem, że się nie odzywasz, ponieważ nie powiedziałem ci od razu o Źródle... albo boisz się tego, co się ze mną stało. Kathryn to Kathryn. Znaczy... są różne gusta, ale ona mnie po prostu nie pociąga. Przecież nawet nie ma tyłka... Znaczy, nie chodzi tylko o twój tyłek, ale wiesz... Cholera. Pograżam się, prawda?

Amandine uniosła brew. Jej złość chyba powoli przechodziła w rozbawienie.

– Nie mów mi, że nie widzisz, jak ona na ciebie patrzy.

– Jak na obiekt doświadczalny? – Rozłożyłem ręce. – Oraz ścianę do odbijania pomysłów? Mam wrażenie, że raczej kocha się we własnym intelekcie.

Moja narzeczona oparła dłoń o czoło. Nie umiałem stwierdzić, czy powstrzymuje się od płaczu, czy od śmiechu.

– Vincent, jesteś wyjątkowo byстрыm facetem. Ale czasami... doprawdy... Dobrze. Skoro nie chodzi o Kathryn, to o czym w takim razie chciałeś mi opowiedzieć?

Spoważniałem. Odetchnąłem głęboko. Poprosiłem, żeby usiadła.

– Przede wszystkim, Amandine, dzieląc się z tobą tymi informacjami, zapewne dopuszczam się zdrady stanu – wyszeptalem – ale prawdę mówiąc, mam to w dupie. Powinnaś w pełni świadomie zdecydować, czy jeszcze chcesz mieć ze mną do czynienia, i nie obwinę cię, jeśli stwierdzisz, że to cię przytłacza. Nie zamierzam niczego więcej przed tobą ukrywać. Bo tajemnice gniją. Prędzej czy później.

– Jesteś Magiem Pustki – odpowiedziała szeptem Amandine.

– Kiedy się domyśliłaś?

– Podejrzewałam od pierwszego dnia po aktywacji. Po co tyle zwlekać? Po co te wszystkie testy, misje, długotrwała nauka? Wyprawa na duszoscoka, w której nagle zajęłeś centralne miejsce, obsesja Meg na punkcie Wojny i starożytnych artefaktów... To jedyne rozwiązanie, które miało sens.

– Wyparłem ten wniosek – westchnąłem.

– Nie dziwię się. Ale masz coś jeszcze do powiedzenia, prawda? Do czego cię potrzebują?

– Obydwie części kontynentu nadal istnieją – wyjaśniłem szeptem. – Rozdarcie wcale się nie zakończyło. Bretania stopniowo oddala się od Arborii. I jeżeli przekroczą odległość krytyczną, ulegną destabilizacji. Cały świat

rozpadnie się na małe fragmenty. Wszyscy zginą. Żeby odwrócić ten proces, trzeba współpracy czarodziejów po obu stronach. A tylko Magowie Pustki mogą swobodnie podróżować przez Pustkę.

– Ile czasu...?

– Od pięćdziesięciu do dwustu lat. Jeszcze za mojego życia.

– Być może i za mojego... – szepnęła Amandine.

– Gdyby miał nastąpić ostateczny rozpad, dwie dekady wcześniej dostrzeżemy sygnały ostrzegawcze.

– Niewielkie pocieszenie... – Amandine splótła ramiona. – Vince, Vince, powiedz mi... czy komuś może się przydać taki cywil jak ja? Nie mam żadnej mocy. Żadnego talentu bojowego. Mogę tylko czekać, aż wyślą cię na kolejną wyprawę, nie wiedząc, czy z niej wrócisz, jak żona wojskowego albo marynarza. Nie przypominam Margueritte ani Kathryn. Umiem jedynie malować. Trochę potrafię myśleć.

– Czasem tyle wystarczy, żeby zmienić świat. – Przytuliłem ją delikatnie. Oparła głowę na moim ramieniu. – Najważniejsze, że po prostu jesteś.

* * *

Sale ćwiczeń znajdowały się w osobnym budynku na terenie kampusu. Praktykowanie wyższej magii, zwłaszcza bojowej, wiąże się ze sporym ryzykiem i, rzecz jasna, nie można tego robić na mieście. Jeśli mag uczy się zaklęć w szczerym polu, zapewne nikt nie będzie się wtrącał. Ale w stolicy Arborii istnieją pewne regulacje.

Sala przypominała trochę gimnastyczną, z wyjątkiem kilku istotnych różnic. Pod ścianą najbardziej oddaloną od drzwi stały ekrany z utwardzonego magią brązu. Przy drzwiach znajdował się mały czarny akumulator oraz podest wyposażony w gałki i wajchy, które służyły do poruszania ekranami. Zielonkawe lśniące ściany i posadzkę powleczono stopem o wdzięcznej nazwie *trivium*, używanym – nomen omen – do najbardziej trywialnych zastosowań magicznych. Nie były tak wytrzymałe jak ekrany, ale nie niszczyły się w razie trafienia przypadkowym odpryskiem mocy.

Po godzinie Amandine przysypiała na ławce, ze mnie pot łał się strumieniami, a Kathryn dopiero zaczynała się rozkręcać. Ponieważ dysponowała największym doświadczeniem z naszej trójki, w naturalny sposób przejęła rolę nauczycielki.

Problem z Lilianą polegał na tym, że jeszcze nie udało nam się jej skłonić do rzucenia choćby jednego kompletnego zaklęcia. W teorii opanowała program trzech lat nauki, jednak w żadnym stopniu nie przekładało się to na praktykę. Kathryn wbiła sobie do głowy, że Lily nieco się rozkręci, jeśli skorzysta z naturalnych uzdolnień. Dziewczynka spróbowała już kilka razy, ale odbijało jej się dymem i tyle.

– Dobra, mała. Gotowa? Teraz proszę cię o przysolenie swoim najlepszym zionięciem w ten oto ekran.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. W ogóle się nie martw o jednostki mocy, jedziemy na abonamencie Belinde. W razie czego sobie uzupełnisz.

– A jeśli kogoś skrzywdzę?

– Wszyscy mamy tarcze ochronne – zauważyłem.

Nagle zadzwieczał dzwonek i zapaliła się żółta automagiczna lampka, ostrzegając, że ktoś właśnie wszedł do służby. Obejrzałem się ze zdumieniem; nikogo więcej nie zapisywaliśmy, a osoby z zewnątrz – oprócz lekarzy – nie miały dostępu do prywatnych sal. Chwilę później drzwi się rozsunęły i do środka wmaszerował Andreas Weyland.

– Dobry wieczór państwu – przywitał się. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam z wami pewną sprawę do załatwienia. Lily... – Spojrzał na dziewczynkę. – Witam. Widzę, że dajesz sobie radę z dala od babci.

Liliana zmarszczyła nos.

– Ona nie jest moją babcią – odpowiedziała głośniejszym głosem niż zazwyczaj.

– Cóż, trzeba przyznać, że karygodnie zajmuje się młodzieżą – odparł spokojnie Andreas Weyland. – Ale w końcu zaadoptowała cię, dała rodowe nazwisko, obsypała złotem...

Lily prawie zagotowała się ze wściekłości. Spojrzałem na zadowolonego z siebie Weylanda i nagle zrozumiałem, do czego dąży. Arcymag całkiem świadomie usiłował wyprowadzić ją z równowagi.

– Panie Weyland – wtrąciłem. – O ile akceptuję taką technikę pedagogiczną wobec mnie...

Tymczasem Lily zacisnęła pięści.

– Myśli, że robi mi wielką łaskę! – wykrzyknęła. – Przecież pan wie, jak było. Hrabina d’Opal jest przyrodną siostrą mojej praprababci. Zajęła po niej rodowy majątek, wydziedziczyła mojego tatę. Zaadoptowała mnie tylko dlatego, że nie znalazła żadnego talentu w prostej linii, a jej ulubiony praprawnuk okazał się półaktywny. – Odwróciła się do nas i ciągnęła z przejęciem: – Wzięła wszystkie dzieci z rodziny do Wieży Doloriańskiej na aktywację – młodsze, starsze, nieważne...

– Przecież to nielegalne... – zaczęła Amandine.

– Oddział Gildii w Dolorii jest jej własnością. – Z nozdrzy Lily dobiegła słabo widoczna smużka dymu. – Ledwo się dała przekonać, żeby darować siedmiolatkom! Pan o tym wiedział, proszę pana. Dlaczego nic pan wcześniej nie zrobił?

– Bo mieliśmy lepsze rzeczy do roboty – rzucił Arcymag.

I wtedy Liliana de Branche d’Opal zionęła w niego ogniem.

Po raz pierwszy miałem okazję obserwować czyjeś zionięcie z dystansu, a nie jako cel. Muszę przyznać, że to bardzo poprawia widoczność. W przeciwieństwie do Kuli Ognia, zionięcie zaczyna się jako słup drgającego płomienia, a po chwili przekształca w skoncentrowaną wiązkę płonącej magmy; biały rdzeń wskazywał, że temperatura wiązki dorównuje ognistej kuli Kathryn. Nie wiem, jakim cudem dziewczynka nie uległa zwięglieniu od środka.

Arcymag uniósł tylko róg poncho, a całe zionięcie spłynęło po nim jak po kaczce, oczywiście metaforycznie, bo prawdziwa kaczka zmieniłaby się w mały czarny korpus. Magma rozbryznęła się we wszystkie strony; odruchowo wysunąłem się do przodu, a Kathryn szybkim gestem postawiła ścianę wody. Po chwili dziewczynka zużyła całą energię, zamknęła usta i usiadła na podłodze, drżąc na całym ciele. Amandine otuliła ją swoim płaszczem, ja natomiast rozejrzałem się za torbą z napojami i podałem jej butelkę soku.

– Przepraszam – odezwał się Andreas Weyland. – Dopóki się boisz własnej mocy, jesteś zablokowana. A dopóki jesteś zablokowana, nie potrafisz przejąć nad nią kontroli. Musiałem sprowokować twoją reakcję w warunkach, w których nie zostaniesz ukarana. Podświadomie to zapamiętasz i lęk zacznie się zmniejszać. I może kiedyś mi wybaczysz, że nie podjąłem natychmiastowej interwencji w sprawie twojej nie-babci. Niestety, nie mam władzy nad hrabiną Oliwią ani wiedzy o wszystkim, co dzieje się z jej rozkazu.

– Nadal uważam, że istnieją znacznie lepsze techniki pedagogiczne – oświadczyłem twardo.

– Proszę wybaczyć, pani Cerise. – Weyland uklonił się kurtuazyjnie, w samą porę, gdyż Amandine już się szykowała do awantury stulecia, nie zważając, że to Arcymag; sam zresztą bym temu przyklasnął. – Muszę porwać pani narzeczonego. Obiecuję, że oddam go przed kolacją. Kathryn, idziesz z nami.

* * *

Szybkim krokiem schodziliśmy spiralnymi schodami. Chociaż Andreas Weyland ledwo mieścił się w przejściu, zwinnie sunął do przodu, jakby nie dotykał stopami ziemi. Na jego twarzy malowała się powaga.

Co jakiś czas opierałem dłoń na mozaice. Z początku biało-błękitna, zmieniała barwę i deseń, gdy schodziliśmy coraz niżej. Nawet nie zauważyłem, kiedy zaczęły w niej przeważać srebro i zieleń, a sceny z udziałem postaci znanych z historii i mitologii zmieniły się w abstrakcyjne wzory, motywy roślinne i fantastyczne zwierzęta – może fikcyjne, może dawno wymarłe. Samą mozaikę wykonano z innej ceramiki – grubszej, chropowatej, jakby cieplej w dotyku.

Od dawna wiedziałem, że budynek d'Argent powstał na fundamentach sprzed wojny; pamięta o tym każdy, kto uważał na lekcjach historii. Ale tutaj nie przychodziły żadne wycieczki. Ta część biblioteki pozostawała zamknięta dla odwiedzających.

– Przeczytaliście? – rzucił Weyland.

– Pobieźnie – przyznałem się.

– Ja tylko usłyszałam streszczenie – dodała Kat, nagle poważna, rzeczowa i skupiona, jakby stała się innym człowiekiem. – Rozumiem, że magia Creo może stymulować pewne efekty, na których nam zależy.

– Sądziłem, że porozmawiamy rano, na spokojnie – mruknął Arcymag – ale Trzecia Wyrocznia dała o sobie znak, pierwszy raz od zaginięcia Lucjusza. Musiała cię wyczuć.

Trzecia Wyrocznia. Jak przez mgłę przypomniał mi się pewien sen. Prośba o pomoc. Zielonowłosa dziewczyna, piękna, a mimo to odrażająca. Jak ona miała na imię?

– Skuld? – spytałem niepewnie.

– Tak, Skuld. – Andreas Weyland westchnął ciężko. – Czyli dotarła do ciebie, zanim czegokolwiek się dowiedziałeś. Tego się właśnie obawiałem.

I nagle poczułem chłód, bo zaczynałem rozumieć, dlaczego Meg i Belinde przepadły w Pustce. To ja zrzuciłem na nie odpowiedzialność, przekonany, że rozmawiam z wytworem własnej sennej wyobraźni. W jakiś sposób, którego jeszcze nie znałem, trafiły tam zamiast mnie. To była moja wina.

– Jest niebezpieczna?

– Bardzo. Działa według protokołu, który wpisano w nią tysiąclecia temu, aby chronić ludzkość. – Arcymag zdjął ze ściany olejową latarnię i zapalił ogień. Ten gest wydał mi się nienaturalny, ale potem zrozumiałem dlaczego – nigdzie w okolicy nie płonęło już magiczne światło, nie wyczuwałem też ani odrobiny użytkowej magii. – Ma dobre chęci, ale postępuje wedle wartości i motywacji, których do końca nie rozumiemy. Jest całkowicie nieprzewidywalna. Uważaj na nią, Lucjusz zerwał kontakt za jej podszeptem.

Ruszyliśmy dalej wąskim korytarzem, który cały czas lekko się obniżał. Wreszcie architektura znów się zmieniła. Sufit stał się niższy, przejście szersze, mozaikę zastąpił ciemny cętkowany granit.

– Ja mam niezwiązane z tym pytanie – wtrąciła Kathryn. – Potrzebujecie Maga Pustki, żeby podróżować na drugą stronę, i magów Creo, żeby rekonstruować rozpadającą się Bariere. A co to jest *Drachenfeuer*?

– Nie wiem. – Weyland pokręcił głową. – Naprawdę nie wiem. Bardzo rzadki, stary profil magiczny jeszcze z okresu Cesarstwa. Chodziło o kontrolę szwadronów smoków, ale materiały źródłowe są bardzo nieprecyzyjne. Smoki dysponują częścią zdolności Magów Pustki, mam na myśli, rzecz jasna, oczyszczanie ze skażenia. Gdyby znaleźć kilka uspiionych egzemplarzy, można by je wykorzystać przy scaleniu świata.

– Oczyszczanie ze skażenia... Jak to działa? – spytała Kathryn.

– Czekaj, nie odpowiadaj, chyba rozumiem. – Dotknąłem palcami skroni i ledwo zarysowane wspomnienie wypełniło mój umysł. – Kiedy przetwarzałem duszoscoka... zdawało mi się... Czym właściwie jest Pustka, jeśli nie energią?

Wypaczoną, poplątaną czasoprzestrzennie, szkodliwą dla istot żywych, ale w gruncie rzeczy możliwą do rozplecenia i wyprostowania.

Weyland skinął głową.

– I na tym właśnie, w samej swojej istocie, polega talent Magów Pustki. Potrafią przetwarzać energię w wielu wymiarach czasu i przestrzeni, również tych niedostępnych dla zwykłych czarodziejów. Pustka stanowi dla nich jeszcze jedno źródło mocy do obróbki. Mogą przemierzać zakrzywioną przestrzeń. Usuwać przyczynę Piętna. I tak, liczę, że kiedyś zobaczę cię na stażu w Centralnym Szpitalu... Trzeba pamiętać o jeszcze jednym szczególe, dla Arborii nieistotnym, za to bardzo ważnym w Utraconej Bretanii. Obecność Maga Pustki sama w sobie zakrzywia sieć energetyczną świata. Jesteś chodzącym Źródłem geograficznym, Vince.

Nic nie zrozumiałem.

– Mogę ładować akumulatory?

– Czyli produkować pieniądze? – Kat uśmiechnęła się krzywo.

Weyland pokręcił głową.

– Niekoniecznie... ale doceniam waszą twórczą wyobraźnię. To tu. Już jesteśmy na miejscu.

Przed nami rozpościerała się nisko wysklepiona komnata. Ściany były surowe, gładkie, wykonane z szarego kamienia, na którym ledwo dostrzegano się łączenia. Wyglądały zupełnie beczasowo; pomieszczenie równie dobrze mogło liczyć zarówno kilkadziesiąt, jak i kilka tysięcy lat. Zamiast automagicznych lamp, do których szybko przywykało się w budynkach Gildii, umieszczono tutaj kilka latarni. Weyland obszedł je wkoło, przenosząc patyczkiem płomień do każdej z nich, a my tymczasem obserwowaliśmy widoczne pośrodku komnaty rzeźbę i magiczny krąg.

Posąg wykonano z tego samego szarego kamienia co ściany, był on jednak spękany, lekko nadgryziony zębem czasu. Przedstawiał kobietę w długiej szacie, z dłońmi złożonymi tak, jakby właśnie zaczerpnęła wody.

Rzeźba była stara, starsza niż cokolwiek, co kojarzyło się ze sztuką Cesarstwa. Jednak cokolwiek zostało wykonane dużo później. Z kolei krąg magiczny, który stał przed nią, wyglądał prawie całkiem współcześnie, chociaż dość nietypowo. Oparto go na wyrzeźbionej w posadzce róży wiatrów. Wszystkie ramiona gwiazdy oznaczono silną runą blokady, odlaną w ołowiu; całą figurę otaczał okrąg z brązu, jarzący się od energii magicznej.

– Wymieniam go co czterdzieści lat – wyjaśnił Arcymag.

– Co zabezpiecza...? – Kathryn zmarszczyła brwi. – Jasna cholera... rozpadlinę, prawda? Trzymacie prawie otwartą rozpadlinę w środku miasta?

Andreas pokręcił głową.

– Portal – podkreślił. – Znajdował się tutaj od zawsze. – Wskazał jedną z linii róży wiatrów. – Musiał do czegoś służyć przed Rozdarciem. Lucjusz przyniósł

rzeźbę, gdy byłem jeszcze czarodziejem w krótkich porciętach. Ale Skuld sama potrafi nawiązać kontakt z Magiem Pustki z dowolnego miejsca w Arborii. Oraz z czarodziejami, którzy w jakiś sposób są mu bliscy. To komunikacja w drugą stronę nastęcza problemy.

– Proszę pana... – odchrząknąłem. – Czy... Czy Lucjusz Szalony był moim przodkiem?

Kathryn popatrzyła na mnie ze zdumieniem. O tym jej nie mówiłem.

– Nie – odparł Weyland. – Ale kuzynem, owszem. Pochodzisz w prostej linii od jego wuja. Jeżeli cię to pocieszy, w ogóle nie odziedziczyłeś talentu po tej gałęzi rodu. W pewnym sensie jesteś całkiem nowym fenomenem... ale o tym kiedy indziej. Spójrz. Znow się budzi.

W dłoniach posągu zajaśniał słaby zielonkawy blask.

– Kiedy to robi, w komnacie Arcymaga uruchamia się alarm – mruknął Weyland. – W ciągu ostatnich dwudziestu czterech lat usłyszałem go trzykrotnie. Teraz byłby czwarty. Odpowiedz jej wreszcie.

– Jak?

– Zwyczajnie, Vince. Podłącz się do Źródła.

Sięgnąłem ku niej. I całą komnatę zalało blade zielone światło.

* * *

Otworzyłem oczy i się rozejrzałem. Wszyscy troje znajdowaliśmy się na dziedzińcu, na ławce z żółto prążkowanego marmuru, zupełnie jak w moim śnie. Dookoła świat ograniczały ściany mgły, a pośrodku tryskała fontanna z posągami w kształcie dziwnej esowatej ryby. Na jej cembrowinie, tak jak poprzednio, siedziała wiotka dziewczyna o długich zielonych włosach.

Coś się tutaj jednak zmieniło od ostatniego razu. Brakowało niektórych marmurowych płyt tworzących posadzkę dziedzińca. Zamiast nich ziały w podłodze czarne puste kwadraty. Również cembrowina, gdy jej się dobrze przyjrzałem, okazała się niekompletna; tu i ówdzie widniały luki, jakby ktoś wymazał rysunek gumką.

– Witam cię znow, Magu. – Trzecia Wyrocznia wstała i podeszła dwa kroki. Gdy zaczynała się poruszać, wrażenie nienaturalności stawało się nie do zniesienia. Odruchowo odwróciłem od niej wzrok; zobaczyłem, jak Kathryn wzdryga się z obrzydzeniem. – I was również, Księżniczko i Poszukujący Czarownika. Dziękuję, że przywiodłeś go do mnie, zanim użyłam cennej mocy, aby ponownie odnaleźć go we śnie.

– Ostatniego mi ukradłaś. – Weyland zaplótł ręce. – Powstrzymaj się tym razem, dobrze?

– Postąpił, jak chciał – odparła dziewczyna. Odgarnęła włosy; dostrzegłem, że między kosmykami znajduje się przejrzyste miejsce, jakby jedno pasmo włosów stało się niewidzialne. – Gdybyście tylko uważnie słuchali moich prośb... tak jak

ty, Magu. Sądziłam, że mnie oszukałeś, ukryłeś swoją moc. Czarodziejki, które wzięłam zamiast ciebie, istotnie są nadzwyczajne, lecz nie tego potrzebowałam!

– Wcale nie chciałem...

– Ale teraz rozumiem, Magu. Jesteś bezwzględny, lecz mądry. Przyprowadziłeś Księżniczkę. Jest z wami *Drachenkind*. Dobrze. Potrzebuję was wszystkich. Nie ciebie, Poszukujący. Ty zostań i pracuj dalej.

– Ach tak. Serdecznie dziękuję za pozwolenie – wymamrotał Weyland. On również nie potrafił się zmusić, aby spojrzeć jej w oczy. – Posłuchaj mnie, Skuld. Nie pozwolę, żebyś od razu zabrała ich do Bretanii. Vincent potrzebuje czasu, żeby oswoić się z własną mocą, a nie będę przecież wysyłać dziecka. Proponuję się umówić na podróż za kilka tygodni. Razem z wybranym przeze mnie doświadczonym czarownikiem.

– Wezmę Maga, Księżniczkę i *Drachenkind*. – Zielone włosy Skuld falowały, chociaż nie wyczuwałem żadnego wiatru. – Nikogo mniej, nikogo więcej. Żadnych zmiennych, które zaburzają wzór. Nie ma czasu. Bretania nie ma czasu. Żywię nadzieję, że twój nowy Mag nie przypomina tego, który ostatnio do mnie przybył, gdyż tamten całkowicie zawiódł moje zaufanie.

– To ja może się wtrąć i o coś zapytam – odezwała się głośno Kathryn. – Rozumiem, że nasze mistrzynie żyją, świetnie dają sobie radę i wytrzymają za granicą kilka dni. Co to znaczy: nie ma czasu? Dlaczego? O jakich horyzontach czasowych mówimy? Zwykli ludzie myślą w kategoriach miesięcy, czarodzieje – dziesięcioleci, a ty? Bo pragnę ci uświadomić, że Vincent jest nowy w tym fachu. Daj nam chociaż dwa tygodnie – nauczy się rzucać to, co zna, staniemy się w miarę sprawnym zespołem. Jeśli bez żadnych przygotowań przeniesiesz tylko mnie, Vincenta i Lily, zamiast ratować Margueritte i Belinde, sami będziemy wymagać ratunku. Jestem w tej grupie jedyną osobą, która cokolwiek potrafi!

Kathryn jak zwykle wykazywała się empatią i zdolnościami dyplomatycznymi. Na szczęście rozmawiała z magicznym konstruktem, który był jeszcze gorszy w te klocki. Ciekawe, że prawie natychmiast poczuła się odpowiedzialna za mnie i za Lily.

– Swoją drogą – dodałem – miło byłoby wiedzieć, do czego nas właściwie potrzebujesz.

– Bretania się rozpada. Wcześniej, niż sądziliście – szepnęła Skuld, a jej źrenice rozszerzyły się, wypełniając całe tęczówki. – Ty możesz zatrzymać wojnę, uspokoić magię, zacząć na nowo. Dwoje pozostałych pasuje do wzoru.

Po słowie „wzór” metalicznie połyskujące linie i figury zaczęły rozprzestrzeniać się po posadzce, rozwijając się, nadbudowując i komplikując, tworząc niesamowitą mozaikę. Jakby ktoś w jednej chwili wyrysował pięćset zakłęć naraz.

– Popatrzcie. Sami widzicie, jak to wygląda! – zwróciła się do Weylanda nagłym tonem. – Mogę poczekać na Maga. Osiem dni, prawda? Słyszę twoje myśli, Magu; za osiem dni chcesz odprawić rytuał, który jest dla was ważny.

Zabiorę też istotę ludzką, dla której bije twoje serce, tylko przybądź ósmego dnia i zaklinam cię, weź wszystkich! Zostało mi jedynie tyle mocy, aby przenieść ich za tobą.

Zatchnęło mnie z oburzenia. Wyrocznia zdecydowała się wziąć Amandine na czwartego, ponieważ potraktowała ją jak trofeum, dar dla Maga za dobre sprawowanie. Gdybym dostał chwilę na odpowiedź, usłyszałyby, co o tym sędzę.

Ale krajobraz nagle zniknął – tak gwałtownie, jak się pojawił. Siedzieliśmy na kamiennej, zimnej podłodze szarej komnaty. Weyland wyciągnął zza pazuchy chusteczkę z olejkiem miętowym i podetknął ją sobie do ust.

– Robi wrażenie. – Kaszlnął. – Prawda?

– Rzeczywiście sympatyczna. – Kathryn pokręciła głową. – To miło z jej strony, że zgodziła się zaczekać do egzaminów.

– Zaczynam mieć poczucie winy, że nie wyruszyliśmy natychmiast – mruknąłem. – Jeżeli sytuacja w Bretanii faktycznie przedstawia się tak źle, nasze mistrzynie mogą być w sporych opałach.

– Nie pomożemy im, przybiegając na pierwsze skinienie Wyroczni, bez żadnego przygotowania – podkreślił Weyland. – Poza tym nie wiem jak wam, ale mnie ten wzór – matka wszystkich wzorów – nic nie mówi. Trzeba przeprowadzić dywinacje, sięgnąć do literatury, sprawdzić, co Skuld właściwie miała na myśli. I niezależnie od kaprysów Trzeciej Wyroczni ustalić własną taktykę. Musicie wierzyć w to, że Meg i Belinde poradzą sobie do waszego przybycia.

Raport terenowy
23 Avril 753 AG

Spostrzeżenie pierwsze: Mamy tutaj coś w rodzaju rewolucji albo wojny religijnej – zależy jak patrzeć, a generał Theresa von Feuerstein jest boskim płomieniem pomsty w buncie przeciwko Zakonowi Cierpliwego Wędrowca.

Fakty: Zakon rządzi Królestwem Bretanii z za pleców łaskawie panującego Philippe'a II Verlaina de Branche d'Argent. Stara historia: zniedołężniały król i szare eminencje. Nikt ich nie lubi. Do tego stopnia, że okoliczne księstwa chwilowo przestały się napażać między sobą i wystawiły armię, którą prowadzi pani generał. Niewątpliwie wybrałyśmy sobie dobry moment, żeby tutaj wpaść.

Spostrzeżenie drugie: Wyjaśniło się, na kogo czekaliśmy pod lasem. Dołączył do nas oddział konnicy z Ile-de-Bois, udzielnego księstwa Branche de Tourmaline. Całkowita liczebność armii nieznaną. Piechurów i jazdę liczę w tysiącach. Przekroczyliśmy rzekę i zmierzamy w stronę pasma górskiego. Jeszcze długa droga do Nouveaux Dijon.

Margueritte przyglądała się własnej dłoni, nieco otartej od trzymania wodzy. Pstrokaty, solidnie zbudowany wałach szedł własnym tempem, nie zważając na jakiegokolwiek sygnały i bardziej niż do jeźdźca dostosowując się do pozostałych koni w szyku. Na rumaka bojowego z całą pewnością się nie nadawał. Jako wierzchowiec dla więźniarki sprawdzał się znakomicie.

Właściwie, poprawiła się Meg, nie były typowymi więźniarkami. Ulokowano je w pobliżu sztabu, pod ścisłą kuratelą Arthura, co oznaczało, że wliczały się do zasobów strategicznych. Otaczała je straż konna w błyszczących półpancerzach, z pióropuszcami, mieczami i wszystkim, czym rycerz dysponować powinien. Tuż przed nimi na wielkiej karej klaczy jechał Arthur. Margueritte doskonale pamiętała, że doradca Theresy ma przy sobie ich bagaże. Od czasu do czasu zadawał pytania na temat tego czy innego drobiazgu. Chyba z pięćdziesiąt razy próbował się dowiedzieć, jak złamać zabezpieczenia różdek i automatycznej kuszy.

Przed nimi daleko z przodu falowały proporce. Za nimi, gdzie okiem sięgnąć, pięły się w niebo długie drzewca pik i halabard. W zwartym szyku maszerowali miecznicy i kusznicy z ciężkimi arbaletami. Tabor, osłaniany przez lekką piechotę o różnym uzbrojeniu, włókł się gdzieś w ogonie armii, zbyt daleko, aby można było go dostrzec. Szli już kilka dni; wieczorami, zamiast rozkładać się obozem na postojach, fortyfikowali się przy taborze. Sypano wały, ustawiano wozy w koło, a gdzie można – stawiano palisady. Po świeżej dzicyźnie i leśnych warzywach zostało już tylko wspomnienie, teraz podstawą wyżywienia dla całej armii stały się suchary, cebula, twarde solone mięso i nieśmiertelna grochówka, okazjonalnie w postaci identycznej zupy na soczewicy lub fasoli. Okoliczne strumienie i rzeki zapewniały dostęp do czystej wody.

Pozbawione mocy czarodziejki, przyzwyczajone do znacznie lepszej wytrzymałości fizycznej, na postojach padały z nóg. Belinde bardzo źle znosiła podróż. W przeciwieństwie do przyjaciółki nie spędzała kilku miesięcy każdego roku na wyprawach w teren, a kiedy już wyruszała w podróż, zapewniała sobie wszelkie możliwe luksusy. Teraz przeszkadzało jej wszystko: nieistniejąca higiena, ciężkostrawne pożywienie, długotrwała jazda konna. Ponadto brak dostępu do Źródła zdawał się ją wpędzać w coraz większe przygnębienie. Nie skarżyła się, ale Meg zbyt dobrze ją znała, żeby przeoczyć jej pogarszające się samopoczucie.

Tymczasem sama Margueritte, której nieobce były wizyty w niedostępnych ruinach, pościgi za elementem przestępczym, a nawet tygodnie spędzone w dżungli, po kryzysie drugiej nocy zaczęła stopniowo wpadać w rutynę. Jedzenie jej nie szkodziło – uważała tylko, że trochę go za mało. Wełniane koce,

wyraźnie po przejściach, gryzły jak stado wściekłych jeżozwierzy, ale i do tego szło się przyzwyczaić. Skołowała od Arthura trochę pergaminu i ołówkę pod pretekstem wyjaśniania funkcji magicznych przedmiotów i pisała dziennik, nie mając możliwości dyktowania go magicznej kuli. Dotkliwie odczuwała tylko brak Źródła. Próbowwała znaleźć dobre porównanie – nie bolało, ale drażniła ją jego nieobecność, jakby straciła palec wskazujący albo przedni ząb.

Żeby zapewnić przyjaciółce wygody, do których przywykła, Meg usiłowała nawiązać lepszy kontakt z Arthurem. Gdyby eksczarodziej trochę się rozluźnił, może oddałby chociaż kilka magicznych sukni.

Margueritte uderzyła wałacha piętami po tłustych bokach, równocześnie dając znaki straży, że chce porozmawiać z doradcą. Po kilku nieudanych próbach nieposłuszny koń dał się namówić na dokłusowanie do karej klaczy i Meg podjęła kolejną próbę negocjacji.

– Widzę – odchrząknęła – że jedziemy w stronę gór.

– Zaiste, myli się pani – odrzekł Arthur wyniośle – gdyż widzi pani przed sobą ocean.

– Jak rozumiem, to takie bretańskie określenie na wysokie pasmo górskie.

– Jak rozumiem – odgryzł się Arthur – arboriańscy więźniowie jak zwykle nie wiedzą, gdzie ich miejsce.

– Trudno nam spełniać rozkazy generała i pomagać wam wygrać tę wojnę, skoro niczego nie wiemy. Zamknęłaś nas jak gołębie w klatce i nadal obawiasz się zdrady?

– Żywię ogromny szacunek do generała von Feuerstein i dlatego uważam, że nie potrzebuje pomocy dwóch wiedźm, aby zwyciężyć.

– Trzech wiedźm – poprawiła go Margueritte.

Arthur poczerwieniał.

– Praktycznie – kontynuowała czarodziejka – wszyscy troje mamy wygaszone Źródła, czyli nie możemy rzucić zaklęć wyższej magii. Ale nadal dysponujemy podstawowym dla istot ludzkich zasobem mocy i jak każdy zwykły człowiek, który włożył w to nieco pracy, mamy dostęp do uroków magii prostej. Wszyscy troje jesteśmy wiedźmami. Zresztą pewnie całkiem niezłymi, bo wieloletni trening z magią poszerzył nasz podstawowy zasób. Ile pan ma jednostek – czy jakiegokolwiek tam miary używacie?

– Pani impertynencja nie zna granic – warknął Arthur. – Proszę się wycofać albo każę wkroczyć straży.

– Przepraszam, że pana uraziłam – zmiętygowała się Meg. – Dzielą nas pewne różnice kulturowe. W Arborii nikt się nie obraża, gdy nazwać go wiedźmą. To szanowany zawód. Ludzie wieszają sobie dyplomy na ścianach. Istnieje tyle wyspecjalizowanych uroków, że niektórych aktów magii potrafią dokonać tylko odpowiednio wyszkolone wiedźmy.

– Niby jakich? – spytał Arthur z goryczą.

„Oho – pomyślała Meg – trafiłam w czuły punkt”.

– Do czego może się przydać ta nędzna namiastka sztuki? Żeby krowy cieleły się lepiej?! Żeby ziemia dawała plon, a dzieci nie marły z gorączki?! Tak, tego chamstwo powinno się uczyć już za młodu.

„Postępowy” – skwitowała w myślach Meg.

Z tego, co zdążyła się dowiedzieć, czarownice budziły mieszane uczucia. Oficjalnie magia była wzbroniona dla pospólstwa, nieoficjalnie tolerowano tu i ówdzie pojedyncze wiedźmy. Zwykle znały po kilka prościutkich uroków wykutych na pamięć, bez zrozumienia zasad, bo nikt ich nie uczył matematyki ani fizyki. Wiedzę przekazywano w praktyce.

– Nie uświadczylałam w sucharach pleśni ani robaków, więc albo zapasy są bardzo świeże, albo uroki do czegoś jeszcze się przydają.

– Pomagam, gdzie mogę – burknął Arthur. – Dzielę się dawną mądrością. Kto raz spróbował magii, będzie do niej tęsknił. Wielu z nas popadło w szaleństwo po utracie mocy, tak jak teraz pani koleżanka. Najszlachetniejsi baronowie i hrabiowie pozapjali się na śmierć albo zniedołężnieli do reszty. Ja, chociaż jedyne oko mam coraz słabsze, czynię użytek z tego, co mi pozostało.

Margueritte zastanowiła się chwilę. Ze względu na edukację Vincenta nieco lepiej zapoznała się z magią prostą niż jej koledzy po fachu. A już na pewno lepiej niż Bretańczycy, którzy jej nie cenili i nie rozwijali.

– Znam urok, który poprawia wzrok.

Arthur znieruchomiał na moment.

– Oczywiście tylko przez krótki czas – dokończyła. – Do długotrwałego używania polecam raczej monokl. Ale bardzo się przydaje, gdy ktoś zapomni okularów.

– Jak to wygląda w zapisie? – spytał niecierpliwie. – Zapewne wasz jest nieco inny, ale zasada przecież ta sama. Miałem piękny kryształ, lecz mi go skradziono, a w tych strasznych czasach trudno o dobrego artystę szkła.

– Naszkicuję panu w wolnej chwili. Jak rozumiem, jeśli zapiszę go w czystej geometrii, pan już sobie przekształci na algebrę. Nie jest trudny.

Przez chwilę jechali obok siebie w zadumie.

– Proszę mi powiedzieć – zagadnął wreszcie Arthur – czy pani koleżanka sama zaklina swoje suknie? Czy można tego dokonać urokami?

– Jest najlepszą specjalistką od magicznych przedmiotów, jaką znam – zapewniła go Margueritte. – I jedną z najlepszych w całej Arborii. Większość tych przedmiotów powstała dzięki specjalnym rytuałom, gdy miałyśmy jeszcze dostęp do Źródła, ale istnieją drobne uroki pomagające odświeżać odzież, zapobiegać jej rozpadowi, zmieniać barwę i fakturę... oraz, ma się rozumieć, broniące dostępu insektom.

– Nie mam absolutnie żadnego pożytku z damskiej garderoby. – Arthur mówił teraz w powietrze, nie patrząc Margueritte w oczy. – Dobrze się jej przyjrzałem –

naturalnie pod względem magicznym! Nie sędzę, aby stwarzała jakiegokolwiek zagrożenie. Czy jeżeli ją dostarczę na popasie, pani koleżanka zechce podzielić się ze mną tajnikami fachu?

– Och, panie Arthurze! – Meg uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Będę ją namawiać. Zobaczmy, co się da zrobić.

* * *

Późnym wieczorem armia ufortyfikowała się na postój. Rozstawiono oficerskie namioty i ku swojemu zdumieniu Margueritte zauważyła, że również dla niej i Belinde postawiono płócienny dach. Od kilku dni spały przy ognisku, pod kocami, więc szykowała się nieco wygodniejsza noc. Umościły się w środku, na trochę już wygniecionych siennikach.

Przyniesiono kolację – nieodmiennie porcję sucharów, miskę z pokrojoną cebulą (nie dawano im noży) oraz gar grochówki, w której pływało twarde, słone mięso. Belinde jadła powoli, bez apetytu. Meg pogryzła suchary, przeżuła mięso i z trudem się powstrzymała, aby nie pożreć drugiej porcji.

Gdy kończyły posiłek, u wejścia do namiotu pojawiła się zgarbiona postać. Po chwili Arthur uchylił płótno i z godnością wmaszerował do środka. Niósł pod pachą dwa pakunki.

– Dobry wieczór. – Odruchowo pogładził brodę. – Szary Wędrowiec obdarzył mnie dziś rozumem. Doszedłem do wniosku, że tak piękne, szlachetne damy dla nikogo nie stanowią zagrożenia i być może warto naprawić niefortunny początek naszej znajomości.

Belinde uniosła wzrok znad grochówki i zerknęła na Margeuritte.

– Meg, nie śmiej się z pana. Chce dobrze...

– Czy powiedziałem coś złego?

– Nie, to te... różnice kulturowe – rzuciła Meg.

– Proszę, oto wasze ubrania. – Arthur rozwinął pierwszy, większy pakunek. – Ostrzegam, że jutro będziemy się przebijać przez przełęcz. Spodziewamy się oddziału po drugiej stronie, armia królewska na pewno obstawiła wszystkie przejścia. Ale nie wie, które wybierzemy. Jedziemy razem z przednią strażą. Kapłani Zakonu Cierpliwego Wędrowca czasem noszą ze sobą dzieła sztuki magicznej i mam rozkaz wypatrywać, czy nie dzieje się nic podejrzanego.

Doradca rozwinął drugą paczkę. W środku były butelka wina, bochenek prawie świeżego chleba, kilka małych żółtych jabłek, ser i spory kawałek pieczeni.

– Od ust sobie odejmuję – zaznaczył dumnie.

Margueritte znowu zachciało się śmiać.

Kiedy Belinde sobie podjadła, jej nastrój wyraźnie się poprawił. Nieco odprężona popijała wino z kubka, natomiast Arthur zasypywał ją pytaniami o magiczne suknie. Prawdę mówiąc, wszystkie brzmiały dość naiwnie.

Margueritte z początku nie mogła uwierzyć, że technika tworzenia artefaktów stoi w Bretanii na tak niskim poziomie, szybko się jednak zorientowała, że to nie w rozwoju sztuki magicznej tkwi problem. Każde pytanie Arthura zdradzało, że był początkującym czarodziejem. Kiedy wygasły Źródła, jeszcze niewiele umiał. Mógł być wtedy w wieku Kathryn; znając obsesję Bretańczyków w kwestii porządku społecznego i hierarchii, na pewno terminowano tutaj dłużej niż w Arborii. Jak przypuszczała Meg, zapewne dlatego wyruszył w świat, oferując swoje usługi doradcy i mędrca każdemu, kto dobrze płacił. Nie miał własnego majątku, reputacji wśród szlachty ani czegokolwiek, co tutaj funkcjonowało jako dyplom, tylko goły tytuł szlachecki i trochę wiedzy.

Teraz uważnie przyglądał się rysunkom Belinde, która od niechcenia szkicowała na pergaminie najprostsze uroki tekstylne.

– Tutaj i tutaj – wskazała Belle. – Jeżeli dołoży pan drugą zmienną, czas trwania uroku wydłuży się do kilku tygodni. Margueritte nosi czasem suknie sprzed pół wieku, które nadal wyglądają na nowe, oczywiście jeśli pominiemy fason. W manufakturach zwykle je utrwalają. Osobiście wolę tworzyć prawdziwe dzieła, nasycone zaklęciami. Samoczyszczące, z dodatkowym podgrzewaniem i tym podobną użytkową automagią. Ale do tego trzeba już aktywnego Źródła.

Arthur rozpracowywał uroki, a jego oczy błyszczały. Od jak dawna nie prowadził fachowej rozmowy o magii? Dlaczego dopiero teraz, zachęcony przez Margueritte, poruszył temat uroków i zaklęć? Oczywiście, chodziło o dostęp do wiedzy. W Arborii zaklęcia poznawało się z podręczników. Nowe odkrycia publikowano w monografiach. Ale przecież nie zawsze tak było. Przed laty o prestiżu maga świadczył ten jeden, jedyny tom, którego nie posiadali inni. Nowe zaklęcie nieznanego ogółowi. Zapisy kodowano szyfrem. Meg doskonale pamiętała, ile się namęczyła, zanim cokolwiek udało jej się wykrzesać z niechlujnego skryptu Lucjusza o Magii Pustki. Napisał go na wewnętrzny użytek Cienia Gildii, ale stare nawyki zwyciężyły. W Bretanii przepływ wiedzy był zapewne nie tylko ograniczony między klasami społecznymi, lecz także między samymi zainteresowanymi; jej wymianę traktowano jako wyjątkowy dar.

„I dlatego – podsumowała w myślach Meg – nadal tkwią w Wiekach Smutku”.

– A zakładając... – zająknął się znowu doradca – zakładając, że mamy Nadwornego Maga albo nawet kilku Wielkich i że nasze Źródła nadal działają, jak się tworzy prawdziwe dzieła? Wiem, że nigdy nie będę mógł... ale chciałbym znać zasadę. Rozumiem, że przygotowuję odzież uszytą wedle specjalnych wskazówek...

– Och, proszę pana... – Belle się uśmiechnęła. – Na początek sam pan musiałby się nauczyć szyć. Albo znaleźć rzemieślnika, który będzie współpracował przy równoczesnym nasycaniu dzieła magią. Materię i magię należy kształtować symultanicznie.

Arthur zamrugał.

– To znaczy w tym samym czasie – uściśliła Belinde. – Bizuterię zwykle robię sama. Pracuję w metalu. Odlewy, drut srebrny i złoty, kowalstwo artystyczne. Stal jest trochę trudniejsza, ale też mi się zdarza jej używać. Jeżeli chodzi o buty, mam zaufanego szewca... ale to absolutnie wyjątkowa sytuacja. Wie pan, tworzenie magicznych przedmiotów jest sztuką, trzeba ją kochać. Na przykład moja uczennica, chociaż niesłychanie utalentowana, nie ma drygu do bizuterii. Woli projektować duże obiekty: tamy, zamki, mosty... Jako dodatkowy fakultet wzięła sobie na uczelni budownictwo lądowe.

– Ale... – zająknął się Arthur. – Rozumiem bizuterię... ale czy projektowanie mostów jest odpowiednim zajęciem dla damy?

– Owszem, i to bardzo eleganckim – zapewniła go Belinde. – W końcu dama projektuje i nadzoruje, a robotnicy budują. Oczywiście praca z magią różni się wtedy trochę od tworzenia dzieł w niewielkiej skali. Rytuály muszą być jednolite, obiekt kompletuje się na raty. Jak dla mnie – straszna rutyna. Ale co kto lubi.

Jeszcze przez godzinę wymieniali uwagi o magii. Arthur produkował się, zdradzając ogromne poczucie wyższości i równie wielką ignorancję. Skrzętnie zapisał sobie wzór uroku poprawiającego wzrok. Wreszcie się zreflektował i przypominając o porannej bitwie, opuścił namiot. Gdy wyszedł, czarodziejki popatrzyły po sobie.

– Zaraz rzygnę – mruknęła Margueritte. – Ciekawe, czy to grochówka, czy różnice kulturowe.

Belinde machnęła ręką.

– Bez przesady. Da się wytrzymać, chociaż wolałabym, żeby zamiast „chamstwo” mówił chociaż „prosty lud”. Ale wiesz, jest taki spontaniczny, naturalny, prosto z lasu.

Obydwie ryknęły gromkim śmiechem. Chichotały tak prawie kwadrans, zanim dokumentnie rozładowały cały stres ostatnich kilku dni. Wreszcie Belinde otarła łzy i smarknęła w samoczyszczącą chusteczkę.

– Wiesz co, dziękuję ci, Meg.

– Nie ma za co, Belle. Nie ma za co.

* * *

Tuż przed świtem dwudziestego czwartego kwietnia roku 753 po Wojnie Rozdarcia wojska dowodzone przez generała Theresę von Feuerstein rozwinęły szyk niedaleko wąskiego wejścia na Przełęcz Gwiazdzistych Szafirów. W rozległej Dolinie Montségur pomieściła się wielotysięczna armia, którą połączył sojusz przeciwko Zakonowi Cierpliwego Wędrowca. Niemal od dwóch tygodni wojska znajdowały się na peryferiach Bretanii, gdzie wkroczyły od strony niezależnego księstwa Saint Jean d’Azure. Końskie kopyta i żołnierskie buty wbijały wiosenną trawę w tłuste, rdzawe błoto; wysoko nad wojskiem przefrunęły skwirzące głośno jerzyki, co uznano za dobry omen.

Trzy tysiące ciężkiej jazdy kopijniczej zebrało się pod dowództwem księcia Rolanda Chamberlaine'a de Branche de Tourmaline. Hrabia Henri Mursay de Branche de Lazurite wiodł pięć tysięcy lekkiej konnicy. Prócz tego w skład armii wchodziło dziesięć tysięcy piechurów, w tym sześćtysięczny pułk pikinierów, kusznicy i miecznicy. Artyleria liczyła czterdzieści armat. Oddział górali z klanu de Myrtille pomknął jeszcze w nocy wysoko nad przełęcz, aby zrobić zwiad i w razie możliwości zasięgnąć języka.

Wśród dowódców podległych generał von Feuerstein znaleźli się wielcy rycerze ze znamienitych rodzin, jak kawalerowie Pierre de Navet i Gerard Lunsignac, obydwaj z Branche de Lazurite. Nie brakowało także szlachciców z bocznych gałęzi rodów Branche de Lazurite i Branche de Tourmaline, którzy wsławili się biegłością w sztuce wojennej. Przednią straż wiodł znany ze swej krwiożerczości kawaler Armand Beeterave de Branche de Rubis.

Rzecz jasna, było również kilku szlachetnie urodzonych partaczy, którzy mimo braku kompetencji usiłowali nadawać ton, ale von Feuerstein umieściła ich tam, gdzie wyrządzali najmniej szkód. Należało też pilnować wszystkich wysoko urodzonych rycerzy, aby przypadkiem nie zapomnieli, dlaczego ruszyli w bój za niewiastą z pospólstwa. Na szczęście dowódcy piechoty pochodzili z gminu lub ubogich rodów szlacheckich i pozostawali wobec Płomienia niezłomnie lojalni, czując dla niej ogromny podziw.

Gdy straż czołowa i dowódcy oddziałów rozstawili się w szerokim półkolu, generał Theresa von Feuerstein, w srebrzyście lśniącej zbroi i z dwuręcznym mieczem na plecach, powszechnie znanym jako Pochodnia, spięła wodze gigantycznego białego rumaka i wysforowała się przed swoich ludzi. Chłodny wiatr rozwiewał jej rzadkie rdzawe włosy, a gładkie blizny błyszcząły w słońcu. Herold zadął w róg, a potem Theresa zawołała gromkim głosem:

– Miałam wizję! Uwierzcie mi, to był straszny obraz. Kapłani w brunatnych szatach plądrowali królestwo, fałszywie wzywając imienia Wędrowca. Tam, gdzie wcześniej władali hrabiowie, baronowie i książęta, diakoni Zakonu przejmowali zamki i skarbcce. Gdzie wcześniej w miastach kwitł handel, zamierały rozmowy, a wszystek towar płynął na użytek Zakonu. Gdzie chłopci w pocie czoła uprawiali ziemię i paśli stada, Zakon wkraczał, wykrwawiając podatkami prosty lud. A nasz dobry król Philippe II Verlain de Branche d'Argent, z łaski Wędrowca koronowany władcą Królestwa Bretanii, niegdyś mag i mędrzec, łaskawy i sprawiedliwy, wpadł w szpony Arcydiakona, posłusznego demonicznym mocom z Zaświatów. Widziałam Arcydiakona, sługę ciemności, wszetecznego syna, jakby stał tutaj przede mną! Herezja! Herezja pleni się w naszej ukochanej Bretanii!

– Herezja! – ryknęły setki gardeł. – Hańba!

Generał spokojnie poczekała, aż wzburzenie przetoczy się przez armię, i kontynuowała:

– Miałam wizję! Święta Aimée płakała nad krwawiącą ziemią, a tam, gdzie upadała jej łza, rozkwitały lilie. Święty Michel szedł za nią z pochodnią, ze smutkiem na twarzy. „Pójdź do ksiąząt – powiedział. – Pójdź do Ile-de-Bois, do Saint Jean d’Azure, zbij armię, która ocali Bretanię. Weź szturmem Przełęcz Gwiazdzistych Szafirów, by połączyć się z wojskiem księcia Branche de Spinel”. Święty Michel wręczył mi pochodnię i rozkazał: „Nie gaś jej, dopóki nie uwolnisz króla z pazurów Arcydiakona w Nouveaux Dijon!”.

I znów tłum zahuczał niczym gromy w oddali.

– Płomieniem pomsty, płomieniem gniewu uderzymy dziś na nieprzyjaciela. Szaremu Wędrowcowi zawierzyliśmy nasze dusze; oby zachował nas w swojej łasce.

– Płomień! – skandowało rycerstwo. – Płomień! Płomień!

Margueritte poczekała, aż ryk tłumu nieco ucichnie, a potem dyskretnie wyjęła z uszu zrobione z chleba zatyczki. Pstrokaty wałach parsknął i zaczął węszyć wkoło. Meg podała mu kulki chlebowe. Wreszcie udało jej się nawiązać z nim współpracę. Trochę przypominał jej burmistrza z Ombre, więc nazywała go Randall.

Obok na gniadej klaczce siedziała Belinde, ubrana we własny strój do konnej jazdy i dodatkowo w skórzany kaftan, uzbrojona w krótki miecz. Meg nawet nie podjęła się próby zrozumienia, w jaki sposób przyjaciółka wydebila zbroję i broń od strażników i jakim cudem właściwie potrafi się z nią obchodzić. Bądź co bądź, obydwie liczyły już sobie ponad dwieście lat; Belinde nie wiedziała wszystkiego o Meg i mogło również być odwrotnie.

– Ruszamy wraz ze zwiadem lekkiej jazdy – poinformował Arthur, podjeżdżając bliżej. – Sprawdź, czy przełęcz obstawiono działami, my zaś ruszymy szlakiem w górę. Stamtąd, jak miernam, będzie widok na obozowisko wroga.

* * *

Posłano ich z grupką dziesięciu konnych, zwiadowców wyposażonych w miecze i krótkie myśliwskie łuki. Jeździec imieniem Jean pochodził z tej okolicy i wiedział o punkcie obserwacyjnym, w którym najtrudniej o zasadzkę. Naturalnie przeciwnik nie próżnował; armia królewska również patrolowała góry, jednak ścieżki mnożyły się i plątały, gdyż w czasach pokoju pracowali tutaj drwale i przechodzili węglarze, wypasano również owce i od czasu do czasu trafiały się pasterskie chaty. Badając ślady i obserwując otoczenie, łatwo było się minąć.

Wspięli się tak wysoko, jak się dało, po szerokim ściernisku upstrzonym zwietrzalymi, osypującymi się skałkami, gdzie – jak zapewniał Jean – trudno ustawić strzelca, chyba żeby zmalął i nauczył się fruwać. Mimo to z naprzeciwną niespodziewanie nadeszła grupka pieszych zwiadowców wroga. Straż nie dała się zaskoczyć i w powietrzu natychmiast zaświstały strzały; walka skończyła się,

zanim na dobre się zaczęła. Meg uświadomiła sobie, że Theresa ma powód, aby się nie martwić, iż czarodziejki jednak zdradzą i uciekną.

Słońce stopniowo pięło się ku górze, a i szlak stawał się coraz bardziej stromy, utrudniając jazdę. Bretańskie konie były silne, o grubych pęcinach i szerokich zadach, przyzwyczajone do trudnego terenu, jednak nawet i one miały prawo się zmęczyć. Wreszcie przywiązali wierzchowce między drzewami. Strażnicy dobyli mieczy; co jakiś czas jeden lub drugi oddzielał się od grupy i przepatrywał okolicę.

W drodze Meg znów podjęła próbę rozmowy z Arthurem. Mówili przyciszonym głosem, dbając, aby rozmowa nie niesła się wśród gór.

– Jak to się stało, że pełnisz funkcję doradcy od zjawisk magicznych, że armii nie wspomaga w ten sposób żaden arystokrata? Należysz do szlacheckiego rodu, prawda?

Skinął głową.

– Pochodzę z mało znanej rodziny Guimauve, bocznej gałęzi rodu de Rubis. Nie przysługuje mi żaden tytuł. Szkoliłem się u samego hrabiego, lecz śmierć Nadwornego Maga udaremniła moje zamysły.

– Ale nikogo innego Theresa nie znalazła.

Arthur westchnął.

– Jak już mówiłem, część z nas popadła w melancholię lub się rozpiła i odsunęła od władzy, innych usunęły własne rodziny, gdy tylko przestały obawiać się maga. Czas zaczął biec dla nas jak dla reszty śmiertelnych. Ci, którzy mieli ponad cztery stulecia i już byli posunięci w latach, dawno pomarli. Pozostali są co najmniej siedemdziesięcioletnimi starcami, jeżeli liczyć wedle stanu ciała. Ech! Powiadam, że wasz widok jest dla mnie zarówno słodki, jak i gorzki. Życie strawiłem w służbie możnych i niemal zapomniałem o dawnej chwale magów Bretanii.

– Potrafię ją sobie wyobrazić – zapewniła Margueritte. – Mówisz, że zakonnicy używają czasem artefaktów? Są dość silne, żeby dostrzec aurę przez lunetę?

Arthur ciężko oparł się o skałkę. Wspinali się stromym szlakiem. Doradca Thesy wcześniej zorganizował sobie kijek, ale i tak nieco się zasapał.

– O tak, wiele broni ostało się po dawnych czasach – rzekł gorzko. – Część przeznaczono do użycia w polu, więc nie trzeba magicznego talentu, aby ją obsługiwać. Niestety, cała należy do armii królewskiej. Zakon miał czas, żeby ją odkupić lub skonfiskować. Generał von Feuerstein odeszła z pałacu zaledwie dziesięć lat temu i od tamtej pory starała się otworzyć ludziom oczy na wszeteczności zakonników.

Meg była bardzo ciekawa, o jakie wszeteczności chodzi, ale postanowiła, że dopyta się później.

– Czego szukamy?

– Przypuszczam, że trebuszy, ogniowych lub entropicznych – wtrąciła Belinde.
– Jeśli Lucjusz Szalony spędził tutaj tyle czasu, robiąc za ważną figurę, pewnie powielił kilka starych pomysłów. Marzył o powrocie dawnych porządków.

– To by tłumaczyło, dlaczego nie zapoznał ludzi z bronią palną – mruknęła Margueritte. – Nie znam lepszego sposobu na obniżenie rangi rycerstwa.

– Jak go nazywacie? – Arthur wzburzył się lekko. – Lucjusz Szalony? Był najlepszym Nadwornym Magiem od stuleci. Legendarnym Geniuszem z Arborii. Ocalił nas po pierwszym wygaśnięciu Źródeł, wtedy trwało tylko dwie dekady. Kraj rozkwitł pod jego doradztwem, czciła go cała Bretania.

– Pewnie był szczęśliwy jak świnia w błocie – prychnęła Meg. – Arthurze, on nawet nie miał prawa nazywać się de Branche d’Aure. Pochodził z tego rodu, ale... powiedzmy... dość nieoficjalnie. Księżę d’Aure spłodził jego babkę z pokojówką.

– Co? Nieprawda! Nie wierzę wam. – Doradca się naburmuszył. – A nawet gdyby, to już przecież nie ma znaczenia...

– Jasne. – Margueritte skinęła głową. – I w Arborii nigdy nie miało, ale widzisz, kłopot w tym, że Lucjusz pielęgnował pewien malutki kompleks...

– Zdaje się, że dotarliśmy na miejsce – przypomniała im Belinde. Rzeczywiście, straż rozlokowała się pod skałkami na szczycie wzgórza. Czarodzieje powoli wdrapali się na górę, co jakiś czas podpierając się dłońmi. Wreszcie usiedli, opierając się plecami o niskie wapienne skałki, nieco przypominające pobielające kości. Przed nimi rozpościerała się górská dolina. Z daleka wydawało się, że jest wypełniona rojem wielobarwnych owadów. Margueritte zmrużyła oczy. Wroga armia wydawała się mniej liczna niż wojska Theresy, ale części oddziałów zapewne nie widzieli, gdyż ufortyfikowały się już na przełęczy.

Arthur wyjął lunetę. Przez pewien czas siedział i mamrotał coś do siebie. Pszczoły bzyczały, ptaki śpiewały, gdzieś w oddali ciurkał strumień. Po chwili czarodziejki zorientowały się, że towarzyszy im jeszcze jeden dziwnie znajomy dźwięk. Usłyszeli to również straż i Arthur; wszyscy zaczęli nerwowo się rozglądać.

Belinde bez słowa wskazała na lewą rękę doradcy. Na nadgarstku widniała bransoletka służąca do pomiaru skażenia. Licznik włączył się sam, gdy poziom skażenia dwukrotnie przewyższył tło.

Oczy Arthura zrobiły się wielkie jak pięciodenarówki. W pierwszej chwili odrzucił lunetę za siebie. Potoczyła się kilka metrów ścieżką i zatrzymała na skałce. Tymczasem cykanie wcale nie ustało, przeciwnie, przybrało na sile.

– Czy jesteśmy zgubieni? – szepnęła drżącym głosem.

– Jeszcze nie – uspokoiła go Belinde. – Strzela zaledwie na dwadzieścia mikromerlinów, ten poziom na krótką metę nie szkodzi. Pytanie, skąd to się bierze. Coś się do nas zbliża.

Zwiadowcy zdwoili czujność. Ten, którego nazywali Jeanem, ruszył głową, wskazując na ścieżkę w dolinie, która przebiegała z drugiej strony, tuż pod stromym zboczem. Ujrzeni tam kilka przygarbionych sylwetek o szerokich, beczkowatych tułowiach, wlokących się noga za nogą w stronę obozowiska i podpierających się czterema masywnymi rękami. Stwory były pokryte gęstą, krwawoczerwoną sierścią; prócz tego przez cały ich grzbiet, aż po kikut skarłatego ogona, biegła szeroka czarna pręga. Z barków, czoła i szczęki, a także wzdłuż wszystkich czterech ramion wystawały kolczaste wyrostki.

– Co to za monstra?! – zatrwożył się Arthur. – Demony?

– Demony żyją w tropikach – szepnęła Meg. – To są trolle. Skąd się tutaj wzięły? Macie rozpadliny w samym środku kontynentu?

– Ciekawe, że takie spokojne – mruknęła Belinde. – O ile się założymy, że właśnie zobaczyliśmy coś, co przeciwnik bardzo chciał przed nami ukryć?

– Szlachetni państwo, wracajmy natychmiast do naszego obozu – ponaglił ich Jean. – Jeżeli te potwory nas wytropią, nie wyjdziemy cało z walki.

– O, i znowu spadło do dziesięciu – zauważyła Belinde, ignorując go. – Teraz trzyma się równo. Moja bransoletka nie aktywuje się natychmiast przy takich niskich wartościach. To znaczy, że cokolwiek jeszcze emituje skażenie, znajduje się w stałej odległości od nas. Nie zbliżyło się, odkąd tu siedzimy; to my pozostajemy na granicy strefy. Theresa wspominała o przedmiotach magicznych skażonych mocą Zaświatów...

– Przejelismy raz trebusze, od których cała obsługa zapadła na Piętno – wyjaśnił Arthur i się skrzywił. – Prosilili nas o śmierć. Ja się tam nie zamierzam zbliżać.

– Mamy licznik – zauważyła Belle. – Wiemy, dokąd iść i kiedy zawrócić. Zabrałeś moją torebkę, prawda? Wymij, proszę, tarcze ochronne.

Doradca się zawahał. Rzeczywiście, od kilku dni paradował z błękitną, zdobioną złotem torebką Belle przewieszoną przez ramię. Teraz schował ją pod fałdę szaty tylko po to, aby nie rzucała się w oczy wrogom.

– Po prostu wyobraź sobie, co konkretnie chcesz z niej wyciągnąć – pouczyła go lady Chamomille. – Mamy dwie osłony, więc jedną weźmiesz ty, a drugą...

– Ty, Belle – oświadczyła Margueritte. – Ja całkiem szybko biegam. Nie, nie poświęcam się dla ciebie, przecież możemy później obliczyć wchłonięte dawki i się zamienić.

– Panie Jean – zwróciła się do strażnika lady Chamomille – czy zna pan jakąś pobliską kotlinę lub koryto strumienia, gdzie można by porządnie zamaskować oddział? Mamy podejrzenia, że wróg przechowuje tam sekretną broń.

* * *

Szybko wrócili po konie; droga w dół nie nastęrczała już tylu problemów. Jean poprowadził ich równoległym szlakiem wzdłuż szerokiego wąwozu; zbliżali się

do miejsca, gdzie poprzednim razem wykryto skażenie. Gdy bransoletka Belinde złapała sygnał, znów zostawili wierzchowce, ryzykując ich utratę. Wedle słów przewodnika znajdowali się teraz w samym sercu obszaru patrolowanego przez wroga, wszędzie było pełno śladów przemierzających się zwiadowców. Jadąc konno, rzucaliby się w oczy, a zależało im na tym, aby podkraść się jak najbliżej.

Belinde przejęła licznik i coś w nim przekręciła, sprawiając, że cykanie ucichło. Teraz co jakiś czas spoglądała na nadgarstek i szeptem przekazywała odczyt. Kierując się rosnącym z wolna sygnałem, zeszli ze szlaku. Na w pół przykucnięci przedzierali się przez wysokie paprocie i krzewy kaliny. Poruszali się powoli. O ile zwiadowcy mieli wprawę w przekradaniu się leśnymi ścieżkami, o tyle czarodzieje wywoływali nieco za dużo zamieszania, szli więc trochę z tyłu, czekając, aż strażnicy zbadają teren. Jean nadmienił, że górale już wcześniej zrobili tutaj zwiad i wrócili niezauważeni, sami też nie dostrzegli niczego podejrzanego, ale przez te kilka godzin wiele mogło się zmienić. Meg dodała, że zważywszy na sygnał, z całą pewnością coś się zmieniło.

Skażenie znów doszło do dwudziestu mikromerlinów. Belle dała znak zwiadowcom. Pięciu żołnierzy zniknęło w zaroślach jak za sprawą iluzji; po chwili rozległy się dwa stłumione stuknięcia. Na dłuższą chwilę reszta grupy zamarła w bezruchu. Gdzieś w pobliżu upadła sucha gałąź, w oddali zaskrzeczała sójka. Wreszcie usłyszeli cichy świergot zięby; pobliskie krzewy zakołysały się i wychynęła z nich smukła postać Jeana.

– Przydatny aparacik – szepnęła zwiadowca. – Gdybyśmy później natknęli się na tamtych, poszukiwałyby nas już cały obóz.

– Są tam? – odszepnęła Meg.

W odpowiedzi Jean lekko zacisnął palcami nozdrza. Rzeczywiście, po paru krokach wszyscy poczuli zapach, który docierał gdzieś z wąwozu, jakby bitwa nie tylko już dawno się zaczęła, lecz także i dawno skończyła. Przemknęli się wszyscy na brzeg urwiska. Stamtąd, chociaż widok zasłaniały krzewy, daleko w dole widać było mrowie ludzkich sylwetek skupionych dookoła wyprzęgniętych wozów. Część tej ciżby zorganizowała się już w kolumnę marszową i ruszyła wąwozem; towarzyszyły jej dwie czy trzy masywne, przygarbione postacie.

Arthur wyciągnął lunetę; jakiś czas ustawiał ostrość, potem znieruchomiał w napięciu. Meg widziała, że mina stopniowo mu rzednie.

– Chyba... chyba nie wszystko widzę dokładnie – zająknęła się wreszcie i wręczyła lunetę Belinde, która przyczała się obok niego. Czarodziejka spojrzała w to samo miejsce i zacisnęła usta.

„Nie jest dobrze” – pomyślała Margueritte, gdy Belle bez słowa przekazała jej urządzenie.

Przy wozach, zgodnie z przypuszczeniami, krążyły dobrze wyrosnięte trolle; zamiast jednak siać zniszczenie w obozowisku, dyscyplinowały i formowały zbierający się do wymarszu tłum, jak psy pasterskie zaganiające owce w stadzie.

Tu i ówdzie przemykała jakaś sylwetka w długim brunatnym płaszczu. Gdzieś na skraju pola widzenia zamajaczył obły kształt, który sprawił, że czarodziejce serce podeszło do gardła – były to grube sploty ksenowurma, egzotycznego i wyjątkowo morderczego pustkostwora, spotykanego tylko pod samą Granicą. Największe wrażenie zrobiły jednak na czarodziejce nie same potwory, ale wojsko, którego pilnowały. Nie bez powodu od strony obozowiska załatwyało trupem. Wszyscy żołnierze – cała ta kołyszająca się, nieco bierna masa – jeszcze całkiem niedawno mieli użyźnić ziemię.

A to był tylko jeden z oddziałów; większość z nich zapewne dawno zajęła stanowiska na przełęczy. Kapłani w brunatnych płaszczach krążyli wkoło, pochylali się nad wozami i coś przy nich majstrowali. Co pewien czas na ziemię zeskakiwało kilku nowych rekrutów. W gruncie rzeczy byli całkiem zwinni. Ile ciał można upakować na takich trupowozach? Ze dwadzieścia? Wystarczył jeden dodatkowy wóz taboru na pluton dziesięciu piechurów i liczebność armii zwiększała się kilkukrotnie. Na pewno rekruci nie wymagali wyżywienia ani żołdu, świetnie wypełniali rozkazy, a po zakończonej wojnie można ich było zakopać z powrotem bez obawy, że zaczną płądrować wioski. Znakomicie załatwiali także problem strat bitewnych – po odrobinie preparatyki zawsze nadawali się do ponownego użycia.

Pytanie, co trzeba zrobić własnym żywym piechutom, żeby zgodzili się na coś takiego. Margueritte nie sądziła, żeby większa zapłata załatwiała sprawę. Powolutku oddała lunetę Arthurowi i używając określenia nienadającego się do zacytowania, orzekła, że znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji.

– Arthurze – szepnęła Belinde. – Czy kiedykolwiek walczyliście z żywymi trupami?

– Nie! – jęknął doradca, sam błądy jak nieboszczyk. – Nie wiem, jak to możliwe... jakim rodzajem magii posługują się kapłani...

– Czytałam kiedyś o czymś takim – wymruczała Meg. – To nie magia, tylko Pu... moce Zaświatów. Informacje naszych górali właśnie zrobiły się bardzo nieaktualne. Kapłani ożywiają tych tutaj od rana. Zmywamy się stąd.

Zwiadowcy skinęli głowami. Nikt nie zauważył, włącznie z samą zainteresowaną, jak szybko i sprawnie Margueritte przejęła inicjatywę, zmieniając status z więźnia na przywódcę. Prócz Arthura, któremu wyraźnie drżały ręce, wszyscy żołnierze bardzo skrzętnie maskowali przerażenie. Sam widok trupów nie był dla nich czymś nowym ani szokującym, jednak wedle porządku świata, jeżeli ktoś padnie martwy, nie powinien już wstawać. Ciało wprawiane w ruch przeklętą siłą Zaświatów, pozbawione duszy, było dla zwiadowców niepojętym, ohydny wybrykiem natury.

Tymczasem Czarna Meg, która widziała już w życiu niejedno i znała teorię leżącą u podstaw podobnych praktyk, spokojnie wstała, myśląc tylko o tym, jak najszybciej zanieść wiadomość Theresie von Feuerstein. Również Belinde

zachowała zimną krew. Determinacja obydwu czarodziejek udzieliła się wreszcie Arthurowi, który zapakował lunetę do czarodziejkiej torebki Belinde.

Cała grupa wycofywała się właśnie w zarośla, gdy usłyszeli chrzęst, a potem łoskot, jakby ziemia i luźne kamienie osuwały się z urwiska. Wreszcie masywna, siedmiopalczysta łapa chwyciła złamany pień na samym brzegu krzaków. Ciemnoczerwony kształt tylko mignął w powietrzu i sekundę później w paprociach stała potężna, czteroręka postać. Troll rozdał nozdrza i głośno wciągnął powietrze w płuca, a następnie z oszałamiającą prędkością ruszył w stronę grupy.

Nie było czasu na ucieczkę. Zwiadowcy w okamgnieniu dobyli łuków, lecz w chwili, gdy strzały już znalazły się w powietrzu, troll dopadł pierwszego z nich i z głośnym chrzęstem przegryzł mu kark. Wszystkie pociski trafiły w cel, lecz stwór tylko się otrząsnął, jakby miał do czynienia ze stadem gryzących muszek. Następnie, naszpikowany płytko tkwiącymi w skórze strzałami, znów skoczył naprzód. Kolejny żołnierz, uderzony z rozmachu gigantyczną pięścią, pofrunął prosto na drzewo. Rozległ się trzask łamanych kości i mężczyzna bezwładnie runął na ziemię. Wszystko to trwało może kilka sekund.

– Uciekajcie! – zawołał Jean. – Chwała Płomieniowi!

To były jego ostatnie słowa, zanim troll wbił pazury dwóch rąk w jego plecy, a pozostałymi łapami zaczął wydzierać mu wnętrzności.

– Różdżki! – ryknęła Meg prosto w ucho Arthura.

Eksczarodziej wykazał zdumiewającą przytomność umysłu, ponieważ już grzebał w torebce. Część cienkich metalowych prętów rozsypała się w paprociach, ale dwa z nich przechwyciła Belinde. Podczas gdy Margueritte, z percepcją nagle wyostrzoną pod wpływem adrenaliny, błyskawicznie wybierała różdżki ze ściółki, Belle odpałała zakłęcie.

Pochłaniający światło pocisk entropiczny ze świstem uderzył trolla w brzuch i wyleciał z drugiej strony, pozostawiając w miejscu uderzenia nieregularną dziurę wielkości ludzkiej głowy. Belle nie czekała, aż stwór padnie; natychmiast poszła za ciosem, tym razem celując między oczy. Czaszka pustkostwora eksplodowała.

Podzielenie się różdżkami zajęło im ze dwa oddechy, a potem, nie oglądając się za siebie, zerwali się do sprintu. Teraz, gdy nie dbali o pozostanie niezauważonymi, mieli szansę prędko dotrzeć do koni. Meg kątem oka obserwowała towarzyszy. Belinde biegła jak zawodowa atletka, spanikowani zwiadowcy mocno wysforowali się naprzód.

Tylko Arthur został z tyłu. Spocony, zadyszany, śmiertelnie przerażony starszy człowiek.

– Belle, wróć po mnie! – huknęła Meg, zatrzymując się i przygotowując różdżkę.

Okazało się to bardzo dobrą decyzją, ponieważ chwilę później z łoskotem nadbiegły dwa trolle, znacznie szybsze od ludzi, dorównujące prędkością

cwałującym koniom.

Margueritte zwykle dysponowała szerokim wyborem zaklęć bojowych, osłonami fizycznymi i antymagicznymi, nie wspominając nawet o wzmożonej wytrzymałości maga. Teraz jednak mogła o tym wszystkim zapomnieć. Ale w życiu zawsze starała się robić to, co może, i tym, co ma. A ten gatunek trolla nie był odporny na ogniste kule.

Pierwszego trafiła prosto w krtań. Skoncentrowana kula plazmy zmieniła szyję i większą część głowy pustkostwora w pieczeń po bretońsku, a cała jego sierść zajęła się ogniem. Niemal natychmiast Meg skierowała różdżkę w stronę drugiego; ten znajdował się już tak blisko, że czuła jego oddech. Kula ognia eksplodowała w chwili, gdy czubek różdżki wbił się w brzuch trolla. Stwór wybuchł od środka. Dookoła bryznęły płomienie wymieszane z wnętrznościami i krwią.

– Meg! – rozległo się zza jej pleców.

Czarodziejka nawet nie obejrzała się za siebie, ogłuszona tym, co wydarzyło się przed chwilą. Chyba płonęły jej włosy; odruchowo przyklepała je ręką. Chwilę później poczuła, jak opada na nią ściana czystej źródlanej wody. To Belinde ustawiła lodową różdżkę w tryb niebojowy.

– Ratunku! – jęknął Arthur.

– Wskakuj! – krzyknęła Belinde; siedziała na gniadej klaczce i trzymała wodze pstrokatego wałacha. Obydwa konie parskały i drobiły w miejscu, na szczęście jednak były dostatecznie oswojone z odorem krwi i flaków, aby natychmiast się nie spłoszyć. – Same nie damy rady cię podnieść.

Chwilę później galopowali przez las, kurczowo trzymając się wierzchowców. Nie mieli pojęcia, czy ktoś jeszcze ich ściga. Margueritte na razie ledwo czuła oparzenia, ale wiedziała, że gdy tylko adrenalina opadnie, będzie z nią źle. Za nią siedział Arthur, szczęśliwie zdrowy i cały.

Po jakiejś półgodzinie konie zwolniły do kłusa. Wiatr przestał świszcząć im w uszach. W oddali majaczyły wojska szykujące się do szarży w Dolinie Montségur.

– Ile zostało ładunków?! – zawołała Meg.

– Tyle, żeby poprzekadzać podczas odwrotu, jeśli trolle uderzą na nas ławą!

– Nie uderzą! Są częścią szyku! Kapłani potrzebują ich do kontroli truposzy!

– Niewielkie pocieszenie! – krzyknęła Belinde.

– Jak dużo emituję?! – dopytała się Margueritte. – Dostałam flakami trolla, to solidna dawka! Ile wchłonęłam?!

– Mniej niż myślisz! Wyszorujesz się, weźmiemy od Arthura eliksir wiążący skażenie i wydalisz to z organizmu. Tylko nie powtarzaj podobnych numerów!

– Nie musiałaś zostawać... – wymamrotał Arthur, który powoli dochodził do siebie. – Nie musiałaś ryzykować i poświęcać się dla mnie.

– Wypraszam sobie! – fuknęła Meg z urazą. – Właśnie że musiałam zostać i dla nikogo się nie poświęcałam. Ratowałam własną skórę. Trolle biegły, miałam różdżkę, Belinde szybkoj dotarłyby do koni. Stuprocentowo racjonalny wybór.

– Jasne, Meg. – Belinde pokręciła głową z rozbawieniem. – To teraz jeszcze raz zmusimy te dzielne koniki do wysiłku, zanim Theresa von Feuerstein zaszarżuje na wroga.

– Cholera... – mruknęła Margueritte, patrząc przez lunetę, którą wygrzebała z torebki Arthura. – Belle! Oni właśnie ruszają!

* * *

Czarodzieje gnali wąskim parowem na złamanie karku. Zgrabnie wyminęli kilka trupów leżących w poprzek drogi – patrol wroga, na który wcześniej natknęli się uciekający zwiadowcy. Dlaczego von Feuerstein już zaatakowała? Dlaczego nie posłuchała zwiadu? Czyżby jeźdźcy nie dotarli z wieściami do dowództwa?

Wyjechali wreszcie w szeroką dolinę. Wszyscy troje obserwowali chorągwie, próbując dojść, gdzie najprędzej znajdą generał Theresę. Nie było to proste, gdyż dowódcy Pochodni Wyzwolenia podzielili się sztandarami w taki sposób, aby wróg ich z daleka nie odróżnił. Pierwszy pułk lekkiej konnicy, prowadzony przez Gerarda Lunsignac de Branche de Lazurite, właśnie rozwijał się do szarży na przełęcz. Tętent tysiąca kopyt wypełniał powietrze, furkotały proporce, wszędzie wokół bryzgało błoto i żdźbła trawy.

Cwałowali w stronę pułków ciężkiej konnicy, wypatrując generał. Wreszcie Arthur wskazał na trzecią chorągiew po prawej. Margueritte zmrużyła oczy; powiewał przy niej dodatkowy czerwony proporzyczek. Kto nie wiedział, czego szukać, ten go nie zauważył.

Wpadli wreszcie na spienionych, robiących bokami wierzchowcach w ciżbę rycerstwa. Belinde i Margueritte ściągnęły wodze. Gniada klaczka zatrzymała się posłusznie, natomiast Randall stanął dęba i biedny Arthur zsunął się prosto w błoto. Margueritte ostatkiem sił ścisnęła końskie boki, manewrując, aby sama nie spaść i nie zmiażdżyć nieszczęsnego doradcy.

– Podnieście go! – krzyknęła. – Na Pustkę, stratujecie człowieka!

Któryś z giermków zeskoczył z podjezdka, wziął eksczarodzieja pod ramię i dźwignął go na nogi. Arthur niezgrabnie otrząpywał się z błota; chyba nic prócz jego urażonej dumy nie ucierpiało w wyniku upadku. Do grupki podjechał zaraz czarnobrody rycerz na masywnym dereszcu, w pełnej zbroi zdobionej herbem przedstawiającym złotego auroksa na zielonym polu. Margueritte rozpoznała księcia Rolanda de Tourmaline.

– Na Wędrowca! – zawołał książę. – Zatem wróciliście! Powiedziano nam, że pożarły was jakieś potwory.

– Niewiele brakowało! – odkrzyknęła Meg. – Dlaczego szarża już poszła?!

– Wasza Miłość – upomniał ją przyszczaty giermek – pamiętajcie, że mówicie do księcia.

– Wasza Miłość, do cholery, dlaczego szarża poszła?!

– Szlachetna damo. – Księżę nieco poczerwieniał. – Po tym, jak zwiadowcy wrócili, nie potrafiąc składnie sformułować ani jednego zdania i bełkocąc coś o potworach na przełęczy, błędem byłoby czekać na inicjatywę królewskiej armii. Zrozumieliśmy, że wróg was dostał. Lekka konnica właśnie szarżuje na fortyfikacje; za pół klepsydry wszyscy ruszamy za nimi. Na miłość Szarego Wędrowca, dlaczego ja się w ogóle pani tłumaczę?!

– To źle! – sapnął Arthur. – Bardzo źle!

– Miłościwy księżę, musimy koniecznie porozmawiać z generałem von Feuerstein – wtrąciła Belinde. – Ci ludzie już są zgubieni, a jeśli nie wstrzymamy pozostałych, przeciwnik rozbije całą armię jak kupę erlingów.

– Odkąd to damy znają się na sztuce wojennej? – zapytał z przekąsem de Tourmaline.

– Nie mam pojęcia, zapytaj Płomienia – warknęła Meg. Oparzenia, które obejmowały spory obszar ciągnący się od szyi do lewego obojczyka oraz całą lewą dłoń, nieznośnie ją piekły. Nie wiedziała, w jakim stanie są włosy, ale przestało ją to obchodzić w chwili, gdy znalazła grzebień Dwudziestej Cesarzowej nadal tkwiący w splątanej czuprynie. – Widziałyśmy, że mają tam trzy razy tyle piechurów, ile myśleliście, a w dodatku większość z nich to ożywione trupy.

– Że co proszę?

– I jeśli zabrali więcej niż jednego ksenowurma, radzę już pomyśleć, jak zabezpieczać tyły podczas odwrotu.

Wokół zapanowało wzburzenie. Chociaż Margueritte dość naturalnie weszła w rolę przywódcy grupki spanikowanych zwiadowców, próba rozkazywania księciu Ile-de-Bois z natury rzeczy natrafiła na pewien opór. Niektórzy rycerze oparli dłonie na rękojeściach mieczy. Gdyby Meg była mężczyzną albo pochodziła z pospólstwa, zapewne nie przeżyłaby kwadransa. Czarodziejka niezupełnie zdawała sobie z tego sprawę, ale de Tourmaline jeszcze nie spróbował jej uciszyć siłą tylko dlatego, że była szlachcianką – i w dodatku go rozbawiła.

– Szlachetni rycerze! – Księżę rozejrzał się wokół. – Czy ktoś z was zechce wyłuskać choć krzynek sensu z tego szaleństwa?

– Dziękuję, Wasza Miłość – odezwał się stanowczy damski głos. – Tak się składa, że chętnie podejmę się tego zadania.

Generał Theresa von Feuerstein nadjeżdżała w stronę czarodziejów w towarzystwie swojej świty, w pełni uzbrojona, z uniesioną przyłbicą. Spod hełmu wystawał pojedynczy kosmyk poszarpanych rdzawych włosów.

– Arthur się nie mylił – mruknęła. – Raz jeszcze jego osąd okazał się właściwy. Wróciłyście. Wyszłyście cało z... tego, czego tam doświadczyłyście. – Przypatrywała się uważnie czarodziejkom, zwłaszcza osmalonej i poparzonej Margueritte. – Opowiedzcie własnymi słowami, co znaleźliście na przełęczy.

Czarodziejki zaczęły mówić, zrazu dość nieskładnie, krzycząc jedna przez drugą. Von Feuerstein zadawała rzeczowe pytania i tym sposobem dość szybko dowiedziała się wszystkiego, co trzeba.

– Widzę, że Arthur okazał się znakomitym strażnikiem – rzekła z przekąsem. – Ostatecznie dobrze się stało, chociaż te wiadomości kosztowały was życie trzech ludzi. Nie sądziłam, że zaraza sprowadzona do pałacu szerzy się już w bretańskiej armii.

– Pani miłościwa! – wybuchnął książę de Tourmaline. – Daje pani wiarę tym majaczeniom?

– Cisz. – Generał uniosła dłoń. – Rzec jest jak najzupełniej możliwa, choć istotnie napawa grozą. O tym, że Arcydiakon Zakonu służy demonom wezwanym z Zaświatów, wiedziałam już od dawna i wy też nie raz o tym słyszeliście, Rolandzie de Branche de Tourmaline. Widziałam także, jak diakoni zmuszali martwe ciało, by wstąpił weń pozor życia. Jednak tamten rytuał nie uczynił z trupa żołnierza, lecz istotę bezmyślną, niezdarną i powolną. Nawet w najgorszych koszmarach nie przypuszczałam, że kapłani tak rozwiną tę bluźnierczą metodę i że pozwoli im ona stworzyć wojsko z umarłaków. Powiedzcie, czy maszerują równie prędko jak zwykli piechurzy?

– Pewnie nawet szybciej, pani generał – odpowiedziała Margueritte. – Zeskakiwali z wozów rączo jak sarenki. I jak mówiłam, na każdym leżało ze dwudziestu takich, poukładanych jeden na drugim na podobieństwo sągów drewna.

– Lecz widzieliście tylko pojedynczy oddział. Nie wiecie, ile wozów armia królewska zabrała ze sobą. – Generał ściągnęła brwi. – Gdybym to ja chciała zaskoczyć przeciwnika, umieściłabym nową broń przy palisadach i rowach z dwóch stron przełęczy, aby schwytać lekką konnicę w kleszcze. W razie gdyby żywych trupów było więcej, można by je puścić zwartą kupą na spotkanie szarzy. A te... ksenowurmy... trzymać na zboczach. Skoro są ciężkie i wielkie, lecz potrafią same wpełznąć na górę, nadają się, aby runąć na tyły kopijników.

Rycerze popatrzyli po sobie. Eksperyment myślowy pani generał budził w nich wyraźny niepokój.

– Wstrzymuję szarżę – rzekła von Feuerstein, odwracając się do księcia Rolanda. – Wysłałam oddział na drugi zwiad; niech będzie prędko, zwrotny, nieustraszony i niech minie zgiełk bitwy poboczną drogą, a gdy sprawdzi, co się dzieje, natychmiast wraca.

– Pani generał – odezwała się Meg. Wszyscy na nią spojrzeli. – Uprzejmie proszę o pozwolenie na zabranie się ze zwiadem.

– Ja bardzo przepraszam – wtrącił Arthur – ale uważam, że to czyste wariactwo! Po wszystkim, co uczyniła dla mnie pani de Breville, nie mogę się na to zgodzić.

Theresa von Feuerstein uniosła brew.

– Proszę wyjaśnić, dlaczego pani sądzi, że to dobry pomysł.

– Ksenowurmy i trolle poruszają się błyskawicznie, mogą nie dać zwiadowcom szansy na odwrót. To raz. – Margueritte odgięła jeden palec. – My mamy różdżki. To dwa. Już ich używałyśmy, więc przeciwnik o nich wie; warto go jeszcze postraszyć, bo na porządną bitwę ładunków jest trochę za mało. To trzy. A potem się pomyśli. Tylko najpierw niech Arthur odda mi eliksir przeciwbólowy, bo... zaraz... spadnę z konia...

– Po czwarte, zabieram się z tobą, Meg – dodała Belinde. – Co dwie więdźmy, to nie jedna.

– Dajcie im świeże wierzchowce – rozkazała von Feuerstein. – I pilnujcie ich jak oka w głowie. Pamiętajcie, że nie kazałam puścić ich wolno! Niech prowadzi Armand de Rubis; jemu nie przyjdzie do głowy lekką ręką przekazanie dowództwa pani de Branche d’Ambre.

Arthur poczerwieniał.

– Daj im wszystko, czego potrzebują, Arthurze. – Głos generał złagodniał. – Wysłałam cię do medykusów. Jeszcze mi się przydasz w tej wojnie.

* * *

Margueritte kurczowo trzymała wodze, walcząc o utrzymanie się na galopującym wierzchowcu. W jej żołądku przelewały się dwa eliksiry: przeciwbólowy i wiążący skażenie. Poparzenia, którymi zajęła się Belle, ledwo dawały o sobie znać dzięki balsamowi gojącemu, prawie do reszty zużytemu przez czarodziejkę. Na prawym nadgarstku czuła chłodny dotyk bransoletki z tarczą ochronną.

„Kiedy skończą się zapasy, dopiero będziemy miały przegwizdane” – pomyślała. I znów ostatkiem sił skupiła się na tym, by nie spaść z konia.

Niepotrzebnie nalegała, że dołączy do zwiadu. Przenosiła się. Po wygaśnięciu Źródła nie umiała określić granic swojej wytrzymałości, nie zorientowała się, że w pionie trzyma ją głównie adrenalina. Oraz duma. Przynajmniej tej ostatniej nie mogło jej zabraknąć.

Odbili nieco na zachód, aby ominąć niewielkie wzgórze i odnaleźć wejście na przełęcz z dala od głównego szlaku. Kawaler Armand de Rubis wziął najlepszych weteranów z chorągwi wachmistrza Neckera, piętnastu rycerzy wraz z pachołkami, doświadczonych zabijaków i najemników, z gatunku takich, co z braku żołądka bez wahania podejmą się rozboju na gościach. Każdemu półpancerz lśnił jak świńska pupa, za to od ich własnej skóry brud sam odpadał. Kudłaci i szczerbaci, mieli połamane nosy, malownicze blizny

i nieprawdopodobne wąsy, a pretekst do wycieczki przyjęli z gromkim entuzjazmem.

Sam kawaler de Rubis był krępy młody człowiek, może dwudziestoletnim, z puczułową twarzą otoczoną loczkami koloru blond i rzadkim, pieczołowicie wyhodowanym zarostem. Trudno było uwierzyć, że tak niewinnie wyglądający młodzieniec należy do najkrwawszych rzeźników armii Płomienia.

Wierzchowce, rosłe bojowe rumaki o waleczności dorównującej jeźdźcom, niosły ich z zawrotną prędkością po mokrej, śliskiej trawie. Minęli porębę, gdzie jeszcze leżał stos niezwiezionego na czas drewna, i od razu natknęli się na chorągiew jazdy. Ciężki nieprzyjacielski łuk zadrgał i koń pod jednym z pacholków padł z niemal ludzkim krzykiem. Rycerze błyskawicznie skrócili dystans i weszli w starcie; z brutalną precyzją poszły w ruch krótkie lance, miecze, co kto miał. Nastąpiła krótka chwila pracowitej masakry.

Czarodziejki trzymały się z tyłu. Margueritte napierała zaciśniętymi na wodzach pięściami na końską grzywę. Wierzchowiec, z uszami położonymi po sobie, parskał i przestępował w miejscu, gotów kopać i gryźć wszystko, co podejdziesz bliżej. Poczuli już, że jego nowy jeździec jest w gruncie rzeczy pasażerem, i wykazywał stanowczo za dużo inicjatywy. Tymczasem Belinde sprawnie ściągnęła wodze lewą ręką, w prawej dzierząc lekką automagiczną kuszę Meg. Przed nimi błyskały miecze, bryzgała krew, ludzie osuwali się na ziemię.

Niedługo potem zgiełk ucichł. Trawa na porębie była usłana trupami albo ludźmi, którym do wyzionięcia ducha niewiele brakowało – nikt tego nie sprawdzał. Rycerze nie brali łupów, konie wroga, które jeszcze się do czegoś nadawały, puścili wolno. Armand dał znak i oddział ponownie wyruszył.

Dobiegało południe. Po strzępiastych chmurach nie został nawet ślad, słońce rozgrzewało Margueritte bandaże na szyi, raziło w oczy. Meg podświadomie oceniła odległość do głównego podejścia i kierunek szlaku i zrozumiała, dlaczego Theresie von Feuerstein zależało na szybkiej porannej szarzy. Za półtorej godziny wojsko będzie atakować przełęcz pod słońce. W takich warunkach ludzie widzą niewiele, a konie jeszcze mniej. Na razie to zwiad musiał się uporać z tą niedogodnością.

Powoli czarodziejce rozjaśniało się w głowie. Eliksięry zaczynały działać. Co prawda nadal szumiało jej w uszach i co jakiś czas musiała powstrzymać się od wymiotów, ale przynajmniej nieco pewniej trzymała się w siodle. Od razu mocniej chwyciła wodze, żeby wierzchowiec, który znów zwalniał do leniwego stępa, zorientował się, że Meg przejęła dowodzenie.

Wyprostowała się ostrożnie i rozejrzała wkoło. Kłusowali teraz pod górę i już od jakiegoś czasu Armand nie narzucał ostrego tempa. Należało iść równo i w miarę szybko, żeby zdążyć na czas, ale nie za szybko, żeby nie zamęczyć koni. Na razie nikogo więcej nie spotkali po drodze. Margueritte przypuszczała, że w obliczu szarzy przeciwnik ściągnął większość straży na przełęcz. Nie

obawiali się jednak dywersji na wąskim szlaku i nie mieli powodu przypuszczać, że Theresa, ostrzeżona przez czarodziejkę, zechciała w ostatniej chwili wysłać zwiad.

– Belinde... – Meg dokłusowała do przyjaciółki. – Jak odczyt?

– Nadal w zakresie tła – stwierdziła Belle. – Mamy jeszcze kawałek, zanim szlaki się połączą. Dajesz radę?

– Jakoś się trzymam. – Głos czarodziejkę zabrzmiał szczególnie skrzekliwie. Odkasznęła. – Chwilę. Coś mi tutaj nie pasuje. Strefa powinna mieć większy zasięg. Zawsze wykrywałaś trolle kilkaset metrów naprzód...

– To sprawa ukształtowania terenu, jak sądzę – odparła Belinde. – Górka zasłania. O, właśnie. Meg, słonko, masz jeszcze przy sobie grzebień Cesarzowej, prawda? O ile wiem, działa jak spore pole chroniące przed skażeniem. Schowałabyś w tym cały oddział?

– Chciałabym – mruknęła Meg. – Uruchamia się samoistnie i tylko przy wysokich stężeniach. Gdyby w pobliżu była jakaś rozpadlina, to owszem, moglibyśmy się przeturlać w ochronnej bańce jak stadko chomików. Bez jakiegokolwiek interakcji z otoczeniem.

– Mało praktyczne.

– Staje się bardziej użyteczny pod kontrolą aktywnego Maga Pustki. – Margueritte zmrużyła oczy. – Co tylko mi przypomina o rozmiarach mojej kłęski.

– Meg, miej trochę wiary w ludzi. Może wasz plan da się jeszcze uratować. Nie możesz zakładać, że wszyscy pozostali są mniej kompetentni od ciebie.

Rozległo się ciche cyknięcie, następnie drugie i trzecie. Wykrywacz skażenia zaczął działać.

– W samą porę. – Belle ściągnęła wodze i wysforowała się do przodu. – Monsieur Armand!

Margueritte, której wciąż trochę brakowało tchu, nie odezwała się ani słowem. Z zaciętą miną sprawdziła stan przypiętych do paska różdek i skontrolowała bransoletkę ochronną. Nawet nie zauważyła, że pilnujący jej konni zinterpretowali milczenie czarodziejkę nieco inaczej i odsunęli się na bezpieczną, ich zdaniem, odległość.

Jeszcze nie było do czego strzelać, ale wykrywacz Belinde pracował pełną parą. „Trzydzieści, może czterdzieści mikromerlinów” – oceniła Margueritte, doganiając dowódcę śladem przyjaciółki; więcej niż ostatnim razem, a zatem można się spodziewać licznej grupy pustkostworów. Miała pewne wątpliwości, czy obydwie nadążą z zakłębieniami, w razie gdyby istoty przypuściły zmasowany atak.

Kawaler de Rubis dał znak. Zbrojni uformowali szyk – wąski, bo inaczej się już nie dało, droga prowadziła między niskimi sosnami. Belinde i Margueritte dopiero teraz odpaliły bransoletki chroniące przed skażeniem; ich sylwetki otoczyło przejrzyste, metalicznie lśniąca pole energetyczne. Powoli szli stępą,

gdyż ścieżka coraz bardziej stromo pięła się ku górze. Tu i ówdzie z ziemi sterczały pobielające głazy, podobne do zębów jakiegoś ogromnego stworzenia. Rzykowali, że w razie ucieczki wierzchowce połamią nogi, innego szlaku jednak nie było.

Zbliżali się coraz bardziej, a od strony przełęczy nie niósł się żaden dźwięk. Żaden bitewny tumult. Metal nie brzęczał o metal, ludzie i konie milczeli. Wreszcie Meg zaczęła coś słyszeć: cichy, przeciągły ni to płacz, ni to jęk, a może skomlenie. Wróciły wspomnienia krótkiego czasu spędzonego z wojskiem po trzęsieniu ziemi w Marron, prawie sto pięćdziesiąt lat temu. Zrozumiała, że już jest po bitwie. Spojrzała na kawalera de Rubis; zmrużył oczy, rozszerzył nozdrza. On też wiedział.

Stanęli na wzniesieniu; kilkanaście metrów dalej szlak załamywał się ostro w dół i łączył z szerokim podejściem na przełęcz. Już z tej odległości zapach drażnił nozdrza wierzchowców; trzeba było ściągać wodze, aby nie wpadły w panikę. Nic dziwnego, że lekka konnica armii Płomienia nie miała szans.

Margueritte nie miała sobie nawet wyobrazić masakry, do jakiej doszło tutaj może ze dwa kwadransy temu. Wszędzie leżały trupy – końskie i ludzkie, ciała rozczłonkowane tak, jakby ugnieciono je z chleba. Tu i ówdzie dogorywało zwierzę lub konał człowiek – to właśnie ich ostatnie bolesne oddechy niosły się echem wśród gór. Flagi, emblematy i herby tworzyły pstrokatą mozaikę wraz z brunatną barwą powoli schnącej krwi. A pomiędzy zasiekami, przy wałach obronnych i palisadach, które szarża miała zdobyć, nad gęstwą ciał kłębiły się inne trupy – te ożywione. Kołysząca się bezwolnie masa, obszarpana, cuchnąca obcą, alchemiczną wonią. Tu i ówdzie, jeżeli człowiek dobrze się przypatrzył, dało się dostrzec nieliczne zgarbione sylwetki trolli i towarzyszących im kapłanów w brązowych habitach. Poległych, którzy byli mniej więcej w całości, metodycznie odciągano na bok.

Słońce świeciło w oczy.

Kawaler de Rubis umówionym gestem zarządził odwrót. Jego rycerze, krwawi zbójcy, weterani o duszach twardych jak klepisko, z ledwością wykonali rozkaz, starając się opanować przerażone konie i własny strach. Odjeżdżali stamtąd pospiesznie, bez słowa, jakby w transie. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Nikt ich nie ścigał.

Nie mieli żadnych wątpliwości – gdyby szarży w porę nie wstrzymano, mogłaby zginąć cała armia Theresy von Feuerstein.

Całkiem przyzwoicie uformowana ognista kula uderzyła w ekran ze świstem, rozbryzgując się na kilkanaście mniejszych ogników. Odważyłem się zaczerpnąć oddech i obejrzałem dłonie. Tym razem nie świeciły. Uśmiechnąłem się szeroko.

– No, to było już do zaakceptowania – pochwaliła mnie Kathryn. – Na egzamin wystarczy, jak sądzę. Gesty nadal w wersji oszczędnej, ale komisja równie dobrze może uznać, że już ich nie potrzebujesz. Tyle że znowu jakoś dziwnie stoisz...

– Postawa Trzech Bitew – wyjaśniłem. – Pomaga mi wejść w gotowość do walki. Wiem, że to niekanoniczne, ale mam nadzieję, że nie będą się czepiać.

Trenowaliśmy od tygodnia i, ma się rozumieć, Kula Ognia nie była jedynym zaklęciem, które wymagało ode mnie wprawy. W programie egzaminacyjnym figurowało ich w tym roku szesnaście i obejmowały wszystkie podstawowe aspekty magii. Nie miałem żadnych kłopotów z opanowaniem zaklęć uzdrawiających, chociaż powszechnie uważa się je za najbardziej złożone. Całkiem znośnie szło mi z iluzjami, konstrukcjami i przywołaniami, zwłaszcza jeśli dotyczyły żywej przyrody. Tylko zaklęcia bojowe konsekwentnie partaczyłem przez pierwsze cztery dni. Powód był, rzecz jasna, natury psychologicznej. Jestem nieco starszy od przeciętnego ucznia. Dwudziestolatek, przekonany o własnej – i cudzej – nieśmiertelności, bez żadnych zahamowań ciska kule ognia, lodowe sopele i tym podobne, ja zaś miałem świadomość, że kogoś mogę skrzywdzić.

Z pomocą przyszedł mi trening Drogi Czapli; dzięki niemu na walkę patrzy się w szerszym, filozoficznym kontekście. Przecież jeśli ktoś mnie zaatakuje, będę się bronić. Zresztą tak drastyczne środki jak Kula Ognia rezerwuje się zwykle dla nieludzkich przeciwników. „Nie mam szczególnych wyrzutów sumienia związanych z erlingami – kalkulowałem – a do wojska i tak się przecież nie zapiszę”.

– Dobra. Idziesz na ławkę. Teraz Lily wykończy twój ekran, a potem ja. – Kathryn westchnęła. Zaklęcia z komponentem entropicznym, czyli jedno bojowe, jedno konstrukcyjne i dwa uzdrowicielskie, nadal wychodziły jej w zależności od szczęścia i nastroju.

– Może spróbuj regulować oddech? – zasugerowałem. – Tak jak ci pokazywałem?

– Tak... i jeszcze wetknę sobie niebieski kwiatek za ucho – prychnęła, rzucając mi złe spojrzenie.

Powstrzymałem się od kolejnych rad. Musiałbym trenować kilka dobrych lat, żeby osiągnąć technikę Kathryn; wszystko robiła podręcznikowo, ale przy jej dysentropii nawet mikroskopijne pomyłki psuły efekt.

Wróciłem na ławkę, a właściwie do zaimprovizowanej kanciapy, gdzie urządziliśmy sobie czytelnię, laboratorium i studio malarskie. Ukryta bezpiecznie za osłonami przeciwmagicznymi, Amandine pracowicie wypełniała szkic pędzelkiem. Krzesła i jedno krzywe biurko były zavalone materiałami egzaminacyjnymi i zadaniami od Weylanda. Tymi ostatnimi zajmowałem się sam. Kat nie potrafiła się skupić na dwóch rzeczach jednocześnie, natomiast ja nie przeżyłbym u Meg bez tej umiejętności.

Podniosłem plik zażółconych papierów i zmarszczyłem brwi.

– Moment. Tego tutaj nie było.

– Weyland wpadł i wypakował nową teczkę – poinformowała moja narzeczona.

– Nie zauważyłem...

– Mogłoby tędy przegalopować stado słoni i żadne z was niczego by nie zauważyło. – Amandine spojrzała na mnie niespokojnie. – Muszę ci się do czegoś przyznać. Rozważałam dezercję i porwanie Lily do moich rodziców. Poważnie. Nie podoba mi się, że Arcymag zmienił zdanie. Nie jedziemy na wycieczkę do wesołego miasteczka.

– Zgadzam się w zupełności. – Oczy mi się zamykały, najchętniej położyłbym się i zasnął na miejscu. – Wszystko wskazuje jednak na to, że Trzecia Wyrocznia ma dobry powód. Według notatek Lucjusza system rządów w Bretanii uwzględnia nadwornego smoka. Jeśli faktycznie Lily potrafi nimi sterować...

W tle naszej rozmowy stojąca pośrodku sali treningowej mała dziewczynka, zaciskając w skupieniu pięści, wydmuchiwała strugę ognia w ekran. Całkiem dobrze go kontrolowała – zwłaszcza jak na kogoś, kto kilka dni temu prawie spalił dom przez sen.

Amandine ściągnęła usta w ciup.

– Moim zdaniem Wyrocznia ma nie po kolei w głowie, a wy daliście się zaszantażować. Jeszcze z nią sobie porozmawiam, może znajdziemy właściwe zastępstwo. Skoro już łaskawie postanowiła mnie zabrać, traktując moją obecność jako zachętę dla ciebie, niech to się chociaż przyda. Na pewno nie puszcze was samych na tę wariacką eskapadę.

Przez kilka ostatnich dni często wypowiadała się w podobnym duchu. Wolałbym, żeby została w Avalonie, jednak to najwyraźniej nie wchodziło w rachubę. Chyba ją rozumiałem, ale i tak uważałem, że Amandine, pozbawiona talentu magicznego, ryzykuje może więcej niż Lily. Moja narzeczona nie była jednak dzieckiem, miała swoje zdanie i już rozmawiała z Weylandem o ekwipunku ochronnym.

– Co właściwie wiemy o Bretanii? – zapytała.

– Tyle, ile Lucjusz uznał za stosowne. Na przykład, że próbowano odtwarzać tam Triumwirat dzięki pozostałym przy życiu magom z rodów d’Aure i d’Argent. Oraz smokom.

– Zamiast Magów Pustki z Branche d’Obsidienne? Zaraz. Przecież smok jest narzędziem, nie ma osobowości...

– Prawnej – nie mogłem się powstrzymać. – Duszosmok, z którym walczyliśmy, niewątpliwie wykazywał pewien charakter. Nie dysponujemy odpowiednią ilością danych na ten temat, po Wojnie przebadano tylko kilka szkieletów. Szczerze? Jeśli w Bretanii nadal żyją smoki, nie mogę się doczekać tej wyprawy.

– Czarno to widzę – roześmiała się Amandine. – Zamiast ratować Margeuritte, będziesz zbierał łuski do klasera i robił pomiary. Wiadomo coś więcej? Na przykład czy mają tam dyliżanse? Kanalizację i bieżącą wodę? Placki po bretańsku?

Rozłożyłem ręce.

– Mój czcigodny kuzyn nie interesował się sprawami maluczkich. Ale trzeba przyznać, że jego techniczne analizy są świetne. Łebski facet...

– Ciekawe, czym tak rozczarował Wyrocznie...

– Czuję, że prędko się dowiemy. – Przewertowałem plik kartek. Musiałem się zastanowić nad każdym wykresem, zanim wreszcie zrozumiałem, na co patrzę. Zrobiło mi się zimno. – Chwila... Amandine... Proszę, przypomnij sobie, czy Weyland wzywał kogokolwiek z nas.

– Nie. Powiedział, że nie chce przeszkadzać. I że powinienś to przeczytać.

– Zaraz wracam. – Zerwałem się z ławki. – Powiedz Kat, żeby wzięła moją kolejkę.

* * *

Zgodnie z notatką na świeżo podrzuconym pliku kartek, znalazłem Arcymaga w starym obserwatorium. Umieszczone w najwyższej wieży budynku Gildii i gruntownie odnowione jakieś dwieście lat temu, było kiedyś perłą w koronie obserwatoriów Arborii. Od tamtej pory jednak minęło trochę czasu. Avalon obrósł w sztuczne oświetlenie, co utrudniało korzystanie z niezwykle wyrafinowanych teleskopów w samym środku miasta. W dodatku mało kto umiał kalibrować wiekowe, pozbawione automatycznych funkcji sprzęty.

Rzecz jasna, Arcymagowi odpowiadało, że ma obserwatorium tylko dla siebie, a problem z miejskim światłem rozwiązywał za pomocą zakłęb ściemniających.

Słońce niedawno zaszło, ale nie zapadł jeszcze mrok wystarczający do obserwacji, dostrzegłem więc monumentalną czarnoskórą postać przy jednym z ustawionych w rzędzie biur. Weyland pochylał się nad rulonem wyników z sejsmografu i mapami gwiazd. W tle cicho terkotały maszyny analityczne. Na sklepieniu pod kopułą wieży malowała się zrzucona z teleskopu iluzja nocnego

nieba. Przyjrzałem się gwiazdozbiorom; nie jestem specjalistą, ale sądząc po obecności Szafirowej Przewodniczki i zanikającym Ouroborosie, obraz zapisano tuż przed świtem.

– Dobrze, że jesteś. – Arcymag podniósł głowę znad papierów. – Przygotowałem dla ciebie kilka instrukcji.

– Część już przejrzałem, dziękuję. – Zamachałem plikiem papierów. – I mam uwagi. Byłem przekonany, że to Wyrocznia nas transportuje...

– Bo transportuje. Wczytaj się uważniej.

– ...ale za ochronę przed Pustką całej naszej czwórki odpowiedzialny jestem ja...!

– Myślałem, że to oczywiste od samego początku. – Wzruszył ramionami. – Dysponowaliśmy tylko jedną osłoną z epoki Triumwiratu, zabrała ją Margueritte.

– Weylandzie – jęknąłem. – Jestem w tej kwestii zielony jak trawa na łące. A jeśli coś nie wyjdzie? Nie zawsze wszystko wychodzi.

– Zaklęcia i rytuały, owszem, ale ochrona przed Pustką w twoim przypadku jest związana z instynktem przetrwania – wyjaśnił Weyland spokojnie. – Zastosujesz ją podświadomie, tak jak podświadomie przetworzyłeś zionięcie Liliany. Krótko mówiąc, nie potrafisz tego zepsuć, nawet gdybyś bardzo się starał. Parametry, które podałem, pomogą ci w rozszerzeniu osłon na pozostałych uczestników wyprawy. Nauczysz się ich pod hipnozą, żeby zadziałać automatycznie. Przestań marudzić i bierz się do roboty.

Nabrałem powietrza, żeby mu wygarnąć, co myślę o ganiu nas do roboty równoległe z przygotowywaniem się przez ostatni tydzień do egzaminu, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Weyland znużonym gestem oparł łokieć o pulpit i przyszło mi do głowy, że gdyby mógł zaplanować wyprawę na własnych warunkach, wyglądałoby to zupełnie inaczej.

– Wyrocznia nas zaszantażowała – rzuciłem ponuro.

– Niezupełnie. – Arcymag wstał i podszedł do podstawy olbrzymiego teleskopu. – Powoli zaczynam się z nią zgadzać. Popatrz.

Przesunął dłoń nad serią run. Sklepienie komnaty rozświetliło się białym blaskiem, a potem zmieniło na inną mapę nieba, zapisaną zapewne o północy. W skupieniu przyglądałem się gwiazdom, ale nie miałem pojęcia, czego powinienem szukać.

– Trzy Mojry – wskazał Weyland. – Strefa Pęknięcia.

Skinąłem głową. Rozdarcie nie pozostało bez wpływu na wygląd nieba. Można było wytyczyć nierówną linię, która odgradzała strefę arboriańskich gwiazd od obszaru na wschodzie, gdzie ich światło zdawało się stłumione, jakby lekko żółte. Nad zaginioną stolicą Cesarstwa Triumwiratu, Alterrą, ta linia byłaby widoczna pod kątem prostym od ziemi, tuż nad głową obserwatora. Trzy Mojry – gwiazdy średniej jasności – znajdowały się na jej granicy.

– Wyglądają normalnie.

– Ich jasność od kilkunastu miesięcy powoli spada – poinformował Arcymag.
– Różnice są drobne, ledwo wykrywalne. Sprawdziłem dane u astromagów. Zrzucili zmiany na fluktuacje magiczne, ale jeśli dołożymy zapis sejsmiczny, wychodzi na to, że Skuld mówi prawdę. Rozdarcie przyspieszyło. Teraz spójrz poza strefę. Na Ciemne Niebo.

– Draconis? – Zamrugalem. – Chwila. Co to? Chyba nie powinna być czerwona?

– No właśnie. – Weyland schylił się i wyjął zza teleskopu duży futerał na płócienne zwoje. – Łap!

– Puff...

– Prototypowa wielofunkcyjna wojskowa laska automagiczna – powiedział. – Niech Amandine uważnie przeczyta instrukcję i trochę poćwicz. Nikomu ani słowa. Kiedy wyjdzie na jaw, co dla was wyciągnąłem z magazynu, pożegnaj się ze stanowiskiem.

– Aha...

– Teraz łap to.

– Puffff!

– To nie jest książka – oznajmił Weyland radośnie.

Patrzyłem na tomiszcze w srebrnej obwolucie. Ważyło co najmniej pięć kilo. Przeciagnałem palcami po runach. Niektóre nic mi nie mówiły, ale część z nich zdołałem odczytać.

– Podniebny Rydwan. Własność szlchetnego rodu Branche d'Argent... Składany pojazd latający? – Otworzyłem usta ze zdziwienia. – One jeszcze istnieją? Poważnie?

– Pionierska technologia podprzestrzenna. – Andreas Weyland uśmiechnął się krzywo. – Ostatni egzemplarz. Gdyby nie przewrót republikański, Arte Benare nigdy nie zdobyłaby skarbów rodu królewskiego, które mogła rozmontować na części i rozwinąć korzystny interes. Teraz weź to...

Dostałem prosto do rąk delikatny, niebieski kryształ zawieszony na zwykłym rzemieniu. Wewnątrz widniały wskazówki kompasu.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że potrafisz zlokalizować Margueritte w kilka minut – wyjaśnił Arcymag – jednak musicie dotrzeć także do Wyroczni. Zakładam, że ściągnię do siebie, ale oczywiście niczego nie można być pewnym. Dzięki Rydwanowi nie będziecie musieli pieszo przemierzać Utraconej Bretanii, narażając się na komplikacje. Dostaniecie sakwy z kieszenią podprzestrzenną i komplet zapasów.

– Cóż, nie wiem, co powiedzieć...

– Wystarczy „dziękuję” – odparł Weyland. – I zdajcie egzaminy. Takiego poboru magicznych przedmiotów nie da się uzasadnić na dłuższą metę. Wypisałem wam wszystkie papiery, ale nie będą nic warte przed sądem, jeśli

żadne z was nie zrobi dyplomu. Istnieją w Gildii ludzie, na których teoria Rozdarcia nie zrobi wrażenia.

* * *

Rozmowa z Andreasem Weylandem ostatecznie mnie uspokoiła. Wszystko zostało załatwione. Kolekcja magicznych przedmiotów wysokiej klasy chroniła nas przed każdym niebezpieczeństwem, na jakie mogliśmy trafić w obcym, niezbadanym kraju. Po dotarciu do Margueritte miałem przekazać jej składany dom, włącznie z kulą pełną notatek, aby szefowa przejęła dowodzenie i zaczęła realizować plan. Kto jak kto, ale Czarna Meg potrafi opracować metodę na powstrzymanie Rozdarcia. Im dłużej o tym myślałem, tym większej nabierałem pewności, że się uda. Zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji – ale w końcu Ciebie Gildii pracował nad scaleniem świata przez kilkadziesiąt lat i przynajmniej w ostatnim stuleciu mieli w ekipie moją szefową. Podejrzywałem, że stanowią ostatni brakujący element układanki, wystarczy pojawić się na miejscu i zrobić swoje.

Na razie musiałem jeszcze zdobyć dyplom.

Jak już wspominałem, kandydatów na czarodziejów było niewielu, około trzydziestu osób. Pewnie się zastanawiacie, gdzie się później podziewają ci wszyscy magowie, skoro ich średnia długość życia znacznie przekracza możliwości nieutalentowanych. Otóż nabór uczniów jest prowadzony w trybie nieciągłym. Wydział Nauczania Gildii starannie kontroluje liczbę czarodziejów w Arborii. Ogranicza testy potencjału, kiedy zbyt wielu adeptów się kształci, i zwiększa nabór, gdy zachodzi taka potrzeba. Prawo określa, że jeden mag może w danym czasie szkolić tylko jednego następcę. Uprawnienia nauczycielskie są ściśle reglamentowane, a wielu uczniów odpada, zanim rozwiną moc wystarczającą do przejścia transformacji. Zdarzają się więc takie lata, a nawet dekady, że nie ma w pełni wyszkolonych czarodziejów, którzy mogliby poddać się egzaminom. Sporą część grupy stanowią recydywiści – nie każdemu udaje się za pierwszym razem.

Ponieważ czarodziejski egzamin dyplomowy jest wydarzeniem kameralnym, sposób jego przeprowadzania nie zmienił się od lat. Inne wydziały od dawna stosują testy i eseje. Egzaminatorzy Gildii Magów uważają jednak, że istnieje tylko jedna właściwa metoda sprawdzenia wiedzy adepta, czyli odpowiedź ustna i prezentacja umiejętności przed komisją. W tym roku egzaminy trwały przez cztery dni z rzędu; obydwójce z Kathryn zdawaliśmy w tym samym terminie, tyle że o różnych godzinach.

* * *

Wszedłem do środka i rozejrzałem się wkoło. Sala egzaminacyjna była, rzecz jasna, wyłożona bładozieloną ochronną warstwą *trivium*. Za wysokim stołem siedziała szacowna komisja w liczbie trzech osób: dwóch czarodziejów znanych

mi z widzenia, wiekowy i zawsze czarno odziany sir Tailleferre de Branche d'Amethyste oraz szybko pnący się w hierarchii geniusz, grubiućki i błady Matthew Stone, a także czarodziejka, u której kiedyś robiłem kurs ze znajomości run, lady Ndiaye de Branche de Tourquis z południowej autonomii Kebra Negast.

Całe wydarzenie nagrywała protokolantka, nieznana mi z nazwiska pulchna czarodziejka niższej rangi, z nieodzowną kryształową kulą. Starszy asystent z imponującymi krzaczastymi bokobrodami, jak podejrzewałem, technik magii lub urzędnik-wiedźma, właśnie wycierał z kredy tablicę przeznaczoną do zapisywania wzorów. Na osobnym stojaku rozpostarto szczegółową mapę świata, a pod ścianą metalicznie lśnił nowiućki ekran pochłaniający, zamontowany na stelażu z czystego *trivium*, przeznaczony do części praktycznej.

Reszta pomocy naukowych znajdowała się na stoliku przede mną. Na bibule ułożono kilkanaście starannie spreparowanych, nieoznakowanych okazów botanicznych, obok w pudełku umieszczono różnorodną kolekcję owadów, minerałów, run i innych komponentów używanych w rytuałach – długo by wymieniać. Asystent z kamienną twarzą wyłożył na stół kilka automagicznych dzieł: czarękę, pióro, okulary i – nie pamiętam już – chyba diadem, w każdym razie coś zabytkowego.

Przewodniczący – sir d'Amethyste – dał znak i protokolantka uruchomiła kulę.

Tak jak przewidziała Kathryn, większość pytań rzeczywiście była dla mnie powrotem do szkoły podstawowej. Komponenty i przedmioty magiczne identyfikowałem bez zająknięcia. Dwadzieścia cztery lata pracy w charakterze asystenta czarodziejki sprawiły, że dostarczałem Meg tego, czego potrzebowała, zanim zdążyła mnie poprosić; w przypadku niektórych składników pamiętałem jeszcze ceny i wytargowane promocje. Szefowa dopilnowała, abym płynnie posługiwał się wyższą matematyką; ziołami i medycyną interesowałem się od dawna.

Z duszą na ramieniu dotarłem do części praktycznej. Najtrudniejsze miałem przed sobą. Musiałem rzucić sześć różnych zaklęć wylosowanych spośród szesnastu, żadnego kompletnie nie zepsuć i przynajmniej cztery wykonać w sposób zadowalający poprawny.

Rzucanie zaklęć w gruncie rzeczy bardzo przypomina grę na instrumencie muzycznym. I tu, i tam trzeba zapamiętać szereg precyzyjnych reguł i wykazać się sprawnością, która pozwala je zastosować w praktyce. Gdy czarodziej osiągnie już poprawność techniczną, zaczyna rozwijać własny styl – z daleka odróżniłbym zaklęcie Creo autorstwa Kathryn od takiego, które rzuciła Margueritte. Gesty nie są w tym wszystkim niezbędne, ale pomagają się skupić na niesłychanie skomplikowanych obliczeniach, które trzeba przeprowadzić na bieżąco. Pamięć ciała łatwo staje się drugą naturą człowieka – nie da się zapomnieć nauki pływania lub jazdy na rowerze. Dzięki prawidłowym gestom czarodziej kształtuje moc instynktownie, podstawia ją do wzoru, pamięta o jego kolejnych elementach jak pianista grający etiudę. Zwykle trzeba dużo praktyki, żeby zamiast palców zacząć do tego używać umysłu.

Moje dłonie były niewprawne – nierozciągnięte, mało elastyczne. Jak u przeciętnego gitarzysty ogniskowego, który co prawda potrafi wybrzdąkać to i owo, ale od wirtuozów dzieli go lata świetlne. Margueritte przewidziała mój awans do grona magów, ale najwyraźniej zapomniała o tym elemencie szkolenia. Albo go zignorowała.

W pocie czoła kształtowałem więc moc, liczyłem w pamięci i podstawiałem do wzorów, machając rękami w sposób dostatecznie poprawny, jak dziecko ćwiczące gamy. Tam, gdzie zawodziły mnie dłonie, pomagałem sobie Drogą Czapli. Staralem się nie zerkać na czarodziejów w komisji, tylko skupiać się na przepływie energii i prawidłowych obliczeniach. Bądź co bądź, istotny był efekt. Zapewne właśnie tak patrzyła na magię Czarna Meg.

Ostatni lodowy sopel trafił z hukiem w ekran pochłaniający. Otrzeptałem się ze szronu i ukloniłem komisji, z drżeniem rąk i kołataniem serca oczekując na werdykt.

Zapadło bardzo długie milczenie. Za długie.

– Czy pan ma jakieś problemy ze stawami, panie Thorpe? – zapytał wreszcie Matthew Stone. – Nie wiem, artretyzm? Bóle reumatyczne?

– Te postawy są wzięte ze sztuk walki – odezwała się spokojnie lady Ndiaye. – Przecież pan widzi, panie Stone. Moim zdaniem to dość twórcze podejście. Warte rozważenia.

– Oczywiście. Może jeszcze zaczniemy dopuszczać do zawodu bokserów.

– Arcymag trenował kiedyś boks – przypomniała mu czarodziejka. – Osobiście mam zastrzeżenie tylko do Wodnego Pryzmatu. Niewiele brakowało, aby przekroczył pan dopuszczalne straty, panie Thorpe. I można jeszcze było uniknąć oszronienia przy ostatnim zakłęciu. Poza tym to, co pan zademonstrował, w zupełności wystarczy dla kategorii A1. Cztery na sześć, czyli dostateczny.

– Lady Ndiaye, sprzeciwiam się obniżaniu wymagań tylko dlatego, że kandydat jest półaktywny – zaprotestował Matthew. – Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tak paskudnie wykonanych zadań praktycznych. Jeśli przepuścimy pana Thorpe’a, jakie przesłanie pójdzie w świat dla następnych pokoleń? Czy postąpimy uczciwie wobec adeptów, którzy dniem i nocą pracują nad nienagannym stylem? Panie przewodniczący, proszę podzielić się pańską oceną.

Sir d’Amethyste odchylił się na krzesło, podrapał po siwej brodzie, po czym spojrzął na mnie z uwagą, jakby dopiero teraz się obudził.

– Przyznaję celujący – powiedział spokojnie.

Stone zamrugał, wyraźnie wstrząśnięty opinią sir Tailleferre’a.

– Trzeba to jeszcze jakoś uzasadnić – wycedził.

– W mojej pracowni – zaczął spokojnie wyjaśniać d’Amethyste – wisi na ścianie powiedzenie naklejone przez pewnego studenta: „Teoria jest wtedy, kiedy wszystko wiadomo, ale nic nie działa. Praktyka jest wtedy, kiedy wszystko działa,

ale nie wiadomo dlaczego”. Tutaj łączymy teorię z praktyką. Nic nie działa i nie wiadomo dlaczego.

Czarodziej na chwilę zmrzył oczy. Potem podniósł rękę, nie pozwalając panu Stone'owi się odezwać.

– Widziałem wielu adeptów z tym problemem. Ale pan Thorpe potrafi przenieść swoją długoletnią praktykę na pytania teoretyczne. I pomaga sobie znajomością teorii, kiedy praktyka zawodzi. Chciałbym, żeby niektórzy moi uczniowie sami umieli opracowywać protokoły zaklęć, zamiast je mechanicznie odbębniać. – Sir d’Amethyste westchnął. – Kiedyś egzamin dyplomowy sprawdzał przede wszystkim intelektualną dojrzałość czarodzieja. Na osiągnięcie biegłości technicznej zawsze jest czas. Panie Stone, zdawało mi się, czy jeszcze nie usłyszałem pańskiej oceny?

Matthew Stone zacisnął usta. Przez chwilę jakby walczył sam ze sobą, a mnie przewracał się żołądek.

– Cztery na sześć – powiedział wreszcie z niesmakiem. – Z zastrzeżeniami. Dostateczny z minusem. I proszę się bardziej przyłożyć do techniki. Za pięć lat, panie Thorpe, może pan nie trafić na tak wyrozumiałą komisję.

– A zatem decyzja podjęta – oświadczył wesoło sir d’Amethyste. – Panno Elionwy, proszę zaprotokołować. Niniejszym dopuszczamy pana Vincenta Thorpe’a do grona braci czarnoksiężskiej ze średnią oceną dobrą w kategorii A1. Życzę powodzenia na odnowieniu dyplomu za pięć lat.

I już. I tyle. Byłem czarodziejem...

– Ach, i tak poza protokołem, panie Thorpe... – Sir Tailleferre uniósł palec. – Uczestniczyłem w pańskim teście potencjału, ale za nic nie pamiętam, co panu wtedy wyszło. Proszę przypomnieć, żeby pańska mistrzyni zwróciła nagrania i transkrypty do archiwum, dobrze? Chętnie bym je sobie jeszcze raz obejrzał.

...i być może na własną zgubę należałem do pełnego intryg środowiska najpotężniejszych, najbystrzejszych i najbardziej przebiegłych ludzi, jakich tylko można sobie wyobrazić.

* * *

Zapadał wieczór. Przez okna kamienicy widać było rozświetlające się jedna po drugiej zapalane przez żandarma gazowe latarnie. Co pewien czas z łoskotem przetaczała się po bruku dorożka. Gdzieś u Starego Fakira lub w Marionetce młodzi magowie świętowali zdany egzamin dyplomowy lub zapijali nieudany. Kto zdobył dyplom, należał już do ścisłej elity Arborii i bez względu na urodzenie i majątek mógł bez przeszkód piąć się w hierarchii Gildii. Tylko półaktywni musieli odnawiać uprawnienia co pięć lat.

My natomiast, zamiast zasiąść przy stoliku w drogiej knajpie nad butelką wina i stosem wyrafinowanych przekąsek, całkiem dosłownie siedzieliśmy na plecakach. Szybko się otrząsnąłem, zarówno ze sztubackiej atmosfery, jak

i nadmiaru optymizmu. Przez ostatnie kilka dni Amandine kupowała odpowiednie ubrania i niezbędne rzeczy dla siebie i Lilianny – a ja w tej chwili po raz ostatni przeglądałem bagaże, jak przed każdą trudniejszą wyprawą z Czarną Meg. Brakowało mi towarzystwa Śliwki. Pani Revas była prostą kobietą i traktowała koty bardziej jak element miejskiego krajobrazu niż towarzyszy, którym należy się uwaga i opieka, toteż powierzyliśmy kicię Arcymagowi.

Przykucnięty obok tobołów, spakowanych lepiej niż kiedykolwiek (podprzestrzenne sakwy od Weylanda bardzo nam w tym pomogły), skrupulatnie odhaczałem pozycje na liście z ekwipunkiem. Usiłowałem się odnaleźć w rutynowych czynnościach przed podróżą do zaginionej siedemset lat temu Utraconej Bretanii, miejsca, o którym prawie nic nie wiedzieliśmy. Naszym środkiem transportu była Trzecia Wyrocznia, magiczna istota o nie do końca zbadanych, ale olbrzymich możliwościach, wykonująca instrukcje swoich starożytnych twórców sprzed tysiącletniego cesarstwa Triumwiratu. Czegoś podobnego nie da się do końca zaplanować.

Czekaliśmy już tylko na Kathryn. W zwykłych warunkach wszyscy stalibyśmy pod salą z kwiatami i pudełkiem ciastek, ale dziś nie mogliśmy sobie pozwolić na opóźnienie. Zamiast tego dopilnowaliśmy, żeby nie musiała nawet poprawiać troczków przy własnych bagażach. Strój podróżny, złożony w kostkę, leżał obok jej plecaka. Na podwórzu czekała już dorożka wezwana przez naszą gospodynię, panią Revas.

Ale Kat się spóźniła.

– Jak myślisz – zapytała Amandine, niespokojnie krążąc po salonie – co się stanie, jeśli nie dotrzemy na czas? Czy Trzecia Wyrocznia po prostu przeciągnie nas na drugą stronę?

– Nie wiem – odparłem. – Na pewno nie w środku Avalonu, gdzie trzeba się przebić przez miejskie zakłęcia ochronne. Ale myślę, że skorzysta z pierwszej okazji, żeby stworzyć własną rozpadlinę albo podłączyć się do miejsca mocy. Potrafi przenieść każdego, kogo obecność wyczuwa, a wyczuwa tylko ludzi powiązanych w jakiś sposób z Magiem Pustki. Nie znamy dokładnej reguły.

Coś zastukało w okno.

– Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, że Pustka zabije przetransportowanych bez twojej ochrony?

– Chyba tak. Ale może być przekonana, że już zapewniłem wam trwałą osłonę. Uważa mnie za równego czarodziejom z okresu Triumwiratu. Mam wrażenie, że w jej zestawie pojęć nie istnieje coś takiego jak niedoświadczony Mag Pustki. Kat próbowała jej wytłumaczyć, ale... Nawet jeśli coś do niej dotarło, może was potraktować jak obiekty testowe.

– Ktoś puka do okna. – Lily wskazała palcem na szybę. Odbijało się od niej światło lamp i niczego nie zobaczyliśmy. Dziewczynka podeszła do parapetu, po czym cofnęła się z cichym piskiem. – Jakiś stwór!

– Błagam cię, Lily, tylko nie zioń ogniem. – Podbiegłem do okna. – Pani Revas puści nas z torbami.

W pierwszej chwili niczego nie dostrzegłem. W oddali świeciły latarnie gazowe, dorożka spokojnie czekała na nas przy klombie. Po chwili faktycznie coś półprzezroczystego zamigotało w nocnym powietrzu, a następnie znów rozległo się upiorne metodyczne stukanie. Zmrużyłem oczy, koncentrując się na magicznym widzeniu. Nic. Chyba że... Trzeba niezwykle silnej magii Creo, żeby zastosować tak nieprzenikliwą iluzję...

Odblokowałem okno.

– To tylko gawrony obsiadły parapet – powiedziałem. – Przewietrzę trochę. Gonimy już w piątkę od tego zaduchu.

– Vince... – Amandine zniżyła głos. – Gawrony po zachodzie słońca?

– Ciii... Zgaś lampki, kochanie. Żeby komary nie naleciały.

Zgodnie z moim domysłem, mniej więcej minutę później w salonie znalazła się Kathryn. Niemal natychmiast spłynęła z niej iluzja niewidzialności. Włosy miała w nieładzie, szatę pogniecioną, a policzki zapuchnięte od płaczu. Domyśliłem się, że poszło jej źle. Zasłoniłem okno – nie wiedziałem, czy wybrała taką metodę dotarcia do nas, bo się wstydziła, czy z innego powodu, ale wolałem się nie odzywać i nie rzucać w oczy. Z pewnymi wyjątkami Kathryn była znacznie lepszą czarodziejką ode mnie. Ale to ja dostałem dyplom.

Zacząłem szukać imbryka, w którym jeszcze została resztką herbaty. W pierwszej chwili wbrew zasadom pani Revas chciałem podgrzać ją zaklęciem, ale przyszło mi do głowy, że demonstrowanie magii może sprawić Kathryn przykrość. Kiedy tak stałem i deliberowałem, Liliana otuliła ją kocem, a moja narzeczona przyniosła wrzątek.

– Spartoliłam – wychlipała wreszcie Kat. – Miałam... w komisji hrabinę d’Opal... Co za jadowity babsztyl... Robiła takie niby-uwagi o mojej rodzinie, że dysentropia to jak nos d’Argent... że, rozumiecie, królewskie rody, chów wsobny... Nie dałam rady.

– Kiedyś ją spałę – odezwała się Lily cichutko, ale bardzo poważnie. – Obiecuję.

– Odwołaj się – oświadczyłem stanowczo. – Protokoły zostają w archiwum. Będiesz miała dowód. Nie wolno wpływać na uczniów podczas egzaminu. Do cholery, Weyland powinien załatwić papierologię podczas naszej nieobecności, Cięń Gildii jest nam to winien.

– Nie rozumiesz. – Kathryn pokręciła głową. – Spartoliłam. Energia w ogóle nie poszła we wzór, tylko jakoś tak idiotycznie. Zrobiłam ska... skaaażę w podłodze. – Pociągnęła nosem z rozpaczą.

Trochę mnie zmroziło.

– No chyba posprzątają? – zapytała niepewnie Amandine.

Zastanawiałem się, co powiedzieć. Trzeba się bardzo postarać, żeby przy rzucaniu zaklęcia wygenerować skażoną moc. Podczas całej praktyki słyszałem tylko o dwóch takich wypadkach – za każdym razem traktowano je z pełną powagą. Zapewne zerwą w całej sali okładzinę z *trivium*. Zarówno metal, jak i wszystkie przedmioty, które wchodziły z nim w kontakt, zostaną zutyliczowane z zachowaniem wszelkich wymogów bezpieczeństwa. Pozostawały jeszcze konsekwencje wobec sprawcy...

– Hrabina wnioskuje o niezdolność do zawodu i za... zablokowanie Źródła.
– Kathryn otarła dłonią świeże łzy. – Powiedzieli, żebym się nie martwiła, ale muszą mnie zatrzymać do wyjaśnienia na parę dni, więc nawiałam. Przynajmniej w tym jestem dobra...

„I tym samym pogorszyła swoją sytuację” – pomyślałem ponuro.

Składając wniosek o zablokowanie Źródła, hrabina chciała jej tylko bezinteresownie dokopać. Sąd Gildii nie zatwierdziłby kary, którą rezerwowano dla prawdziwych renegatów, użytkowników skażonej mocy i kryminalistów. Kathryn dostałaby grzywnę, czasowy zakaz rzucania zaklęć, jakiś kurs reedukacyjny i wizytę u psychoanalityka. Ucieczka dodatkowo ją obciążała i zapewne bardzo ucieszyła Oliwię d’Opal, która robiła, co mogła, żeby przed zbliżającymi się wyborami zatruć życie Belinde Chamomille. Mogłem się założyć, że jutro rano brukowce będą miały używanie.

Delikatnie wręczyłem Kathryn strój podróży.

– Jesteś warta więcej niż dziesięć hrabin d’Opal – powiedziałem. – Za parę dekad zostaniesz najpotężniejszą czarodziejką Creo po obydwu stronach świata, a to krówsko robi sobie z ciebie wroga. I przy okazji ze mnie.

– Ze mnie już sobie zrobiła – dodała spokojnie Lily.

Amandine uśmiechnęła się krzywo.

– Wiecie, doceniam waszą zbiorową potęgę, ale chodźmy już. – Położyła dłoń na ramieniu Kathryn. – Weyland czeka. Niedługo znajdziemy się bardzo daleko od arboriańskich problemów...

– Pewnie postawili na nogi całą ochronę uczelni. – Kat zadrzała. – Sprowadzili żandarmerię... Sądziś, że mistrzowie Gildii nie potrafią mnie wytropić? Wzięłam ich z zaskoczenia, ale teraz...

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Kathryn zarzuciła na siebie koc i wturlawszy się pod stół, zaczęła mamrotać formułę Kamuflażu Moro. Widząc gwałtowną reakcję Kat, Lily schowała się za plecakiem. Amandine założyła ręce na piersi i uniosła brew. Gdyby rzeczywiście na podwórze weszli magowie Gildii lub żandarmi, zgodnie z prawem musieliby się zaanonsować pani Revas, której na pewno nie spodobałaby się inwazja na jej włości. Słyszelibyśmy jej przenikliwy głos od kilku dobrych minut.

Zerknąłem przez wizjer i zobaczyłem ciemną szyję oraz czerwony kołnierzyk z ozdobnym haftem. Mimo wszystko trochę mi ulżyło.

– Spokojnie, Kat. Mam wrażenie, że to sam Arcymag postanowił cię zatrzymać. – Odblokowałem zamek, po czym stanąłem twarzą w twarz, a raczej twarzą w klatkę piersiową z nieco wkurzonym Andreasem Weylandem. – Przepraszamy za opóźnienie. Proszę dać nam chwilę na toaletę.

– Ma się rozumieć – mruknął i bez pytania poczęstował się herbatą. – Tylko postarajcie się niczego więcej nie zdemolować.

* * *

Weyland przeprowadził nas opłotkami, chociaż wbrew obawom Kathryn na terenie uczelni panowały cisza i spokój. Ostatni egzaminowani uczniowie opuścili budynek Gildii Magów i tylko gdzieś jeszcze paliły się światła w oknach pracowni. Kat rozglądała się nerwowo, wciąż blada i wstrząśnięta, oczekując nieuchronnego aresztu. Miała dwadzieścia jeden lat, naturę dobrej uczennicy i furę kompleksów; do tej pory jej największym wykroczeniem w życiu było upojenie się w miejscu publicznym z okazji Nowego Roku. Jej dzisiejszy egzamin przebiegał wedle scenariusza rodem z najgorszych koszmarów. Widziała się teraz w roli poszukiwanej przestępczyni, podczas gdy ja nie miałem wątpliwości, że mistrzowie Gildii zobaczyli młodą, znerwicowaną dziewczynę, której udało się spektakularnie popsuć zakłęcie. Spokojnie czekali, aż ochłonie i będzie można ją przesłuchać w normalnym trybie. Przecież nigdzie nie zniknie, prawda?

Naprawdę miałem nadzieję, że Weyland to wszystko wyprostuje. Tym bardziej że niepowodzenie Kathryn niosło jeszcze jeden skutek. Otóż wszystkie drogocenne magiczne dzieła, które zabieraliśmy ze sobą, oficjalnie szły na moje konto, czyli na konto półaktywnego maga z kategorią A1, nadal związanego kontraktem z Margueritte de Breville. Dlaczego Arcymag po prostu nie wypisał papierów na nasze mistrzynie? Widocznie w wewnętrznych kręgach Gildii pojawiły się już spekulacje dotyczące ich nieobecności.

Podejrzywałem, że nie znamy nawet połowy tła politycznego całej tej historii. Czemu – jak sugerował Weyland – nie wszyscy wierzyli w teorię trwającego wciąż Rozdarcia? Przecież dane mówiły same za siebie. Dlaczego Cień Gildii musiał prowadzić badania w ukryciu? Kto jeszcze należał do tej organizacji? Kto wiedział? Pytania napływały same, ale starałem się tych spraw zanadto nie roztrząsać. Jak powiedziała Amandine, wkrótce mieliśmy się znaleźć z dala od problemów Arborii.

Na dnie mojego plecaka, w sąsiedztwie protokołów, monografii i notatek przekazanych nam przez Arcymaga, leżała walizka ze składanym domem. I chociaż sam musiałbym poświęcić tygodnie, a może i miesiące, żeby to wszystko mniej więcej ułożyć sobie w głowie, i nie domyślałem się nawet, na czym polegał oryginalny plan powstrzymania Rozdarcia, wybieraliśmy się na poszukiwanie specjalistki. Byłem dobrej myśli, nawet jeżeli nasz środek transportu pochodził sprzed tysiący lat i stawał trudne do zrozumienia warunki.

Wreszcie ponownie znaleźliśmy się w szarej komnacie. Staliśmy przed grubo ciosaną pradawną rzeźbą Wyroczni. Na posadzce widniał krąg z brązu, okalający wyrytą w podłodze gwiazdę. Ubrani w identyczne proste, wełniane płaszcze z kapturem i wyposażeni w plecaki wyglądaliśmy, jakbyśmy się urwali z obozu skautowskiego.

Może z wyjątkiem Amandine, która zaciskała dłonie na wyższej od niej prototypowej automagicznej lasce. Przedmiot wykonano z lekkiego czarnego tworzywa – domyślałem się, że z włókna węglowego, eksperymentalnego materiału, o którym do tej pory wyłącznie czytałem. Zamknięto w niej kilka różnych ofensywnych i defensywnych zaklęć, toteż od nasady aż po czubek była pokryta złotymi runami, wymalowanymi bardzo trwałą farbą. Na odpowiedniej wysokości dodano też przesuwany uchwyt zrobiony z korka i zaopatrzony w tasiemkę. I mógł jej używać każdy, komu udzielono licencji. Nawet jeśli nie potrafił stosować najprostszych uroków.

W dłoniach posągu bezustannie migotało słabe bladezielone światło.

Wiedziałem, że nic się nie stanie, dopóki nie zdejmie pieczęci z kręgu. Mogłem bezpiecznie skontaktować się z Wyrocznią, zanim zdecydujemy się na przejście. Sięgnąłem więc mocą w stronę figury...

...i nic. Czekaliśmy minutę. Dwie. Przygotowałem się na rozmowę z kapryśnym konstruktem, na awanturę, jaką zamierzała jej zrobić Amandine, ale nie spodziewałem się, że w ogóle nie nawiąże z nami kontaktu.

Po chwili światło zapulsowało jaśniej. I znów przygasło. Czy Wyroczni zbrakło mocy na rozmowę? A może oszczędzała ją na podróż?

– Dobrze – powiedziałem. – Tego nie przewidzieliśmy.

– Co się dzieje? – spytała Amandine, która nie widziała magii i tylko się domyślała, co właśnie zrobiłem. – Zepsuło się?

– Kończy się jej akumulator czy coś. Już ostatnim razem miała problemy z utrzymaniem wizji – odezwała się Kathryn, nagle znów przytomna i skupiona. –

Może zdjęć jedną czy dwie pieczętujące runy? Nie zdoła otworzyć przejścia, ale trochę obniżymy energetyczny próg kontaktu.

– Jeśli brakuje jej energii, to może trochę jej przekażecie? – zasugerowała moja narzeczona.

Popatrzyliśmy po sobie.

– Na odległość... Przez Pustkę... – Rozłożyłem ręce.

– Mogłoby zadziałać – mruknął Weyland. – Przy większej wprawie i doświadczeniu, kto wie... Ale i tak trzeba by opracować rytuał przesyłający, ustalić wszystkie parametry. Tego się nie da załatwić prostym zaklęciem.

Amandine skinęła głową. Weszliśmy w krąg ostrożnie, jak do zimnej wody. Potem Kathryn schyliła się i dając nam znak, rzuciła Zaklęcie Rozplatania i odbezpieczyła pierwszą runę.

Światło znów zamigotało, ale tym razem dodatkowo rozległ się jednostajny, przerywany cichymi trzaskami szum. Nagle Liliana zgięła się wpół, zatykając uszy. Amandine położyła dłonie na jej ramionach i spojrzała na mnie z niepokojem. Dźwięk był nieprzyjemny, ale nie aż tak. Podobno dzieci mają wrażliwy słuch...

Kathryn odbezpieczyła drugą runę.

Trzaski ucichły i z szumu wyłoniły się ledwo słyszalne słowa, dla mnie niemożliwe do odcyfrowania. Liliana odsłoniła uszy i zmarszczyła nos.

– Brzmi trochę jak saksoński – powiedziała niepewnie. – Ale dziwny. W kółko powtarza jedno zdanie. Niczego nie mogę zrozumieć...

Trzecia Wyrocznia, być może przez oszczędność mocy, przerzuciła się na język swoich twórców. Zastanawiałem się, jak starożytny musi być ten dialekt. Jeszcze przed zawiązaniem Triumwiratu powszechnie mówiono po starobretońsku.

– Zdjąć trzecią? – zapytała Kat napiętym głosem. – Po trzeciej rozpadlina zacznie się otwierać.

Weyland bez słowa zbliżył się do kręgu, wymamrotał nad nim kilka słów. Otoczyła nas pozłocista bariera, chroniąca przed mocą Pustki. Kat zamarła nad trzecią runą, zerkając na nas w oczekiwaniu na pozwolenie.

– Lily, wyjdź – poprosiła Amandine. – Nie przepuszczę temu konstruktowi, w cokolwiek z nami pogrywa. Nie zabiera się dzieci na tak niebezpieczne wyprawy. Zachowujemy się gorzej niż twoja praprababka. Wyrocznia zapragnęła ciebie dopiero wtedy, gdy cię wyczuła. Tylko Vince jest dla niej niezbędny, reszta to miły dodatek.

– Ona nie jest moją... – zaczęła Liliana i machnęła ręką. – No dobra. Dobra, już sobie idę.

I dziewczynka odwróciła się w stronę Arcymaga. Ale zamiast grzecznie opuścić krąg, zanim ktokolwiek z nas zdołał się zorientować, zionęła ogniem w ołowianą runę po swojej lewej stronie. Było to najlepsze, najgorętsze kontrolowane zionięcie w wykonaniu Lily i poszło w świat z pełnym zaangażowaniem, jakby od tego zależało jej życie. Runa zwyczajnie się roztopiła. Uwolniona moc huknęła jak petarda.

A dla mnie znów zatrzymał się czas. Podświadomie wszedłem w tryb magicznego widzenia. Niemal fizycznie czułem, jak skażenie w kręgu wzrasta, a cząsteczki energii Pustki przesiakają przez kruszącą się barierę. Wychwytywałem je instynktownie, rozdzielając na jeszcze mniejsze drobiny i porządkując w moim własnym Źródle, które działało równocześnie jak piec hutniczy i warstwa filtrów.

Skażenie rosło, a ja przekształcałem energię w osłony. Z początku cienkie jak błona na skrzydłach ważki, stopniowo nawarstwiały się jedna na drugą, pozostając wobec siebie w nieustannym ruchu. Nie miałem pojęcia, skąd wiem, jak to robić, ale instynkt mówił mi, że postępuję właściwie, jakby odpowiednie

matematyczne parametry wdrukowano w mój mózg jeszcze przed urodzeniem. Dzięki wzorom, które Weyland poprzedniego dnia mi wpoił, pamiętałem, aby ochrona objęła nas wszystkich.

Kiedy nałożyłem dziewiątą osłonę, jakby coś w nich przeskoczyło. Zaczęły obracać się jeszcze szybciej, niezależnie od moich wysiłków. Moc Pustki już do nas nie docierała, ale mechanizm, który stworzyłem, sam rozplatał skażoną energię i zasilał się nią, odrzucając nadmiar w postaci światła. I w samą porę, bo przez obrzeża kręgu zaczynały już przesiąkać wielobarwne niczym pióra szpaka oleiste nitki energii, dość gęste, aby dostrzegło je oko nieutalentowanego.

Nawet nie zarejestrowałem momentu, kiedy nas wessało.

Unosiliśmy się w nieprzejrzystej, bezpostaciowej chmurze energii, otoczeni bańką wirujących, samonapędzających się osłon. Zadrzałem, nagle świadomy, że warunki na zewnątrz roztopiłyby nasze ciała razem z kośćmi w ciągu kilku niesłychanie bolesnych minut. Otworzyłem usta, żeby zażartować i nieco rozluźnić atmosferę, i wtedy zorientowałem się, że wszyscy pozostali leżą bez przytomności na dnie ochronnej kuli. Sięgnąłem mocą do Amandine. Żadnego skażenia, żadnych uszkodzeń ciała, wszystko w porządku. Wydawało się, że śpi. Potrząsnąłem jej ramieniem; zamamrotała i obróciła się na drugi bok.

Krajobraz na zewnątrz gwałtownie się zmienił. Widziałem w życiu kilka rozpadlin – nieodmiennie wyglądały jak dziury w rzeczywistości, wypełnione pochłaniającym światło dymem – dlatego zawsze wyobrażałem sobie Pustkę jako pierwotny chaos spaczoney, bezkształtnej, lecz pełnej potencjału magii, która z niewiadomych powodów wyrzuca czasem do nas pustkostwory.

Tymczasem nasza bańka błyskawicznie się przemieszczała, stopniowo opuszczając mętną chmurę czerni. A poza nią znajdował się inny, całkowicie obcy świat.

Przede wszystkim unosiły się w nim góry. Ogromne latające góry, wyspy i liczne głazy, dużo mniejsze, lecz nadal gigantyczne w porównaniu z naszą bańką. Większość miała rudoczerwony kolor jałowej ziemi, niektóre chyba składały się z węgla, zauważyłem nawet kilka zielonkawych.

Domyślałem się już, skąd się biorą pustkostwory. Gdy nasza kula z zawrotną prędkością mknęła przez przestrzeń, minęliśmy wężopodobną istotę, większą chyba od kilku smoków, o granatowoczarnej skórze i podwójnych skrzydłach. Z jednej z gór w oddali wystawały pęczki ruszających się macek, przywodzących na myśl gargantuiczny ukwiał. Po innej latającej wyspie skakało stado... czegoś. Żywych stożków z nóżkami? Chyba polowały na inne stworzenia, które wyglądały jak czerwone kolczaste kulki wyposażone w jedną, ale za to wielopalczystą kończynę. Obrazy zmieniały się błyskawicznie; w pewnym momencie odwróciłem wzrok. Mój umysł odmawiał dalszej interpretacji tego, co widziały oczy. Jedno było pewne: Pustka wcale nie wyglądała na pustą.

Nie poruszaliśmy się w jednostajnym tempie. Kilkukrotnie krajobraz przeskoczył, jakby ktoś nagle bardzo mocno ścisnął przestrzeń. Nawet nie

poczułem przyspieszenia, po prostu znaleźliśmy się gdzie indziej. Zrobiło mi się słabo; wszyscy wiedzą, że teleportacja istot żywych jest niemożliwa, a jej próby zawsze kończą się fatalnie dla teleportowanego.

Teraz lecieliśmy nad suchym oceanem falującej niebieskozielonej trawy; pewnie lepiej opisałby to jakiś poeta, ja się nim nie czuję. Gdyby nie osłony, mogłoby się wydawać, że fruniemy nad nieznanym kontynentem, używając zakłęcia Lotu Drużynowego. Daleko w dole widziałem poruszające się obiekty, małe jak przecinki; w podobnym szyku stado dzikich koni przemierzałoby step. Podejrzewałem, że z bliska te stworzenia nie wyglądały wcale jak konie albo w ogóle dowolne znane mi zwierzę, ale zanim zdołałem się lepiej przyjrzeć, znów nas przerzuciło.

Zbliżaliśmy się z niesamowitej wysokości do krawędzi kontynentu zawiniętego do środka niczym rogal. Albo jak wygryzione ciastko, bo jego brzegi były wyszarpane, jakby coś się tam kiedyś urwało. Od góry otaczała go delikatnie opalizująca kopuła; całość przypominała dziecinną zabawkę, kieszonkowy świat pod szkłem. Kształt i barwy kontynentu, wszechobecna zieleń, niebieskie wstęgi rzek i prostokątne obszary, które robiły wrażenie pól widzianych z lotu ptaka – wszystko to wyglądało bardzo znajomo. Jak wielka mapa Utraconej Bretanii.

Zdążyłem się jeszcze zastanowić nad tym, co słyszałem poprzednio od Weylanda: że Bretania oddala się od Arborii, ale nie jest jeszcze od niej całkowicie oddzielona. Dla mnie one wyglądały na dalekie od siebie. Ale z drugiej strony w Pustce przestrzeń chyba działała inaczej, o czym świadczyła nasza skokowa, rwana podróż. Optycznie wydawało mi się, że przemieszczamy się cały czas w jednym kierunku, ale sądząc po lekkich mdłościach i zawrotach głowy, już kilkakrotnie zmieniliśmy kąt lotu. I kiedy próbowałem sobie to wszystko przemyśleć i z grubsza odtworzyć trasę, bańka zanurkowała. Ziemia zaczęła przybliżać się tak gwałtownie, że niewiele brakowało, abym zemdlał. Zamknąłem oczy i powstrzymałem wracającą zawartość żołądka. Instynkt ostrzegwał mnie, że muszę zachować przytomność; od tego zależało nasze życie.

Bez trudu przeniknęliśmy kopułę. Wchłonęła nasze osłony i nagle zorientowałem się, że już nic nas nie chroni. Dookoła nie wyczuwałem jednak żadnego skażenia; znajdowaliśmy się na terenie Bretanii. Serce podeszło mi do gardła. Moje założenie, że podróżujemy w bańce, było od samego początku błędne. Przecież to ja zrobiłem bańkę, a Wyrocznia przeciągała nas bez żadnego związku z moim dziełem. Kiedy iluzja magicznego wehikułu znikła, uświadomiłem sobie prawdę: spadaliśmy na ziemię z bardzo dużej wysokości.

Wpadłem w panikę. Spróbowałem kilku zaklęć, które znałem lepiej lub gorzej, ale warunki nie sprzyjały koncentracji. Zepsułem po kolei Antygravitację, Pomniejszą Lewitację i Miękki Upadek, a także desperacką próbę rzucenia Lotu Drużynowego, który i tak był dla mnie za trudny. Zamiast dać się ujarzmić wzorem, energia uciekała ze mnie wszystkim porami skóry; prawdopodobnie cały jarzyłem się jak kometa.

Wreszcie zacisnąłem powieki, bezsilnie oczekując śmierci.

Nagle wokół zerwał się wiatr i usłyszałem zatykający uszy świst powietrza. Zorientowałem się, że dotychczas nie doświadczyłem żadnych skutków pobytu na zawrotnej wysokości: nie zamarłem, nie zacząłem się dusić. Może cała podróż była iluzją lub snem, może nasze ciała na czas transportu utraciły materialność, a może po prostu Wyrocznia jednak nas chroniła. Coraz wolniej opadaliśmy ku ziemi, aż wreszcie poczułem ją pod stopami. Uklęknąłem. Oparłem się dłońmi o chłodną, śliską trawę.

I dopiero wtedy z całkowitym spokojem straciłem przytomność.

* * *

– Vince! Vince!

Kto mnie woła? Czyżby szefowa? Przecież wziąłem wolne. Dajcie ludziom pospać, na litość Wędrowca. Przez jeden dzień dom się beze mnie nie zawali...

– Vince, proszę cię, obudź się.

Nie, ten głos nie należał do Margueritte. Mówiła do mnie Amandine, moja własna narzeczona. Leżałem gdzieś, chyba nie w łóżku. Było twardo, zimno, w dodatku ostry kształt – może kamyk – uwierał w łopatkę...

Poczułem opuszki drobnych, delikatnych palców na twarzy, toteż chwilowo przestałem się zastanawiać nad swoim – dosłownie – położeniem i czekałem na rozwój sytuacji. Niestety, zamiast kontynuować pieszczoty, Amandine podniosła mi powieki i z bardzo zatroskaną miną zajrzała w oczy. Chciałem powiedzieć, żeby się nie wygłupiała, tylko mnie pocałowała, ale z moich ust wydobył się tylko niezrozumiały bełkot.

– No cóż, widać postęp – usłyszałem w oddali Kathryn.

– Kat, jak możesz...

– Spokojnie. Nie kontaktuje dopiero od paru minut – powiedziała czarodziejka beztrasko. Docierało do mnie powolne cykanie wykrywacza skażenia. Najwidoczniej Kat już zdążyła ocenić sytuację. – Naprawdę bywało gorzej. Nic dziwnego, że po takim wyczynie stracił przytomność, daj mu chwilę na dojście do siebie.

– Ale to trwało tylko mgnienie oka... Nawet nie wiem, kiedy się przenieśliśmy.

– Mgnienie oka w zupełności wystarczy. Podróżowaliśmy przez czystą Pustkę! Gdyby nas na ułamek sekundy wrzucono do wulkanu albo kotła ze stężonym kwasem, zagrożenie byłoby porównywalne...

Udało mi się poruszyć. Chciałem się włączyć w rozmowę i uświadomić moim towarzyszkom, że w rzeczywistości minęło sporo czasu; to one spały przez całą drogę. Na razie jednak język nadal odmawiał mi posłuszeństwa, próbowałem więc uruchomić chociaż ręce i nogi. Powoli usiadłem, podtrzymywany przez zaniepokojoną Amandine, i obmacałem się mentalnie. Czułem się zeszywniały jak po skrajnie wyczerpującym wysiłku fizycznym i głębokim śnie, który zwykle

zdarza się niedługo później, ale poza tym byłem całkiem na chodzie. Pospałbym sobie, ale nie tutaj, nie na wilgotnej trawie. Gdzieś z tyłu głowy kołatała się potrzeba suchego koca, gorącej herbaty oraz wielkiej jajecznicy z boczkiem i ciemnym chlebem.

Rozejrzałem się wkoło. Wysoko nad nami widniało nocne, rozświetlone gwiazdami niebo. Znajdowaliśmy się w ruinach obszernej, okrągłej piwnicy, która wieki temu należała zapewne do wieży strażniczej. Wokół nas pięły się ściany z białego kamienia, gęsto porośnięte bluszczem i mchem. Tu i ówdzie ocalały resztki zbutwiałych schodów, a w miejscu, w którym wylądowaliśmy, wciąż stało kilka na wpół ukruszonych ścianek.

– Mam nadzieję – zachrypiałem i odkaslnąłem – że w Bretanii nie wyginęli karczmarze.

Amandine uściskała mnie z radości. Odwzajemniłem uścisk i pocałowałem ją ochoczo, spotykając się z równie entuzjastyczną odpowiedzią. Całus przedłużył nam się troszeczkę i może wyszłoby z tego coś więcej, ale niestety, nie byliśmy sami.

– Khem, khem – zakasłała demonstracyjnie Kat. – Panie magu, potrzebujemy twojego światłego przewodnictwa i pomocy. Innymi słowy, Vince, kiedy poczujesz się na siłach, rzuć okiem na bagaże. Coś się tam chyba mocno popsulo, chciałabym, żebyś też zerknął...

– A gdzie Lily?

– Poszła na stronę. Spokojnie, zbadałyśmy najpierw okolicę. Lily!

– Jestem! – dobiegł do nas cienki głosik zza ścianki. – Panie Thorpe, ja strasznie przepraszam...

– Naprzedzałaś się już! – odrzyknęła Kathryn. – Wszystko powtórzę Vincentowi. Zrób, co masz zrobić, i szybko wracaj.

– O co chodzi...?

– Okazuje się, że nasza ścichapkę uczennica myśli na własny rachunek – mruknęła Kathryn. – Słuchała naszych rozmów bardzo uważnie i wyszło jej, że Weyland może mieć kłopoty przez tę wyprawę, a nawet stracić stanowisko Arcymaga. A że hrabina d'Opal w ostatnich wyborach Rady była druga...

Westchnąłem.

– Lily stwierdziła, że druga strona świata to odległość w sam raz, żeby uciec od intryg babuni?

– Mam wrażenie, że awansowaliśmy na jedynych dorosłych, którym ufa.

– Ze szczególnym naciskiem na Kathryn – wtrąciła z przekąsem Amandine.

Kat przez chwilę wstrzymywała oddech, usiłując zamaskować drżenie głosu.

– No tak. Też sobie wybrała wzór do naśladowania...

– Nic dziwnego, macie wspólnego wroga – rzuciłem szybko, nie chcąc dopuścić do seansu umartwiania się. – Pokażcie mi te bagaże. Zaraz się ruszę...

Toboły leżały w beładnej kupce pod niskim murkiem i było ich co najmniej dwa razy więcej, niż powinno. Od razu zauważyłem, że jeden z plecaków – należący do Amandine – się rozpruł, a ze środka wydobyto wszystko, co znajdowało się w sakwie podprzestrzennej – przemoczone od rosy ubrania, osobiste drobiazgi. Ogarnęły mnie złe przecucia; zacząłem skrupulatnie przeglądać nasze bagaże. Po krótkiej inspekcji wiedziałem już, że naszą wyprawę właśnie dotknęła pierwsza nieprzewidziana katastrofa.

– Wszystkie? – zapytałem Kat.

– Działają tylko twoja i Liliany. Te, które miały najmniejszą pojemność. Sakwa Amandine wywinęła się na zewnątrz, a moja nie może się otworzyć.

– A pozostałe przedmioty magiczne?

– Większość spakowałam do sakwy. – Kathryn rozłożyła ręce. – Moja kula magiczna jest w środku! Myślałam, że spróbuję skontaktować się z Meg... Ale detektor działa, bransoletka ochronna też. Z magiczną laską wszystko w porządku. Szlag trafił tylko magię przestrzenną. No, nie całą.

Z niepokojem sięgnąłem do mojego plecaka po składany dom Margueritte. Na dnie piwnicy nie wystarczyło miejsca, żeby go rozłożyć, mogłem jednak użyć prostego uroku, który sprawdzał działanie run. Szybko odkryłem, że cała magia, jaka znajdowała się w tym przedmiocie, wyparowała; miałem do czynienia ze zwykłą walizką.

A wewnątrz znajdowały się wszystkie notatki Meg.

Nie zaskoczyło mnie, że dokładnie to samo przydarzyło się Rydwanowi. Wizja podniebnej przejażdżki starożytnym królewskim wehikułem zniknęła. W obecnej chwili pozostawał nam tylko napęd nożny.

– Musimy się przepakować – stwierdziłem. – Mogę jeszcze upchnąć u siebie kilka sukien, ale trzeba będzie dokonać selekcji. Wywalę... – przełknąłem – wywalę zielniki...

– Zostaw najpotrzebniejsze. – Amandine położyła mi dłoń na ramieniu. – Rozumiem, że będziemy podróżować pieszo. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale znajomość roślin leczniczych może się przydać.

– Kathryn! Panie Thorpe! – zawołała tymczasem Liliana. Wyłoniła się zza murku i powoli szła w naszą stronę, taszcząc bliżej nieokreślony przedmiot. – Chyba znalazłam coś magicznego!

Przekonany, że znalezisko wypadło z naszych bagaży, bez większego entuzjazmu wziąłem od niej kolejny toboł, który należało gdzieś upchnąć. I zamurowało mnie. Wystarczyła sekunda, aby stwierdzić, że nie zabraliśmy ze sobą niczego podobnego.

Trzymałem skrzynkę z mahoniem, wyposażoną w okucia z czarnej stali i rączkę obitą zamszem konserwowanym magią, na bokach ozdobioną mosiężnymi runami stylizowanymi na odręczne pismo. Gdyby opłukać ją z błota, w którym zapewne tkwiła od wielu lat, wyglądałaby bardzo elegancko. Ważyła jakies

cztery, pięć kilo. Przez kilka minut wodziłem palcami po runach. Doskonale wiedziałem, do czego służą. Robiło mi się na przemian zimno i gorąco.

– Vince. – Moja narzeczona spojrzała mi przez ramię. – Weyland nam tego nie dawał?

– Nie, nie dawał – odparłem zduszonym głosem. – Dziękuję, Lily. Dzięki tobie dowiedzieliśmy się właśnie czegoś ważnego o miejscu, w którym się znaleźliśmy. Domyślcie się pewnie, co to jest?

– Ja tak. – Kathryn wpatrywała się w skrzynkę jak sroka w gnat. – Ale powiedz.

– To składany dom. Wczesny model Arte Benare, sprzed mniej więcej trzystu lat; można poznać po stopniu miniaturyzacji. Wyprodukowany w Avalonie – westchnąłem. – Łatwo zgadnąć, do kogo należał. Właściwie to całkiem logiczne. Wylądowaliśmy dokładnie tam, gdzie Lucjusz Szalony.

* * *

Dokładniejsze badania walizki Lucjusza napełniły mnie optymizmem. Otóż w przeciwieństwie do naszego składanego domu i rydwanu, przedmiot nadal był przepełniony magią, a runy wydawały się prawidłowo reagować na uroki testujące. Trudno sobie wyobrazić, żeby czarodziej – nawet nazywany Szalonym – porzucił całkowicie sprawne magiczne dzieło. Zakłócenie magii przestrzeni, wywołane podróżą przez Pustkę, musiało być zatem tymczasowe.

Przynajmniej tak brzmiała najbardziej optymistyczna interpretacja naszego znaleziska. Bo istniały inne, na przykład że coś mojego szanownego kuzyna zeżarło, ale wolałem o tym nie myśleć.

Jedno było pewne: nie chciałem tego cudeńka zostawiać, zresztą liczyłem, że z pomocą Kathryn uda nam się złamać hasło. Oznaczało to pięć nadprogramowych kilogramów bagażu, nie licząc nawet dodatkowych tobołów, które niosłem ze względu na Amandine. Planowaliśmy, że w pierwszej ludzkiej osadzie kupimy zwierzę juczne oraz mapę. Mieliśmy ze sobą złoto, tytoń i wódkę; przynajmniej jedna z tych uniwersalnych walut na pewno zachowała wartość w Utraconej Bretanii.

Zanim zaszyłem rozdarcie w plecaku Amandine i skończyliśmy się przepakowywać, zapadła głęboka noc. Owinięci w koce i ciepło ubrani, bo ze względu na składany dom nikt nie wziął śpiworów, bez ogniska, bo nie mieliśmy go z czego zrobić (Kathryn mogłaby wylecieć na zewnątrz i poszukać opału, ale postanowiliśmy nie rozdzielać się w środku nocy w obcym świecie), jakoś dotrwaliliśmy do rana.

Obudziły mnie chłód i głośnie krakanie gawronów. Stado ptaków obsiadło krawędź muru wysoko nad nami; pewnie zdążyły już nas sobie obejrzeć, bo nieszczęśliwie się przejmowały naszą obecnością. Na bladym wiosennym niebie dostrzegłem tylko dwie postrzępione chmury. Po chwili zdałem sobie sprawę z pewnego drobiazgu, który drażnił mnie, odkąd otworzyłem oczy. W świetle

dziennym wszystkie barwy zdawały się lekko przesunięte w stronę żółci, jakbym patrzył przez filtr. Czy to dlatego, że promienie słońca docierały do Utraconej Bretanii przez Pustkę? Nie zastanawiałem się nad tym wcześniej.

Przemarznięci i wymięci, przekąsiliśmy to i owo, a następnie zebraliśmy się do podróży. Żadne z nas nie potrafiło rzucić Lotu Drużynowego, a nawet akrobata nie wspiąłby się na górę po śliskich, zbutwiałych resztkach krętych schodów, toteż należało zrobić to inaczej. Kathryn pierwsza wyfrunęła na zewnątrz i zamaszystym gestem zrzuciła plecak. Gawrony wzbiły się w powietrze, przeraźliwie kracząc. Po chwili Kat pochylała się nad murkiem, chyba coś do nas wołając.

– Powtórz, co powiedziałaś! Nic nie usłyszeliśmy przez te ptaki!

– Mówię, że droga wolna! – krzyknęła czarodziejka. – Widzę łąki! I krowę widzę! To prawie jak człowiek!

– Zaczekaj no chwilę – wymamrotałem. – Muszę się skupić.

Piętnaście minut później znudzona Kathryn wyniosła z wieży Lilianę, Amandine i wszystkie plecaki. Wreszcie dałem za wygraną, zmniejszyłem swój ciężar Nieznaczną Antygravitacją i też dałem się przetransportować. Czułem się zawstydzony. Znałem zakłęcie lotu, potrafiłem policzyć wszystkie parametry nawet wyrwany ze snu w środku nocy, tylko w praktyce jakoś mi nie szło.

Przed nami na łagodnych zboczach pagórka rozciągały się łąki porośnięte krzewami tarniny, po horyzont obsypane złotymi koronami mniszków, różową koniczyną i chabrami. Rzeczywiście w oddali pasła się krowa – półdzikie, żylaste stworzenie o ciemnoczerwonym umaszczeniu, przywiązane do palika na bardzo długim sznurku. Daleko za pagórkiem wzbijał się w niebo ciemny dym.

Margueritte i Belinde

Raport terenowy
30 Avril 753 AG

Fakty: Zdobyłam mapę. Jeśli dobrze podano skalę, nigdy nie oceniliśmy prawidłowo strat z okresu Rozdarcia. Utracona Bretania zajmuje ziemie o powierzchni ponad połowy arboriańskiego kontynentu i w rzeczywistości składa się z kilkunastu sąsiadujących ze sobą państw. Królestwo Bretanii jest największym z nich. Obecnie znajdujemy się w Saint Jean d'Azure, pomniejszym księstwie w sojuszu z rebelią generał Theresy. Obozujemy pod murami Uzerche. Tutejszą populację szacuje się na ok. 4 tys. mieszkańców.

Wycofaliśmy się znad przełęczy. Nastroje w armii są minorowe. Baron de Chrysolite opuścił obozowisko razem ze swoim oddziałem. Aby dostać się do Bretanii, nie pokonując przełęczy, armia musi ominąć góry, co będzie nas kosztowało dodatkowe dwa lub trzy miesiące.

Stan zdrowia: zadowolający.
Jakoś się trzymam.

Spostrzeżenie dodatkowe: Wczoraj, dwie godziny po zmierzchu, widziano tzw. spadającą gwiazdę. Przypuszczalnie meteoryt, spłonął w atmosferze lub spadł na tereny Królestwa Bretanii. Żołnierze nie zdecydowali, czy to dobry, czy zły omen. Theresa nie komentuje zjawiska.

Meg...?

Margueritte, zatopiona w myślach, niecierpliwie odgoniła tłustą prążkowaną muchę. Owad uparcie brzęczał nad notatnikiem, zwabiony jasną barwą papieru albo bliżej niezidentyfikowaną lepką plamą na skrzynce służącej za stolik. Albo jej własnymi, wystrzyżonymi po lewej stronie głowy, splątanymi i przetłuszczonymi włosami. Brud, kurz i błoto powstawały spontanicznie tam, gdzie obozowała armia. Wystarczył jeden wieczór, żeby zmienić urokliwe pastwiska pod miastem w warstwę półpłynnego czarnoziemu.

– Margueritte, przyniosłam prześcieradła.

Czarodziejka oparła dłonie na skrzynce i spróbowała wstać. Nie wyszło. Kolana miała miękkie jak galareta. Jakimś cudem przeniosła się z siennika na zydeł, ale na więcej brakowało jej siły. Zakłęła.

– Siedź spokojnie. – Belinde odłożyła stos świeżego płótna na drugi zydeł. – Potrzebujesz na stronę? Nie było żadnych awarii?

Margueritte rzuciła przyjaciółce chmurne spojrzenie.

– Gdyby były – oznajmiła z godnością – już byś o tym wiedziała. Myślę, że mi przeszło. Na pewno nie została w moim ciele ani kropla eliksiru, a objawów Piętna nie odczuwam. Najwyższa pora zająć się pracą.

– Dopiero dzisiaj stanęłaś na nogi. Nie przemęczaj się.

– Nie spodziewałam się, że to świństwo tak piorunująco działa na osoby z nieaktywnym Źródłem. – Meg skrzywiła się, zwijając notatnik w rulon. – Nigdy więcej.

– Zanosi się na dłuższy popas. Zdążysz dojść do siebie. – Belle postawiła na skrzynce dzbanek i kubek. – Zaparzyłam mięty.

– Dzięki – westchnęła czarodziejka. – Za wszystko.

– Cała przykrość po mojej stronie – odparła Belinde. – Jeśli cię to pocieszy, wszystkie skażone odpady zostały przykładowo złożone w beczce i zakopane. Oficjalnie twój namiot traci status izolatki. Zaraz dostaniesz nowy siennik, miękkie koce, prawdziwy stolik, aprowizację, nawet kałamarz i pióro...

– Ooo. Co to? Święto Lasu?

– Zorganizowałam to i owo z miasta.

Meg potarła skronie. Ledwo pamiętała ostatnie dni. Widziała wtedy jak przez mgłę i z trudem rozróżniała rzeczywistość od wytworów maligny. Jeden z takich obrazów powrócił teraz do niej w całej okazałości.

– Zdawało mi się, że wchodził tutaj Arthur ze szklaną kulą zamiast oka... – powiedziała niepewnie.

– A! – roześmiała się Belinde. – Przywidziało ci się. To nie kula, tylko soczewka. Skubaniec załatwił sobie monokl. Wyobraź sobie, że w Uzerche jest szklarz, podobno w ogóle sławna osobistość. Wyemigrował z Bretanii kilka lat temu.

Soczewka. No tak. Margueritte podrapała się we wchłaniającą się powoli bliznę na szyi. Z jakiegoś powodu ta informacja była ważna. Dłuższą chwilę Meg usiłowała zmusić umysł do czynnej współpracy, ale myśli uciekały jak przez sito. Poczowała jednak, że pomimo znużenia, przegłodzenia i lekkiej gorączki rusza koło zamachowe potężnej, wyspecjalizowanej maszyny, jaką był jej intelekt. Ożywiła się trochę, mimo woli wyprostowała na zydelku. Cóż, jeśli to ważne, prędzej czy później sobie przypomni.

– Muszę porozmawiać z Theresą – mruknęła. – Chcę wiedzieć wszystko o Zakonie Cierpliwego Wędrowca i ich praktykach nekromanckich. Gdzie ona to widziała? Kiedy? Kim była w Nouveaux Dijon?

– Kapitanem gwardii pałacowej. – Belinde obejrzała się w stronę wejścia do namiotu. Dwóch przyszczytanych chłopaków, odzianych w poszarzałe lniane tuniki, zrzuciło siennik i koce na płótno pełniące w namiocie funkcję podłogi. – Uważajcie! Przecież to jest czyste.

– Już nie – wtrąciła Meg, popatrując krzywo na tragarzy. Wycofali się w panice, jakby zagroziła im bronią. – A tym co się stało?

– Odnoszę wrażenie, że zyskałaś pewną reputację.

– Nie mam pojęcia, jak to się dzieje. – Czarodziejka wzruszyła ramionami. – Jeszcze nie zrobiłam nic spektakularnego. Czekaj. Skąd kapitan gwardii wie, jak wygląda arboriańska bielizna? W ogóle kobieta, nie-szlachcic, w tym gnieździe ciemnowiecznego zacofania?

– Wybitna jednostka. – Belinde rozłożyła ręce. – Zdarzają się, jak widać. Nie interesowała mnie szczególnie historia życia naszej przywódczyni. Właściwie może powinna, bo Theresa osobiście zna Trzecią Wyrocznię, a przynajmniej tak twierdzi. Chociaż w sumie twierdzi również, że została wybrana przez Wędrowca, żeby wyzwolić kraj...

Margueritte skrzyżowała ramiona na piersi. Znów zakręciło ją w brzuchu. Nieprzyjemne wrażenie narastało, gdy wspominała widok pola bitwy, a raczej rzezi, na przełęczy.

Ożywione trupy. Setki ciał poruszanych za pomocą imitującej życie, mutagennej mocy Pustki. Najwyraźniej w Bretanii dokonano pewnego odkrycia, niezależnie od arboriańskich eksperymentów, które kilkaset lat temu skończyły się tragedią i utonięciem trzech przygranicznych miast w gigantycznej rozpadlinie. Otóż z energii Pustki można było korzystać bez aktywnego talentu Maga Pustki, a nawet bez aktywnego Źródła w ogóle. Tylko pod jednym warunkiem: należało świadomie rozwinąć Piętno – w stopniu, który po kilku latach prowadził do bolesnej śmierci.

W zwykłych warunkach jeden na tysiąc dotkniętych Piętnem zdobywał możliwość korzystania ze skażonej energii. Nie miało to nic wspólnego z prawidłowym przetwarzaniem. Pobrana moc zachowywała śmiertelność właściwości i tak samo oddziaływała na wszystko wokół. Użytkownik zyskiwał ograniczoną odporność na jej skutki. Jego ciało gromadziło i emitowało skażenie, podobnie jak ciała pustkostworów. Rzecz jasna, prędzej czy później tkanki gniły i ostatecznie rozpadały się pod wpływem mocy.

Kilku czarodziejów renegatów opracowało w Arborii rytuały, które pozwalały zwiększyć częstość pojawiania się wyżej wymienionego skutku Piętna. Twierdzili, o ironio, że próbują przywrócić światu Magów Pustki.

Ignoranci, idioci. Historyczny błąd, który nie miał prawa się powtórzyć.

Ale oczywiście od czasu do czasu się powtarzał.

Napiętnowani nie używali Pustki tak jak zwykłej mocy. Nie kształtowali jej w zakłęcia. Wystarczył wysiłek woli. Rytuał, który ożywił trupy, był w gruncie rzeczy bardzo prosty, a o jego powodzeniu decydowało prawidłowe alchemiczne przygotowanie ciała. Zupełnie jakby skażona energia w pewnej mierze dysponowała własną świadomością. Śmiertelna potęga, która nie wymaga wrodzonych predyspozycji, długotrwałej nauki, kosztownych licencji, przestrzegania zasad. Niektórzy na to szli, nawet kosztem skrócenia życia. A w świecie, w którym zabrakło prawdziwej magii...

Jaki los czeka kraj pod władzą całego zakonu napiętnowanych kapłanów? Ile skażenia zdołali rozprzestrzenić mnisi w brunatnych habitach? Rozpadliny nie pojawiały się tak łatwo z dala od Granicy, ale przynajmniej kilka już musiało się otworzyć. Co oznaczało, że Rozdarcie stopniowo przyspiesza...

„Ciekawe, ile nam zostało czasu? – zastanawiała się Meg. – Czy jest jeszcze co zbierać? Czy żyjemy w ostatnich dniach rozpadającego się świata, tylko jeszcze nie zdajemy sobie z tego sprawy?”

– Nie przegrzej sobie mózgowicy – rzuciła Belinde, która tymczasem zmieniła siennik, owinęła go świeżymi prześcieradłami i niespostrzeżenie podmieniła skrzynkę na lekko sfatygowany sosnowy stół. – No, przecież widzę, że coś mielisz. Chcesz mieć coś? Zwiadowcy Płomienia złapali przy odwrocie kilka umarłaków. Na prośbę Arthura...

– Coś takiego. – Margueritte zamrugła. – Ten człowiek myśli.

– Z jakiegoś powodu został doradcą generała. Zakuliśmy je w kajdany i pilnowaliśmy na zmianę, Arthur i ja. Pod osłoną przeciwskażeniową, ma się rozumieć. Wypróbowano na nich chyba wszystkie rodzaje broni, jakie udało się znaleźć.

– Są łatwopalne – mruknęła Margueritte.

– Skąd wiesz?

– Poznałam teorię przy okazji współpracy z wywiadem. Dawne dzieje. Ale mów.

– Tak jak twierdzisz, są łatwopalne. Nasączone roztworami rozpuszczalników. Podpalone, szybko się dezaktywują i padają na ziemię. Z tym że temperatura musi być wysoka. Jeśli trafisz takiego płonącego strzałą, zafajczy się tylko z wierzchu i będzie biegał jak nieumarła pochodnia. Trzeba by wylewać płynny ołów, a na to nie ma szans. Potrzebujemy materiałów wybuchowych. Ognia alchemicznego. Rozpisałam wszystkie receptury, jakie znam, i przekazałam miejskim aptekarzom. Niech się bawią...

– I słusznie. Kilka eksplozji w pracowni jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło. Nie wspominając nawet o tym, że właśnie wywołałaś małą rewolucję technologiczną. – Meg wsadziła palce we włosy. – Belle, istnieje jakaś szansa, żeby to umyć i uczesać?

Belinde spojrzała na nią z lekką wyższością.

– Nie znasz uroku ułatwiającego rozczesywanie włosów? Przy twoich warunkach? Dobrze, dobrze, nic już nie mów. Zaraz ci pomogę, wyjmij tylko wszystkie spinki. Proszę, oto lusterko...

Margueritte wzięła do ręki małe zwierciadło Belinde. Kolejny arboriański drobiazg, który Arthur uznał za stosowne im zwrócić. Świetlny zajaczek błysnął jej w oczy. Zobaczyła włosy wystrzyżone za lewym uchem, podkrążone oczy, różową, błyszczącą skórę w miejscu, gdzie, wspomagane eliksirem, zagoiło się oparzenie, jednak prawie nie zwróciła uwagi na swój opłakany wygląd. Potężna, wyspecjalizowana maszyna – jej umysł – właśnie przetworzyła dane i wyrzuciła wynik. Przełącz. Światło prosto w oczy. Lusterko. Szkło. Płonące umarlaki.

Trybiki zaskoczyły. Informacje złożyły się w kompletny obraz. Przed oczami Margueritte rozwijały się ciągi wzorów i obracały trójwymiarowe bryły. Kąt padania światła na przełączny był odpowiedni, pogoda również. O tej porze roku nie zdarzały się dłuższe opady deszczu, wystarczyło poczekać na odpowiedni moment. Wszystko się zgadzało.

Olśnienie trwało może ułamek sekundy. Bryły rozproszyły się, wzory zbladły. Meg zaczynała dostrzegać słabe punkty nowej koncepcji, pomiary, które należy wykonać, kolejne kroki w protokole. Trzeba wszystko zapisać, przeliczyć, opracować.

– Soczewki pierścieniowe – powiedziała z namysłem. – Krystaliczne szkło poprawione urokami wzmacniającymi jakością materiału. Stelaż trzeba jakoś wwieźć, przetransportować, armaty też się chyba jakoś wwozi?

– Hmm. Skądś znam te objawy. Proszę, obiecałam kałamarz i pióro. – Belinde podsunęła jej przybory do pisania. – Nie zapomnij o mięcie. I wytłumacz mi zarys pomysłu, kiedy tylko wszystko zapiszesz.

* * *

Margueritte gorączkowo szkicowała w notesie. Dobrze było znowu zabrać się do pracy. Dłonie i ramiona nadal miała ciężkie, brzuch obolały, gdzieś z tyłu głowy dokuczała jej nieprzyjemna, dotkliwa pustka po przygaszonym Źródle,

której nie mogły zapełnić starannie wymedytowane okruchy mocy. Brakowało jej potęgi, niewyczerpanej wytrzymałości czarodzieja, wpływów i pieniędzy, a nawet czarnej legendy, jaka ciągnęła się za nią w Arborii. W świecie, w którym nadal panowały Wieki Smutku, ze wszystkimi tego konsekwencjami, czuła się bezbronna.

Z każdą kreską położoną na papierze pozbywała się tego uczucia. Bo tak właściwie kim była? Świetnie wykształconą czarodziejką? Niewątpliwie. Szpiegiem Cienia Gildii? Nie da się zaprzeczyć. Czy to wszystko ją określało? Poniekąd. Ale przecież Margueritte była Margueritte, zanim jeszcze obrosła w piórka, radziła sobie bez nich, równie dobrze mogła więc teraz sobie poradzić, zwłaszcza mając dwustuletnie doświadczenie.

I właśnie to doświadczenie przychodziło jej teraz z pomocą. Podczas współpracy z wojskiem Meg miała okazję brać udział w kilku projektach badawczych. W jednym z nich próbowano przetworzyć energię słoneczną w jednostki mocy magicznej. Teraz wszyscy wiedzieli, że pomysł był karkołomny, podobnie jak przetwarzanie węgla kamiennego, ale według teorii magii sprzed stu lat to się mogło udać. Eksperymentalny akumulator zaopatrzone w odpowiednio zbiegające się lusterka z runami. Do prawidłowego działania potrzebował – a przynajmniej tak uważano – silnej wiązki światła. A tę mogły zapewnić tylko soczewki, w miarę możliwości lekkie i skuteczne.

Margueritte pociągnęła mięty prosto z dzbanka i przez chwilę trzymała płyn w ustach. Przeliczyła w myślach konieczne wymiary ramek, grubość szkła i jego właściwości optyczne. Dla kogoś, kto różniczkował w pamięci, nie były to trudne obliczenia. Skupiła się na rysunku. Soczewki pierścieniowe różniły się od zwykłych. Dzięki koncentrycznym przewężeniom zachowywały tę samą zdolność skupiania światła co dużo cięższa tradycyjna soczewka. Z daleka robiły wrażenie prawie całkowicie płaskich i wyglądały trochę jak gruba szyba z wyrzeźbionymi pośrodku kręgami. Soczewka umieszczona w ramce metr na metr smażyła steki i topiła szkło. Kilka podobnych zabawek, możliwie dużych – i już można podpalać umarlaki, jeśli tylko będą się grzecznie ustawiać w kolejce. Na przykład w przewężeniu na przełęczy.

Meg nigdy nie wyrzucała raz zapisanych danych, a w podręcznej kuli przetrzymywała kopie wielu starych protokołów. Podobnie jak dokumenty na własnym biurku, układała teczki w kuli według prostej, intuicyjnej metody, która tylko dla postronnych wyglądała jak kompletny bałagan. Bez trudu dotarła do właściwych obliczeń. Należało tylko wszystko przeskalować. I wziąć poprawkę na zacofaną technologię wytapiania szkła, w czym powinna pomóc Belinde ze swoimi rzemieślniczymi urokami.

Nie miała pojęcia, czy i jak przekona do swojej idei Theresę von Feuerstein. Na wszelki wypadek pokładała nadzieję w dyplomatycznych zdolnościach Belle.

Odłożyła ołówek i naskrobała jeszcze komentarz piórkiem, delikatnie, bo nie chciało jej się osuszać go bibułą. Przesunęła notatnik w stronę Belinde i westchnęła. Jej dłoń trafiła na stojącą obok ciepłą miskę.

– Kleik?

– Jeśli chcesz, żeby coś ci zostało w środku, to na razie musi być kleik. – Belinde zaczęła przeglądać notatki Meg.

– Kleik – wymamrotała Meg z niechęcią, ale sięgnęła po łyżkę i powoli zaczęła chleptać rozgotowaną owsianą breję. Wbrew jej obawom potrawa całkiem dobrze gościła się w żołądku.

Belinde mruczała coś do siebie, przerzucając kolejne kartki.

– Ładne... ładne... ale dziurawe... same dziury widzę. Skąd wiesz, że złapiemy odpowiednio dużo światła?

– A, to akurat proste. – Margueritte smakowała kleik na języku jak najlepszy kawior. – Wystarczy rozpocząć atak w południe. Światło pada wtedy pod odpowiednim kątem. Wszystko policzyłam na przełęcz. No, nie patrz tak na mnie, chciało mi się rzygać, mało nie zleciałam z konia, trzeba było się jakoś zmusić do myślenia.

– Można to potwierdzić, ekstrapolując na podstawie map. – Belle w zamyśleniu skubnęła niesforny kosmyk włosów. – Się przeliczy. A jak zapewnisz dobrą pogodę? Nie mamy w różdkach niczego takiego.

– Nie, ale znam dwa niezłe uroki meteorologiczne. – Czarodziejka odłożyła łyżkę. Zjadła niewiele, a mimo to czuła, że w jej żołądku nie zmieści się nic więcej. Postanowiła odczekać. – Powyżej trzech dni naprzód robią się trochę ryzykowne, ale zasięg jest wystarczający. Poza tym jeśli tutejszy klimat przypomina analogiczne rejony Arborii, o tej porze roku nie grozi nam gwałtowne oberwanie chmury.

– Czas konstrukcji. Technologia. – Belle dźgnęła przyjaciółkę palcem w ramię. – Potrzebujesz co najmniej czterech takich, żeby obstawić szlak. A i wtedy nie obędzie się bez dodatkowych środków. Myślę o materiałach wybuchowych. I kto tego będzie bronił? Bo ja na miejscu przeciwnika wysłałabym wszystkie ksenowurmy i trolle, jakie mam.

– Wszystkich trolli nie może. Zabraknie mu psów pasterskich do umarłaków. A co do reszty – Meg westchnęła – obawiam się, że to my musimy bronić soczewek. Pójdą na to wszystkie różdżki, ale damy radę. No i nawet gdyby nie zadziałało, odciągniemy najgorsze paskudztwa. Teraz pytanie, czy to w ogóle jest wykonalne technologicznie... – Belle skrzyżowała ramiona na piersi.

– Kiedy tylko poczujesz się lepiej, wezmę cię na przechadzkę po obozie. Musisz kogoś poznać.

* * *

Ze względu na kwarantannę namiot Margueritte umieszczono pod strażą na obrzeżach obozu. Aby dotrzeć do jego głównej części, czarodziejki musiały nieco się przespacerować. Meg szybko dostrzegła, że wrażenie chaosu, jakie odniosła podczas pierwszego kontaktu z armią Płomienia, było pozorne. Tabor obrósł co

prawda w drugie tyle nieoficjalnych przydatków, ciągnęli za nim chłopcy na posyłki, praczki, drobni handlarze, sprzedajne kobiety i wszelkiej proveniencji kanalie, ale w samym rdzeniu funkcjonował bardzo sprawnie.

Nikt nie wymyślił uniformów dla cywilnej części armii, jednak dało się rozpoznać główne warsztaty, pracujące na rzecz ogólnie pojętego dowództwa i arystokracji; były większe, bogatsze i trochę czystsze niż pozostałe rozrzucone po obozie. Nad polowymi kuźniami unosiły się kłęby dymu. Z rzeźni, postawionej nieco na uboczu, niosły się przeraźliwe zwierzęce kwiki. Przed warsztatem szewskim siedziało trzech czeladników w fartuchach, pochylonych nad robotą, podczas gdy mistrz, gestykując żywo, targował się o coś z oficerem pikinierów. Przy wozach z zaopatrzeniem, ustawionych w równych rządkach, przechadzali się znudzeni strażnicy. Była to najlepiej zorganizowana część przenośnego miasta i należało ją chronić przed asymilacją z barwną hałastrą ciągnącą z armią. Zwłaszcza że część tej hałastry bardzo chętnie przywłaszczyłaby sobie to i owo z załadunku.

Przed namiotami głównego kwatermistrzostwa panowały ruch i gwar. Z miasta przyjechał kupiec z mąką, grochem oraz innymi wiktuałami; wielkie płócienne worki wyładowywano właśnie z wozów i rozdzielano między poszczególnych oficerów, a ściślej mówiąc, ich tragarzy. Meg dostrzegła kilku takich, którzy w oczekiwaniu na swoją kolej darli na spółkę wielki bochen świeżego chleba, zapewne otrzymany w charakterze premii. Od Belinde dowiedziała się, że zaprowiantowanie trwało już drugi dzień, a handlowano zarówno tutaj, jak i w innych punktach obozu; wozy należące do kompanii i regimentów wchłaniały każdą ilość żywności jak gąbka wodę. Dookoła kręciło się pełno chłopaków na posyłki. Belle wcisnęła jednemu z nich drobną monetę i zapytała o coś; ten szybko skinął głową i pobiegł w stronę namiotu.

– Masz pieniądze. – Meg uniosła brwi. – Skąd masz pieniądze?

– To taki brzydki nawyk, moja droga – odparła skromnie Belinde. – Kiedy już raz zaczniesz mieć pieniądze, trudno się pozbyć tej przypadłości.

– Belle...

– Po tym, jak zaryzykowałyśmy życie, aby ocalić caluteńką armię pani generał, i kiedy okazało się, że dzięki naszym bransoletkom mogę wspólnie z Arthurem opracować broń przeciwko umarłakom, pieniądze się znalazły – wyjaśniła czarodziejka. – Mamy do dyspozycji konkretne środki. Oczywiście teraz oczekuje się od nas wyników.

Margueritte palnęła się otwartą dłonią w czoło.

– Oczywiście. Trafiaś do armii wyjętej żywcem z Wieków Smutku i postarałaś się o grant na badania. Gratuluję. Zachodzę w głowę i przypomnieć sobie nie mogę, dlaczego jeszcze cię nie zwerbowałam. A, już pamiętam. Weyland uważał, że pochłoniesz zbyt wiele zasobów – westchnęła. – Trochę mnie martwi fakt, że w razie fiaska nie uratujemy się publikacją z wyników negatywnych.

Chłopak na posyłki wrócił po kilku minutach. Lawirując między skrzyniami, beczkami, workami i kłębiącą się wokół ludzką ciżbą, czarodziejki dotarły do przestronnego namiotu. Wnętrze pachniało trocinami. Przy stolikach między ściankami ustawionymi ze skrzynek pracowali pochyleni nad książkami skrybowie; ludzie cały czas krążyli między namiotem a dziedzińcem, nawoływano się, noszono książki i towary. Margueritte trochę się zadumała nad wzorcową jak na tak zacofany kraj organizacją. Żaden z arystokratów tego nie wymyślił, to musiała być robota von Feuerstein. Kim była ta kobieta, zanim została narzędziem pomsty w rękach Wędrowca?

– Madame Chamomille – odezwał się przyjemny, melodyjny męski głos. – Jakkolwiek każda pani wizyta rozpromienia mój dzień, pani zamówienie jeszcze do mnie nie dotarło.

Czarodziejka ocknęła się, zerknęła w stronę przyjaciółki i na chwilę zamarła w bezruchu, intensywnie mrugając. Do tej pory zdołała już sobie wyrobić zdanie, że przeciętny oficer w armii Płomienia składa się z blizn, czyraków, brody oraz warstw ochronnych w postaci brudu i starej skórni, a podczas bitwy – wyświechtanej zbroi. Nieco zaskoczył ją widok mężczyzny w atlasowym kaftanie z plisowanymi rękawami, pludrach barwy dojrzałej pomarańczy i kapeluszu ozdobionym farbowanymi piórami. Na widok Margueritte kapelusz szarmanckim gestem poszedł w ruch. Na Pustkę, ten człowiek nosił perukę!

– Meg, to jest pan drugi intendent Pierre Blanchet. Monsieur Blanchet, przedstawiam panu Margueritte de Breville de Branche d’Ambre.

Bystre, błękitne jak u dziecka oczy starały się przejrzeć duszę Margueritte na wylot. Z kim innym pewnie by się to udało, ale Czarna Meg była specjalistką od świdrujących spojrzeń i niewiele mogło ją poruszyć. Uśmiechnęła się leciutko.

– Madame... – Pan Blanchet się skłonił. – Wiele o pani słyszałem, ale żadne słowa nie są w stanie opisać tego widoku. Znakomita stylizacja.

– Bardzo mi miło, panie Blanchet. Zaraz... – Meg odruchowo pomacała lewą stronę głowy, po czym zmarszczyła brwi i podejrzliwie ściągnęła usta. – Proszę nie żartować.

– Niczego złośliwego nie miałem na myśli – zmiętywał się intendent. – To prawda, że fryzura madame uległa pewnemu... naruszeniu w ogniu wojny, jeśli można się tak wyrazić, ale włosy odrastają, a ich oryginalny wygląd jest godzien naśladowania. Pozwoli pani, że zrobię kilka szkiców?

Margueritte uniosła brwi.

– Nie jest pan zwykłym najemnikiem, prawda?

– Najzwyklejszym, madame. Upuszczałem krwi bardzo hojnie, dopóki nie awansowałem. Pod względem liczby zaszlachtowanych przeciwników mogę konkurować z kawalerem de Rubis – odparł pan Blanchet. – Ale w życiu istnieją przecież inne przyjemności.

Meg zmrużyła oczy. Nie, wbrew pozorom ten mężczyzna nie był fircykiem. Warstwa pudru lekko tylko maskowała głęboką bliznę biegnącą w poprzek nosa.

Mocno zarysowana szczęka, cienkie usta i lekko zapadnięte policzki zdradzały człowieka, który nie spędził młodości na piernatach. W dodatku żaden makijaż nie mógł ukryć pewnej szczególnej twardości w oczach, śladów zubożenia i chłodu. Margueritte widywała takie spojrzenia u ludzi, którzy przeżyli trzęsienie ziemi w Marron albo masakrę w Loranne. Albo przez wiele lat żyli z ledwo zaleczonym Piętnem. I nie pogrążyli się w rozpacz – tylko dlatego, że coś w nich pękło.

– Szanowny oficerze – odezwała się tymczasem Belinde. – Nie wymagam od pana cudów. Zdaję sobie sprawę z tego, że na niektóre komponenty należy poczekać. Chciałabym jednak dodać do listy kilka przedmiotów.

Wręczyła Blanchetowi gęsto zapisaną kartkę.

– Cuda, proszę pani, zamawia się u mnie z odpowiednim wyprzedzeniem – mruknął intendent, wczytując się w notatkę. Najwidoczniej, chociaż Belinde używała starobretońskiej ortografii i składni, przetłumaczenie listy nie sprawiało mu trudności. – Rzeczy niemożliwe wykonuję w krótszym terminie. Lady Chamomille, niektóre z tych drobiazgów są warte swojej wagi w złocie. Szklarz słono sobie liczy za robotę. Nie znam się na alchemii ani czarnoksięstwie, ale może powinna pani omówić zakupy z dowódcą...

– Ciekawe. – Margueritte uniosła brwi. – Sądziłam, że miejscy rzemieślnicy pracują dla nas pod przymusem.

– Z całym szacunkiem, lady de Breville, ale zmuszać można ciury do kopania rowów. Miecz wiszący nad karkiem słabo się sprawdza w przypadku mistrzów rzemiosła. Dostajesz dokładnie to, za co płacisz.

– Ależ w zupełności się z panem zgadzam – wtrąciła Belinde z uśmiechem słodkim jak landrynka. – Zatem proszę mi dostarczyć drobiazgi warte swojej wagi w złocie, i to w możliwie krótkim terminie. Pochodnia Wyzwolenia przekona się, że potrafimy dokonywać cudów.

Nastąpiła dłuższa dyskusja, podczas której intendent i Belinde omawiali każdy punkt na liście z osobna. Dopiero po godzinie czarodziejki wyszły z namiotu. Margueritte, wyczerpana pierwszym spacerem po kilkudniowej chorobie, wsparła się na przyjaciółce.

– Dasz radę wrócić czy wezwać lektykę?

– Sama pójdę. Chwilę tylko odsapnę. Zmęczyłam się, obydwójce dużo gadacie – poskarżyła się gderliwie Meg.

– Meg, to nie była rozmowa, tylko pojedynek. Wygrany zresztą.

– Domyśliłam się. – Czarodziejka rozejrzała się za jakąś porzuconą skrzynią i przysiadła na niej z lekkim sapnięciem. – Martwi mnie czas. Armie zazwyczaj nie stoją zbyt długo w jednym miejscu. Ciekawe, co Płomień planuje...

– Zaraz będziemy miały okazję sprawdzić – mruknęła Belinde. Margueritte uniosła wzrok i zobaczyła, że przyjaciółka rozprostowuje zwitek papieru. Chłopak, który go dostarczył, odbiegł. – Jak forma? Bo namiot dowództwa jest jeszcze kawałek drogi stąd.

– Ach! – Meg machnęła ręką. – Weź tę lektykę.

* * *

Generał Theresa von Feuerstein pochylała się nad długim, owalnym stołem, zawalonym dokumentami i mapami. Największą z nich rozwieszono na wysokim stojaku w centralnej części namiotu. Została starannie odmalowana na płótnie, z zachowaniem skali, w stylu zbliżonym bardziej do współczesnej arboriańskiej sztuki kartografii niż map z Wieków Smutku. Margueritte przypomniała sobie po raz kolejny, że Bretania również zmieniała się przez te wszystkie lata – nawet jeśli technologicznie stała w miejscu, przecież nie zamrożono jej w czasie.

Theresa zapewne nie opuszczała namiotu od dobrych kilku godzin – na stole jeszcze stała kamionkowa miska z niedojedzonym gulaszem i połówką płaskiego chlebka zanurzonego w zimnym już sosie. Generał miała podkrążone oczy i lekko zapadnięte policzki, a na bledszej niż zwykle skórze wyraźnie odznaczały się blizny.

– Lady Chamomille. Lady de Breville. – Von Feuerstein podniosła głowę znad papierzyk. – Cieszę się, że widzę panią w lepszym zdrowiu. Proszę podejść.

Czarodziejki zbliżyły się do stołu. Meg dostrzegła ołówki i stępione pióra porozrzucane między dokumentami. Z dala od papierów stała lampa oliwna; obok niej na kawałku płótna ktoś położył nadtopioną laskę laku.

– Nie miałam jeszcze okazji pani podziękować – rzekła von Feuerstein.

– Staram się, jak mogę, pani generał.

– Dobrze. Przejdźmy do sedna sprawy. – Theresa odsunęła papiery i usiadła przy stole, wskazując, aby czarodziejki zrobiły to samo. – Pani przyjaciółka pracuje z Arthurem nad metodami wytopienia żywych trupów. Co do pani, nie umknęło mojej uwadze, że bardzo dużo pani wie o stworach z Zaświatów. Czy pani wiedza pochodzi z ksiąg, czy z pola bitwy?

– Jedno i drugie, proszę pani. Specjalizuję się w historii Wojny Rozdarcia, toteż sporo wiem o naturze Pustki. – Margueritte naumyślnie pominęła eufemizm.

– Przeczytałam niejeden traktat, ustrzeliłam niejednego trolla. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, mam także pewne pojęcie o mocy kapłanów i o tym, skąd się biorą.

– Odniosłam wrażenie, że wiedza, o której pani mówi, nawet w Arborii jest zakazana.

– Licencjonowana – poprawiła ją Margueritte. – Otrzymałam wysoki poziom dostępu. Gildia pokłada we mnie zaufanie.

– Powiadają, że gdy długo patrzysz w Otchłań... – Generał zawiesiła głos.

– ...zmierzysz ją, opiszesz i wydasz pożyteczną monografię – dokończyła gładko Meg. – Wiedza jest neutralna. Dopiero jej zastosowanie może doprowadzić do złych lub dobrych skutków.

– Kapłani całego świata nie zgodziliby się z panią.

– Na szczęście nie jestem kapłanką. – Meg rozłożyła ręce. – Interesują mnie fakty.

– Zatem doskonale się rozumiemy. Co tak naprawdę chcieliście we dwie osiągnąć na bretańskiej ziemi?

Belinde odniosła wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu spadła nagle o dwadzieścia stopni. Margueritte niczego nie zauważyła.

– Ocalić świat przed drugim Rozdarcie – wypaliła nieco zaciętrzewiona.

Wyraz twarzy generał momentalnie się zmienił. Jakby usłyszała hasło przeznaczone tylko dla niej. Dłuższą chwilę wpatrywała się w czarodziejkę.

– Brzmi znajomo – mruknęła wreszcie. – Rozumiem. To znaczy, że w Arborii też nie ma już Wielkich Magów.

„Skąd wyciągnęła taki wniosek? – zastanawiała się Meg. – Czyżby rozmawiała z Trzecią Wyrocznią, dostała od niej jakieś wskazówki?”

– Szkolimy kandydata – powiedziała – ale niestety, to nic pewnego. Zna pani osobiście Trzecią Wyrocznię, prawda?

– Znam. – Von Feuerstein spochmurniała. – Strzegłam jej bezpieczeństwa. Jak się okazało, jej więzienia. Obydwie wątpicie, że wykonuję wolę Wędrowca. Nie ma potrzeby zaprzeczać, dowiedziałam się o was niejednego. Ale ja nie mydlę oczu nieświadomym. Miałam wizję, dostałam zadanie, którego nie jestem godna. Mój postępek liczyłby się w poczet najgorszych zbrodni, gdyby nie to, że Philippe Verlain dawno stracił łaskę Wędrowca. Nie powiedzie mi się – pochłoną mnie Zaświaty. Powiedzie się – i tak do końca historii będę tą, która podniosła rękę na ostatniego z de Branche d’Argent.

„A jednak trochę mydli nam oczy – pomyślała Meg. – W jej przemowach nie pojawia się wątek obalenia króla, tylko wyrwania go spod kontroli Arcydiakona.

Czy do tego stopnia nam ufa, że zwierza się z rzeczywistych planów? Nie, raczej sądzi, że jesteśmy w obozie osamotnione i w razie czego nikt nam nie uwierzy. A poza tym dobrze wie, że my, Arborianki, nie będziemy postrzegać jej zamiarów w kategorii świętokradztwa”.

Tymczasem generał zamilkła na dłuższą chwilę. Wreszcie westchnęła.

– Gdy opuszczałam zamek, takich kapłanów, którzy znali nieczystą magię, była ledwie garstka. A przynajmniej o tylu wiedziałam. Już wcześniej gromadzili dzieła sztuki magicznej i zatruli je mocą Zaświatów... ale teraz mamy pustkostwory i umarlaki... Po przejściu gór mogą na nas czekać inne niespodzianki. Dopóki moi ludzie nie przeczeszą okolicy, nie zbadają pozostałych przełęczy, a potrwa to parę tygodni, nie ruszamy dalej. Lady de Breville, potrzebuję pani wiedzy. Zdaję sobie sprawę, że jej udzielenie może oznaczać złamanie przez panią przysięgi cechowej, ale skoro pani gildia pragnie zapobiec drugiemu Rozdarcie, mamy wspólne cele. Proszę mi powiedzieć, do czego oni są zdolni.

Margueritte zaczęła opowiadać. Theresa chłonęła jej słowa z siłą skupienia lepszą niż soczewki pierścieniowe, od czasu do czasu zadając dodatkowe pytania, które świadczyły o głębokim zrozumieniu sprawy. W całym swoim dwustuletnim życiu Meg знаła tylko jedną osobę zdolną do tak intensywnej koncentracji – poprzednią Arcymaginię, Elysię Fairbanks de Branche de Lazurite. Właśnie ta cecha musiała przyciągnąć uwagę Wyroczeni, gdy von Feuerstein dopiero zapowiadała się na dowódcę.

– W centrum kraju, z dala od granic, wcale nie jest tak prosto utworzyć rozpadlinę – dokończyła Margueritte. – Skażeni magowie nie regenerują Źródła, a muszą skądś czerpać energię. Można określić granice ich możliwości, dowiadując się, gdzie znajdują się rejony będące dobrą pożywką. Da się to stwierdzić nawet bez licznika, pojawiają się istoty Pustki, a po dłuższym czasie anomalie we florze i faunie.

Generał skinęła głową.

– To ważna informacja. Wciąż jednak potrzebujemy sposobu na rozprawienie się ze stworami Pustki.

– W tym kluczowa będzie znajomość ich podgatunków – odparła Margueritte. – Każdy ma swoje mocne i słabe strony. Trzeba by przeszkolić zwiadowców, jak należy je opisywać. Ten podtyp trolla, który widzieliśmy, jest wrażliwy na ogień, podobnie jak umarlaki, jednak skórę ma twardą. Zresztą na te konkretne trolle całkiem skuteczną byłaby zwykła broń palna, ale nigdy nie specjalizowałam się w rusznikarstwie... ani kowalstwie... – Zerknęła w stronę Belinde. Ta lekko się uśmiechnęła.

– Cóż, ostatni raz wytwarzałam broń palną jakieś sto pięćdziesiąt lat temu, ale tego się nie zapomina, podobnie jak jazdy na bicyle. Pracuję zarówno nad recepturami alchemicznymi, jak i nad próbnymi odlewami rusznic – wyjaśniła. –

Rozmawialiśmy już o tym z panią generał. Potrafiłabym opracować proste rusznice z zamkiem skałkowym, wykorzystując tutejszą technologię. Nie jestem pewna, czy się przydadzą. Nie potrafię tak jak ty rozpoznać każdego pustkostwora po umaszczeniu i konfiguracji wyrostków. A jeżeli chodzi o ożywionych zmarłych, równie dobrze można by w nich strzelać pestkami wiśni.

– Miałam czas zastanowić się nad tym – mruknęła von Feuerstein. – Arboriańskie miniaturowe armaty całkowicie zmienią sposób prowadzenia wojen. I jeśli można, pani Chamomille, proszę także wyjaśnić, co to jest bicylek.

Vincent, Amandine, Kathryn i Lily
Utracona Bretania, 29 Avril 753 AG

S mród docierał do nas z daleka.

Był to szczególnie odór zaniedbanej wsi, gdzie więcej wyczuwało się śęczlizny i rozkładających się odpadków niż nawozu. Rowy, którymi zwykle odprowadza się ścieki, pachną tym gorzej, im więcej zwierząt hodowlanych gospodarze utrzymują. Dobrze utrzymana wieś cuchnie tylko punktowo – melioracja, kupy kompostowe, pole w trakcie nawożenia. Samo życie.

Kiedy cała wieś zaczyna brzydko pachnieć takim lekko nieokreślonym smrodkiem błota i odchodów zmieszanych z odorem zgniłej słomy i zbutwiałego drewna, to znaczy, że źle się tam dzieje. Taka aura unosiła się nad gospodarstwem, które mijalem w drodze do rodziców – mieszkał tam podstarzały rolnik z problemem alkoholowym, konsekwentnie odrzucający wszelkie formy pomocy. Ale tutaj odnotowałem coś jeszcze: delikatną, ledwo wyczuwalną nutę, od której włosy jeżyły się na karku.

– Vincencie? – Amandine zerknęła na mnie zatroskana.

– Zwolnijmy trochę – mruknąłem. – Nie podoba mi się to wszystko, ani trochę. Kathryn, włącz licznik. Mam złe przeczucia.

– I słusznie, tło jest wyraźnie podwyższone – poinformowała Kat. – Kilkanaście mikromerlinów. Na krótką metę nie zaszkodzi, ale sygnalizuje problemy. Poważnie potrafisz to wyłapać? Magicznym wzrokiem?

Pokręciłem głową.

– Może większą ilość. Takie tło bardziej przypomina zapach... albo cichy dźwięk. Skażenie w ogóle nie nadaje na tej samej fali co reszta magicznej energii. Ludzkie zmysły nie są pewne, jak je zinterpretować.

Z ostrożnością podążaliśmy naprzód. Zza pagórka wyłoniły się domy, a raczej lepianki, bo do niczego innego nie było to podobne. Powstały z gliny zmieszanej ze słomą i pokryto je strzechą – ale z wyjątkową niedbałością. Dobrze zrobiona, nasmołowana strzecha nieźle się sprawdza jako pokrycie dachu, nadal można obejrzeć takie chaty w mniej zaludnionych rejonach arboriańskiego kontynentu. Te chałupy zbudowano jednak najmniejszym wysiłkiem, jakby pod przymusem. Kontrastowały z pojedynczymi domami z czerwonej cegły i drewna, na których również gniła nieodnawiana od lat strzecha.

W obejściach panował nieprawdopodobny bajzel, na podwórkach leżały wielkie sterty gnijących śmieci, a zwierzęta – kościste psy, chude kozy i dzikie, wredne kury – brodziły w odchodach i błocie. Zobaczyliśmy też ludzi, zmęczone brudne istoty nieokreślonej płci i koloru skóry, owinięte w upaprane, połatane szmaty. Gdy przechodziliśmy, wpatrywali się w nas wrogo. Kilkoro dzieci niemrawo bawiło się w błocie nieopodal. Dwoje starszych nosiło podarte

koszulki, reszta mimo chłodu biegła nago. Miały puste, tępe oczy, a na skórze zgniłozielone liszaje oraz ciemne wyrostki i zmiany, które bez cienia wątpliwości oznaczały rozwinięte Piętno.

Zatrzymaliśmy się w milczeniu na placu przed studnią – starą, omszałą, ocembrowaną pięknym szarym piaskowcem. Obok na ziemi leżało na wprost przegnięte wiadro – przewrócone, bo nikomu nie chciało się porządnie nawinąć sznura. Amandine zacisnęła ręce na lasce, którą przezornie zawinęła w płócienny pokrowiec, Lily złapała się spódnicy Kathryn. Nawet ubrani w zwykłe płaszcze podróżne, nie demonstrowując nadmiaru magicznych przedmiotów, robiliśmy wrażenie przybyłych z innego świata.

– Doobra... – szepnęła Kathryn. – Tutaj raczej nie kupimy mapy. Drogowskazów ani gospody też nie widzę.

– Będziemy mieć szczęście, jeśli na nas nie napadną – mruknęła Amandine. – Po co brnęliśmy w tę patologię? Sugeruję dyskretne zakłęcie i w nogi...

– Czekajcie – odszepnąłem. – Tym sposobem niczego się nie dowiemy. Gdyby zrobiło się gorąco, na pewno damy radę uciec.

– Och, jasne. Ale nie opierasz tej pewności na własnych zakłęciach – prychnęła Kat.

Tymczasem mieszkańcy stopniowo odrywali się od swoich obowiązków – słowo trochę na wyrost, bo do tej pory większość z nich zalegała pod progami chat. Wokół nas z wolna formował się krąg wyniszczonych istot, w różnym wieku, o różnej budowie ciała, a mimo to dziwnie do siebie podobnych. Kilku miało w rękach widły, kije lub wystrzępione miotły; rozmawiali ze sobą w języku, który trochę przypominał starobretoński. W zaropiałych oczach błyszczało zainteresowanie.

Wreszcie tłum rozstał się i wykuśtykał z niego staruszek, na prawo i lewo rozdzielając pouczenia i kuksańce. Chudy, siwy i brodaty, podpierał się sęką laseczką. Miał chyba ze sto lat, łysinę z wielkim strupem na czubku i czarne pieńki zamiast zębów, ale wydawał się zdrowszy niż reszta. W ogóle im dłużej się przypatrywałem mieszkańcom wioski, tym wyraźniej widziałem, że nie byli w takim samym stopniu zdegenerowani, a starsi wyglądali na wolnych od najgorszych objawów Piętna.

Staruszek zmierzył nas hardym spojrzeniem.

– Cołko gadzina nom wzyli – odezwał się donośnie. – Ziarno wzyli, furmanka wzyli. Jedna krowa się na polu łostała, niy dom im tym gizdom, choby zdechnąć. Nic się niy łostało. Musi richtich tyn koniec idzie, co go ta gwiazda Wędrowca wskazała. My się niy boimy. Poszli won!

Ledwo się dało rozróżnić słowa, ale chyba wszyscy zrozumieliśmy – może oprócz Liliany, która jeszcze słabo znała starobretoński. (Amandine skończyła historię sztuki i posługiwała się nim całkiem niezle).

– Dobrodzieju – odezwała się moja narzeczona łagodnym tonem. – Nie szukamy zwady. Nie chcemy waszych bydłat. Przybyliśmy z daleka i zgubiliśmy

drogę. Chcemy dotrzeć do miasta. Myśleliśmy, że wynajmiemy tutaj wóz...

Staruszek spał się, słysząc te słowa.

– Oczywiście zapłacimy – dodała gładko Amandine, likwidując problem w zarodku.

– A co wyście za jedne? Niy od króla aby? W takich paradnych szatach jak od farorza? – Przyglądał się, jakby zobaczył nas po raz pierwszy. – Pokoźcie ino gymby.

Tym razem nie wszystko było jasne. Kto to, do licha, jest farorz? Zrozumiałem jedynie końcówkę wyводу staruszka, więc zrzuciłem kaptur. Dziewczyny zrobiły to samo. Efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

W tłumie podniósł się gwar. Kilka osób o słabszych nerwach zwyczajnie uciekło. Staruszek pobladł, zakaszał i przyłożył dłoń do piersi – przez chwilę się obawiałem, że zaraz trzeba będzie go reanimować.

Popatrzyłem po moich towarzyszkach. Wyglądały normalnie. Nic im na twarzach nie wyrosło, nawet Kathryn nie miała nowych pryszczycy. Przez chwilę myślałem, że chodzi o mnie, ale nie, wioskowy senior wytrzeszczał oczy na Kat, tak że mało mu z orbit nie wyszły.

– Jeronie! – wyszeptał wreszcie.

Kat zamrugwała.

– Vince, Amandine – powiedziała niepewnie. – Co jest? Wyglądam nienormalnie?

– Nic się nie stało. – Amandine ścisnęła ją za ramię. – Spokojnie. Ten pan ma jakiś problem.

– Wosy jak srebrny miesionczek na niebie. – Staruszkowi drzał głos. – I gymba szlachetno jak u jakiego ptaka drapieżnego. Wyglondo jak ta dziółszka z łobrozka u nos na farze.

Kathryn spiekła raka i zakryła twarz dłońmi.

– Godejcie ino, jak vos nazywają, dobro pani.

– Chce, żebyś mu się przedstawiła – mruknąłem.

– Widzę, ale o co mu chodzi?

– Nie mam pojęcia. Już cię uznał za szlachciankę, może to dobrze? Wyglądają jak wieśniacy z Wieków Smutku. Pewnie się słuchają szlachty. Chociaż z drugiej strony chcieli nas pogonić, bo uważali, że działamy z królewskiego rozkazu...

Młoda czarodziejka popatrzyła niepewnie na staruszka.

– Nazywam się Kathryn... – Przynajmniej częściowo zgadłem, o co chodzi – kilkadziesiąt osób wlepiło w nią oczy, a wszyscy chcieli usłyszeć dalszy ciąg. Kat przełknęła ślinę.

– Jestem Kathryn Verd de Branche d'Argent.

Zrobił się jeszcze większy harmider. Nie sądziłem, że tutejsi mieszkańcy są w ogóle zdolni do takiego poruszenia. Ludzie przekrzykiwali się nawzajem,

każdy coś wołał do Kat. Dzieci usiłowały się precyzyjnie między nogami dorosłych, żeby ją lepiej widzieć. Staruszek wpatrywał się w nią wzruszony, z szeroko otwartymi oczami. Wreszcie odwrócił się do swoich.

– Cicho ino! – huknął, uderzając kosturkiem o ziemię.

Wszyscy zamilkli. W ciszy, która zapadła, dało się słyszeć kaszel niemowlęcia. Starzec z impetem upadł na kolana, oparł dłonie na błotnistej ziemi i prawie wetknął w nią nos.

– Dobry Wędrowiec wejrzał się na nasze męki. – Nie widziałem jego twarzy, ale całym ciałem wstrząsał szloch. – To niy była gwiazda zwiastująca koniec. W ręce wasze się łoddajymy, królewno. Rób wele swyj woli.

* * *

Z pewnym wahaniem wpatrywałem się w miskę. Znajdowało się w niej coś w rodzaju gęstej zupy na grochu i polnych ziołach. Przede mną na desce leżały kawałki koziego sera, a w większej drewnianej misie między nami – płaskie, niemożliwie twarde chlebki. Posiłek wyglądał nawet dość świeżo.

Wcześniej naprędce odstawiono pod ścianę jakieś wiadro, a kilka zatłuszczonych garnków wylądowało na piecu. Stół, przy którym usiedliśmy, przykryto lnianą tkaniną, tu i ówdzie poprzecieraną, lecz stosunkowo czystą. Podejmował nas wójt, co oznaczało, że ugoszczono nas ze wszelkimi dostępnymi luksusami. Pochwyciłem nerwowe spojrzenie gospodyni – starszej, zasuszonej niewiasty z brzydkim naczyniakiem na policzku. Dała nam to, co miała najlepszego, ale przecież rzadko zapraszała do stołu potomkinię królewskiego rodu.

Musiałem się skupić, żeby wychwycić promieniowanie tła. Już dość długo przebywaliśmy w wiosce i zdążyłem się do niego przyzwyczaić – krótki pobyt nam nie zaszkodzi, ale nie miałem ochoty wchłaniać skażenia z pożywieniem. „Potrafię je przetwarzać” – upomniałem sam siebie. Już raz to zrobiłem, przy okazji podróży do Bretanii. Mógłbym powtórzyć ten wyczyn.

Ukradkiem sięgnąłem mocą w stronę miski. Właściwie nie musiałem tak się czaić. Nikt, włącznie z moimi towarzyszkami, nie miał pojęcia o moich zamiarach. Zajęło to kilkanaście dłużeń się w nieskończoność sekund, ale wreszcie udało mi się skupić na oleistych, bezpostaciowych smugach skażonej energii. Spróbowałem wciągnąć je do kanałów energetycznych, co okazało się zadziwiająco łatwe, jakbym wsysał nitkę makaronu. Moje Źródło ochocho przetrawiło nową dostawę i po chwili dysponowałem kilkoma dodatkowymi kwantami czystej mocy.

Szybko zabrałem się do oczyszczania kolacji wszystkich pozostałych. Wyglądało na to, że nie muszę troszczyć się o własne bezpieczeństwo – jeśli skażenie trafi do mojego organizmu, stanie się tylko paliwem dla Źródła.

Napotkałem spojrzenie Lily. Przyglądała mi się z uwagą, jakby domyślała się, co robię. Pewnie się zdradziłem wyrazem twarzy albo jakimś gestem.

– Panie Vincencie – szepnęła wreszcie – oni są bardzo zdesperowani, prawda? Przecież każdy, kto bardzo wcześnie osiwił i wygląda podobnie do Kat, mógłby się przedstawić jako potomek rodu d’Argent.

– Tutaj podano nam obiad, gdzie indziej możemy wywołać zamieszki – westchnęła cicho Amandine. – Kto wie, jakich kłopotów sobie przez to narobimy. Kathryn, kiedy tylko opuścimy wioskę, trzeba się postarać o sok z orzecha...

– Oj, gdyby wystarczył sok z orzecha... – Kathryn zgarbiła się nad miską. – To nie jest normalna siwizna, tylko sprzężona z talentem, ujawnia się wyłącznie u magicznie uzdolnionych potomków rodu. Żadna farba się na niej nie utrzyma. Prześwituje nawet przez zaklęcia, chyba że mam wyczerpane Źródło. Będę musiała obwiązać głowę albo się ogolić na łyso.

– Paradowanie cały dzień z wyczerpanym Źródłem raczej nie wchodzi w rachubę – zastanowiłem się. – Skoro już przy tym jesteśmy, mam do ciebie prośbę. Znasz jakieś zaklęcia tłumaczące? Rozumiemy co drugie słowo, a w tej sytuacji lepiej nie ryzykować pomyłki. Może Translator Mordreda? Meg to zwykle rzuca...

Kat wytrzeszczyła oczy.

– Ona cię jednak całkowicie zdeprawowała. Mówiła ci, jak to działa? Drenuje cudzy umysł i przekazuje znajomość języka czarodziejowi. Licencjonowane, ściśle tajne, w użytku cywilnym bezwzględnie wzbronione.

– Rzeczywiście, nigdy nie podała mi wzoru... – zadumałem się.

– Znam za to Złotą Rybkę. Analiza lingwistyczna na podstawie języków, którymi umiemy się posługiwać. Wszyscy liźnęliśmy trochę starobretońskiego, więc powinno wystarczyć. Czekać, zjem i rzucę.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Gdy tylko zaczęła recytować zaklęcie, nasza gospodyni wrzasnęła i uciekła z izby w podskokach. Stary wójt, który do tej pory usłużnie stał przy piecu, wydał cichy okrzyk i znów pobladł, jakby miał zemdleć.

– Przepraszam... nie chciałam... Znowu coś pokiełbałam – jęknęła czarodziejka i ze wstydu ukryła twarz w dłoniach. – Vince, Amandine, powiedzcie im coś, wy jesteście od rozmawiania z ludźmi.

– Wasza Wysokość mówi po naszymu – zdumiał się starzec. – Wszelki duch...! A zatem się nie omyliłem. Magia czyniona szlachecką ręką! Nie wińcie mojej synowej, to durna baba. Sądziła, że sprowadzasz, pani, moc z Zaświatów. Na tej ziemi nie widziano prawdziwych czarów od pięćdziesięciu lat.

Popatrzyliśmy po sobie. Przed wyprawą Weyland długo rozprawiał o braku Źródeł geograficznych na terenie Utraconej Bretanii, a także o tym, że moja obecność może je do pewnego stopnia zastąpić. Pytanie, czy fenomen dotyczył wyłącznie nas, czy też razem z naszym przybyciem wszędzie nagle wróciła magia. I o co chodzi z tym sprowadzaniem mocy z Zaświatów? Przecież magowie renegaci też chyba potrzebują aktywnych Źródeł. A może o czymś nie wiedziałem...

Tymczasem wójt potoczył po nas wzrokiem.

– Rzeknijcie, czy wszyscyście czarodzieje?

– Oczywiście – odezwała się szybko Amandine, odruchowo kładąc dłoń na owiniętej w płótno magicznej lasce, która leżała oparta o ławę.

– Ja też! – dodała Lily.

Wyprostowałem się niespokojnie. Nagle spłynęła na mnie wyjątkowo nieprzyjemna wizja. Nauczony wieloletnim doświadczeniem doskonale wiedziałem, na co się zanoszi. Stałem naprzeciwko bomby. Ja widzę bombę, bomba widzi mnie. Trzy, dwa, jeden...

– Dobry Wędrowiec was zsyła... – Starzec otarł gromadzące się łzy wzruszenia. – Źle się dzieje w naszej wsi. Działki chore, ludzie chorzy, ledwo siły im na pracę stają. Studnia zatruta. Jam już myślał, że wszyscy pomrzemy. Ale skoro królewna przybyła nam na ratunek...

– Vincent... – Kathryn szturchnęła mnie w bok. – Potrafisz zdejmować skażenie. I świetnie ci szło z zaklęciami leczniczymi, prawda? Nie możemy przecież tak ich zostawić. Weź im pomóż.

Westchnąłem. Pewne rzeczy były nieuniknione. Zdarzały się zgodnie z prawami fizyki. Mętnie podejrzewałem, że pracy w wiosce wystarczyłoby dla całej brygady sanitarnej i szpitala polowego. A skoro tak, naturalnie to ja musiałem się tym zająć.

– Dobrze, pod warunkiem że dostarczycie wszystkiego, o co poproszę. Aha, Kathryn – Mniejsze Znieczulenie nie ma elementów entropicznych, wiem, że umiesz je rzucać. I jakbyś mogła transmutować odpowiedni zapas spirytusu...

* * *

Wprowadzono mnie do jednej z czystszych chat, podłużnego bielonego domku o dwóch izbach. Właścicielka, staruszka imieniem Anne, ledwo się ruszała z powodu przykurczów w powykręcanych kończynach. Pomagała jej jakaś dziewczyna, chyba wnuczka – widać, że upośledzona, ale uczynna i sympatyczna. Szybko się dowiedzieliśmy, że Anne pełniła kiedyś we wsi funkcję znachorki. Mimo postępującego kalectwa umysł nadal miała sprawny, brakowało jej tylko chętnych i odpowiednio bystrych uczniów.

Zanim się obejrzałem, na klepisku pojawiło się czyste płótno, gar wrzątku i świeży siennik – luksusy, których się w tej osadzie zupełnie nie spodziewałem. Dookoła mnie krążyły dziewczyny, słyszałem podniesiony głos Amandine i domyślałem się, że szpitalik zorganizowano wspólnym wysiłkiem uzdrowicielki oraz moich towarzyszek. Dostarczono mi zydelek, a znachorce – szerokie wiklinowe krzesło.

Według arboriańskich standardów jestem raczej wiedźmą pierwszego kontaktu niż poważnym medykiem. Znam parę prostych zaklęć leczniczych i kilka pomniejszych uroków na dolegliwości typu kurzajki, w sprzyjających warunkach pichcę niezłe eliksiry z własnoręcznie zebranych i spreparowanych ziół. Potrafię

udzielić pierwszej pomocy i wiem, jak sterylnie zaszyć ranę – zabraliśmy do Bretanii podstawowe narzędzia chirurgiczne. Jako nastolatek ciągle przynosiłem do Meg różne chore albo porzucone zwierzątka i kilka z nich udało mi się skutecznie odchuchać. I co najważniejsze, umiałem usuwać skażenie – przyczynę Piętna i tym samym zatrzymać postęp choroby, która w formie przewlekłej wywoływała najrozmaitsze objawy. Niektóre w dłuższym okresie miały szansę się cofnąć; innymi powinni się zająć medycy.

W następnych godzinach zobaczyłem więcej ludzkiego nieszczęścia niż przez całe życie. Napatrzyłem się na wrzody i czyraki, niegojące się rany, guzy wielkości piłki, łamliwe kończyny, grzybice, liszaje, katarakty. Gotowaliśmy z naszych zapasów suszu i ekstraktów ziół, które mogliśmy łatwo uzupełnić, ogromne ilości eliksirów przeciwbakteryjnych i przeciwgorączkowych. Amandine komenderowała ludźmi, aby podrzucano mi wciąż świeże płótno (oczyszczane przez Kat, schowane w zapasie przez Anne? – nie miałem pojęcia) i zmieniano wodę w garze.

Wyciągałem skażenie z ludzi starszych i młodszych. Trudno zresztą było określić ich wiek, bo mieszkańcy, których oceniałem jako starców, często okazywali się ledwie dobiegać pięćdziesiątki; sam wójt miał prawie siedem krzyżyków na karku i był jednym z nielicznych pamiętających czasy sprzed wygaśnięcia magii. Stopniowo nabierałem coraz większej wprawy w wykrywaniu i przetwarzaniu śladów energii Pustki. Wyższe dawki wymagały ode mnie większego skupienia niż śladowa ilość w naszej kolacji, ale nieodmiennie rozplatałem je, nadając nieuporządkowanej magmie cząsteczek właściwy układ zwykłej, czystej mocy.

Żałowałem, że nie ma tutaj prawdziwego maga-lekarza. Człowieka, który zoperowałby guzy, zamiast tylko uśmierzyć ból. Chirurga, który zdjąłby katarakty, poprawił zajęcze wargi. Znałem Aseptyczną Ulgę – zakłęcie, które koilo i zamykało niegojące się rany, ale nie mogłem nic zrobić z cukrzycą, która je wywołała. Ciąłem tylko wtedy, gdy trzeba było pilnie się pozbyć martwiczej tkanki, grożącej rozwojem gangreny. Wykonywałem jedynie prowizoryczną robotę, raczej łagodziłem dolegliwości, niż leczyłem. A ci ludzie i tak uważali nas za cudotwórców.

* * *

Przewróciłem się na drugi bok. Księżyc świecił mi w oczy; gdzieś za oknem ćwierkały świerszcze. Może równie zmutowane jak wszystko w okolicy, kto tam wie.

Byłem wyczerpany, ale nie mogłem zasnąć. Kiedy zamykałem oczy, pod powiekami przewijały się obrazy minionego dnia. Siennik uwierał mnie w plecy.

Tym ludziom trzeba fachowej pomocy medycznej. Cała wioska, co do jednej osoby, powinna trafić do Centralnego Szpitala na solidną, wielodniową diagnostykę.

Co tu się stało? Jak daleko od Granicy wylądowaliśmy? A jeśli cała Utracona Bretania tak wygląda? Przecież nie będziemy chodzić od wsi do wsi i wszystkich leczyć. I tak zresztą nie damy rady. Trzeba znaleźć Meg, a nawet jeszcze nie miałem czasu rzucić zaklęcia lokalizacyjnego. Zresztą to i tak bez sensu, dopóki nie znajdziemy porządnej mapy albo chociaż drogowskazów, możemy co najwyżej iść na azymut, dokąd poprowadzi nas droga.

Ciemna sylwetka przelotnie zasłoniła okno i płynnie umościła się na sienniku obok mnie.

– Amandine – szepnąłem.

– Nie śpisz jeszcze?

– Nie mogę. – Na oślepie wyciągnąłem rękę w jej stronę. Poczułem dłoń narzeczonej.

– Zatrzymali nas na późnej kolacji – szepnęła. – I wypytywali. Sami niewiele mówią. Obeszliśmy całą wieś z wykrywaczem. Rzeczywiście, studnia jest skażona. Starsi i mądrzejsi w ogóle z niej nie korzystają, tylko chodzą w górę rzeki, pewnie stąd taki rozrzut objawów. Ale ukrywają coś jeszcze, o czym nie chcieli nam mówić bez zgody wójta. Chyba czekali, aż skończysz udzielać pomocy medycznej. Uważają, że gdybyśmy dowiedzieli się wcześniej, stracilibyśmy zainteresowanie mieszkańcami. Cokolwiek to jest, znajduje się w biegu rzeki na wysokości wsi.

– Rozpadlina... – mruknąłem.

– Kathryn od razu o tym pomyślała, ale doszła do wniosku, że to niemożliwe. Rozpadlina poszerzałaby się z czasem, a tamto miejsce się nie zmienia. Kiedyś tam pracowali. Nie wiem, łowili ryby? Mówią coś o kłątwie. I o „nim”. Chodzi o bliżej nieznane wrogie stworzenie, tyle zdołałam wywnioskować.

– Oj, pięknie... – jęknąłem. – Mamy tylko jednego maga bojowego. Wiesz, jak mi wychodzą zaklęcia ofensywne. W sali treningowej coś tam rzuć, ale w praniu...

– Nie doceniasz mnie. – W ciemnościach nie widziałem twarzy Amandine, ale wiedziałem, że się uśmiechnęła. – Moja laseczka jest praktycznie bezobsługowa. I brak mi twoich skrupułów.

– Cieszę się – westchnąłem ponuro.

– Podejrzewasz, co to może być?

– Nie mam pojęcia. – Znów spróbowałem umościć się na sienniku. Czuję, jak powieki wreszcie zaczynają mi ciążyć. – Duża ilość źle przechowywanej magii z czasem się degeneruje i przechodzi w skażoną moc. Zwłaszcza w miejscach pozostawionych bez nadzoru przez wiele dziesięcioleci. W ruinach, które badaliśmy razem z Margueritte, zdarzały się zapaskudzone obszary, ale pewnie tutaj jest gorzej, bo się jeszcze nie wystrzelało. Tyle się domyślam, o reszcie pewnie się przekonamy...

– Vince... – Amandine mocniej uściśniła moją dłoń. – Nie jesteś sam. Potrafisz oczyścić skażenie. Pozostałymi sprawami się nie martw. Możesz liczyć na moją pomoc. I na Kathryn.

– I na mnie też – dobiegł nas cichutki głos. – Mam bardzo wysoką temperaturę płomienia.

– Dziękuję, Lily. – Uśmiechnąłem się do siebie.

– Panie Thorpe... – głosik lekko się zawahał – ja wiem, kiedy pan przetwarza skażenie.

Zelektryzowało mnie. Usiadłem gwałtownie.

– Ale jak to? Wyczuwasz je...? – zająknąłem się.

Weyland wspomniałby coś o drugim Magu Pustki.

– Nie. Nie wiem. Nie tak, jak pan opisywał. Każda magia ma rezonans, prawda? Czysta, pobrana ze Źródła geologicznego, wygląda trochę inaczej niż wytworzona przez człowieka. I pan jest bardzo charakterystyczny. Ale nie przy normalnych zakłęciach.

– Połóż się, Vince. – Amandine pogładziła mnie po twarzy, a potem przebiegła palcami wzdłuż mojego ramienia. – Nic teraz nie wymyślimy. Lily, mogą się założyć, że Wyciecznia doskonale wie, na czym polega twój talent. Nie bez przyczyny nalegała, żeby cię sprowadzić do Bretanii.

– Nie nazywała mnie Magiem przez duże M, jak podobno pana – dodała Lily z powagą. – Prawdopodobnie jestem na to zbyt młoda.

Z posłania obok rozległ się zduszony chichot.

– Przepraszam, Kathryn – zmiętywała się dziewczynka. – Nie chciałam cię obudzić.

– Dość tego – zarządziła Amandine. – Wszyscy cicho. Spać! Regenerujcie Źródła, jutro będą wam potrzebne.

– Tak jest, szepani – mruknąłem rozbawiony i delikatnie objąłem ją ramieniem.

Nie minęło wiele czasu, a zapadłem w sen.

* * *

Wczesnym rankiem ponownie zgromadziliśmy się przy stole wójta. Prawdę mówiąc, wolelibyśmy uszczknąć co nieco z własnego prowiantu, ale robiliśmy dobrą minę do złej gry, korzystając z gościnności naszych gospodarzy. Po nocy spędzonej na sienniku bolały mnie plecy; co gorsza, tu i ówdzie odkryłem kilka swędzących ukąszeń. Sam sobie wypominałem, że nie rzuciliśmy uroków przeciwko insektom, ale poprzedniego wieczoru wszyscy byli zbyt zmęczeni, żeby o tym pomyśleć.

Odgryzłem i przeżułem kęs twardego, płaskiego chlebka. Zgrzytał w zębach. Mąka z pełnego przemiału, uzyskana ciemnowieczną technologią. Zapewne

wyprodukowano ją na kamiennych żarnach, bo żadne z nas nie widziało w okolicy młyna. Znów się zastanowiłem – czy cała Bretania tak bardzo się cofnęła w rozwoju cywilizacyjnym? A może wylądowaliśmy w szczególnie pechowym miejscu.

Wójt i jego synowa popatrywali na nas ze źle skrywanym niepokojem. Pracowali w pośpiechu i w milczeniu. Ciekawe. Wczoraj byli zaskoczeni, pełni podziwu i nabożnego lęku, ale nie martwili się naszą obecnością. Coś wisiało w powietrzu.

– No dobrze. – Kathryn odstawiła kubek z wodą. Zerknąłem na nią. Plecy miała wyprostowane, spojrzenie skupione; najwidoczniej weszła w rolę kompetentnej magini Creo. Ucieszyło mnie to. Nieco się obawiałem, że ta historia z królewskim rodem na dłużej wytrąci ją z równowagi. – Panie wójcie. Odnieśliśmy wrażenie, że Vincent pomógł już wszystkim w miarę swoich możliwości. Teraz wybierzemy się nad rzekę, żeby rozwiązać wasz problem. Oczywiście rzucimy kilka dywinacji, ale dobrze byłoby wreszcie się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Uśmiechnąłem się półgębkiem. Używając liczby mnogiej, Kathryn mówiła za całą naszą grupę, inna interpretacja nie przyszła jej do głowy. Naturalnie wójtowi skojarzyło się to z czym innym. Zgarbił się, skłonił prawie do ziemi.

– Wasza Wysokość – szepnął – uczyni, co w jej woli. Zważcie jednak, że odradzam. On jest groźny. Dopóki gnieździ się na dnie rzeki, zatrzuwa ziemię i wodę. Ale jeśli zdechnie, przyjdą kapłani w brunatnych szatach i pokarają nas wszystkich.

Popatrzyliście po sobie. Kathryn dała znak, żeby mówić dalej.

– On tu był zawsze, gdym jako mały chłopak pracował dla rzecznej kopalni. Nie czynił nam żadnej krzywdy, póki czarodzieje mieli nad nim pieczę. Teraz strach się zbliżyć. Jeni kapłani przychodzą i biorą od niego perły, jak drzewiej bywało. Z całym wozem wyjeżdżają. Nam nie pozwalają się przesiedlać, musimy dalej w tym przeklętym miejscu żyć. Za hrabiego to chociaż na targ żeśmy do miasta jeździli.

– On, to znaczy kto? – dopytała Kathryn.

– Smok rzeczny, Wasza Wysokość – odparł wójt z powagą.

Zapadło milczenie. Amandine spozjrzała na mnie z niepokojem. Lily zaczęła wiercić się na ławie; oczy jej błyszczały. Czy to możliwe? Smoki powinny oczyszczać skażenie, a nie produkować nowe. Oczywiście nie musieliśmy mieć do czynienia z prawdziwym smokiem. Wertowałem w myślach atlasy pustkostworów, zastanawiając się, czy kiedykolwiek słyszałem o takim gatunku.

– Trudno od nich oczekiwać prawidłowej klasyfikacji – odezwałem się cicho. – Lepiej zapytać, o co chodzi z tymi kapłanami. Słyszymy o nich od wczoraj i mam niejasne przeczucie, że nas nie polubią.

Dwie godziny później brnęliśmy przez rozlewisko, rozgarniając gęste kępy oszyny i trzciny. Uciekały przed nami perkozy i kaczki, muszki podnosiły się chmurami z powierzchni płytkiej wody. Białe promienie słońca odbijały się od rdzawo lśniących osłon przeciwskazeniowych. Spakowałem je razem z kilkoma najbardziej potrzebnymi magicznymi przedmiotami do mojego podręcznego bagażu, dzięki czemu przetrwały awarię sakw podprzestrzennych. Plecaki zabraliśmy ze sobą. Ja i Kathryn, dzięki odporności na zmęczenie, tak charakterystycznej dla czarodziejów po transformacji, mogliśmy pełnić funkcję tragarzy. Żadne z nas nie chciało wystawiać miejscowych na próbę uczciwości i sprawdzać, czy szacunek dla Jej Wysokości okaże się silniejszy niż desperacja i głód.

Natężenie promieniowania oscyloowało w granicach stu mikromerlinów i powoli rosnęło. Mimo osłony wyczuwałem skażenie, silne jak odór zepsutej ryby. Amandine kurczowo ścisnęła rękę magiczną i rozglądała się wkoło. Kathryn, marszcząc brwi i ściągając usta w ciup, rzuciła dywinację na swoją podręczną kulę magiczną. Zabraliśmy ze sobą Lilianę; pomimo zagrożenia woleliśmy się nie rozdzielać. Smok wydawał się mniej groźny niż tajemniczy kapłani Cierpliwego Wędrowca, którzy podobno korzystali z mocy Pustki z pominięciem wszelkich reguł dotyczących zwyczajnej magii, gnębili lokalną ludność i ogólnie sprawiali wrażenie bandy skurczybyków. Przynajmniej tyle dało się wywnioskować z wyjaśnień wójta.

– Nie powinniśmy się angażować – odezwała się chyba po raz piąty Amandine. W miarę jak coraz głębiej wchodziliśmy w strefę, odwaga stopniowo ją opuszczała. – Wsadzamy palce między drzwi. To nie nasza sprawa, narobimy im tylko kłopotu.

– Skażenie spływa w dół rzeki od półwiecza – odparłem cierpliwie. – Cokolwiek się tutaj dzieje, stanowi część problemu, który mamy rozwiązać. Spokojnie, kontrolujemy sytuację. Kathryn pilnuje drogi. W razie potrzeby będziemy bardzo szybko uciekać.

Moja narzeczona wzruszyła ramionami, pozorując nonszalancję.

– Ja was znam. Po prostu chcecie zobaczyć smoka.

Trudno zaprzeczyć, że miała trochę racji.

Przed nami, biorąc rozbieg po płytkiej wodzie, poderwała się do lotu czapla. Liliana przypatrywała się jej z otwartymi ustami, po czym delikatnie pociągnęła Kat za szatę.

– Kathryn...

Czarodziejka odwróciła zmęczony wzrok od magicznej kuli.

– Tak?

– Zwierzęta nie mają żadnej osłony przeciwko skażeniu. Dlaczego Pustka im nie szkodzi?

– Zwierzęta krócej żyją. – Kathryn ponownie sprawdziła odczyt na liczniku. – Zdążą się rozmnożyć albo i umrzeć, zanim zachorują.

– Ale na przykład ptaki i gryzonie są mniejsze od ludzi. To nie znaczy, że bardziej wrażliwe?

– Wręcz przeciwnie. Natężenie promieniowania w powietrzu i wodzie jest wszędzie takie samo, czyli większe ciało zostanie wystawione na większą dawkę skażonej mocy. Najlepiej dają sobie radę owady. W dodatku ponieważ ich pokolenia bardzo szybko się wymieniają, stopniowo zyskują odporność. Oczywiście tylko do pewnej granicy.

– Może przy odpowiedniej liczbie pokoleń ludzie też mogliby zyskać odporność – zastanawiała się Liliana. – Może tak powstałi Magowie Pustki?

– Nie sądzę – wtrąciłem kwaśno. – Chyba nie wyglądam jak produkt wielusetletniej ewolucji oddzielnej od całej reszty rodzaju ludzkiego.

– A czy da się przenieść taką odporność z owadów na ludzi? Trochę ich zmodyfikować? – zapytała niewinnie Amandine. – No co? Co ja takiego powiedziałam?

– Nie jestem pewna, czy powinnam żałować, że nie masz talentu magicznego – odparła Kathryn – czy odczuwać z tego powodu ogromną ulgę.

– Magiczne modyfikowanie ludzi nawet w Gildii uważa się za temat tabu – wyjaśniłem. – W schyłkowym okresie dynastii d'Argent podejmowano takie eksperymenty dla zabawy szlachty. Efekty były... nieciekawe. Później musiały minąć stulecia, zanim magia wkroczyła do medycyny estetycznej, bo to się ludziom bardzo źle kojarzyło. Na pewno próbowano tego za czasów Triumwiratu, ale wolimy nie wiedzieć zbyt wiele.

– O kurka wodna! – rozległ się zduszony okrzyk Kathryn.

Znów wpatrywała się w kulę.

– Zdawało mi się, że szukamy smoka, a nie kurki...

– Nie łap mnie za słowa, tylko patrz. – Podetknęła mi kulę pod nos. – Mamy obraz!

Spojrzałem.

Nad powierzchnię wody wystawały zabudowania z ciemnego drewna. Solidnie zbudowane szopy i domki na palach, podesty, pomosty; rodzaj rusztowania, który wystarczyłyby do swobodnej pracy kilkudziesięciu ludziom. Tu i ówdzie dostrzegałem rozpięte wzdłuż pomostów bure strzepy materii – niewątpliwie sieci. Na rzece, przycumowana do pomostu, kołysała się jeszcze samotna, zbutwiała łódka. Prócz tych ruchomych elementów cała konstrukcja wydawała się zdumiewająco trwała. Może wzmocniono ją magią, a może w grę wchodziło po prostu przyzwoite rzemiosło.

Zanim zdążyłem spytać Kathryn, czy wpadła w jeden z tych swoich architektonicznych transów, zauważyłem smoka. Jego długa, smukła sylwetka wyraźnie zaznaczała się pod wodą. Miał osiem, może nawet dziesięć metrów długości, płetwiasty ogon, ciemnoszare ubarwienie. Powoli przepływał między palami, lekko kołysząc się na boki.

Pacnąłem się otwartą dłonią w czoło.

– Smok rzeczny. Oczywiście. To przecież tryton. Po umaszczeniu sądząc, perłowy tryton z Cantal. Zmodyfikowany magicznie, inaczej być nie może. Na Pustkę! Zwykle osiągają długość dłoni.

– Perłowy w sensie, że produkuje perły? – spytała niepewnie Kathryn.

– Nie, to od barwy grzebienia. Samiczka – dorzuciła Amandine, zaglądając mi przez ramię. – Kiedyś załęgły się rodzicom w jeziorku. I mówicie, że została poprawiona magia? Czym się różni takie stworzenie od konstruktów?

– Konstrukt to sztuczny twór – odparłem – chociaż nie zawsze...

– Granica bywa płynna – wyjaśniła Kat. – Konstrukty tworzone także ze stworzeń ulepszonych magicznie, dodawano im różne sztuczne elementy. Implanty konstrukcyjne. To kolejna zaginiona technologia. Belinde próbowała się tym zajmować, ale od dawna za bardzo rozprasza ją polityka.

– Osiem lat to nie jest dla niej takie znowu od dawna – mruknąłem. – Wiem, że trochę się sfrustrowała ostatnim projektem i zostawiła, żeby się odleżała. Jaki mamy odczyt?

– Sto trzydzieści. Źródło skażenia znajduje się pod wodą. Koszmarnie stężone. Nasze tarcze raczej tego nie wytrzymają.

– Tryton?

– Nie. – Kathryn popukała w kulę. Wewnątrz zawirowały świetliste wzory. – Wielka kupa energii Pustki leży sobie w miejscu, a tryton się porusza. Za to wykryłam coś znacznie ciekawszego. Nasz smok rzeczny, wyobraźcie sobie, generuje czystą, żywą magię.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Ale z czego? Przecież zwierzę nie może mieć aktywnego Źródła. Nawet nie wiemy dokładnie, skąd to się bierze u ludzi, to znaczy...

– Vince, uspokój się. – Kat machnęła ręką. – Nie przeniosło nas do powieści przygodowej. Pewnie gromadzi jednostki jak żywiolak, wiwerna miniatuurka albo inny chowaniec. Ciekawe, czy da się ją oswoić...

Rozejrzałem się. W oddali zza wysokiej kępy czarnej olchy wyzierał pokaźny, kanciasty kształt. Szopa, w której zapewne zimą przechowywano łódki, z widokiem na kopalnię rzeczną, ale w bezpiecznej odległości od trytona.

– No dobrze. Odpalamy broje kinetyczne – zakomenderowałem. – Lily, peleryna maskująca. Podłącz się do kanałów energetycznych Kat i trzymaj blisko nas. Na razie schowamy się tam i opracujemy taktykę.

I tak wiedziałem, kto będzie musiał zbliżyć się do rdzenia problemu i spróbować go jakoś rozwikłać. Najpierw jednak potrzebowaliśmy chwili spokoju na pracę umysłową. Cofnęliśmy się w czasie do Wieków Smutku, ale to nie oznaczało, że powinniśmy przejmować miejscowe standardy, szarżując z kulą ognia i mieczem.

Przewidując wahania poziomu wody, szopę zbudowano na drewnianym podeście. Deski były śliskie, omszałe i przeżarte ciemną pleśnią, ale i tak stanowiły przyjemną odmianę po dłuższym czasie brodzenia w wodzie sięgającej do kostek. Znałem urok, który czasowo sprawiał, że materiał stawał się nieprzemakalny – jeden z pierwszych, jakich się nauczyłem na użytek podróży z Meg – więc żadne z nas nie wylewało wody z butów, ale chłód dawał nam się we znaki.

Na nasz widok jakieś niewielkie, bure zwierzę – chyba szczur piżmowy – umknęło przez szparę w deskach. Odłożyliśmy bagaże i rozsiedliśmy się w środku. Nasze ubrania i tak już się nieco spatynowały; pomyślałem, że jeszcze trochę, a zakłęcia maskujące staną się zbędne.

Kathryn wyciągnęła kulę, przewinęła obrazy i odczyty z ostatnich dywinacji. Zaczęłem spisywać surowe dane. Pół godziny i kilkanaście stron brudnopisu później mieliśmy pewne pojęcie, czego się spodziewać.

– Czyli tak... – Stuknąłem ołówkiem w papier. – Na samym dnie będzie ze dwa tysiące jednostek. Doliczyłbym kilka setek, jeśli uwzględnić moc, która jeszcze nie zdążyła skisnąć, i błąd wynikający z nieznannej głębokości rzeki. Robi wrażenie. Ale myślę, że dam radę przetworzyć. Na raty, w kilka, kilkanaście obrotów. Po pierwsze, nie spieszy nam się. Nie tak jak z duszoscikiem. Po drugie, nie ma tam żadnej rozpadliny. Jedyny problem to ten tryton.

– Z odczytu wynika, że nie jest szczególnie odporny na magię bojową. – Kat jeszcze raz zerknęła w kulę. Popatrzyłem na nią z podziwem; tego jeszcze nie zinterpretowałem. Liczyła w pamięci chyba z równą wprawą co Meg. – Mam notatki do Hipnozy Druidycznej, ale raz, dawno tego nie rzucałam, dwa, nie wiadomo, czy podzielała na modyfikowane zwierzę. Trzeba je będzie jakoś wywabić. Co one normalnie jedzą, chyba muchy, może złapać mu kaczkę...?

– Może zasmakował w ludziach i kiedy nas zobaczy, sam wyjdzie.

– Wystarczy naruszyć jego terytorium – rzuciła Amandine. Wyciągnęła karteczkę z zapisanymi symbolami zakłęb, które wbudowano w magiczną laskę, i w miarę jak je przeglądała, wracała jej pewność siebie. – Jeśli wzburzymy wodę, poczuje się zaatakowany. A ma tam ciasno, więc nie może uciekać.

Wyjrzałem z szopy. W oddali majaczyła drewniana konstrukcja. Powtórzyłem w myślach wzór zakłęcia ochronnego, dodając parametry związane z otoczeniem: wodę, otwartą przestrzeń. „Nie takie rzeczy się robiło – skłamałem sam sobie zgrabnie. – Dam radę”.

– Rzucę Osłonę Numer Trzy – poinformowałem. – Rozciągnę ją na siebie i ciebie – wskazałem na Kat – a ty przypuścisz atak. Amandine, jaki masz repertuar ochronny?

Moja narzeczona z namysłem przyjrzała się kartce i magicznej lasce, po czym nacisnęła dwa różne symbole. Zaczęły się jarzyć ledwo widocznym złotym

światłem.

– Przygotowałam sobie Dużą Bańkę Kinetyczną i Miniaturowy Huragan. W tym pierwszym schowam się razem z Lily, to drugie odpalę, jeśli trzeba się będzie bronić.

– Zamień na jakiś pocisk – poprosiła Kathryn. – Huragany trudno kontrolować, a pociski działają selektywnie. Domyślam się, że możesz mieć problem z używaniem czegoś bardziej... zabójczego...

– Wręcz przeciwnie, chodziło mi o lepsze rażenia. Oczywiście masz rację. – Amandine bez mrugnienia okiem wyregulowała laszkę.

– Ja też się mogę przydać – zaznaczyła Liliana. – Moje Źródło jest małe, ale nieźle przetwarzam.

– Tak, będziemy razem przetwarzać – Kat skinęła głową – dzięki temu utrzymamy telepatyczny kontakt. Tylko nie podłączaj się do Vincenta. Nie wiem, jak działa rafinowanie mocy Pustki, ale...

– Jasne.

Dobiegało południe. Lekki zefir zaledwie marszczył powierzchnię leniwie płynącej wody, od drobnych fal odbijał się słoneczny blask. Trzciny chwiały się jakby od niechcienia. Tu i ówdzie na powierzchni rzeki rozchodziły się kręgi – owady lub drobne ryby, nic więcej nie pojawiało się w pobliżu drewnianej konstrukcji, niemal w centrum strefy. Z odległości wcale nie było widać, co kryje się w głębi rzecznej koryta.

Kathryn szybkim, posuwistym krokiem ruszyła pomostem. Ciemne, nadgniłe deski tylko w miejscach łączeń przytwierdzono do pali, proste odcinki pływały na ciasno spiętych beczkach. Podążyłem za nią. Kat szybkim gestem wyciszyła nasze kroki, ale to niewiele dało; wkrótce cała konstrukcja zaczęła się kołysać i skrzypieć.

Woda w oddali się poruszyła.

Sięgnąłem do Źródła, ostrożnie pobierając siedem jednostek mocy. Bezgłośnie wyszeptalem zakłęcie. Słyszałem własny puls, obliczenia tkwały się same. Po chwili energia magiczna otoczyła nas bezpiecznym, migotliwym kokonem. Spojrzałem w stronę Kat.

Czarodziejka zakreśliła lewą ręką szeroki krąg. Wielka wodna bomba poszybowała między rusztowania i plasnęła dokładnie pośrodku rzecznej koryta, możliwe, że trytonowi w głowę.

Czas przyspieszył. Zobaczyliśmy, jak długi, opalizujący grzbiet wynurza się nad powierzchnię wody i błyskawicznie zaczyna się zbliżać. Po chwili tryton dotarł do brzegu. Ujrzyliśmy łeb potwora – płaski, stalowo nakrapiany, z błękitnymi ślepiami jak szklane kule. „Błękitnym ślepiem” – poprawiłem się. Jedno z oczu wyglądało na chore – było zaropiałe, zmętniałe, podbiegłe krwią. Na pysku dostrzegłem otwarte wrzody.

– Kat! Kostka Lodu albo Pocisk Entropiczny! – wrzasnąłem, zapominając, że Entropia jest jej słabym punktem. – Zabij go higienicznie, żeby nie rozniósł skażenia! Kat! Na co czekasz?

Kathryn Verd, jedna z najzdolniejszych czarodziejek młodego pokolenia, stała w miejscu jak słup, przyciskała dłonie do uszu i cicho zawodziła.

– Co się dzieje?!

– Ja ją słyszę... – wykrztusiła. – Ona mówi do mnie... śpiewa...

Gdzieś zza moich pleców usłyszałem identyczne zawodzenie. Lily stała przy Amandine, schowana w ochronnej bańce, grubej i solidnej jak kopuła ze szkła. Dziewczynka zginała się wpół, zielona na twarzy, zatykała uszy i kwiliła.

Tryton powoli wychodził na brzeg.

Nie miałem pomysłu, jak zareagować. Wszystkie zakłęcia uciekły mi z pamięci. Może odzyskałbym rezon parę sekund później, ale nie było okazji o tym się przekonać. Amandine chwyciła Lilianę pod jedną pachę i magiczną laskę pod drugą. Na lasce zaśniły złoto kolejne symbole. Bańka kinetyczna, razem z dziewczynami na pokładzie, frunęła w naszą stronę i wessała nas do środka.

– Rozwał go! – wydyszała moja narzeczona.

Pospiesznie zacząłem różniczkować. Kuli Ognia nauczyłem się całymi dniami, powinienem więc dać radę. Przyjąłem postawę, wygiąłem palce.

– Zaczekaj! – odezwała się nagle Lily. – Nie rzucaj! Ona próbuje się ze mną porozumieć.

– Czy możesz... – jęknęła Kathryn – zerwać połączenie, bo się zrzygam?

– Przepraszam – powiedziała cicho dziewczynka. – Już.

Kat opuściła ręce i ciężko usiadła na pomoście. Popatrzyła na nas z mieszaniną zdziwienia, bólu, niedowierzania. Liliana stała teraz prosto, z głową odchyłoną do tyłu i gałkami ocznymi wywróconymi tak, że było widać tylko białka. I gwizdała melodię, której nie potrafiłem zidentyfikować.

Tryton cierpliwie czekał na brzegu. Co jakiś czas otwierał pysk, ale my niczego nie słyszeliśmy. Minęły sekundy, później minuty. Wreszcie dotarł do nas wysoki, ostry dźwięk, jakby ktoś rysował na szkłe. Wszyscy prócz Liliany zatkali uszy; gdyby zgrzyt trwał jeszcze kilka chwil dłużej, skończyłoby się zbiorowymi wymiotami. Ale głos przechodził stopniowo w niższe rejestry; to Lily – teraz to rozumiałem – naprowadzała trytona gwizdem. Skończyła wreszcie najniższą nutą, na jaką potrafiła się zdobyć. Zwierzę zamilkło.

A potem przemówiło czystą starobretońszczyzną.

– Mowa jest trudna. – Gdy smok rzeczny brał oddech, z jego gardła dobywał się świergot, przypominający trochę granie świerszczy w spowolnionym tempie. – Głowę wypełnia mgła. Chodzę, jem, śpię we mgle. Dziękuję. Czy przybyliście objąć siedlisko? Ono złe, chore. Ja chora. Potrzebujecie Wielkiego Maga, inaczej wszystko na nic.

– Właśnie po to tutaj przybyliśmy – odezwałem się. – Chcemy oczyścić siedlisko ze skażenia. Ścisłej mówiąc, zamierzałem zanurkować i to właśnie zrobić.

– Och, jak dobrze. – Trytonica zakołysała pękatym ogonem, długim jak łódka, wzburzając wodę. – Wielki Mag. Dziękuję, poproszę. Mnie bardzo boli. O, tutaj, tutaj i tutaj też.

Po czym, wyobraźcie sobie, wypełzła ciężko na brzeg, uwalila się z chlupotem na boku, rozciągnęła wielkie jak pniaki łapska i popatrzyła na mnie z wyraźnym oczekiwaniem.

I tym nas ostatecznie rozbroiła. Przecież nie można zabić potwora, który wywała się brzuchem do góry i chce, żeby go głaskać. Zwłaszcza jeśli skłoniła go do tego pełna dobrych chęci mała dziewczynka. Może i jesteście typowymi Arboriańczykami z Avalonu, którzy roztkliwiają się nad starymi końmi, chorymi kociećkami i ronią łzy na wzruszających sztukach, ale, cholera, no nie można.

* * *

Woda w toni rzeki była zimna, a nurt, choć leniwy, dawał się we znaki. Nie znałem żadnych zaklęć na taką okazję, a mój jedyny urok ogrzewający działał trochę za słabo, żeby całkowicie zniwelować wpływ niskiej temperatury. Musiałem się więc pogodzić z tym, że przemarznę do kości. Wokół mnie wirowały osłony przeciwko magii Pustki, które postawiłem mimo woli, gdy tylko natężenie promieniowania zaczęło budzić mój niepokój. Trzy warstwy, o wiele mniej niż podczas podróży przez Pustkę. Filtrowały wodę, która do mnie docierała.

Z perspektywy rozlewiska nie potrafiliśmy dokładnie określić, jak szerokie i głębokie jest koryto rzeki. Teraz widziałem, że w dobrych czasach na pewno była spławna, a zabudowania rzecznej kopalni nie sięgały do drugiego brzegu. Pod wodą nie umiałem zbyt dobrze ocenić odległości, ale przepłynąłem już spory kawałek i nawet mną nie zakołysało, nie dotarłem zatem do wartkiego głównego nurtu. Wynurzałem się kilkukrotnie, żeby zaczerpnąć oddech. Za każdym razem widziałem obok siebie rzeczno smoka, a raczej smoczyce. Płynęła tuż za mną, pilnując mnie jak... kijanki? Kiepskie porównanie, zważywszy, że większość gatunków trytonów nie opiekuje się młodymi.

Narobiliśmy sobie niezłego ambarasu. Margueritte mawiała, że każdy dobry uczynek zostanie stosownie ukarany. Kiedy zaczęliśmy pomagać wieśniakom, chcieliśmy doprowadzić sprawę do końca, chociaż wójt ostrzegł nas przed nadmiarem dobroci. I teraz utknęliśmy. Albo szybko oddalimy się z tego miejsca – skazując wioskę na nieuchronną zemstę tajemniczych zakonników – albo na nich poczekamy. Ilu zresztą ich może być? To wykluczone, żeby cały klasztor oficjalnie praktykował magię opierającą się na nieprzetworzonej mocy Pustki. Prawdopodobnie. Chyba. Ech, dlaczego nie ma tutaj Meg?

Ponownie zanurkowałem. Teraz na dnie rzeki dostrzegłem lśniące pokłady błękitnych, rozświetlonych od środka... kamieni? Leżały na grubych pokładach czarnej substancji przypominającej stopione szkło. Gdzieś z tyłu mojej głowy powstała potrzeba utworzenia kolejnej osłony, niepokojąco fizjologiczna, jak odruch ziewania. Tak, wreszcie znalazłem epicentrum.

Nie ociążałem się zbyt, prędko dopłynąłem do kamyków. Z bliska wyglądały zdecydowanie organicznie – półprzezroczyste, lepkie w dotyku, z niewielkim, błękitnie świecącym jądrem. Te na wierzchu wcale nie zawierały mocy Pustki, tylko zwykłą magię, każdy po kilka jednostek. Emisja skażenia pochodziła z czarnej masy pod spodem.

Chwyciłem jeden twór – domyślałem się już, z czym mam do czynienia – i bardzo szybko, bo kończyło mi się powietrze, wypłynąłem na wierzch.

– Przepraszam cię bardzo – sapnąłem, kiedy wreszcie poczułem się dotleniony – czy to może twoje?

– Ach, puste jajka – westchnęła trytonica. – Babkę mnożyli dzieworódczo, ale pokolenie matki i moje nie potrafi, jeśli nie dostaniemy zastrzyku. Jestem już bardzo stara, nie chcę znosić nawet pustych jajek, ale tamci ciągle przyjeżdżają i mieszają w głowie, więc nie mogę się powstrzymać. Pomogłyby czynne implanty. Gdybyś mi poprawił mózg...

No tak. W Bretanii brakowało Źródeł geograficznych, a surowa moc zawsze była w cenie. Czarodzieje wzmacniali naturalne zdolności istot, które gromadzą magię, hodowali je, czerpali zyski. Podobnych metod w Arborii nie stosowano na dużą skalę; nie umieliśmy do takiego stopnia modyfikować zwierząt (a już na pewno nie wypuszczaliśmy ich do środowiska, jeśli nie dało się przewidzieć konsekwencji). Większość popularnych chowańców uzyskiwano w drodze hodowli. Nawet miniaturowe smoki pochodziły od tropikalnych wiwern i nie miały nic wspólnego ze smokami sprzed wieków.

Krótko mówiąc, Bretańczycy nie zawsze żyli w Wiekach Smutku, tuż po Rozdarciu musieli zachować część dawnej wiedzy. Odkąd magów ostatecznie zabrakło, nikt nie pilnował rzecznej kopalni, nie dbał o bezpieczny poziom mocy.

– Pomagam, jak potrafię. – Machinalnie obejrzałem dłoń. Koniuszki palców zaczynały już sinieć. Trzeba wyjść i się ogrzać, zanim wrócę do pracy. – Już mówiłem, że dopiero się uczę.

– Jesteś inny niż poprzedni Wielki Mag – zaświergotała trytonica. – On wszystko umiał, ale i tak by mnie zabił. Stara, zbędna, niebezpieczna. Obolała.

– Przestań – zachnąłem się. – I tak wiesz, że tego nie zrobię. Nie szantażuj mnie emocjonalnie.

– Humor nie dopisuje. Zmęczony?

– Troszeczkę.

– Ach tak, ludzie są łądowni. Osuszę dla was magazyn – zaproponowała trytonica. – Bardzo pięknie zionę ogniem i gorącym powietrzem. Kontroluję temperaturę.

„Znakomicie – pomyślałem. – Lily poobserwuje fachowca przy pracy”. Trochę mnie niepokoiło, że talenty Liliany mają tak wiele wspólnego z umiejętnościami sztucznie podrasowanego trytona, ale na razie i tak nie wiedzieliśmy, co z tym fantem zrobić.

– No to wracamy.

– Już?

– Muszę coś zjeść i odpocząć. Masz pojęcie, jak zmarłem?

– Rzeczywiście, ależ ty dygoczesz. – Rzeczna smoczyca zakołysała się nerwowo. – Biedne ludzkie istoty, takie wrażliwe. Pomogę ci.

Zanim zdążyłem zaprotestować, delikatnie złapała mnie pyskiem za galoty i zaciągnęła na brzeg.

* * *

Całe popołudnie upłynęło mi na harówce w zimnej wodzie, przerywanej chwilami odpoczynku, podczas gdy reszta grupy siedziała sobie w ogrzonym, suchym magazynie, od czasu do czasu zaopatrując mnie w jedzenie i eliksiry, i opracowywała plany na wypadek spotkania z zakonnikami oraz rozmawiała z trytonem. Chętnie bym się z nimi zamienił.

Zanim się nauczyłem, jak zaczerpnąć mocy pod osłonami, zaliczyłem kilka nieudanych prób. Oberwałem niekontrolowaną dawką skażenia, którą zdołałem rozpleść, zanim narobiła szkód, prawie utonąłem z zimna, a na koniec skaleczyłem się w palec. Wróciłem do szopy zmarnięty, wymięty i obolały. Dopiero po godzinie, pijąc ziołową herbatę i pogryzając długie suszone kielbaski, chrupki bananowe i doloriański pumpernikiel z pastą orzechową, odtajałem na tyle, żeby móc myśleć. Dotarło do mnie wreszcie, że mój talent nie był tajemniczą, mistyczną siłą podlegającą nie wiadomo jakim regułom. Jego działanie dało się przewidzieć, aby opracować należyte algorytmy. I chociaż większość praw, wedle których działały zaklęcia Magów Pustki, zaginęła w pomroce dziejów, znałem podstawy. A to, co próbowałem zrobić – opanować równoczesne przetwarzanie mocy Pustki i ochronę przed skażeniem – właśnie do nich należało. Rozpisałem zatem wzory, których pod hipnozą uczyłem się na prośbę Weylanda, oszacowałem przepuszczalność i elastyczność osłon, ustanowiłem odpowiednie miejsca łączy z kanałami energetycznymi. Tym razem zadziałało. Za pierwszym podejściem przerafinowałem i rozproszyłem prawie czterysta jednostek, dopóki nie zmogły mnie wysiłek i chłód.

Zapewne pamiętacie, z czym się wiąże pozbywanie się dużej ilości energii. Zaklęcie Marnotrawstwa, odkryte na nowo przez Meg, oparto na Kuli Światła. Za każdym razem, kiedy przetwarzałem kolejną porcję mocy z dna rzeki, w niebo strzelały błękitno-białe iluminacje. Nawet w środku dnia było je widać z daleka – a co dopiero po zmierzchu.

Tak czy owak, zakonnicy pewnie zmierzali już w tę stronę. Zanim odkaziłem i podleczyłem naszego zaprzyjaźnionego potwora, smoczyca ledwo zachowywała

świadomość, a mimo to zdołała zapamiętać, że dwie noce temu niebo przecięła spadająca gwiazda. To samo usłyszeliśmy od wójta. Przybywając do Utraconej Bretanii, narobiliśmy trochę zamieszania. A tak się składa, że meteoryty są cennym składnikiem w sztuce magicznej i każdy trzeźwo rozumujący czarodziej zechce jak najprędzej zgarnąć łup.

Nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać. Trytonica uważała, że we czwórkę będziemy mogli stawić im czoło. Nie potrafiła jednak szczegółowo opisać ich metod działania, jej wspomnienia z ostatnich kilkudziesięciu lat przedstawiały się dość mgliście. Żadne z nas nie wiedziało zbyt wiele o czarodziejach posługujących się nieprzetworzoną, surową mocą Pustki. W Arborii ta wiedza podlegała ścisłej reglamentacji, w pełni uświadomieni byli głównie wojskowi i stróże prawa. Oczywiście dzięki temu ludzie (do niedawna włącznie ze mną) tym bardziej wierzyli w mnóstwo błędnych teorii o prawdziwych Magach Pustki. Ale tym detalem przez ostatnie dwieście lat nikt nie musiał się martwić.

Znów wynurzyłem się z rzeki, dygocąc z zimna. Brnąłem po kolana w wodzie, zdążając w stronę magazynu. Słońce wisiało nisko nad horyzontem; w szuwarach cykały świerszcze. Wdrapałem się na pomost. Zerknąłem na swoje stopy – białe i pomarszczone – i pomyślałem, że jeszcze trochę, a nabawię się zapalenia płuc.

– Długo to trwało tym razem – zauważyła Amandine, wychodząc z szopy. – Może wrócimy do wioski albo zatrzymamy się tutaj na noc.

– Spokojnie, jeszcze jedno nurkowanie, może dwa. Dam radę. Kathryn, przekazać ci trochę energii?

– Nie będę tego ruszać! – ofukała mnie czarodziejka.

– Wszystko przetworzyłem, jest bezpieczna. Ile jednostek ci zostało?

– Wystarczająco dużo. – Kat założyła ręce na piersi. – Przepraszam. Według wszystkich znanych mi prawideł sztuki nie ma żadnej różnicy, ale na samą myśl robi mi się niedobrze.

Rozległ się gwałtowny plusk. Trytonica, która odpoczywała obok szopy, mocno uderzyła ogonem w wodę.

– Ziemia się trzęsie – zamruczała. W jej głosie pobrzmiwał gardłowy warkot podobny do łoskotu lawiny. – Idą.

– Bagaze na plecy, laski do rąk, odpalamy tarcze kinetyczne – zakomenderowałem, skacząc do magazynu po plecak. – Nie zdążę się ubrać, prawda?

– Nie – zawarczała smoczyca. – Uciekajcie.

– Przecież twierdziłaś, że...

– Uciekajcie – powtórzyła. I wtedy ja też to poczułem przez deski pomostu i skórę stóp. Ziemia drżała. I ja również niemal równocześnie zacząłem drzeć.

Widzicie, Utracona Bretania nas uświadomiła. Wmaszerowaliśmy do pierwszej z brzegu wioski, zobaczyliśmy ogrom nieszczęścia i zacofania i z niewielką

zachętą zachowaliśmy się jak organizacja charytatywna na terenach dotkniętych wojną. Przyzwyczajiliśmy się do myśli, że jesteśmy pierwszymi prawdziwymi czarodziejami od półwiecza, czyli najpotężniejszymi istotami w promieniu wielu kilometrów, a miejscowi renegaci opierają się na Pustce jak na protezie. Ignorowaliśmy wskazówki, że mieszkańcy są pogrążeni w nędzy nie dlatego, że nikt nie umiał im pomóc – ale dlatego, że komuś zależało na utrzymaniu obecnego stanu rzeczy. I kiedy ten ktoś się zorientował, że wchodzimy mu w szkodę, błyskawicznie się zmobilizował.

Niebo pociemniało. Powierzchnia wody zafalowała i poczerniała. Kwaśny, ostry zapach skażenia wypełnił powietrze. Sunęła ku nam monumentalna istota Pustki, beznoga i pękata, pokryta czarnym chitynowym pancerzem. Ksenowurm. Ze dwadzieścia metrów długości, jeśli nie więcej. Atlasy utrzymywały, że jest znacznie mniejszy. Tylko przez ułamek sekundy zobaczyłem go w całej okazałości, razem z otworem gębowym wypełnionym dziesiątkami haczyków, kolców i szpil oraz proporcjonalnie malutkim czarnym palankinem zamocowanym w pobliżu łba.

Amandine zareagowała pierwsza, opasując nas wszystkich, razem z pospiesznie chwytanymi bagażami, Dużą Bańką Kinetyczną. Niemal równocześnie Kathryn nadała bańce przyspieszenie. Nie znała Lotu Drużynowego, ale zamknięci w osłonie stanowiliśmy pojedynczy obiekt, co upraszczało zakłęcie. Sunęliśmy po wodzie jak automagiczna łódź, szerokim łukiem omijając ksenowurma. Ja i Kat zbieraliśmy w dłoniach zakłęcia bojowe. Starąłem się wycelować w palankin.

Smoczyca uniosła się na tylnych łapach – pomyślałem, że zwykłe trytony na pewno nie potrafią tego robić – i z pełnym zaangażowaniem zionęła ogniem. Ponieważ w sytuacjach podbramkowych myśli się o rzeczach idiotycznych, pewna część mojego umysłu porównała to zionięcie z dziełem duszoscoka i Liliany. Miało znacznie większy stożek i było zdecydowanie mniej gorące. Sześć punktów na dziesięć.

Ksenowurm zawiązał się w sobie, wygiął i plunął. Powietrze przeszyły dziesiątki obsydianowo lśniących kolców. Większość utkwiała w miękkim ciele trytona, kilka przeleciało obok nas, z pluskiem wbijając się w dno rozlewiska. Trytonica odpowiedziała frontalnym atakiem z użyciem pazurów, które wyłoniły się z jej łap. Czarna chityna pękła, kilka płytek oderwało się z monumentalnego cielska, ale ksenowurm dalej walczył. Bestie siłowały się ze sobą, miażdżąc zabudowania rzecznej kopalni, łamiąc olchy i wierzby. Czerwona krew trytona mieszała się z bezbarwną, śluzową posoką, która wyciekała spod chityny.

Kathryn zataczała bańką okrąg, usiłując znaleźć dogodny punkt strzału.

– Uciekajmy! – krzyknęła Amandine. – Dała nam czas!

– Nie wie, co potrafię! – odkrzyknęła Kathryn. – Nie wie, że jestem magiem Creo!

– Amandine ma rację! – zawołałem, wpatrując się w najeżoną kolcami paszczę. – Jesteśmy nieprzygotowani, masz na wpół wyczerpane Źródło, rzucisz dwie najgorętsze na świecie kule ogniste i co dalej? Widzisz ten palankin? No więc ktokolwiek w nim siedzi tam na górze, po prostu cap! Pustką!

– Jest nas trójka – wycedziła Kat. – Dwoje czarodziejów i jedna właścicielka laski wyładowanej zaklęciami ochronnymi, jakich sama jeszcze nie znam. Każde ma do dyspozycji magię bojową. Na Pustkę, czy wy nie widzicie, że ten wurm zamorduje trytona, zrówna wioskę z ziemią i cała nasza pomoc obróci się w katastrofę?

Zmrużyła oczy, wymamrotała jakieś słowa i dotknęła palcami ścian bańki, wysyłając w stronę ksenowurma miniaturową kometę o białym rdzeniu.

„Jeśli ten atak ma w czymkolwiek pomóc, lepiej zrobić to jednocześnie” – przyszło mi na myśl.

Odruchowo przyjąłem postawę, wyrzuciłem pięść do przodu w prostym pchnięciu. Moc zebrała się w knykciach, ukształtowała w drugą, skromniejszą kulę i wystrzeliła naprzód. W tej samej chwili z bańki wyfrunęła trzecia kula, złoto zabarwiona, w stylu Arcymaga Weylanda. To Amandine odgadła moje zamiary i dołączyła się do akcji.

Gdyby wszystkie trzy ładunki trafiły w dowolnego trolla na tej ziemi, spaliłyby go na skwarę. Ba, nawet ksenowurm – takich rozmiarów, o jakich czytałem w podręcznikach – zostałyby poważnie nadwąglony. Tymczasem chociaż chityna znów się osypała, a z bladego cielska pod zbroją popłynął śluz, robał żył i miał się relatywnie dobrze. A jego właściciel – zmysł Pustki mówił mi o tym wyraźnie – zbierał się do kontrataku.

W samą porę postawiłem osłony. Fala czarnej magmy, nieprzypominająca żadnego zaklęcia, o jakim słyszałem, uderzyła w bańkę z całą siłą, wyrzucając nas wysoko w powietrze. Chyba część z tego przenikła do środka, bo w całym ciele poczułem przenikliwy ból, jakby poparzone mnie kwasem. Leżałem na dnie bańki, pospiesznie oczyszczając nas ze skażenia i usiłując zniwelować skutki zaklęcia, a równocześnie szeroko otwartymi oczami wpatrywałem się w magmę, która wciąż napierała na osłony. Z bliska dostrzegałem, że substancja nie była jednorodna – wyłaniały się z niej na wpół rzeczywiste, półprzezroczyste białe twarzyczki, małeńkie potworne dłonie, gałki oczne i fragmenty szczęk. Amandine zamarła w bezruchu na dnie bańki, Lily zaczęła wrzeszczeć. Spadaliśmy bez kontroli, a indywiduum w palankinie szykowało się do zadania kolejnego ciosu.

Kathryn pozbierała się pierwsza. Wyszkolenie wzięło górę. Usiadła i wykonała kilka wirtuozerkich gestów, nie do osiągnięcia ani dla mnie, ani dla żadnego śmiertelnika, pominąwszy może zawodowych pianistów. Wokół rozhulał się wiatr, autentyczne, pierwszorzędne tornado. Wirywało szuwały i krzewy, zagarniało wodę razem z rybami i kawałkami desek, odgradzało nas od przeciwnika.

I niosło.

Zmykaliśmy tak prędko, jakby gonił nas sam Władca Zaświatów. Niezapełnie kontrolowaliśmy kierunek. Na naszej drodze łamały się drzewa, ginęły zwierzęta. Niewiele widziałem zza czarnej ściany tornada, nie miałem pojęcia, jak długą przebyliśmy drogę. Obawiałem się, że kiedy zakłęcie się skończy, spadniemy wszyscy na ziemię z ogromnej wysokości. Ale trąba powietrzna stopniowo malała, pożerała się sama, w końcu stała się zaledwie nieco mocniejszym wiatrem. Wreszcie ochronna bańka (którą Amandine odnowiła już trzykrotnie) opadła w krzaki jak przekłuta płazowa piłka.

* * *

Przez pół nocy leżeliśmy na mchu w podmokłym brzozowym młodniku, odpoczywając i odzyskując przytomność. Zażyłem eliksir pobudzający, żeby do reszty oczyścić moje towarzyszki ze skażenia; zadziałało nieźle – nabrałem już wprawy – ale i tak wszyscy byli wyczerpani. Bez czucia osunąłem się na mech, pamiętając tylko o tym, żeby owinąć się w koc. Jakoś nie miałem siły, żeby się ubrać.

Kierowani dobrymi chęciami i ufni we własne siły, nie pomyśleliśmy o konsekwencjach. Kathryn miała rację – na bretańskiej ziemi nasza pomoc skończyła się katastrofą. Tliła się w nas jeszcze iskierka nadziei, że wieśniacy, którym pomogliśmy, nie zostali ukarani. Że smoczyca, która okazała się bardziej bohatera od nas, przeżyła walkę z ksenowurmem. Ale takie cuda zdarzają się w lepszym wszechświecie.

Po kilku godzinach wyjątkowo kiepskiego snu wstaliśmy przed świtem, zakatarzeni i przygnębieni. W najlepszej formie była Liliana, bo Kat zadbała, żeby wyciągnąć dla niej śpiwór.

Postanowiliśmy się przebrać. Ubrania w plecakach okazały się suche, ale doznaliśmy przykrego zaskoczenia, gdy sięgnęliśmy do zapasów. Pumpernikiel, kiełbaski i wszystkie niezabezpieczone magią wiktuały zmieniły się w spleśniałe, robaczywe resztki, niezdatne do jedzenia od co najmniej kilku miesięcy. Domyśliłem się, że to skutek tego samego uroku, przed którym ratowałem siebie i moje towarzyszki.

Wreszcie rzuciłem zakłęcie lokalizacyjne. Określiło kierunki świata i zasugerowało, w jakiej odległości znajdują się najbliższe ludzkie osady – kilka dni drogi. Ulepszony Pies Gończy powiedział mi także, w którą stronę trzeba iść, żeby odnaleźć Meg. Dobra wiadomość brzmiała: moja mistrzyni nadal żyje. I dwie złe wiadomości: po pierwsze, zakłęcie nie miało takiego zasięgu, żeby dokładnie ocenić dystans, po drugie, aby do niej dotrzeć, musielibyśmy zawrócić i narazić się na konfrontację z ksenowurmem. Ruszyliśmy więc naprzód.

Brnęliśmy wolno przez torfowiska, między krzewami żurawin i gęstymi paprociami. Ziemia ugięła się pod stopami; musielimy często przystawać i sprawdzać, czy nas nie pochłonie. Trzeba było coś jeść. Jak na złość okolica nie obrodziła w rośliny jadalne, znalazłem może kilka cebulek i korzeni, za mało,

żeby wyżywić czteroosobową grupę. Na szczęście Kathryn dysponowała zaklęciem Creo, które zmieniało substancje organiczne w jadalną papkę, podobną trochę do pasty z ciecierzycy, a oczyszczanie wody magią jest banalną czynnością.

Oslabieni i zdrożeni stopniowo porzucaliśmy w bagnie przedmioty, odzież oraz księgi, które kiedyś wydawały się nam niezbędne. Amandine chciała, żebym zostawił składany dom Lucjusza – ważył w końcu całe pięć kilo – ale wyraźnie dałem jej do zrozumienia, że to nie wchodzi w rachubę. Mógł jeszcze zaważyć na naszym przetrwaniu, o ile złamiemy hasło. Kathryn twierdziła, że każdego wieczoru coraz lepiej rozumie, jak podłączyć się do niego za pomocą kuli. Ale ona też czuła się zmęczona.

Trzeciego dnia rano obudziłem się z bólem intensywnie pulsującym za skronią. Znajdowaliśmy się nieopodal osad i poleciłem Kathryn, żeby znalazła zioła farbujące włosy.

– I będę chodzić z pustym Źródłem – wytknęła mi Kat. Sprzeczała się bez większego przekonania, tylko dla zasady.

– Nie możemy ominąć wsi – zareplikowałem. – Musimy spędzić kilka nocy na suchym – spojrz na Lilianę, ona tego dłużej nie wytrzyma – i zdobyć informacje. Na razie oddaliśmy się od Margueritte, a nie będziemy przecież ryzykować powrotu bez dobrej mapy.

– Ty również kiepsko wyglądasz – zauważyła Amandine z niepokojem.

– To zmęczenie. Wypiję eliksir przeciwbólowy i poczuję się lepiej.

Ale się nie poczułem.

Po jakimś czasie złapały mnie dreszcze i wysoka gorączka. Wkrótce ledwo stawałem nogę za nogą. Ból rozsadał mi czaszkę, zwróciłem śniadanie i obiad, aż wreszcie została tylko żółć. Amandine przejęła mój plecak. Nalegałem, by iść dalej, ale szybko stało się jasne, że mam problem z utrzymaniem się w pionie. Usiadłem, starając się poinstruować swoje towarzyszki, jakie lekarstwa w naszych zapasach jeszcze mogą mi pomóc. Obraz rozmazywał mi się przed oczami. Bolały mnie gałki oczne, ręce, nogi, cała skóra, wszystko mnie bolało. Ledwo zarejestrowałem, że Kathryn bada mnie detektorem skażenia.

– Nic nie ma – zakomunikowała wreszcie. – To nie jest ostry przypadek Piętna.

– Weyland mówił, że mam wrodzoną odporność – powiedziałem. – Odruchowo stawiam osłony i przetwarzam moc Pustki. Nawet jeśli trochę wchłonę, szybko niweluję efekty. Chyba że natężenie przekroczy kilka merlinów, a tam nie było aż tak źle.

– Pokaż oczy – poprosiła moja narzeczona.

Obydwie zamilkły, jakby nagle zauważyły coś niepokojącego. Amandine dłuższą chwilę oglądała moje dłonie. Nic nie powiedziała. Sam się im przyjrzałem. Paznokcie miałem podbiegłe wąskimi krwawymi obwódkami.

Dostatecznie dobrze znam się na medycynie, żeby poczuć strach i bezradność.

– Lily, Kathryn... – zaczęłam spokojnie. – Czy uodparniano was na bagienną gorączkę?

– Powszechnie uroki uodparniające wprowadzono, kiedy byłam dzieckiem – odpowiedziała cicho Kathryn.

Skinąłem głową. Wiedziałem, że Amandine przechodziła małą gorączkę, znacznie łagodniejszą, ale pokrewną chorobę, która dawała krzyżową odporność. Od dziesięcioleci nie widziano w Arborii żadnych przypadków krwotocznej bagiennego gorączki. Czasami zdarzała się jeszcze w południowych państwach kontynentu, lecz w gruncie rzeczy przeszła do historii. Ale my znajdowaliśmy się w Utraconej Bretanii. A ja, wiecznie zapracowany, nie miałem czasu zadbać o zdrowie. I może nigdy nie zdarzy się taka okazja.

Bez pomocy silnych zaklęć leczniczych bagienna gorączka zbierała śmiertelne żniwo w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto.

* * *

Nie musiałem długo czekać, aż objawy wystąpią w pełni. Szybko straciłem wzrok. Krew sączyła się ze spojówek, spod paznokci, z nosa, z każdego otworu ciała. Pod skórą na pewno miałem wybroczyny; przypadkowe ugięcie każdego stawu było męczarnią. Otumaniony bólem ledwo zdawałem sobie sprawę z istnienia świata wokół.

Nie wiem, jakim cudem, ale nadal szliśmy przez las. Odruchowo rejestrowałem szelest liści i trzaski gałązek. Ktoś mnie niósł, zapewne przy asyście zaklęć. Próbowiałem powiedzieć, żeby mnie zostawiono, a najlepiej litościwie zabito, ale straciłem kontrolę nad językiem, spuchniętym i odrętwiałym. Na początku próbowano mi podawać eliksir przeciwbólowy, ale zwróciłem go razem z krwią.

Gdyby chorował ktokolwiek inny, mógłbym mu pomóc – tylko ja znałem lecznicze zaklęcia. Wszystko, co wpływa na choroby zakaźne, potrzebuje silnego komponentu Entropii. I prawie cała magia medyczna wymaga starannego dostosowania obliczeń do przypadku, podczas gdy magia ochronna i bojowa nie zależą tak bardzo od okoliczności. Dlatego zaklęcia lecznicze są powszechnie uważane za szczególnie trudne i dlatego nie wyposażono w nie laski Amandine.

Nie pomagało, że bardzo dokładnie wiedziałem, iż gorączka – jeśli ktoś ją przeżył – pozostawiała nieodwracalne ślady w najbardziej delikatnych narządach: nerkach, wątrobie, sercu. I w mózgu.

Zatrzymaliśmy się. Przez szum krwi w uszach usłyszałem obcy głos. Niski, kobiecy, dziwnie spokojny. Nie rozumiałem ani słowa. Zaklęcie tłumaczące Kathryn dawno wyparowało, a nie myślałem dostatecznie jasno, żeby przekładać sobie dialekt na starobretoński. Spróbowałem poprosić, żeby rzuciła je ponownie, ale z mojego gardła wydobył się tylko cichy jęk.

– Kat, proszę cię, rzuć na niego Złotą Rybkę. – Głos Amandine był zniekształcony i przepleciony szumami, ale mimo to rozpoznawałem znajomą ciepłą nutę. – Może też chciałby się czegoś dowiedzieć.

– ...nie boję się – usłyszałem chwilę później. – Nie musicie mi grozić. Ja nie zachoruję. Dzieckiem zmogła mnie wiosenna choroba i krwawicy nie dostanę. Szczęście macie, żeście mnie znaleźli. Ludziska nie wiedzą o tym i dobiliby go, a was spalili na dobitkę. Co by była szkoda. Bo jemu wiele nie pomoże. Zemrze przed świtem.

– Ale zna się pani na ziołach... – zaczęła Amandine.

– Jaka ja pani – prychnęła rozmówczyni. – Żeby było na świecie ziele, co krwawicę leczy, jeszcze bym w litościwość Wędrowca uwierzyła. Ale jak stara wiara każe, kto wędruje, tego w dom przyjmuję. Podścielę mu słomy w stodole. Inne ziele mogę dać, co by długo nie cierpiał.

– Nie!

– Cóż, powiadają, że miłość to najgorsza zaraza – odparła kwaśno nieznajoma. – Chodźcie.

Świadomość odpływała i przyływała. Leżałem na twardym pościeliu, przez płótno czułem każdą słomkę wbijającą się w skórę. Ktoś ocierał mi czoło. Znów zasnąłem, zemdlałem, nie wiem.

Obudziła mnie burza.

Przynajmniej tak mi się zdawało, bo dookoła świstał wiatr i chwiały się ściany. Z zewnątrz docierały do mnie krzyki. Chyba rzucano zaklęcia. Czułem odór skażonej mocy. Była wszędzie wokół, wdzierając się do środka przez szczeliny w ścianach i uchylone drzwi, kłębiła się na zewnątrz. I w malignie zdawało mi się, że wypływam poza własne ciało i przechwytyuję całą tę moc, rozplatam i przetwarzam, tak jak powinienem, bo przecież nikt inny nie potrafi, przecież muszę. Znów mierzyłem się z duszosmakiem, nurzając się w bolesnym, wartkim strumieniu magii. Znowu oczyszczałem złoże na dnie rzeki, zanurzony w lodowatej, paraliżującej mięśnie wodzie. Wreszcie wszystko ucichło. Niewiele rejestrowałem, ostatkiem sił starałem się zachować przytomność, bo każdy oddech wymagał świadomego, bolesnego wysiłku. Ale usłyszałem, że ktoś otworzył drzwi stodoły, krzyknął ze zgrozą i zaraz potem je zamknął. Nie wiedziałem dlaczego, ale odczułem ulgę, i z tej ulgi wreszcie poddałem się losowi.

Pochłonęła mnie cicha, aksamitna czerń.

PODZIĘKOWANIA

Żaden człowiek nie jest samotną wyspą; niniejsza książka również nie powstałaby w izolacji. Serdeczne podziękowania należą się wszystkim, którzy wspierali mnie podczas kolejnej podróży, w tym: Mikołajowi Kamińskiemu i Monice Biskupskiej, którzy czytali tę powieść, zanim jeszcze postawiłam ostatnią kropkę; Agnieszce Hałas za beta-czytelnictwo, literackie towarzystwo i wsparcie; całej polskiej społeczności NaNoWriMo za wariacką dawkę motywacji; Marcelemu Szpakowi (o ile woli pseudonim) za przetłumaczenie dwóch dialogów na gwara śląską, bo zapewniam, że ja tak pięknie nie potrafię. Piotrowi Schmidtke i wszystkim, których nie dam rady wymienić, a którym suszyłam głowę kolejnymi pomysłami i wersjami książki. Nieodmiennie Katarzynie Dug, Michałowi Różyckiemu, Justynie Rudzkiej i Krzysztofowi Szabunowskiemu za to po prostu, że są. I mojej mamie Marii Janusz, która czyta wszystkie moje książki, i oby tak było aż do mojej literackiej emerytury, na którą zamierzam przejść jakoś tak w wieku stu lat.

Dziękuję także zespołowi redakcyjnemu Naszej Księgarni, który sprawił, że niniejsza powieść znalazła się w Twoich rękach. I Tobie, Czytelniku, marzycielu, ciekawska istot: oby było nas więcej.

UTRACONA BRE TANIA

II tom cyklu Kroniki Rozdartego Świata

Po Drugiej Stronie Świata sprawy stanęły na ostrzu noża. Narzeczona Vincenta, Amandine Cerise, dla ochrony przyjaciół decyduje się na ryzykowny bluff. Kathryn Verd, czarodziejka i księżniczka, lawiruje wśród dworskich intryg, gdzie pomyłka grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem. Margueritte i Belinde prowadzą ofensywę przeciwko skażonym wojskom, przygotowując się do bitwy w Dolinie Montségur. A gdzie się podział Vincent? Gdy widzieliśmy go ostatnio, był bliski śmierci...

ALEKSANDRA JANUSZ



KRONIKI
ROZDARTEGO ŚWIATA

UTRACONA BRE TANIA

NASZA KSIĘGARNIA



fot. Magdalena Gajda

ALEKSANDRA JANUSZ

Doktor neurobiologii, obecnie pracuje w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Debiutowała w „Science Fiction” 4/2001 opowiadaniem „Z akt miasta Farewell”, jest autorką powieści „Dom wschodzącego słońca” wydanej nakładem wydawnictwa Runa. Publikowała opowiadania i artykuły publicystyczne w internetowym magazynie „Fahrenheit”, w magazynie mangi i anime „Kawaii” i w innych czasopismach. Uzależniona od książek, czyta wszystko; nie jest gatunkistką. Zawodowo zajmuje się molekularnymi mechanizmami rozwoju neuronów, pamięci i uczenia się.

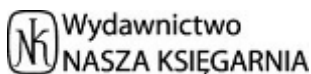
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2016
Text © copyright by Aleksandra Janusz, 2016

Ilustracja na okładce *Milena Młynarska*
Typografia *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Korekta *Sylwia Sandowska-Dobija, Katarzyna Sobiepanek-Szczęsna, Ewa Mościcka*
Korekta pliku po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13096-9

Plik wyprodukowany na podstawie *Kroniki Rozdartego Świata. Asystent czarodziejki*, Warszawa
2016



www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie *Zecer*.